

Biblioteka Pisarzy Czeskich i Słowackich

BAJKI CZESKIE

Z języka czeskiego przełożył Józef Waczków
Posłowie napisał Bolesław Lubosz
Wydawnictwo „Śląsk” Katowice
Tytuł oryginału Česká pohádka

O Macieju i Magdusi

I

W bogatej wsi u sołtysa był na służbie sierota, na imię miał Maciej. Gdy odumarała go matuś, przestał chodzić do szkoły i musiał pod lasem na łąkach pasać sołtysowe krowy. Stado było wielkie a Maciuś mały, nabiegał się chłopczyzna za krowami, oj nabiegał, czasem to już nóg nawet nie czuł. Bydło, jak to bydło, kiedy znalazło w piękną koniczynkę, pasło się spokojnie i nie rozłaziło; Maciuś wtedy szukał zacisza w leszczynie albo siadał za krzakiem jałowca czy tarniny, co zakwita białymi drobnymi kwiatuškami, i przyglądał się życiu wokół siebie. Patrzył, jak między łądkami traw krzątają się robaczki, sypał mrówkom okruszyny, które pozostały mu w kieszeni, rozpoznawał po śpiewie każdego ptaszka, dzwońca i szczebiotkę, przepiórkę i tę krzykaczkę dzierzbę, co ma swoje gniazdo głęboko w ciernistej tarninie.

I tak leżał raz sobie Maciuś pod leszczyną i patrzył, jak po błękitnym niebie płyną obłoki, podobne do okrętów i zamków. Z poręby wyfrunęła gołąbka i leciała ku wysokiej jodle, gdzie miała w gniazdku pisklęta. Wtem ze środka obłoku wypadł wielki krogulec i jak strzała runął z góry na gołąbkę. Rzucił się na nią z pazurami, ze skrzydełek posypały się piórka. Struchlała gołąbka ratowała się ucieczką w cierniste tarniny, a drapieźnik nic, tylko za nią w te pędy jak dzikus. Maciuś zerwał się, złapał kijaszka i pognął w krzaki, gdzie drapieźnik już trzymał gołąbkę w swych szponach. Maciuś nie namyślając się łups kijem drapieżcę po grzbiecie! Krogulec odwrócił łe-bekf w ślipiach błysnęła mu wściekłość i w mig z pazurami i krzywym dziobem na Maciusia. Ale Maciuś się nie dał: ciach, ciach kijem krogulca, tylko bure pierze leciało, a w końcu tak go rymsnął w dziób, że drapieźnik ze strachu uleciał.

Maciuś schylił się nad gołąbką, wziął ją w dłonie i wygładził jej potargane piórka.

— Dziękuję ci, Maciusiu, żeś mi życie ocalił — przemówiła naraz ludzkim głosem gołąbka — żeś nie dopuścił, by osierociały moje gołębiątka.

Rozpostarła skrzydełka, wyfrunęła z Maciusiowej dłoni i pomknęła na wysoką jodłę. Ale zanim Maciuś wyszedł z tarniny, już trzepotały nad nim skrzydełka gołębiczy, przybyła z powrotem. W dzióbku trzymała wielką poziomkę, czerwoniutką jak dziewczęce liczko, wypuściła ją prosto w dłonie Maciusia i pouczyła go:

— Zjedz tę jagódkę, a będziesz rozumiał mowę wszystkich ptaków, czy świergotają w powietrzu, czy śpiewają na drzewach, czy też krzyczą na wodzie. Może ci to kiedyś być ku pomocy.

Ledwo to rzekła, odfrunęła na wysoką jodłę do swoich małych.

Już-już brał Maciuś poziomkę na ząbek, gdy od wsi przybiegła do niego sołtysowa Magdusia. Była od Maciusia cokolwiek młodsza, prowadził ją za rękę do szkoły, i była dla Maciusia dobra. To mu dała kawałek chleba, to ciastka a za-, wsze tak, żeby chytry sołtys nie wiedział, kiedy zaś Maciuś pochlipywał ze zwykłej żalości, że jest na świecie sam jak ten palec, czochrała mu czuprynę i powtarzała:

— Nie becz, Maciusiu, toż masz mnie, ja jestem twoją wierną kamratką!

Magdusia niosła właśnie Maciejowi kawałek placka, który ukradkiem ułamała z blachy w komorze, i już z daleka widziała, jak z Madejowych rąk wyfrunęła gołąbka i poleciała na wysoką jodłę, i jak za chwilę znowu do Macieja powróciła.

— Co tam masz, Maciusiu? — zapytała go, gdy ujrzała poziomkę.

A że Maciuś był poczciwina i z całego serca kochał Magdu-się, ugryzł tylko pół jagódki, a drugą połowę bez słowa wetknął Magdusi między ząbki, żeby też skosztowała.

Tego dnia wieczorem, kiedy Maciuś zaganiał stado do sołtysowego obejścia, Krasula z Łaciatą zaczęły się bósć we wrotach i stado się zatrzymało.

— Nicponiu nicponiowaty, nie umiesz zagnać krów do obory? — krzyknął wściekle sołtys z progu wygrażając Maciusiowi pięścią.

Ledwo to powiedział, na stertę drew wyskoczył kogut i zaczął pisać na całe gardło.

Maciuś parsknął śmiechem — toż on zupełnie dobrze rozumiał, co pieje kogut, jak gdyby to była ludzka mowa.

— Będziesz mi się jeszcze śmiać, fąflu? — skoczył sołtys do Maciusia.

Maciuś już ani mru-mru, stał cicho jak trusia. Za to Magdusia, która właśnie wyszła z chaty, nie milczała.

— Wiesz, tatku, co ten nasz kogut wykrzykuje? Sołtysie, sołtysie, teraz na Macieja wrzeszczysz, a kiedyś będziesz mu czyścił trzewiczki połą odświętnej kapoty!

Sołtys się rozsierzdził na dobre, chwycił za furmański bat, co wisiał nad drzwiami, i zaczął siec Maciusia po plecach, aż mu posiekał nędzną koszulinę. Ale kogut wyfrunął na jeszcze wyższy sąg drzewa i znowu zapiał, tym razem jeszcze głośniej:

— Kuku-ryku, kuku-ryku, teraz Macieja bijesz batem, a kiedyś będziesz przed nim klęczał na kolanach!

Magdusia, teraz już bez śmiechu, raczej ze łzami w oczach powtórzyła to sołtysowi i błagała go, żeby dał Maciusiowi spokój. Ale pyszałkowaty sołtys wpadł w jeszcze większą złość. Obrócił bat w rękę i zaczął okładać Maciusia grubym brzoźowym biczyskiem, a wrzeszczał przy tym jakby rozum postradał:

— Precz, precz! Wynoś się od nas, ty hołoto nędzarska! Maciej nie czekał już na nowe cięgi, w te pędy się obrócił

i wypatrywał dziury, którą w płocie zostawił cieśla. Ale nim wymkDął się z obejścia, zdążył zobaczyć i usłyszeć, jak kogut wyskoczył na sam wierzchołek sągu i po raz trzeci zapiał tak potężnie, aż się po całej wsi niosło:

— Kuku-ryku, kuku-ryku, teraz Macieja wyganiaasz, a kiedyś będziesz go witał jako narzeczonego Magdusi!

Kiedy Magdusia z płaczem powiedziała sołtysowi, co kogut po raz trzeci zapiał, pyszałkowatego sołtysa ogarnął szał, chwycił kosę i jednym zamachem uciął łeb kogutowi.

Tymczasem Maciuś chodził od zagrody do zagrody i prosił:

—| Gospodarzu, sołtys mnie wygnał, weźcie mnie do siebie, będę wam krowy pasał!

Ale chłopcy byli nielitościwi i bez serca dla sieroty, a pewnie też woleli nie narażać się sołtysowi, dość, że nikt w całej wsi nie chciał Maciusia przygarnąć do siebie. Ba, nawet przemocować pod dachem mu nie pozwolili, choć błagał i prosił.

— Idź do kogo innego — mówili — nam taki darmożjad jak ty do niczego niepotrzebny! Zaciął się w złości Maciuś, kiedy na darmo obszedł całą wieś i powiada sobie:

— Nigdzie mi pracy dać nie chcą, to cóż, pójdę do zbójników w lesie, chyba tam na coś im się przydam!

W tych stronach, gdzie zachodziło słońce, były głębokie czarne bory, a w nich panował ze swoją rotą zbójnicki herszt Mentekaptus. Za białego dnia, przy pełnym dzbanie w gospodzie ludziska z niego szydzili i przekręcali jego imię na Mięto-kapciuch, ale jak tylko czarna noc zapadła, nikomu nie było do śmiechu, każdy z duszyczką na ramieniu cyrklował tak, żeby po ciemku nie znaleźć się nigdzie na drodze, ale u siebie w domu.

Co miał biedaczyna Maciuś począć, postanowił od razu się udać do tego herszta Mentekaptusa. Pod koszulina, posiekana sołtysowym batem, świszczął mu nocny chłód, w żołądku go ssało z głodu, oczy paliły od łez, a w końcu cały zaczął dygotać od zimnicy, ale Maciuś tylko zęby zaciął i szedł, i szedł w głąb lasu. Strach go nie jeden raz oblatywał, bo ciemno, choć

oko wykol, a tu coś z lewa szeleści, a tam znów coś jakby tupie, a nad głową co i rusz pohukują i ksykają nocne sowy. Z jednej strony odzywa się puszczyk, a głos ma miaukliwy jak kot;

— Co to za wariatuńcio pcha się prosto w łapy Mentekaptusa?

A z drugiej strony pojękuje pójdzka:

— Spójrz, spójrz, to Maciuś z wioski, idzie do zbójników na posługi.

—• A bodajby kark skręcił! |— krzyczał puszczyk.

— Skręci, skręci! Ani chybi skręci, w takim fachu to nie dziwota!

Macieja przeszło mrowie, ale za późno było na zmianę postępowania. Między drzewami przeświecały już czerwone grzebyki ognia, Maciej był o krok od zbójników. Przy wielgach-nym ognisku, gdzie nad płomieniami smażyły się całe wieprze i barany, a zbójnicy jeden z drugim opiekali nadzianego na szablę kurczaka, siedziało w dwunastu rzędach po dwunastu chłopów. Zarost kędzierzawił im się pod same oczy, kapelusze mieli wbite głęboko na czoło, a każdy coś tam obgryzał i chrupał, aż mu gęba błyszcziała od tłuszczu. Największy z nich, z piórem na kapeluszu, ze złotą szablą wspartą o kolano, trzymał w podołku nieckę pełną dukatów, przeliczał je i rozdzielał. To był sam herszt Mentekaptus, przed niego przywiedli Maciusia. Herszt zaraz przestał liczyć, szablę zatknął szpicem w ziemię i zmierzył Macieja oczyma:

— Robaczku, co niby chcesz, po coś przyszedł do starego herszta Mentekaptusa?

Pod Maciusiem ugięły się nożyny, ale jakoś tam wyjąkał, że pasał krowy we wsi, ale że go teraz sołtys ni w pięć, ni w dziewięć wygnał, a jeszcze go batem przetrzepał, i że mu nie pozostaje nic, tylko zaciągnąć się na służbę do zbójników.

— No to musisz najpierw przejść próbę, czy się nadajesz do naszego fachu!

Maciej był głodny, że zjadłby wilka, trzęsło go z zimna i nie miał gdzie głowy złożyć. Więc nad czym tu myśleć?

Powiada:

— Zrobię wszystko co potrzeba, tylko mi dajcie coś do zjedzenia i dopuście mnie cokolwieczek bliżej ogniska, żebym się ogrzał!

Herszt Mentekaptus uciął mu szablą poleć barana, a dwaj z roty przesiedli się ździebko i puścili Macieja między siebie.

Na drugi dzień, ledwo Maciuś przetarł oczy, powiada herszt Mentekaptus:

— Nie ma nic darmo Macieju, taki to już nasz los. Musisz poddać się próbie, a jak nie podołasz, przykrócimy cię o głowę.

Zawiedli Macieja na gościniec ciągnący się przez czarny las i powiadają:

— Za chwilę tą drogą powiedzie rzeźnik wołka. Jeśli tego wołka rzeźnikowi ukradniesz, część próby będziesz miał za sobą.

Zbójnicy z Mentekaptusem schowali się w lesie, Maciusia zostawili, niech sobie radzi sam. Maciuś zadumał się srogo, bo jeszcze nigdy w życiu nie kradł, no i bał się, że ten rzeźnik, choć ma tylko kostur, a nie szablę, jaką jemu, Maciejowi, dali zbójnicy, to jednak, co tu gadać, chłop musi być na schwał i może spuścić mu tęgie lanie. Ale wtem wpadł na pomysł. Wyciągnął szablę z pochwy i pochwę rzucił na środek gościńca.

Ledwo zdołał wleźć w krzaki, już drałował rzeźnik z wołkiem. Kopnął pochwę, chwilę przyglądał się jej spod oka i poszedł dalej. Maciuś szybko przez zarośla pobiegł do przodu i za zakrętem rzucił na drogę szablę. Gdy rzeźnik dowlókł się z wołkiem do szabli, podrapał się za uchem:

— Toż ona będzie pasować do tej pochwy, com ją widział przed chwilą!

A że nie chciał wołka ciągnąć z powrotem, przywiązał go do przydrożnego jesionu i ruszył po pochwę. Łebski Maciej wołka odwiązał i w te pędy z bydłatką w gęstwinę do Men-tekaptusa.

— Chytra z ciebie sztuka — powiada herszt — ale teraz musisz temu samemu rzeźnikowi ukraść jeszcze kapotę, co ją ma na sobie.

10

•— Czemużbym miał nie ukraść, skoro muszę? — Maciuś na to — chodźcie popatrzeć, jak to zrobię!

Ze ściągniętej z krowy skóry obciął ogon, pomknął z nim przez gęstwinę wzdłuż gościńca i kiedy już wyprzedził rzeźnika o ładny kawałek drogi, wdrapał się na wierzchołek rozłożystego dębu, co rósł przy tym trakcie. Między najgęstszym listowiem zatknął krowi ogon tak, żeby go dobrze było widać. Sam zlął na najniższą gałąź, przysiadł na niej i zaczął głośno płakać. Rzeźnik, trzymając w jednej ręce bat, a w drugiej szablę, za którą mu przyszło tak drogo zapłacić, szedł gościńcem ponury i wściekły i ledwo zbliżył się do dębu, zeżlił się na Maciusia:

— Co tak beczysz, basałyku, na tym dębie?

Maciuś popatrzył na rzeźnika ze zdziwieniem, jakby go nigdy jeszcze nie widział, i powiada zmartwionym głosem:

— Ach, panie gospodarzu, stała się dziwna rzecz! Przed chwilą przybiegł o, z tej strony, młody wołek z urwanym powrozem. Chciałem go złapać, ale to bydłę ni z tego, ni z owego rzuciło się na ten dąb i •— o dziwo! — ciach-prach, wdrapało się na sam wierzchołek. Siedzi tam w koronie i wyjada żołędzie, widać miało na nie chrapkę! Chciałem je przytrzymać, ale całego mnie pobodło, a ja jestem słabowity i nie dałem mu rady.

— Co też pleciesz? — rzekł rzeźnik wybałuszając oczy.

— No to spójrzcie, gospodarzu, o, tam mu wystaje kawałek ogona! — powiada na to Maciuś ukazując rzeźnikowi zatknięty na gałęzi wśród nieprzejrzanego listowia krowi ogon.

— Olaboga! —! wykrzyknął rzeźnik — toż to jest moje utracone bydłę! Patrzcie go, małpizona, żołędzi mu się zachciało!

Czym prędzej odłożył szablę i bat, zdjął kapotę, zzuł buty, żeby mu się lepiej włożyło na drzewo i zaczął wdrapywać się po swojego wołka. Kiedy już był pośrodku korony, Maciuś jak wiewiórka zsunął się na dół, złapał kapotę i buty, bat i szablę — i smyk w gęstwinę do Mentekaptusa.

W ten oto sposób Maciusia przyjęto między zbójników. Na służbie u herszta Mentekaptusa czesał konie, czyścił gwery i przez cztery lata wyrósł na dorodnego, krzepkiego młodzień-

11

ca. I choć wiodło mu się świetnie, nie cieszył go żywot wśród zbójników, do których przystał z głupoty i ze złości na sołtysa.

Pewnego dnia herszt Mentekaptus powiada:

— Nie będziesz chyba do śmierci machał u mnie zgrzeblem! Krzepy ci nie brak, a i rozumu, ot, masz tu szablę, masz tu konia i jutro skoro świt powiedzisz moją rotę na robotę!

Nie w smak było Maciejowi krwawe zbójnickie rzemiosło, ale wykręcić się nijak nie mógł. Szpiedzy, którzy w żebrackich łachmanach przesiadywali po gospodarach i wałęsali się po mieście, przynieśli wieść, że jutro o staję stąd pojedą królewscy wojacy z pełną furą złotych dukatów. I umyślił herszt Mentekaptus, że tym złotym ptaszkom trzeba będzie podciąć skrzydełka.

Wypadli na wóz z królewskimi dukatami z ukrycia, na czele Maciej na karym koniu. Jak tylko wrzasnęli dziko po zbój-nicku, wojownicy na łeb, na szyję rzucili się do ucieczki i zmykali, aż się kurzyło. Wóz ze złotem został na środku drogi, elegancko czekał na zbójników. Rota się radowała, że psim śwędem tyle bogactwa zdobyli, i piorunem chciała zawieźć złoto do hersztowej kryjówki.

— Stój — krzyknął na to Maciej — dzisiaj słuchać się musicie mnie!

I przykazał zbójnikom, żeby w najbliższej wsi połowę dukatów odsypali na plac przed karczmą, zaraz też kazał zawołać wszystkich biedaków ze wsi, niech sobie to rozbiorą na osłodzenie żywota. Zbójnicy się chmurzyli jak belzebuby, ale że sam Mentekaptus nakazał im słuchać we wszystkim Macieja, nic nie gadali i woli Macieja stało się zadość. Kiedy przyjechali do kryjówki leśnej i złota było tylko pół wozu, Mentekaptus wykrzyknął do Macieja:

— A gdzie masz resztę? Ukryłeś te dukaciki dla siebie, gagat-ku?

Maciej się tylko uśmiechnął, jako że miał sumienie czyste, ale zbójnicy zaraz naskarżyli hersztowi, co za błazeństwo mu strzeliło do głowy. Mentekaptus okrutnie się skrzywił, ną-

12

wymyślał Maciejowi od jołopów i zagroził, że jeśli to się jeszcze raz powtórzy, własną ręką z karku strąci mu tę jego durną łepetynę.

Za niedługi czasik znowu doniesiono z przespiegów, że nowy wóz ze złotem królewskim pojedzie tą samą drogą. Wojaków naokoło jak tych much, pieszych i kawalerzystów, ale jak Maciej ze swą rotą krzyknął i na karych koniach wypadli z lasu, dowódca wojaków pierwszy dał drapaka. Wojacy widząc, jak ich zwierzchnik znika w krzakach, sami czym prędzej wzięli nogi za pas i po raz drugi wszystko złoto wpadło zbójnikom w ręce.

Maciej wiedział że nie wolno mu odstąpić od Mentekaptu-sowego przykazania, ale było mu żal, że wszystko złoto ot. tak, bez nijakiego pożytku przepadnie w zbójnickiej kryjówce. Więc jak tylko wóz ruszył, rąbnął szablą na odlew po dechach i rozluzował je, żeby bodaj tam i sam jakiś dukacik się wy-smyknął dla wędrujących gościńcem. Ale wypatrzył to najstarszy zbójnik, któremu herszt nakazał nie spuszczać z Macieja oka. Bez miłosierdzia zamachnął się szablą i tępą stroną dzielił Macieja po ciemieniu, aż mu zabrzęczało w głowie.

Maciej zleciał z konia w kurzawę, zbójnicka rota zacięła batem zaprzęg i tyle ich było widać. A wojacy królewscy nie uciekli daleko. Ledwo zbójnicy znikli, wygramolili się z lasu, gdzie się byli pochowali, i w te pędy do Macieja. Zanim Maciej oprzytomniał, miał już na rękach i nogach okowy i wokół siebie straż na koniach. Na wieczór tego samego dnia siedział już w królewskim więzieniu na zamku, wspominał wieś rodzinną, a ze wszystkiego najwięcej sołtysową Magdusię.

— O rety, rety, nigdy się już, Magdusiu, nie zobaczymy — żalił się, aż go serce bolało, i ze strachem myślał o ranku, kiedy to stanie przed sądem a potem przed katem.

Rano powiedli Macieja z łańcuchem przed samego króla. Do-koluśka jego złotego tronu siedzieli królewscy jenerałowie, wszystko się na nich świeciło, a na Macieja patrzyli tak srogo, jakby go chcieli przewiercić oczami. Maciej widział, że żadnego zlitowania nad nim nie będzie. No i zaczął jeden z nich Ma-

13

cieja obwiniać, że teraz już armii przeciwko Turkom wystawić nie mogą, bo króla z dukatów ograbiono, a przy tej grabieży Maciej był ze wszystkich najgłośniejszy.

Macieja strach obleciał nie na żarty, bronić się nie miał jak, a opowiadać, jak go bieda zapędziła do zbójników, to by tym pyszałkowatym jenerałom za nic nie opowiadał. Toteż milczał i tylko słuchał, jak król biada, że niby za co teraz wyszukuje nową armię, kiedy całe złoto aż do ostatniego dukacika chap-nęli zbójnicy. Wreszcie król biadać skończył, a Macieja zasądzi na amen, że ma być powieszony na szubienicznej belce. Gdy to Maciej usłyszał, zebrał w sobie wszystką śmiałość i wykrzyknął do króla:

— Com zrobił, tom zrobił, najjaśniejszy panie, alem zbójnikiem stał się nie ze zbytków, tylko z biedy. Szkoda mi tej mojej młodej głowy, umierać mi się nie chce. Wolałbym ja sza-belkę, niż tę szubieniczną belkę, toż ja bym wam Turka przegnał za rubieże!

Wszyscy jenerałowie, ilu ich tam było, krzywo się uśmiechnęli, że niby na co się ten wiejski chamuś porywa, kiedy oni ze swoją jeneralską uczonością nie mogli sobie tu dać rady, ale król podrapał się pod koronę i powiada:

— No cóż, na wieszanie zawsze czas znajdziemy, nic by nie zaszkodziło spróbować!

Na to jenerałowie jak nie zaczną jeden przez drugiego mleć ozorami, król się przeraził, no i łaskawca kat zabrał Macieja do swojej siedziby. Na drugi dzień raniutko, kiedy wschodziło słońce, rozdzwoniła się sygnaturka na zamkowej wieży. Wywiedli Macieja na ostatnią drogę; z ciężkim sercem szedł przez dziedziniec, gdzie w kącie stała szubienica, i gorzko dumiał, że już niezadługo kruki będą mu oczy dziobać.

Ale król, co wczoraj Macieja sądził, usłyszał dzwonenie sygnaturki, wychylił się z okna sypialni królewskiej i krzyknął na kata:

— Stój, obermajstrze kacie, zmiarkuj na chwilę swoją gorliwość!

14

Kat przystanął, a król duchem zbiegł na dziedziniec, aż mu z pośpiechu podskakiwała na głowie korona.

— Słuchaj, Macieju — powiada badawczo — ty byś naprawdę na tego Turka się porwał?

— Porwałbym się, najjaśniejszy panie — Maciej na to — dajcie mi, panie królu, jeden szwadron, a zobaczycie!

A że król już nie wiedział, co z tym Turkiem począć, bo jego królewscy jenerałowie jeden za drugim uciekali przed tureckim wojskiem, więc skinął, żeby Macieja rozkuli, i sam go odwiózł do swojej królewskiej kancelarii. Tam napisał na papierze i wielką pieczęcią to potwierdził, że Macieja ustanawia dowódcą jednego szwadronu, tego ostatniego, co jeszcze królowi pozostał, i że mu przykazuje wyprawić się na Turka i jak najprędzej go przegnać za rubieże.

Mróz był trzaskający, kiedy Maciej powiódł w pole ten swój szwadron. Patrzy, koniki chude, aż im żebra chodzą pod skórą, a wojownicy na nich obdarci jak młynarczyki. A z

oczku — i wojakom, i koniom — wyziera głód. Ci królewscy jenerałowie wszystkie pieniądze rozkradli, a wojaków żywili tylko raz na dzień kaszą z otrąb.

— Z takim wojskiem Turka nie rozgromię! — westchnął Maciej, kazał się szwadronowi rozejść i dalejże łamać sobie głowę, jak tu się wykaraskać z tych tarapatów. Na drugi dzień z rana miał już plan gotowy. Wziął trzy wozy zbite z desek, w jakich król przewoził pieniądze, potajemnie dał je napełnić kamieniami, a do tej gospody, w której siadywali szpiedzy Mentekaptusa, posłał dwóch szpakami karmionych wojaków, żeby pili i niby to po pijanemu wygadali, że nazajutrz powiozą królewskie złoto przez czarny las. Wiedział, że na taką

V wieść Mentekaptus da się nabrać jak szczygieł na oset. Sam przepatrzył wojaków i wybrał ze szwadronu dwudziestu najsilniejszych i najbardziej grackich młodziaków. Z nimi po kryjomu inną drogą ruszył do czarnego lasu.

Jak tylko herszt Mentekaptus usłyszał od swoich ludzi, że nadciągają trzy fury złota, trzem najstarszym zbójnikom kazał pilnować kryjówki i z całą swoją rotą wyprawił się po łup. We-

15

dle pouczeń Macieja wojownicy przy wozach mieli się bronić tylko dla oka, kropnąć parę razy z gwerów, a potem zostawić wozy na gościńcu i umknąć. Tak więc Mentekaptus czaił się ze swoją rotą w zasadzce, a tymczasem Maciej z dwudziestoma młodziakami hops mu do kryjówki, zwiążali zaskoczonych strażników i dalejże nosić do wozu pełne czapki pieniędzy.

— Bierzcie, kamraci, tylko dukaty — przykazał Maciej.

Talary i srebniki omijali i naładowali wóz czubato, aż osie trzeszczały. Nim się kto spodział, piorunem wyjechali z lasu na trakt do stolicy. Po drodze nadarzyła się owczarnia. Maciej odsypa! jednemu wojakowi dukatów do czapki i kazał kupić całe owcze stado, no i przygnać je za nimi do miasta. Od-sypał do czapki i drugiemu, tego posłał, żeby kupił dziesięć wozów chleba, odsypał i trzeciemu, ten znów pojechał do browaru po dwa beczkowsy piwa. W stolicy dał zaraz obstalunek sukiennikowi, niech dla całego jego szwadronu przysposobi czerwonego sukna na kapoty.

Radości było w szwadronie co niemiara! Maciej każdemu wojakowi dał po dukacie, po jednym baranie, czerwonej kapocie i nowych miękkich trzewikach, a chleba z piwem każdy mógł brać, ile dusza zapagnie. Wojacy się posilili, wyostrzyli szable, a z owczych skór porobili sobie kożuszki, no i teraz prowadź nas, Macieju! W ogień poszliby za nim! Herszt Mentekaptus galopem przyciągnął zrabowane wozy do swojej leśnej chałupy, cieszył się, że mu się tak poszczęściło. Ale gdy pierwszy wóz odpieczętowali, posypały się kamienie, nie inaczej było z drugim i trzecim. Mentekaptusa coś tknęło i z lękiem pognął do kryjówki, a tu masz, diable, kro-pielnicę! No tak, ze skarbu sporo ubrano, a strażnicy, co mieli pilnować, są jacyś dziwnie skrępowani. Nikt inny nie mógł wpaść na taki chytry pomysł, tylko Maciej. Rozsierdzony Mentekaptus poprzysiągł mu zemstę aż do grobowej kanciastej deski.

Maciej, kiedy już miał szwadron elegancko ods.trychnięty, oddał resztę pieniędzy, dobre pół wozu, do królewskiej skarbnicy i ze swoim szwadronem ruszył na Turka. Turek rozłożył

16

się w dolinie za wielkim lasem, całe miasto tam sobie postawił. Namioty miał z końskiej skóry i nad każdym namiotem powiewał koński ogon. Maciej ukradkiem wyjechał na

wzgórek nad tą doliną, zaczął te końskie ogony rachować na wszystkie strony, raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy, raz, dwa, trzy, ale się tych chwostów pstrzy, było ich co najmniej dwadzieścia razy więcej niż miał ich Maciej w swoim szwadronie!

— Marna sprawa — westchnął — siłą ich nie zmożemy, jak nic zdeptaliby nas na tych swoich kobyłach. Tu potrzeba mądrej łepetyny.

Ledwie zapadła ciemność, rozciągnął Maciej swój szwadron w jedną długachną linię, wszystkim kazał nabić gwery, i w ten sposób dojechali po ciemku do tureckiego obozowiska na odległość strzału. Jak kropnęli w obozowisko, Turcy zaczęli się roić, i zaraz ten pierwszy z brzegu regiment skoczył na koń, żeby się z wrogiem rozprawić. Maciej dał w tył zwrot, całą linią powolutku odjeżdżali od Turków i tylko co chwila ten i ów strzelił przez ramię. Gdy w tej ciemnicy wyciągnęli turecki regiment na dobrą godzinę drogi od obozowiska, Maciej dał komendę i szwadron po cichutku, pomalutku, elegancko rozdzielił się na dwie połowy. Jedni objechali Turka z prawej, drudzy z lewej strony, a potem złączyli się za plecami tureckiego regimentu. Pach-pach! zaczęli w nich kropić z tyłu, a turecki regiment, cały przerażony musiał się do nich obrócić i naganiać Macieja z powrotem do obozowiska. O to tylko Maciejowi chodziło. Gdy się ta ich strzelanina zbliżyła do obozowiska, najstarszy pohaniec się wystraszył i posłał drugi regiment na pomoc temu pierwszemu.

A że nie było nic widać, ciemnica choć oko wykol, więc Maciej ze swoim wojskiem jeszcze raz i drugi wystrzelił, a potem przejściem między dwoma regimentami raz dwa galopem uskoczyli na boki. To ci dopiero była rzeź! Jeden regiment rzucił się na drugi i rąbał Turek Turka w tej ciemnicy, aż iskry leciały. Trzask, huk rozlegał się dookoła, słyszał najstarszy pohaniec w swoim namiocie, że jakaś wielka bitwa się rozpętała, skoczył czym prędzej na koń, kazał wziąć pochodnie i po-

2 Bajki czeskie

17

jechali się tam rozejrzeć. Ale nim zmiarkowali, co się w ogóle dzieje, po ciemku dwa regimenty wycięły się wzajemnie w pień.

A Maciej nie próżnował, wiedział, że to jeszcze nie koniec. Ileś tam mil za tureckim obozowiskiem był na starym pagórze wielgachny staw, cały zamrznięty. Ale pod lodowym kożuchem ruszała się woda. Maciej kazał zeskoczyć z koni, szablami zaczęli podkopywać wał. Gdy już wryli sporą dziurę, Maciej podłożył pod wał beczułkę prochu, przystawił lont i łu--bu-du! już się woda toczyła przez rozwalony wał. Nasamprzód rwała dziko, ale potem, już bliżej doliny, zaczęła pięknie przemykać się jak nocna złodziejka i prosto do tureckiego obozowiska.

Mróz był, aż wojakom nosy siniąły, a Maciej z zadowolenia tylko ręce zacierał. Zajechali do obozowiska z drugiej strony i skoro świt huraa! jak diabły wtargnęli między namioty. Trębacz turecki zaczął trąbić na alarm, pohańcy wyskoczyli i prosto do koni, a tu masz, konie aż po pęciny zamarzyły w tej wodzie, co ją Maciej w nocy puścił do obozowiska, i ani rusz z miejsca. Tak Maciej z jednym szwadronem rozbił w perzynę całe wojsko tureckie, a tego najstarszego pohańca przywiózł w klatce na zamek królewski. To dopiero była radość i świętowanie! Król na złość wszystkim jenerałom ustanowił Macieja wodzem nad całym wojskiem i nakazał mu, żeby je znowu podszycował i wystroił. W tym czasie już sołtysowej Magdusi szło na osiemnasty rok, a wyrosła z niej dziewczyna dorodna jak jabłuszko. Często wspominała Maciusia, gdzie to on może się podziewać, a i niejedną łezkę przy tych wspomnieniach uroniła. Ale lata biegły, a po

Macieju ani widu, ani słychu, no, myślała już sobie, gdzieś tam się w świecie całkiem zgubił, a to kogucie prorocstwo, przez które sołtys Maciusia wygnał, to była tylko dziecinada. O zamążpójściu wcale nie myślała, ale kiedy jej ojciec zaczął wmuszać bogatego gładysza z sąsiedniej wioski, przestała się w końcu sprzeciwiać. I zaczęli u sołtysa szykować wielkie weselisko. Kołaczy napiekli całe fury, jadł od samego rana, kto tylko usta miał, a muzyka grała, aż się okna trzęsły. Gdy panna młoda siadała na wóz, by jechać do kościoła na ślub, na kalenicy zaczęły świergotać jaskółeczki. Ta jedna powiada:

— Zapomniała Maciusia, zapomniała Magdusiai

Magdusi dech zaparło, pobladła, a tu ta druga jaskółeczka szczebioce:

— Toż gdyby wiedziała, że jej Maciej zdrów i cały, pewnie by czekała!

Magdusię jakby nożem kto dźgnął. Łzy jej rzuciły się do oczu, czym prędzej zeskoczyła z wozu i pobiegła do babcinej przybudówki i tam skryła się w komórce. Na nic zdały się prośby i groźby, na nic nalegania, ona do ślubu nie pojedzie i basta. Pan młody, był to syn bogatego chłopca, obraził się, trzasnął z biczem i pojechał do domu z niedosłego weseliska. Sołtys ze wściekłości o małego Magdusi nie zabił, ale co się stało, to się już nie odstanie. A w końcu, żeby się przynajmniej wstydu najadła, posłał ją do obory jako młodszą krowiarę.

Maciej tymczasem zabrał się do odszykowania królewskiego wojska. Ale kiedy zaszedł do królewskiej skarbnicy, aby wziąć pieniędzy na uzbrojenie, skarbnica była pusta jak dłoń żebraka. Przyparł skarbnika, gdzie te dukaty, co je tam odłożył na potrzeby wojska. Okazało się, że dukaty już generałowie dawno wyciągnęli i na rozmaite marności utracili. Maciej wpadł we wściekłość, że tak nadaremnie się trudził, ale nie rzekł nic. Zawołał tylko na stronę Jurę, takiego jednego grac-kiego wojaka, z którym był w Mentekaptusowej kryjówce, i powiada:

— Nie ma rady, Juro, żeby wyszykować całe wojsko, trzeba jeszcze raz podebrać zbójnikom dukatów ze skarbu.

— Jeśli nie ma innej rady, podbierzemy.

— Pamiętasz chociaż dobrze, jak wtedy jechaliśmy? Na to Jura, że pamięta, po ciemku by tam trafił.

— No to dobrze — powiada Maciej — więc posłuchaj! Napadać Mentekaptusa w lesie nie ma co, nic byśmy nie zwojo-

|

18

19

wali, a tylko po próznicy tracili ludzkie żywoty. A skusić go na królewskie złoto też nam się nie uda. Ale ja zrobię coś takiego, że go wyciągnę z kryjówki, a ty w tym czasie wpadniesz i wywieziesz, ile tylko się da. A jak to wszystko dobrze przeprowadzisz, zrobię cię generałem, Juro!

Jura się na wszystko zgodził, więc Maciej wyłożył mu cały swój tajny plan. Mentekaptus Macieja srodze nienawidzi i wypatruje sposobności, żeby się na nim zemścić. No to kazał Maciej rozgłosić wszędzie, gdzie się kręcą szpiedzy Mentekaptusa, że tego a tego dnia pojedzie przez czarny las ze swoją małą przyboczną drużyną. Mentekaptus na pewno wyjdzie z całą rotą by na Macieja czatować w jakiejś zasadzce. Będzie chciał dopaść go żywego albo martwego, a w tym czasie Jura opróżni mu kryjówkę.

Powiedziane, zrobione. Maciej dał Jurze dwa tęgą wozy i dwudziestu wiernych wojaków, a sam wziął tylko trzech przewodników i pojechali w czarny las. Konia miał Maciej pięknego, wronego, nazywał go Wietrzyk, a wiedział, że Wietrzyk jest niezawodny, z każdego niebezpieczeństwa go wyprowadzi. I tak się stało, jak Maciej przewidywał. Ledwo dojechał w czarnym lesie do tego starego dębu, na którym kiedyś rzeź-nikowi wołka pokazywał, Mentekaptus ze swoją rotą wypadł z gęstwiny i dalej pędzić do Macieja.

— Leć, Wietrzyku! — Maciej pochylił się nad grzywą swego wiernego konia, a ten poszybował jak strzała. Ale gdy przeskakiwał rów przy gościńcu, prawym przednim kopytem zarył w dziurę po wykarczowanym pniu, a wtedy Maciej przełożył mu przez łeb i spadł na ziemię. Wyrznął ciemieniem, zamroczyło go, leżał całkiem jak bez życia. A tu już zbójnicka czeladka otoczyła go, po czym skrępowała powrozami i jak kłodę powieźli Macieja na wozie do swojego zbójnickiego obozowiska.

Tymczasem wojak Jura zrobił, co miał przykazane, załadował dwa wozy złota ze zbójnickiej kryjówki i pognał do stolicy, co koń wyskoczy. Ale tam już byli Maciejowi przewodnicy i z przerażeniem donieśli, że pod jenerałem Maciejem koń

20

się potknął, a Maciej wpadł zbójnikom w ręce. Jenerałom w to graj, że mają z głowy tego znienawidzonego przybłędę, i ledwo Jura wjechał z pieniędzmi na królewski dziedziniec, zaczęli kręcić się wokół złota i Jurze spod rąk je wybierać. Ten, że niby musi wszystkie konie w swoim regimencie podkuć, tamten znowu, że musi wojakom sznury do kapot zakupić, trzeci chce na chleb, czwarty na owies i nic tylko całymi garściami napychali sobie złotem jeneralskie kieszenie. Jura jak nie skoczy, jak ich szablą nie zacznie odganiać od wozu, krzycząc, że musi ze wszystkiego co do grosza przed Maciejem się wyliczyć. Ale Jura był zwykłym wojakiem, toteż jenerałowie zawołali straż, no i strażnicy ściągnęli Jurę z konia, pałasz mu z ręki wytrącili i ani się myli Jura obejrzał, jak siedział w ciemnicy na słomie.

Maciej, biedaczysko, był w gorszych od Jury opałach. Herszt Mentekaptus kazał go przywiązać do świerka tuż przy wielkim ognisku, a powrozy tak zacisnąć, żeby mu się wrzynały w ciało, po czym okrutnie go przesłuchiwał, gdzie podziało się złoto ze zbójnickiej kryjówki. Maciej tylko głową potrząsał, że niby nic nie wie. Mentekaptus, zielony ze wściekłości, zaczął go smagać batem, ale Maciej milczał jak dąb, ani słóweczka, ani westchnienia z siebie nie wydał. Na koniec po daremnych męczarniach Mentekaptus postanowił ściąć Maciejowi głowę na drugi dzień o wschodzie słońca. Po północy, gdy ognisko zaczęło wygasać, a wszyscy zbójnicy opatuleni w kapoty posnęli, próbował Maciej zerwać powrozy. Ale gdzie tam, trzymały jak z żelaza. Przyszło mu na myśl, że to już druga noc w jego młodym żywocie, kiedy musi czekać na śmierć, i przypomniał sobie Magdusię. Nagle słyszy nad głową, że z korony wysokiego świerka grucha gołąbek. Dziwna rzecz, toż o północy gołąbki nie gruchają, widać mu się tylko tak wyrwało przez sen gdzieś tam w gniazdku. Ale po chwili gruchanie się powtórzyło i rozeznał cichutkie:

— Macieju! Macieju!

Rozejrzał się dokołuśka w ciemności, aż tu na najniższej gałęzi naprawdę zobaczył gołąbka.

21

!— Macieju — cieniuśko zagruchał ten gołąbek — tyś ocalił kiedyś życie mojej matysi, a za to dzisiaj ja pomogę tobie!

Sfrunął do Macieja, pazurkami chwycił się jego ramienia i słabym dzióbkiem zaczął skubać węzeł. Ale daremnie się trudził, te węzły były mocno zasupłane i maleńkim dziobem nie dało się ich nawet uszczknąć. Maciej szepnął do gołąbka ze smutnym uśmiechem:

— Leć sobie, gołąbku, to próżna fatyga, ja już się stąd nie wydostanę...

Gołąbek na to nic nie powiedział, sfrunął Maciejowi z ramienia i zaczął łapkami popiół w ognisku rozgrzebywać. Grzebie, grzebie, aż tu pod pazurkiem błysnął mu żarzący się węgielek. Gołąb go chwycił dzióbkiem, wleciał i złożył Maciejowi na ramieniu jak raz w tym miejscu, gdzie się krzyżowały powrozy. I znowu chwycił się kapoty pazurkami i po cichutku wachlował skrzydełkami, żeby węgielek rozżarzył się na dobre.

Maciej czuł, jak węgiel mu się tli na ramieniu, a po chwili zaczął go parzyć przez kapotę. Ale wtedy gołąbek zaszeptał:

!— Spróbuj, Macieju, rozerwać powrozy!

Maciej cały się naprężył, szarpnął ramionami i proszę, nadpalony węglikiem powróż pękł. Chłopak chciał podziękować gołąbkowi, ale szukaj tu gołąbka w ciemności, zatrzepotał skrzydełkami i znikł bez śladu. I podkrał się Maciej cichaczem z obozu aż do miejsca, gdzie zbójnicy mieli przywiązane konie, odwiązał jabłkowitego siwka, którego dosiadał sam herszt Mentekaptus, osiodłał go i jak strzała wypadł z lasu. Cma nie ćma, gnał do miasta jak ten wiatr, a kiedy na niebie wystrzeliły pierwsze promyki słońca, wleciał w bramę królewskiego zamku, aż się wszystkie straże spłoszyły. Wozy, co z nimi Jurę wyprawił, stały puste na środku królewskiego dziedzińca.

— Gdzie Jura? — huknął na straże tak wściekle, aż się okna zatrzęsły.

Straże tylko wzruszyły ramionami, ale z okienka więziennego, za którym Maciej spędził jedną złą noc, rozległ się krzyk:

22

— Tu jestem, panie Macieju, skuli mnie i zamknęli w nareszcie.

Maciej przykazał, żeby Jurę zaraz wywiedli, i gniewnie pyta, co to niby ma znaczyć: wozy na dziedzińcu puste, a Jura w kajdanach. Ba, co miał Jura robić, przecież nie weźmie winy na siebie, powiedział tedy Maciejowi, co tu się działo, jak tylko wieść się rozniosła, że Maciej jest w niewoli, i jak to jenerało-wie królewscy wszystko złoto rozkradli. Maciej się zeźlił, dowódcy straży wyrwał szablę z ręki i tak jak stał, bez jeneral-skiej kapoty, w samej koszuli do cna potarganej pognął na siwku do obozu. Tam była żałoba, wojacy siedzieli ze zwieszonymi głowami, no bo bez Macieja kto ich teraz weźmie w obronę, oj, teraz dopiero przyjdą na wojsko złe czasy. Kiedy Maciej wjeżdżał w bramę, dwaj strażnicy najeżyli na niego piki. Ale jak Macieja poznali, taka radość ich zdjęła, że czeka z głowy zerwali i dalejże rzucać je w górę i krzyczeć: Hurra! Hurra!, aż się całe wojsko zbiegło. I to „hurra” już za chwilę leciało przez cały obóz jak burza grzmiąca nad jakim lasem. Maciej rozkazał trąbić alarm jeneralski i wszystkich jenerałów czym prędzej do niego przywołać.

Szły te panocki blade, miny robiły, że niby bógwiyak się cieszą z ocalenia Macieja, ale w środku targała nimi wściekłość i strach, co to z nimi teraz będzie. Maciej im rozkazał ustawić się w szereg jak prostym wojakom, pchnął posłańców po wozy, postawił przy nich Jurę i wrzasnął na cały obóz:

— Dukaty zwracać! Wszystkie, co do jednego!

Jenerałowie się ociągali, ten, że niby wczoraj całemu pułkowi żołd zapłacił, tamten, że podków nakupił dla całej kompanii, ów, że wziął z wozu tylko tyle, ile mu za służbę pan król jest dłużny i ani grajcara więcej. Było jasne, że po dobroci z nimi nie można.

— Dajcie tu ławę i porządnego kija! — krzyknął Maciej do wojaków, co gapili się dookoła, a ci skwapliwie go posłuchali, bo to nie co dnia się zdarza, żeby zamiast rekruta dostał za swoje jenerał.

— Podków kupować nie musiałeś, nikt ci tego nie nakazał

23

— rzekł Maciej temu, co chciał wykpić się podkowami — ile par kupiłeś, tyle kijów dostaniesz! Mów, ile to było!

— Ani jednej, ani jednej! — zaczął krzyczeć ze strachu je-nerał.

I zaraz się przyznał, że dukaty ma jeszcze w swoim namiocie, bo niby jak raz miał jechać do kuźni, gdy zatrąbiono na alarm. I na nic już nie czekając w te pędy pognął do namiotu i za chwilę dukaty wysypał na wóz. Jak to ujrzeli pozostali, taki zdjął ich strach przed Maciejem i łagą, że już po chwili na obu wozach było sporo złota.

— Tyle tego było, Juro?

— Więcej, panie Macieju — krzyknął Jura wesóło — wczoraj były czubaste wozy!

— Zapodziały się gdzieś dukaciki, no cóż, pójdziemy ich szukać! — Maciej na to.

Ale jenerałowie znowu rzucili się pędem do swoich kwater i za godzinkę obydwie wozy były pełne. Wtedy najstarszy z je-nerałów przyszedł do Macieja, żeby — powiada — Maciej się nie złościł, że oni wszyscy chcieli dla wojska dobrze i że dlatego na zgodę postanowili dzisiaj w południe wydać dla Macieja gościnę. Maciej się tylko uśmiechnął, wiedział, że go jenerałowie kochają jak psy kota, ale słowa nie powiedział i na gościnę poszedł.

Gościnę urządzono na środku obozu pod ogromniastą lipą. Okrągły stół aż się ugiął pod ładem, a przed każdym jenerałem stał już puchar z winem. Macieja posadzili na najpocześniejszym miejscu i postawili przed nim największy puchar. Jak tylko usiadł, wszyscy złapali za kielichy, by wypić na cześć Macieja.

Już Maciej ten swój puchar wzniosł, już go do ust miał przytknąć, gdy nagle wróbel na lipie zaczął gwałtownie nad Madejową głową:

— Oj, głupi Maciej! Nie wie, że ma tam truciznę!

Maciej powstrzymał rękę z kielichem i spod oka zerknął na jenerałów, od razu zmiarkował, że jest źle, że wszyscy utkwili

24

w niego złe ślepią, żeby się napił. Ale co tam. Zaśmiał się, postawił puchar i powiada, jakby masłem pajądę smarował:

— Skoro pijemy za przyjaźń, należy wzajem puchary wymienić!

I już ten zatruty podaje temu najstarszemu jenerałowi, którego miał po prawicy. Jenerał zbladł, jęknął, że to dla niego wielki honor, ale że tym honorem wszystkich po trosze trza obdzielić. Nawet ust nie umoczył i zaraz Maciejowy puchar podsunął swojemu sąsiadowi. Maciej ze śmiechu ledwo mógł się powstrzymać widząc, jak jenerałowie po kolei sobie podtykają i przesuwają puchar dookoła stołu, aż w końcu zatrute wino wróciło z drugiej strony do Macieja.

— Drodzy panowie! — powiada Maciej —! widzę, żeście względem tego honoru ani kapki z mego pucharu nie upili. No, skoro się tak certujecie jak panienki, nic mi nie pozostaje, jak każdemu z was dolać po kapinie!

I zaraz zaczął obchodzić stół i do każdego pucharu dolał trochę tego zatrutego wina. Potem pusty puchar wyrzucił, złapał za pełen dzban, który stał na stole, i wezwał generałów do wiwatu:

— No to sto lat, za zdrowie króla pana!

Generałowie trzęsącymi się rękoma wzniesli puchary, ale pić się bali, wiedzieli, jakie to ziele przymieszali Maciejowi.

— Nie chcecie pić? Cóż to, czyżby moje wino było zatrute? — zapytał Maciej ze śmiechem.

Wtedy na generałów padł blady strach, wyrzucili kielichy, zerwali się od stołu i w nogi na wszystkie strony jak te zające.

— Chcieli otruć Macieja! — zaczęli krzyczeć wojacy, jak zobaczyli, że generałowie uciekają, a że wojsko za Macieja w ogień by skoczyło, rzucili się wszyscy za generałami w pogoń jak za szarakami, a kogo złapali, tego na miejscu pokarali. Maciej dał rozkaz, żeby wojsko ustawiło się w szeregach, z każdego regimentu wybrał jednego najmężniejszego i dał mu je-neralską szablę. A Jurę ustanowił swoim zastępcą nad całym królewskim wojskiem.

25

Kiedy król się o tym dowiedział, złapał się za głowę, że niby słychane to rzeczy, tak porąbać generałów, a na ich miejsce narobić nowych z prostych wojaków.

— Toż oni nie będą umieli zachować się jak trzeba na dworze królewskim!

— Ale Turka przeganiać to będą umieli, królu panie, a tego tamci starzy nigdy nie potrafili! A gdy już przepędzimy Turka i ja, i oni zaczniemy się uczyć, jak trzeba się kłaniać!

Król jeszcze margał, ale że Turczyn akurat wkroczył w granice musiał się na wszystko zgodzić. Maciej galancie całe wojsko wystroił, piechutom dał modre kapoty, konnicy — czerwone, rusznikarzom kazał odlewać nowe działa, kowalom konie kuć, szlifierzom szable ostrzyć. A kiedy Turek wszedł w głąb kraju, hoo, jak Maciej na niego nie natrze! Najpierw mu z har-mat całe regimenty rozpirzył, aż drzazgi leciały, potem ze wszystkich stron rzuciła się piechota i konnica — i cięli szablami, i dźgali Turka, aż się z niego kurzyło. Kiedy Turek zmiarkował, że z wojskiem Macieja to nie przelewki, kazał obrócić konie i w nogi za Dunaj, aż ziemia dudniła. Maciej ze swoim wojskiem pędził go aż do rzeki, a tyle nabrał łupów, że się to na dwieście fur nie zmieściło. Król na chwałę tego zwycięstwa przykazał bić we wszystkie dzwony i ze wszystkich harmat strzelać. A Macieja wyniósł do stanu książęcego.

— Wiesz co, Macieju — powiedział przy tym — szkoda, że nie mam córy. Tobie ją dać za żonę, toby zaiste ani żal mi nie było!

— Może i lepiej, królu panie — uśmiechnął się na to Maciej — toć ja już jedną pannę mam u nas we wsi, a cóż bym robił z dwiema na raz?

Wziął od króla wychodne, wojsko powierzył Jurze, przyodział się w najpiękniejsze książęce szaty, obszyte złotem i perłami, ze stajni wyprowadził najzwawszego konia, zarzucił mu czerwone siodło tureckie, wybijane srebrem, i z jednym tylko trębaczem samowtór ruszył do rodzinnej wsi. Przyjechał tam o zmroku, konie i trębacza ukrył w starej gajówce, szaty książęce tak samo, wziął na siebie tylko starą spraną koszulę, zdarte

26

gacie i boso zaszedł na skraj wioski. Mieszkała tam w chału-pinie stara kuma, co jeszcze pamiętała matulę Macieja, u niej dostał litościwy nocleg. Rano poprosił Maciej kumę, by poszła do sołtysów i powiedziała, że Maciej wrócił ze świata. Przesyła niskie ukłony i zapytanie, czy Magdusia pozostała mu wierna i kiedy może do niej przyjść w swaty.

— Chłopcze, tyś oszalał — złąkła się kuma — przecie ty wyglądasz jak żebrak, a Magdusia to najbogatsza panna we wsi! Bogatemu z weselnego wozu uciekła, a ciebie, bosego włóczęgę, by poślubiła?!

Ale w końcu Maciej ją uprosił, żeby poszła i zaniósła Mag-dusi trzy ślubne podarki: naszyjnik z dzikich róż, jakie jej wyplatał, gdy razem gęsi pasali, bransoletkę z tarniny i swoją starą koszulinę, pociętą na plecach batem, w której ze wsi przed sołtysem uciekał.

Kuma zaszła do sołtysów, akurat siedzieli przy obiedzie. Jak tylko Magdusia posłyszała, że Maciej wrócił, pobladła jak ściana, a łzy szczęścia stanęły jej w oczach. Ale sołtys się wściekł, złapał bat i przegonił staruszkę aż na drogę. A jeszcze się przy tym tak za nią wydzierał: niech tylko ten łapserdak tu przyjdzie, to psami go poszczuję, dębowym kijem mu grzbiet przetrączę.

— No, dziękuję cioteczce za dobrą przysługę! — powiada Maciej, gdy już mu to wszystko kuma ze łzami w oczach opowiedziała — ja tylko wystawiałem sołtysa na próbę, teraz już sobie poradzę sam!

Poszedł do lasu, umył się w źródle, przyczesał włosy, po czym wystroił się w książęcą szatę i skoczył na koń. Przed sobą posłał do wsi trębacza z wieścią, że jedzie sławny książę Maciejus, co to Turka wygnał z kraju i jest teraz najpierwszy po królu. Sam jak wiatr wleciał na swoim koniu między chałupy, nawrócił i prosto we wrota sołtysowej zagrody. Sołtys truchlejąc na widok tak świetnego gościa, na łapu-capu wsadził na grzbiet odświętną kapotę i pognął otwierać wrota, w które już koń kopytami bił. Wrota sołtys na oścież otworzył, do samej ziemi się pokłonił i pyta, co najjaśniejszy książę pan

27

łaskawie sobie życzy. Książę Maciejus zaskoczył z konia i rozejrzał się po sołtysowym podwórzu. Było całe czyściutkie, suche i omiecione i tylko tam, gdzie gęsi dzban przewróciły, stała malutka kałuża wody. A książę jakby umyślnie wdepnął w tę wodę i obryzgał aż po kolano piękny jeździecki but z cholewą. Jak to zobaczył nieszczęsny sołtys, buch na klęczki i połą odświętnej kapoty pucuje książęcą cholewę, aż zaświeciła jak lustro.

— Słyszałem, sołtysie — powiada książę Maciejus — że ponoć masz piękną córę. Pokaż mi ją, być może na narzeczoną się mi zda!

Sołtys na łeb na szyję z brudną połą w garści rzucił się do-chałupy i w te pędy Magdusię ciągnie na podwórze. Na widok Magdusi Maciej dostał wypieków na policzkach, ale minę zrobił taką, żeby go poznać nie mogła. Podeszedł do niej i powiada przymilnie:

— Piękna panno Magdusiu, jestem książę Maciejus, po naszym królu najpierwszy pan w tym kraju, a przyjechałem tutaj by prosić o rękę panienki, jeśli kto inny w jej serduszkę nie króluje!

Magdusia cała zapłonila się, książę był jak z obrazka, ale co tam, zaraz wspomniała swojego Macieja, który jej rano przysłał rozdartą koszulinę, a także tarninową bransoletkę, i łezki stanęły jej w oczach.

— Nie chcę pana, najjaśniejszy księżę — rzekła cichutko — nawet, gdybyś księżę, był cały ze złota. Już ja mam swojego Macieja, jego sobie wybrałam i jemu pozostanę wierna.

Sołtys zaczął jej wygrażać pięścią:

— Dziewko głupia, jeszcze mi nieszczęścia napytasz! Ja ci dam się nie zgadzać! I znowu buch na klęczki i dalej księcia pana za zuchwałość dziewczyny przepraszać. Aż tu na dachu zagruchał siwawy gołąbek:

— O, głupia Magdusia, głupia! Tyle lat po Macieju płakała, a kiedy przyszedł, to go nie poznała!

Jak to Magdusia usłyszała, serce w niej zamarło, a po chwili

28

zaczęło bić jak szalone. Podniosła powieki, znowu spojrzała księciu w twarz i nagle padli sobie w objęcia.

— Macieju!

— Magdusiu!

Sołtys ze wstydu najchętniej by łbem się wwiercił w ziemię, a sołtyska się radowała, że Magdusia doczekała się tego pięknego i sławnego oblubieńca. Gdy tak Magdusia przytulała do siebie głowę Macieja głaszcząc go po kędziorach, naraz patrzy, że w jego czarnych włosach znajdują się trzy kosmyki siwe. Maciej tylko się zaśmiał, kiedy mu to powiedziała.

— No bo trzy razy stałem na progu śmierci! — powiada — ale zawsze wolałem wrócić do życia, żeby nie przegapić tego weseliska, co nam kogut przepowiedział!

I dał przy tym Magdusi tak siarczystego buziaka, aż jej serce z radości podskoczyło.

Darzbujan i Panderhola

Dawnymi czasy, kiedy jeszcze świeciło się łuczywem sosnowym, a okna zakrywało błoną ze świńskiego pęcherza, żył w miasteczku Rukapań górnik Kuba Darzbujan. Mieszkał w tej dolince nad potokiem koło rakami, gdzie stoi pięć czubatych sosen, chałupę sobie sklecił ot tak, na patataj, z niewypalanej cegły, dach kryły cztery gonty na krzyż, ale za to izbę miał pełną dzieciątek, rozczochranych chłopaków i pyzatyh dziewczuszek.

— To jest mój skarb najdroższy — mawiał ze śmiechem Kuba — nie zamieniłbym go nawet na książęcą karetę z pięcioma

lokajami! A że dobry humor go nie opuszczał, do śmiechu przydawał

śpiewkę, którą sam kiedyś ułożył.

Nie ma hojniejszego pana nad Kubę górnika, panom rzuca srebro z ziemi, sam powietrze łyka!

Nastał jednak czas, gdy podziemny chodnik utknął na twardej skale, żyła srebra skurczyła się w nikłą nitkę i Kuba Darzbujan naprawdę zaczął łykać powietrze. Tyrał za czterech, co chwila świdry łamały sobie zęby o kamień, szło mu jak po grudzie, a to, co zarobił, nie wystarczało, by wyżywić jedenaś-

30

cioro dzieci. Zadłużył się u piekarza, od krupiarza zamiast mąki otrzymywał woreczki z popiołem, że niby tylko to może dostać na kredyt, u rzeźnika Darzbujanka nawet pokazać się już nie ważyła. Jednym słowem, zamieszkała u nich bida z ńędzą.

Któregoś dnia posłała Małgoś Darzbujanowa Kubę do browaru, żeby poprosił o ździebko wytłoczyn jęczmiennych na kredyt, to z nich przynajmniej może ugotuje dzieciom kaszy. Brzuchaty piwowar Panderhola stał właśnie na podwórzu browarnianym i przyglądał się z lubością, jak browarniane wieprz-ki napychają się wytłoczynami aż do rozpuku. Widział już, jak z tego warzonego słodkiego jęczmienia tworzy się jędrny, suto przerośnięty miechem boczek, jak prosiętom pęcznieją schaby, jak im z tej karmy zaokrągla się podgardle.

Wtedy właśnie przed Panderhola zjawił się Kuba Darzbujan, chudy i umorusany i zaraz grzecznie zaczął upraszać, by mu pan piwowar użyczył na kredyt trochę tych pięknych wytłoczyn, bo nie ma co dziś wieczorem dać do gęby dzieciom.

— Wynocha mi stąd, ty górnicza nędzoto usmolona! — huknął Panderhola, gdyż był człowiekiem wrażliwym, serce mu się ścisnęło na myśl, że jego prosiątkom mogłaby stać się krzywda, że z powodu jakiejś wygłodniałej hołoty miałyby nie mieć w bród swoich smakołyków.

Ale Kuba nie dał się tak łatwo odprawić z kwitkiem, wciąż prosił i prosił, aż w końcu, gdy zobaczył, że prośbą nic nie wskóra, rzucił się na kupę wytłoczyn i zaczął je obiema rękoma zgarniać do saganka, żeby mieć co głodnym dzieciom ugotować bodaj tylko dziś wieczór. No, trzeba wam było widzieć w tym momencie Panderholę! Zsinał na twarzy z wściekłości, zagwizdał na dwóch palcach i jakby spod ziemi wyskoczyły skądś dwa olbrzymie psy.

— Bierz go! Gryź! Łapaj! — poszczuł je Panderhola na Kubę.

Kuba zmykał, aż się za nim kurzyło, ale psy mimo wszystko-go dopadły, omal go nie przewróciły dobierając mu się do zadka i do łydek. Po niedługiej chwili miał Kuba nogawki podziurawione jak sito. Cały w strzępach z trudem dowlóknął się do domu, przygotowany na żonine wymówki, że przyszedł z pustymi rękami. Tymczasem Małgorzata ani mru-mru. Dopiero gdy postawił pusty saganek i zmordowany przysiadł na ławie, powiada Darzbujanka strapionym głosem:

— No to wiedz, Kubo, że nieszczęścia nie chodzą w pojedynkę, toteż nie zdziw się, gdy ci powiem, że przed chwilą urodziło nam się dwunaste dziecko!

I zaraz wybuchnęła płaczem, że tego noworodka nie będą mogli nawet ochrzcić: mowy nie ma, żeby prosić w kumy górniczych sąsiadów z Kocandy, to sami biedacy, a że wysuptałiby ostatni grosz na jakiś podarunek dla nowego Darzbujaniąt-ka, więc ich własne dzieci musiałyby przymierać głodem — a oprócz górników nikt nie zgodzi się być za chrzestnego u takich golców jak oni.

— Nie labidź, żono! Już ja wynajdę jakiegoś chrzestnego! Kuba złapał za czapkę i wybiegł o zmroku z domu; kogo pierwszego napotka, poprosi go w kumy, żeby się żona nie trapiła.

Doszedł do szosy, usłyszał turkot zbliżającego się powozu. Ale powóz z eleganckim stangretem na koźle przemknął koło Kubę jak szalony i Kuba ani się spodział, jak dostał biczem po grzbiecie za to, że w porę nie zszedł z drogi. Już chciał zwrócić się w inną stronę... ale kto to idzie tam po miedzy wśród żyta? Kuba wyteżył wzrok i wypatrzył w ciemności jakiegoś nieznanego staruszka. Miał długą, białą jak mleko brodę, zgrzebną podróżną torbę na ramieniu, w ręku kostur i gdy tak szedł wśród zbóż, wychudłą ze starości ręką głaskał żytnie kłosa. Kiedy był już blisko, Kuba zdjął z głowy czapkę i jął prosić starca, żeby mu wyświadczył dobrodziejstwo i zgodził się być ojcem chrzestnym małego Darzbujaniątka. Staruszek się uśmiechnął pod wąsem:

— Ano dobrze, czemuż by nie? Naturalnie, że się zgadzam, skoro mnie ty o to prosisz, Kubo!

Zaraz też ruszył razem z Kubą w stronę Kocandy. Kuba spod oka popatrywał na starca, aż w końcu nie wytrzymał, przystanął i zapytał:

32

— A skąd wy, dziadku, się telepiecie i kim właściwie jesteście?

— Nigdy w świecie byś, Kubo, nie zgadł, skąd i dokąd idę, i kim naprawdę jestem. Ale skoro chcesz wiedzieć, kogoś prosił w kumy i kogo to żonie prowadzisz do domu, to ci powiem: jestem Pan Bóg!

Na to Kuba skoczył jakby go co ugryzło.

— Jeśliście wy naprawdę Pan Bóg niebieski, to ja was za ojca chrzestnego nie chcę!

— A to czemu, Kubo?

Kuba spojrzął na swoje postrzępione nogawice, przypomniało mu się, jak uciekał przed psami Panderholi i wypalił prosto w twarz staruszkowi:

— Bo nie jesteście sprawiedliwi! Gdybyście byli choć trochę sprawiedliwi, to byście tego chciwca Panderholę porazili gromem, kiedy mi nie chciał dać ani ociupiny wysłodzin dla moich głodnych dzieci!

Staruszek na to ani mru-mru, odwrócił się i w jednej chwili znikł, jakby ziemia się pod nim rozstała. Kuba poszedł dalej, aż na to czarne rozstaje, gdzie rosną stare rozłożyste orzechy, pod którymi najszybciej zapada ciemność. Tam ni stąd, ni zowąd znów się przed nim zjawił jakiś podróżny. Miał zieloną kamizelkę, myśliwski kapelusz z kaczym piórkiem, świdrujące oczy i lekko utykał na lewą nogę. W pierwszej chwili Kubę obleciał strach, ale zaraz wziął na odwagę:

— Hej, panie myśliwy...

— Czego ode mnie chcesz, Kubo? — powiedział podróżny, jakby Kubę od dawna znał.

— Ojca chrzestnego szukam... właśnie urodziło mi się dwunaste dzieciątko!

— Chętnie z tobą pójde, czemu nie? — rzekł myśliwy i tylko mu łysnęły białka.

Uszli parę kroków, ale Kubie nie dawała spokoju ciekawość i zatrzymał się:

— Wybaczcie, panie, żem taki ciekawy, ale skąd jesteście? Myśliwy zarechotał:

3 Bajki czeskie

33

— Czemu się pytasz, Kubo?

— Tylko tak, żebym mógł żonie powiedzieć, kogo prowadzę do domu...

— Kogo prowadzisz do domu? No to powiem ci, Kubo! Samego kusego prowadzisz, braciszku! Prosto z ognistego piekła przyleciałem! — i nieznajomy zaniósł się takim śmiechem, że aż mróz przeszedł Kubie po krzyżu.

— Skoroś ty sam czart rogaty, to wynoś się do diabła! Ciebie za chrzestnego nie chcę!

— A czemuż tor Kubo? Może się mnie boisz?

— Boisz? Nie! Ale nie jesteś sprawiedliwy, biesie! Bobyś już dawno nadział tego Panderholę na najostrzejsze widły!

Czarny zachichotał i na rozstaju został po nim tylko smród i dym. Kuba splunął i ruszył przed siebie. Wkrótce doszedł do tej sadzawki, co jest pod samą Kocandą. Stróż nocny odtrąbił właśnie jedenastą i stał na skraju Kocandy śpiewając tubalnym, ochryplym głosem:

Losie ty mój psi —

wciąż pilnować wsi,

toż pies lepiej ma ode mnie,
wlezie w słomę i się zdrzemnie,
a ja, gdyby zbój się wkradł,
sam tu muszę bronić chat...

Po niebie na pełnych żaglach płynął księżyc i Kuba miał wrażenie, że oprócz stróża nocnego nie ma dokoluśka żywej duszy. Nagle ujrzał na drodze cień jakiegoś człowieka, który wyraźnie się do niego zbliżał. Kuba znad sadzawki zadarł głowę, zapłonęła w nim ostatnia iskierka nadziei. Po chwili rozeznał, że zbliża się do niego jakiś nieznajomy kosiarz. Kosę niósł na ramieniu, a spod kapelusza wyzierały mu tak dziwne oczy, że Kuba nie mógł się w nich wyznać. Ale że był w sytuacji bez wyjścia, nie zastanawiając się dłużej, wstał i zwrócił się do nieznajomego:

34

— Dobry człowieku, nie przyszedłbyś mi z pomocą w moim strapieniu?

Kosiarz przystanął i wyszczerzył zęby w dziwnym uśmiechu:

— To nie problem, wielu ludziom już skróciłem strapienia, mów śmiało, w czym ci mógłbym się przydać!

— Muszę ochrzcić dwunaste dziecko, ale nie mam kogo zaprosić w kumy.

— No, cóż, Kubo, jeśli ci tak na mnie zależy, to chodźmy! Nieznajomy przerzucił kosę na drugie ramię uśmiechając się przy tym wesoło, choć trochę tajemniczo. Na Kubę padł strach, że prowadzi do chałupy jakiegoś dziwnego ojca chrzestnego, przeto zanim próg przestąpili, nie omieszkał się jednak zapy-! tać:

—• Kumie, jestem może nazbyt wścibski, ale kto wyście zacz?

Kosiarz przewiesił kosę przez belkę pod okapem, po czym wiercąc Kubę oczyma powiada:

— Nie turbuj się, Kubo, byle kto nie jestem.

Nic więcej o sobie powiedzieć nie chciał, ale Kuba jął nalegać, bo bał się Małgoški. A tu ten dziwny żniwiarz powiada już na progu:

— No, skoro tak nastajesz, to ci powiem, Kubo. Tylko się przytrzymaj czego, żebyś nie zachwiał się ze strachu. Ja jestem sam Kościej!

Kubie wcale nie było do strachu, przeciwnie, kamień mu spadł z serca. Taka go ogarnęła radość, że zaczął do Kościeja mówić na ty:

— Cieee, jeśli ty jesteś naprawdę Kościejem, no to proszę, wchodź do środka! Jedyne ty jesteś na świecie sprawiedliwy. Czy biedak czy bogaty — wszystkich zabierasz!

Kiedy ochrztili to dwunaste Darzbujaniątko, Kościej przy pożegnaniu powiedział:

— Słuchaj, Kubo, ja jestem biedny jak mysz kościelna. Oprócz tej kosy, co wisi pod okapem nie mam zupełnie nic. Żadnego podarku nie mogą włożyć do kołyski swojemu chrześniakowi. Żebyś jednak miał coś po mnie, Kubo, na pamiątkę, proszę cię, weź się za medykowanie.

35

— Za doktorowanie? — uśmiechnął się cierpko Kuba — toż ja nawet pisać składnie nie umiem!

Ale Kościej jął go uspokajać:

— W tym doktorowaniu jakiego ja cię nauczę, nie będzie ci to potrzebne!

Przyciągnął Kubę do siebie i cicho mu szepnął do ucha, żeby zawsze w pokoju, gdzie leży chory, dobrze się rozejrzał. Jeśli on, Kościej, będzie stał nad chorym w nogach

łóżka, może śmiało zabrać się za leczenie, najpóźniej po trzech dniach nastąpi poprawa i wszystko będzie w porządku.

Jeżeli jednak Kościej będzie stał za głową chorego, takiemu człowiekowi już nic nie pomoże i nie ma co sobie Kuba nawet głowy zawracać. Powiedziawszy to, Kościej obrócił się na pięcie i tyle go Kuba widział, zupełnie jakby pod ziemię się zapadł. Kuba rozmyślał dobrą chwilę, po czym poszedł do szopy, wyciągnął świerkową deseczkę, napisał na niej ołówkiem stolarskim:

KUBA DARZBUJAN DOKTOR

zawiesił deseczkę na chałupie, a że był po tych swoich nocnych przygodach tęgo zmordowany, nie poszedł na szychtę, tylko legł na polepie. Małgośka go zwymyślała od szubieniczników, a cała Kocanda zbiegła się przed chałupę. Baby sarkały, że Kuba robi z ludzi wariata, a mężczyźni się podśmiewali, że Kuba zamiast noworodka ma hyzia. Ale był w owym czasie na Kocandzie niejaki Maciej Kłofat, też górnik, i od pięciu już lat leżał jak kłoda. Ludzie gadali, że byłoby najlepiej, żeby już po Kłofata przyszedł Kościej z kosą. Ten Kłofat leżał na łóżku pod oknem, toteż słyszał rejwach bab przed chałupą Kuby, zapytał więc Kłofatki, co tam się dzieje.

— Kuba oszalał i obwołał się doktorem! — odparła Kłofatka myśląc przy tym: Macieju, biedaku, tobie już żaden doktor na nic się nie przyda.

Ale Maciejowi nie dawało spokoju, że Kubie przyszła taka

36

fantazja doktorowania. Toteż gdy został w izbie tylko z małym synkiem, przywołał go do łóżka:

— Skocz do Kuby i powiedz, że go okrutnie upraszam, by przyszedł rzucić okiem na moją boleść, może mi będzie mógł ulżyć!

Kuba przyszedł potajemnie już po zapadnięciu zmroku, żeby go nikt nie widział, na wszelki wypadek zabrał z sobą w woreczku garstkę macierzanki i już od progu badawczo się rozejrzał wokół chorego, czy Kościej go nie oszukał. Patrzcie-no, stoi tam w nogach łóżka, w dodatku lekusieńko kiwnął do Kuby palcem, żeby bez obawy wziął się do kurowania Kłofata!

W Kubie serce radośnie zatrzepotało, że wygrał. Zaraz kazał Kłofatce uwarzyć ziół, natarł naparem całe ciało Macieja i powiada:

— Za czasu mało-wiele staniesz, chłopie, na nogi!

To ci cudeńka! Na drugi dzień z rana Maciej Kłofat naprawdę zerwał się z łóżka, jak gdyby nigdy nic, złapał za siekierę i z radości porąbał swoje łóżko, w którym pięć lat się męczył. Wieść piorunem rozeszła się po miasteczku, następnego dnia rano, gdy Kuba jeszcze spał, zrobiło się aż czarno od tłoczącego się przed chałupą luda. Małgośka Darzbujanowa skoczyła za piec, chwyciła Kubę za włosy, potrząsnęła nim i powiada:

— Wstawajr śpiochu, jazda ludzi kurować, żeby dzieciątka nie musiały na obiad wylizywać garnków po wczorajszej zupie!

Kuba stoczył się na ziemię, aż podłoga jęknęła, złapał czapkę i wybiegł przed próg. Ho-ho, sami musielibyście widzieć to zbiegowisko przed chałupą! Zaczęły się wyciągać ku niemu dziesiątki niecierpliwych rąk, migwały w nich dukaciki, talary i złote i tylko niektórzy z tłumu nie wymachiwali pieniędzmi, ale tym usilniej dopraszali się zmiłowania: tego gnębi • postrzał, tego sucha kolka, tego ssie w wąpściach, owego łupie w krzyżu, tamta babulinka ma zadyszkę, temu zsiniała ręka, w którą się uderzył... Kuba z zakłopotaniem podrapał się za uchem: leczyć to leczyć, ale, bagatelka, jak tu poznać u kogo

Kościej stoi w nogach a u kogo w głowach łóżka? Wreszcie przyszła mu zbawienna myśl:

— Wszyscy do domu, kłaść się do łóżek! Zaraz zrobię obchód i każdemu powiem, co i jak!

Jakaś zwinna służka przyskoczyła do Kuby i chwyciła go za rękaw:

— Najpierw do nas, panie Darzbujan! Do płócienników! Nasza Bietka już ledwo zipie, do wieczora może być z nią źle!

Kuba pyszałkowato założył czapkę na bakier i udał się do płócienników w towarzystwie czarnej dziewczuszki. Bietka leżała w paradnej izbie pod kopiaistymi pierzynami. Ta ładna, do niedawna jeszcze kwitnąca panienka teraz była bledziutka, jak wosk przeźroczysta, oczy płonęły gorączką. Koło jej łóżka krzątały się trzy stare baby-zamawiaczki: jedna wymierzała ją nićmi, które rozmotywała paluchami, druga przecedzała przez szmatkę jakieś napary, trzecia rzucała do miski z wodą żarzące się węgliki drzewne, aż syczało, i mamrotała przy tym:

Jeśli cię urzekła baba, niech cię wspiera święta Saba, jeśli urzekł cię dziadyga, niech cię wspiera święta Iga, jeśli cię urzekła panna, niech cię wspiera święta Anna, jeśli urzekł cię kawaler, niech cię wspiera święty Karol, jeśli urzekł jaki zbój ty, aniele, strażę zdwój...

Kuba wszedł do pokoju, kiedy baba w najlepsze czarowała.

— Faj, co za smród! — splunął bez pardonu w progu widząc kłęby dymu i pary — toż byście chudzinę zapowietrzyły na amen.

Baby nie chciały tak łatwo dać za wygraną, ale Kuba tupnął na nie i wrzasnął:

33

— A kysz, a kysz, baby, wynocha stąd!

Gdy już je wysiudał, siadł na stołku przy łóżku Bietki i uważnie zaczął się chorej przyglądać. No proszę, kum Kościej wyrzał zza pierzyn w nogach łóżka, dał Kubie znak zachęcający i znowu rozplynął się w powietrzu. Płóciennik z płócienniko-wą, rodzice Bietki, stali przy drzwiach i na poły z nadzieją, na poły z niedowierzaniem patrzyli, jak Kuba przez dłuższą chwilę kręci powątpiewająco głową. Po jakimś czasie jednak przyłożył palec wskazujący do czoła, jak gdyby chciał wesprzeć swój doktorski rozum i powiada:

— No tak, to jest sakramencko dziwna choroba. A jak dawno się jej panienka nabawiła, jeśli wolno zapytać?

— Jak był ten odpust — wymamrotał płóciennik — poszła na tańce i tam nabawiła się!

— A któryż to kawaler z nią najczęściej chodził?

— A niech to, ten usmolony czeladnik kowalski z naprzeciówka! Ale już zapowiedziałem, że nogi jej poprzetrącam, jeśli jeszcze raz... — wyburczał gniewnie płóciennik, a Kuba Darzbujan już wszystko wiedział, co mu było potrzebne.

— No tak, tu cię boli — Kuba zrobił minę tajemniczą i uczoną — skoro u początku tej choroby był kowal, bez kowala jej nie zwalczymy.

Zanim płóciennik się zorientował, skoczył Kuba do okna i na oścież je otworzył.

Naprzeciwo przed kuźnią stał akurat wóz drabiniasty, a koło niego kręciło się trzech czeladników kowalskich. W skórzanych fartuchach, z zakasanyimi rękawami na muskularnych rękach, o twarzach smagłych i wesółych. Jeden przychwycił ksobnego

wałacha za uździenicę, drugi mu pod-giął tylne kopyto, trzeci niósł w kleszczach rozpaloną do czerwoności podkowę.

— Któryż to, panno Bietko? — spytał się Kuba niewiniątka. Bietka żywo uniosła się na poduszkach, wyciągnęła w stronę okna głowę i w oczach jej błysnęła iskierka:

!— Ten najładniejszy... kędzierzawy... co niesie podkowę!

— Hej ty, kudłaczu z podkową, piorunem tu podskocz! — zawołał go Kuba.

39

Kowalczyk spojrział w otwarte u płócienników okno, mignęła mu przed oczyma blada, udręczona twarzyczka Bietki, i w jednej chwili upuścił do cebrzyka z wodą rozżarzoną podkowę, aż buchnął obłok pary, a sam w te pędy podbiegł do okna.

— Dalej, wskakuj przez okno, drzwiami pewnie by cię nie puścili! — zachęcił go Kuba. Czeladnik chwycił rękoma za parapet, podciągnął się w górę i jednym susem znalazł się przy łożku Bietki.

— A pójdziesz mi stąd, ty wstrętny smoluchu! — rzucił się do niego rozwścieczony płóciennik, ale Kuba zastąpił mu drogę i powiedział z doktorską surowością:

— Chwileczkę! Jeśli mam córkę wykurować, to bądź cicho, płócienniku, i nie mieszaj mi się do medycyny!

Wziął wystraszonego kowalczyka za rękaw, przyciągnął do Bietki i nakazał:

— Teraz dasz jej dwanaście buziaków, a nie pomył się czasem, rachuj dobrze, zrozumiano? Żadnego oszukaństwa, nie wolno ci ani jednego zostawić na potem! I buziaki muszą być porządne, żeby Bietka poczerwieniała jak różyczka!

Kiedy Kowalczyk zobaczył, że ma w Kubie osłonę, nie zastanawiał się długo, przyskoczył do Bietki, objął ją swymi kowalskimi rękoma, aż jej kości zatrzeszczały, i już cmokały buziaki tak siarczyste, że Bietka tchu nie mogła złapać!

Cud nad cudami! Po ostatnim buziaku, tym najsiarczystszym, Bietka, jeszcze przed chwilą blada i jak wosk przezroczysta, była czerwoniutka, z rumieńcami jak róże i tylko trochę usmolona przez młodego kowala. Kuba go chwycił, podsadził do okna i krzyknął:

— A teraz smaruj do pracy, bo cię majster obtańcuje! Kowalczyk wyskoczył z okna na równe nogi, a Kuba jak

gdyby nigdy nic wyciągnął rękę do płóciennika:

— Za leczenie należą mi się dwa dukaty, panie burmistrzu, Bietka jest już zdrowa jak malina! — i roześmiał się na cały głos.

Ma się rozumieć, że wieść o tym nowym uzdrowieniu obiegła

40

miasteczko jak błyskawica. Baby z nią latały od drzwi do drzwi. Służące powtarzały ją sobie przy studni, chłopcy ją wykrzykiwali przy otwartych drzwiach sklepików i warsztatów rzemieślniczych. Ledwo Kuba obszedł jeszcze paru chorych, dopadła go nagle na ulicy bogata krupiarzka Basztowa i ciągnąc go za rękaw wydarła się kraczącym głosem:

— Najpierw do nas, Kubo! Wszak jesteś nam winien dwa złote za mąkę! Mój mąż jest cały połamany, to go przynajmniej ulecz za ten dług!

Kuba udał Greka i jak gdyby nigdy nic zapytał:

— Tylko dwa złote, paniusiu? A za ten popiół, cośmy dostawali zamiast mąki, to nic nam nie policzycie?

Ale krupiarzka, jakby była głucha, dalej ciągnęła Kubę do swojego sklepu, nad którym wisiał wielki szyld, wypisany złotymi literami:

JOHANA BASZTY SKŁAD MAKI I KRUP

Krupiarza Basztę łapał postrzał. W długiej koszuli nocnej, obwiązany w pasie różnymi ciepłymi szalami i chustami kuśtykał po izbie skręcając się z bólu, rękami łapał się za biodro, jęczał, kłął, burczał, labidził i pomstował jak bies. Dwie wystraszone służki i dwa krupiarczyki chowali się po kątach i wśliznęli za różne sprzęty. Przy każdym nowym nawrocie bólu kru-piarz się rozwścieczał, łapał, co popadnie, garnek, brytfannę, rondel i rzucał w swoją czeladkę.

— No, nareszcie jesteście! — wykrzyknął z gniewnym wyrzutem na widok Kuby.

Wtem go zarwało w krzyżu, krupiarz jęknął i cisnął wielkim glinianym rondlem w służkę, która nieopatrznie wytknęła głowę zza szafy.

— Popatrzcie-no, jaka to dziwna choroba — pokręcił Kuba głową już na progu i nie mógł się powstrzymać od śmiechu widząc krupiarza rozdrażnionego jak dzikie zwierzę w klatce.

Zaczął się Kuba ostrożnie rozglądać po izbie wypatrując Koś-cieja. Ano tak, przycupnął za tylną deską łóżka, tuż obok wy-

41

straszonej służki. Ledwo głowę wyściubia, tak się boi krupiar-skich garnków. Kuba puścił do Kościeja perskie oko, ten kiwnął na zgodę i w jednej chwili znikł.

— O jerum, jerum, Jezusiczkule — powiada Kuba ponurym głosem — to ci dopiero przeciężkie choróbsko! Tak na oko to niby zwyczajny postrzał, ale niestety jest to karborundum sek-westrum, do wieczora mógłby krupiarz puścić ostatnią parę!

Jak to krupiarz usłyszał, zaczął trząść się ze strachu, wyko-pyrtnął się na ziemię i jęczał jak małe dziecko.

— Czy już spisał ostatnią wolę? — ciągnął dalej Kuba.

— Jezusmargaryna, nie spisał! Żeby tylko nic się nie dostało jego siostrze z Druhlic! — wybuchnęła lamentem krupiarzka, skoczyła do krupiarza i dalejże go szarpać:

— Mężu, opamiętaj się! Bierz pióro i pisz! „Wszystko mojej żonie Filomenie!”

Ale krupiarz był nieprzytomny ze strachu, nie słyszał, co do niego mówi żona, labidził tylko i składał ręce do Kuby. To był dla Kuby właściwy moment!

— Nie biadolcie, panoczku, ja was z tego wyciągnę za uszy — powiedział dufnie i walnął się w pierś, aż zadudniło —> ja, jeden jedyny na całym świecie, zapamiętajcie to sobie! Wyście, panoczku, mnie także zawsze wspierał, bodaj szczerym popiołem drzewnym, kiedy wam żal było mąki... Ale to choróbsko mogą uleczyć tylko solidne okłady mączne, trudno i darmo!

— A choćby i z tej najlepszej, pytlowej, toż ja dla swojego zdrowia mogę wszystko poświęcić! — zawołał krupiarz, ale migiem złapał się za bolący krzyż.

Kuba zaraz zaczął rozkazywać:

— Przynieście dzieżę! Największą, jaka jest w domu!

A kiedy dwaj pomocnicy wtoczyli na środek izby olbrzymią piekarską dzieżę, skinął Kuba na służki:

— Nanoście wody do dzieży, do pełna!

— Tytylko nnie zizimnej... •— szczękał zębami krupiarz — tto bybyłaby momoja śśmierć!

— No, dobra — ustąpił Kuba — może być i ciepła, tylko że wtedy zużyjemy więcej mąki!

42

Kiedy już dzieża była pełna, złapał Kuba przyjemniaczka--krupiarza za rękę, dowlókt go do dzieży i ostro rozkazał:

— No to hop, panoczku! Elegancko sobie w środku przykucniemy i za ćwierć godzinki będzie po bólu!

Krupiarz chcąc nie chcąc wlaź do dzieży, przysiadł w kucki, tylko głowę było mu widać. Na żądanie Kuby przyniesiono wór pszenicznej mąki pytlowej, tej odpustowej, bielutkiej jak kwiatusek. Kuba najpierw chwycił krupiarza za kudły i zanurzył mu w wodzie głowę, żeby się elegancko namoczyła, a potem, rozwiązawszy worek, sypał powolutku garść za garścią piękną mąkę odpustową na czub mokrej głowy. Krupiarz prychał, kichał, mąka łaskotała go w nosie, drapała w gardle, ale Kuba nie popuścił. Jedną garścią sypał mąkę, w drugiej trzymał garniec z wodą i polewał umączony łeb, i mieszał, i mieszał, aż krupiarz w dzieży zaczął pławić się w rzadkim, lepkiem cieście.

— No co, już lepiej? — pytał krupiarza z poważną miną.

— Ociuciupinkę... — paplał krupiarz nie widząc, co z nim się dzieje.

— Jeszcze chwilkę, jeszcze chwilkę, a będziecie zdrów jak rybka!

Jeszcze raz krupiarzowi zanurzył głowę, żeby się nałykał kwasu, a potem, gdy mu już tchu zaczynało brakować, uwolnił go z żelaznego uchwytu. Krupiarz duchem poderwał się w dzieży, stał w niej dysząc, a wyglądał jak olbrzymie straszdyło. Służki i pomocnicy skręcali się ze śmiechu, krupiarka gały wywaliała patrząc, jak z krupiarza ścieka rzadkie ciasto.

— No jak, jeszcze boli? — pytał Kuba jak gdyby nigdy nic.

Krupiarz fukając i sapiąc, przetarł twarz upačkanymi rękoma, a kiedy udało mu się rozewrzeć zlepię powieki, wlepił w Kubę oczy, jakby z księżycy spadł.

— Słowo daję, przestało, jak ręką odjął! — zawołał radośnie.

Ale zaraz jak tylko zobaczył tę sodomę i gomorę wokół siebie, ręce załamał w rozpacz i jęknął:

— Worek mąki stracony! Moje dobre imię stracone!

43

Lamentowanie krupiarza nie odebrało jednak Kubie rezonur spokojnie powiedział:

— Ależ skąd, krupiarzu, od tej kuracji wasze dobre imię nie ucierpiało, jedynie kieszeń ucierpi: należą się dwa dukaty!

I tak Kuba stał się doktorem, który nie miał sobie równego w całej okolicy.

Medykamenta dawał ludziom różne, bogaczom gorzkie piołuny, a biedakom sam kupował coś dobrego na ząb jako lekarstwo. Każdemu te środki wychodziły na zdrowie, toteż nikt nie śmiał powiedzieć nie, nawet gdyby mu Kuba kazał wypić całą studnię na rynku.

A że nieszczęścia chodzą po ludziach a nie po górach, zaniemógł w tym czasie również piwowar Panderhola. W swojej nieużytości rozsierzdził się na służkę, że ukradkiem przy święcie wzięła do kieszeni dwa ciastka z półmiska, gęba mu spur-purowiała, zatrzęsły się w nim trzewia i naraz legł jak kłoda! nawet palcem w lewym bucie nie mógł kiwnąć. Zwołano doktorów ze wszystkich stron, pięciu ich na raz kręciło się przy łóżku Panderholi. Robili oględziny, wyciągali ze swoich kuferków coraz to inne instrumenty, młoteczki, słuchawki, pijawki i bańki, opukiwali go całego, badali język, brzuch i wszystkie członki, ale w końcu każdy tylko kręcił głową. Dla wszystkich było jasne, że każda śpiewka ma swój koniec i że worek można napełniać tak długo, dopóki wszystkie

szwy nie popękają. W Rukapani wszyscy jak jeden mąż mówili, że tu może pomóc już tylko Kuba Darzbujan.

Ano cóż, rada nie rada, posłała Panderholka służącą po Kubę. Dziewczyna przyszła późnym wieczorem — Kuba już spał — i zapukała do drzwi.

— Z czymże to przychodzisz, panienko? — zapytał rozespany Kuba.

— No, że macie duchem przyjść do browaru, nasz pan ciężko zachorzał! — wytchnęła zdyszana dziewczyna.

Kubie błysnęły oczy:

— No to wezwijcie doktorów! — krzyknął Kuba i zatrzaskał jej drzwi przed nosem.

Ale dziewczyna zaczęła rozpaczliwie walić oburącz we drzwi?

44

a wreszcie, kiedy i to nie poskutkowało, zdjęła z jednej nogi drewniak i dobijała się drewniakiem. Kuba wystawił znowu głowę:

— Co tak walisz, wariatko? Wszystkie dzieci mi pobudzisz!

— Kiedy u Panderholi już doktorzy byli...

— I co powiedzieli?

— Wzruszali tylko ramionami!

— Więc niech go Pan Bóg ma w swojej opiece! — krzywo uśmiechnął się Kuba i po raz drugi chciał przytknąć drzwi.

Ale zrozpaczona służka wetknęła drewniak w odrzwia.

— Sama do domu nie pójde, bo Panderholka by mnie stłukła!

Kuba wyszedł na próg, ręką wskazał te pięć kudłatych sosen, co rosły przed chałupą i wrzasnął:

— Powiedz Panderholce, że do Panderholi nie przyjdę, póki mi te sosny całe nie obrodzą wątrobiankami!

Lepiej, żebyście nie słyszeli, jak ta skąpa Panderholka klęła. Ale na drugi dzień Panderholi pogorszyło się jeszcze bardziej! — nie pozostawało nic, jak spełnić życzenie Kuby. Kazała zabić pięć browarnianych wieprzków i do późna w nocy musieli rzeźnicy wyrabiać wątrobianki. Nad ranem zaś, gdy już był miesiąc nad lasem, cała browarniana czeladź ruszyła do Kocandy przed chałupę Kuby, by na pięciu sosnach poprzytwierdzać do wszystkich gałęzi rządki smakowitych ki-szeczek.

Ledwo wyjrzało słońce, wyściubił Kuba nos przez okno i zaniósł się takim rechotem, aż chałupa drżała w posadach. Pod sosnami stały w ciasnych kręgach wszystkie psy z Kocandy z zadartymi łbami i z wywieszonymi językami, a ślina im ciekła aż na ziemię.

— Jeju, co za cuda, mamó. Na naszych sosnach wyrosły wątrobianki!

Kuba czym prędzej spędził z łóżka wszystkie Darzbujaniat-ka i rozesłał po Kocandzie, żeby wszyscy przyszli zobaczyć ten cud, i jeśli kto zechce, do woli narwać sobie tego owocu, póki nie przejrzeje i nie zacznie gnąć. No i przyszli górnicy z drabi-

45

nami i osękami, a górniczki z koszykami. Chłopacy jak wiewiórki wdrapywali się aż na sam czubek sosen, najcieńsze gałązki obierali z wątrobianek i swawolnie obrzucali nimi dziewczęta pod drzewami. Tego dnia na Kocandzie wszystkim gęby aż się świeciły od tłuszczu.

Koło południa zajechał na Kocandę paradny powóz z Pan-derholką. Paniusia, nachmurzona jak Belzebub, całą drogę tłukła woźnicę po grzbiecie:

— Szybciej, durniu, szybciej, bo nam Panderhola się zawinie! Kiedy przystawali przed chałupą Kubę, ten siedział właśnie

z górnikiem przed progiem rozdając wszystkim zatyczki z kiszek, żeby sobie wzięli jako nasiona wątrobianej sosny. Pan-derholka nie raczyła nawet wyjść z powozu:

— Nuże, Kubo, nie marnuj czasu, migiem wsiadaj!

— A gdzież to mam jechać, jaśnie paniusiu? — wykrzywił się Kuba jak kwiat psianki.

— Cóż to, nie wiesz, że Panderhola czuje się źle?

— Złe? Jakże bym mógł nie wiedzieć! Ja też czułem się źle, gdy mnie Panderhola szczył browarnianymi psami przez całą Kocandę!

Wszyscy parsknęli śmiechem, ale Panderholka gębę miała jak tasak:

— A czyś wczoraj nie obiecał, że przyjdiesz, czorcie jeden? Jak tylko te twoje sosny obrodzą wątrobiankami! Warunek spełniłam, słowa dotrzymaj! No, jazda!

— Co prawda, to prawda — poskrobał się Kuba po głowie — te wątrobianki jakimś cudem wyrosły mi przez noc! Przyjdę! Ale najpierw niech w naszym potoku popłynię strumieniem piwo, żeby ten tłuszcz było czym popić!

Panderholkę ó mało co szlag nie trafił, ale cóż miała począć, skoro z Panderhola było coraz gorzej? Zaprzęgnięto browarniane konie, załadowano beczki, a najmłodszy piwowarczyk poszedł zawiadomić Kubę, że za chwilę potok zapieni się od piwa, jak Kuba żądał. Piorunem zwołano całą Kocandę, każdy złapał, co miał, ceber, dzban czy wiadro, garnki, rondle, bańki i kiedy potokiem zaczęła płynąć piana, ponapełniano wszyst-

46

kie naczynia. A kto nie miał nic prócz spragnionej gęby, klę-k-ął na brzegu i pił prosto z potoku.

Nie zdążyli jeszcze porządnie się napić, a tu Panderholka zjawia się już znowu, z pyskiem i z szumem, że chciałyby to widzieć, czy teraz ten smoluch, kiedy już naraził ich na takie straty, nie pofatyguje się do Panderholi!

— Ależ jakżeby nie, ma się rozumieć, że przyjdę! — zapewnił z ochotą Kuba — ale musicie po mnie przysłać browarniany zaprzęg ośmiu wołów.

Panderholka kiwnęła głową, że o to może się nie martwić, ale Kuba na to:

— Ale każdy z tych wołów musi mieć na sobie mundur myśliwski i kapelusz z piórkiem, jak to się ubierał pan piwowar Panderhola, kiedy objeżdżał browarniane gospody, w przeciwnym razie nie pojedę.

Po tej nowinie Panderholce dech odebrało. Ale w domu Panderhola lamentował coraz rozpaczliwiej, a innego ratunku nie było. Toteż jeszcze tego samego wieczoru na rukapańskim rynku pojawił się nagle policjant z bębniem, tarabanił pałeczkami i wykrzykiwał:

— Wszystkim tutejszym majstrom krawieckim tudzież wszystkim czapnikom podaje się do wiadomości, ażeby w jednym i tym samym celu udali się bezwłocznie, i to zaraz, ze wszystkimi swoimi czeladnikami do miejscowego browaru, gdzie im bliższe szczegóły zostaną objaśnione ustnie przez szacowną panią piwowarową Panderholową!

— O, jejej — radowali się majstrzy krawieccy •— najpewniej Panderhola pojechał do Abrahama na piwo i przyjdzie nam całą rodzinę obszyć w żałobę!

Ledwo policjaj skończył bębnić, ze wszystkimi czeladnikami pognali w podskokach do bramy browaru. Ale Panderholka, cała purpurowa ze złości, pozbawiła ich złudzeń.

Obstalowała u nich osiem mundurów myśliwskich i osiem kapeluszy z piórkiem, po jednym dla każdego z browarnianych wołów. Krawcy i czapnicy zaczęli się naradzać, długo rozważali, co i jak, po czym pomierzyli wołom obwód szyi i brzucha, szerokość

47

grzbietu, a na koniec długość od rogów do ogona, a po wzięciu Uiiary zabrali się do krojenia i szycia tak szparko, aż im siC spod palców kurzyło.

Ną drugi dzień, wierście albo nie, zajechał umundurowany zaPrząg ośmiu wołów do Kocandy.

! Widzisz, ty wariacki Kubo, jakiegoś piwa nawarzyli — sarkała Małgośka Darzbujanowa.

- Aco tam! — odparł jej Kuba — przyjechał zaprząg jak siC Patrzy, to i ja słowa dotrzymam.

^Prosił muzykantów z górniczej kapeli, rozsadził ich na platformy pojazdu, sam stanął w środku, żeby móc machać do taktu, i hopsa-dana, uha-ha, z jazgotem i wesołym krzykiem ca-*eJ Kocandy elegancko pojechali do Panderholi.

P^nderhola przewracał się w pierzynach, pocił, sapał i wzdychał j tylko błagalnie wlepił w Kubę oczy, kiedy Kuba wszedł d Pokoju. Ma się rozumieć, już na pierwszy rzut oka było wi- że tym razem jest źle. Kum Kościej stał tuż za głową Pan- w OTon rękach trzymał przed sobą kosę, przygotowaną

~^ No, Kubo, kiedy zabierzesz się do ozdrowiania? — podniosła panderholka larum i pchnęła go w stronę łóżka. Ale Kuba stracił cały rezon, kiedy zobaczył, jak się Kościej na nie-9° iiachmurzył. Duchem szepnął Panderholce:

~^ Miła pani, temu waszemu Panderholi już nic nie pomoże. Tak długo się przeżerał i przepijał, że mu te dobroci żyły po-*ar9ały na amen. Widzę, że mu już idzie ostatnia godzina...

Obrócił się i chciał wyjść z izby. No, trzeba wtedy było widzieć Panderholkę! Jak srogi smok rzuciła się na Kubę, przy-Parła go do drzwi i wypaliła:

Ty szwindlarzu! Ty złodziejskie nasienie! Ty łupieżco! przki wyłudziłeś, piwa się nabąbłowałeś po dziurki w nosi6' za dwieście złotych sukna zmarnowałeś, a teraz będziesz się jeszcze wykręcał? Kuruj, zanim cię nie dam w łapy żan-dariuom!

Takie obelgi dopiekły Kubie do żywego. On jest szwindlarz?

/->*

48

On ma być łupieżca? Nie, takich policzków nie ścierp! Próżno Kościej się chmurzył, próżno dawał znaki, że już tu nic nie wskóra, Kuba huknął pyszałkowato.

— No to wiedz, Panderholo, jeśli zaraz na moich oczach naćpasz się do syta tych wytłoczyn, których pożałowałaś dla mych głodnych dzieci, ocalę ci żywot!

Przyniesiono pełną misę browarnianych wytłoczyn, jeszcze się z nich dymiło, tak były ciepłe i świeżutkie, oraz wielką łyżkę drewnianą, którą Panderholka wybierała ogórki z gliniaka. I Panderhola jadł i jadł, aż mu spadało po brodzie, a za uszami trzeszczało, krzywił się przy tym i wzdychał, lamentował i przewracał oczami jak na obrazku męki pańskiej, ale Kuba nie popuścił, póki z misy ostatniej garstki nie wyskrobał.

Kościej Kubę świdrował oczyma, aż Kubie mróz co i rusz po krzyżu przebiegał. Ale słowo się rzekło i Kuba musiał go dotrzymać. Toteż ledwo Panderhola przełknął ostatnią garstkę wytłoczyn, doskoczył Kuba do łóżka, jeszcze z jednym piwo-warczykiem je chwycili i nim się Kościej połapał, szurnęli je do drugiego kąta tak, żeby

stało odwrotną stroną i żeby za głowami łóżka nikt już stanąć nie mógł. I zaraz Panderhola o własnych siłach usiadł i krzyknął, że mu jest o niebo lepiej. Kuba, podniesiony na duchu, podszedł do Kościeja, który stał w kącie z oczyma w słup i mroczny jak chmura i po cichutku szepnął kumowi do ucha:

— Nie złość się, kumie, przecież ja ci tego drania brzuchacza jeszcze dzisiaj zwrócę, ale najpierw we dwójkę wypijemy za nasze zdrowie i pogwarzymy sobie chwilę, skorośmy się tu tak akuratnie zesłi!

Wziął Kościeja pod ramię i choć ten się chmurzył jak sto nieszczęść, wyciągnął go od Panderholi do izby czeladnej w browarze. Kazał duchem przynieść baryłkę rukapańskiego piwa i to tego najlepszego, co Panderhola warzył osobno na użytek własnej gardzieli, i gdy tylko odszpuntowano i nasadzono kurek, natoczył tej małmazji do dwu malowanych dzbanów aż po brzegi. I zaraz:

— Za nasze, kumie!

4 Bajki czeskie

49

Przystawił dzban do gęby i ciągnął jak tęcza boża, póki nie ujrzał dna. Kościej patrzył, patrzył, dzbanek pięknie pokrył się rosą jak morelka z rana, pal sześć i on przycisnął go do zębów i wyduldał do ostatniej kropli. Ale jak tylko wypił, zaraz zaczął Kubę sztorcować, żeby nie mieszkając odstawił łóżko tam gdzie było, bo na Panderholę przyszedł już czas.

— Kumoterku, poczekaj z tym do wieczora — zaczął Kuba prosić — żebyś się nie musiał wstydzić za to moje medyko-wanie! A tymczasem elegancko wypijemy bruderszaft!

Bruderszaft, to bruderszaft, Kościej nie był przeciw. Napelnili dzbanki, przepletli na krzyż łokcie i każdy pił swoje piwo, aż mu w gardle gulgotało.

— Too, to jeszcze betka — wykrzyknął Kuba, ledwo odstawili dzbanki — ale wypić do dna nie dotykając rękoma kufła, to jest sztuka!

Znow natoczyli piwa i Kuba zaraz wpił się zębami w dzban, uniósł go w górę i łykał haust za haustem, aż mu się uszy ruszały. Biedny Kościej był już trochę na bani, nie chciał sobie narobić wstydu, więc też czym prędzej wgryzł się swoimi końskimi zębami w dzbanek i elegancko gul-gul-gul wytrąbił pienisty trunek.

Tychczasem w Panderholę wstąpiły siły żywotne. Zerwał się z łóżka, podbiegł do lustra, sam na siebie wywalił jęzor i wrzasnął do Panderholki, aż ją ciarki przeszły:

— Jestem zdrów, żono. Zdrów jak za starych czasów!

I faktycznie! Ledwo wskoczył w spodnie, chwycił bykowiec, znak swojej piwowskiej władzy, i pobiegł do browaru przekonać się, czy go czeladź nie okradła pod jego nieobecność. Szedł ku izbie czeladnej i już z daleka słyszał, jak Kuba wyśpiewuje na całe gardło;

Pij, bracie, precz smutek wszelki, po co masz liczyć kuielki?! Pij, bracie, pij aż do syta, płaci piwovar i kwita!,

50

W pierwszej chwili chciał wpaść do środka jak grom z jasnego nieba, ale, jakby go coś tknęło, na wszelki wypadek zajrzał najpierw przez dziurkę od klucza. I zaraz tak zbladł, że krwi w nim by się nie dorzeżał. Wszak tam Kuba siedział z samym Kościejem, trzymali się ci braciszkanie od kielicha za szyję, a Kuba szeptał Kościejowi, aż dźwierz dygotały:

— Kumoterku, Kościeju, to jasne, że jest twój! Oddam ci Panderholę, jak tylko się zmierzchnie!

Pod Panderholą nogi się ugięły, kolana mu się trzęsły, ale przemógł swój strach i jeszcze raz zerknął przez dziurkę od klucza. Rzuciło mu się w oczy, że Kościejowi łepetyna kolebie się już jak dojrzała makówka i że ten zębiasty kum z kosą lada chwila utnie sobie elegancką drzemkę. A kiedy po raz trzeci zapuścił żurawia, ujrzał, że Kuba i Kościej kimają w najlepsze, a chrapią tak ostro, jakby piłowali grubą deskę dębową. I na Panderholę uderzyły siódme poty, jaki to wszystko weźmie obrót. Ale strach przed Kościejem dodał mu sił. Pomalutku po cichutku wsunął się do izby czeladnej, nasamprzód odebrał Kościejowi kosę, a potem, kiedy zmiarkował, że obaj kumowie śpią jak zarżnięci, wziął miłego Kościeja pod pachy i pod kolana i wsadził go razem z kosą do wielkiej beczki browarnianej. Zakrył beczkę wiekiem, zawołał dwu bednarzy i zanim by do trzech policzył, beczka z Kościejem i kosunią została zabita na amen. Odturlano ją do najciemniejszego kąta w piwnicy, a miłego Kubę zanesiono na odpoczynek do chle-wika z browarnianymi prosiętami.

Smutne, przesmutne miał Kuba na drugi dzień przebudzenie. Głowa mu ciążyła i huczała, bolały go wszystkie gnaty. A jeszcze ten strach, co na to powie Małgośka! Wygrzebał się z chlewika i rozglądał się zachodząc w głowę, gdzie jest i co się z nim stało. Panderholą stał już na podwórzu, jak gdyby nigdy w życiu nie był chory, i dał się na piwowarczyków, aż im w uszach huczało:

— Leniuchy, próżniaki, darmozjady, kości wam poprzetrą-cam!

Kuba chód miał chwiejny, a już w głowie to mu się kręciło

51

na wszystkie strony, ale że pamiętał o swoim uzdrowieniu Pan-derholi, więc sypał do niego bez ceregieli.

— No, panie piwowar, jak tam zdrówko służy... — odezwał się ociupinę drętym językiem, a przy tym na wszystkie strony popatrywał, gdzie właściwie podział się kum Kościej.

— Gdzie leziesz, smoluchu? — wrzasnął Panderhola jak za starych czasów.

— Jakiś dukacik za kurację to mi się należy... — Kuba na to niepewnie.

Panderhola obrócił się ku niemu na pięcie, wyrwał szuflę z rąk najbliższego stojącego piwowar czyka i łups! Kubę po głowie, aż mu się w oczach zaiskrzyło.

— Ty szubienicznik! Ur to jeszcze mało mi narobiłeś szkód? A masz za tę swoją kurację, a masz! A masz!

Kuba rad, nie rad wziął nogi za pas i szybko zmykał z browaru, no bo bał się browarnianych psów, dopiero w bramie się obejrzał i wykrzyknął:

— Jeszcze cię Kościej dopadnie, Panderholo!

— Nie dopadnie, nie dopadnie! Zrobiłem z nim porządek na amen, ty bałwanie! — zarechotał Panderhola.

Małgoską Darzbujanowa akurat skrobała koło kuchni ziemniaki na zupę, kiedy Kuba cały uświniony i wymięty wszedł do izby:

— Od dziś, Małgoś, będzie ze mnie baranek dobroci aż do śmierci naszej, amen, tylko błagam cię, ugotuj mi kapkę ro-sołku na wzmocnienie z tego czarnego kogotka, com przedwczoraj dostał od tej wieśniaczki za leczenie.

Powiedział to i już siedział za piecem. Małgośka była dobrą żoną, bez pyskowania i jazgotu wzięła nóż, naostrzyła na gliniaku i wyszła na dwór kogutkowi łeb uciąć. Ledwo jednak Kuba zmrużył powieki, przerwał mu zaraz drzemkę straszny krzyk Małgośczyń:

— Kubo, duchem chodź tu, jak rany koguta, dzieją się niesamowite rzeczy!

Kuba wyskoczył jak jeleń, nawet drzwi nie szukał, hop! przez otwarte okno na dwór. Zobaczył Małgoś osłupiałą,

52

a w jej garści nóż, z którego kapą krew... Ale kogutek, jak gdyby nigdy nic, rażno biegał za kurkami po dworze.

— Co jest? Co się stało, kobito nieszczęsna?

— Sam... sam mu łepkę z powrotem na szyję wskoczył!

— Rany Julek, niedobrze! Kościej ze świata znikł! — jęknął Kuba, jakby go kto nożem dźgnął.

I w samej rzeczy było niedobrze. Bo jak znikł Kościej, to nie było śmierci na żadne żywe stworzenie, czy to człowiek, kogut, wróbel w powietrzu czy też z przeproszeniem ta mszyca, co oka nie zachwyca. Po trzech dniach rzeźnicy nie mieli co sprzedawać. Zdzielili wołu pałą, a on na nich tylko popatrzył z wyrzutem i dalej przeżuwał w najlepsze, zakłuli wieprzka, ale wieprzek nawet łba nie zadął i jeszcze żywiej babrał się w gnoju. Ludzie gotowali jaglaną kaszę i zacierki i tylko klęli na te porządki, że nawet przy święcie nie mogą sobie mięska przegryźć, a rzeźnicy zaczęli przyuczać się do szulerki karcianej, bo w swoim fachu nie mogli zarobić nawet na sól. Błady strach padł i na doktorów, i na grabarzy, toż nikt ani nie za-kwękał i nikomu nie było do umierania. Toteż nawet Kuba nie miał kogo leczyć. Całe dni siedział na przypiecku zafrasowany, z czołem w dłoniach, i nijak nie mógł dociec, gdzie się kum podział, co też ten Panderhola z Kościejem uczynił.

Lecz i na Panderholę przyszły złe czasy. Zdrow był, że mógłby hufnale łykać, z gęby mu ciekła ślinka, jak tylko pomyślał o mięsie, a przy tym musiał ćpać postne kartofle, placki z powidłami albo kluski z grzybami. Raz, kiedy mu służka przyniosła miskę kartofli z twarogiem, zerwał się z wściekłością, złapał miskę i wyrzucił przez okno.

— Przeklęte kartofle! Niech się pod ziemię zapadną! Cały miesiąc je w siebie pcham jak nędzny szewc! Ja, piwowar Panderhola! Mięsa chcę i basta! Dajcie mi mięsa!

Panderholka usiłowała go udobruchać:

— Ależ mężusiu, przecież wiesz, że nikt na świecie nie ma dziś mięsa!

— Ale ja chcę, ja muszę mieć mięso! — wałnął pięścią w stół.

53

Zaraz też ściągnął dwururkę ze ściany i pognął na dwór do chlewów browarnianych. Dwadzieścia pięć prosiaków łąziło tam całą gromadą. Na widok swego pana wieprzki zaczęły radośnie porchać, spodziewając się od niego smakowitego poczęstunku. Ale Panderhola stanął wśród tej gromady w rozkroku i jął do nieszczęsnych świń kropić jak podczas polowania na zające. Prosiaki kwiczały, uskakiwały, gdy im strzelba palnęła tuż przy uchu, od dymu strzelniczego na dworze było aż sino, ale co z tego, wszystko po próżnicy. Na koniec jedna świnia, najbardziej zdziczała, podcięła Panderholi nogi i ten jak długi i szeroki zwałił się na ziemię. Tu już się przebrała miarka! Siny z wściekłości ryknął:

— Już ja na was znajdę sposób! Hej, bednarzu! Wytocz na dwór tę zabitą beczkę!

Darmo Panderholka padła na kolana i ze złożonymi rękoma błagała, żeby nie kusił złego, niech lepiej zostanie przy kluskach, bo może ściągnąć na siebie nieszczęście, darmo w trwodze obejmowała mu nogi. Panderhola w swej żarłoczności pozostał niewzruszony.

Skinął na bednarczyków, by zdjęli obręcz i odbili wieko, a sam na muszkę swojej dwururki wziął tę najpucołowatszą świnię, akuracik tę, co mu przed chwilą nogi podcięła. Ledwo dno z beczki wypadło, wyszedł z niej Kościej, okropnie wychudzony, z kosunią w prawej ręce. Pach! Kropnął Panderhola w świnię. Kościej w tę stronę obrócił oczy, jak mu powinność nakazywała, ale jak tylko ujrzał Panderholę, stanął i huknął:

— Wieprz poczeka! Ty, Panderholo, masz u mnie pierwszeństwo!

Ciachnął i od jednego zamachu przeciął mu nic żywota. Panderhola się osunął, czknął, zsiniał i było po nim...

Kuba Darzbujan, ma się rozumieć, nic o tym jeszcze nie wiedział. Siedział jak raz na dworku, z nudów wycinał drewniak i czuwał przy najmniejszym Darzbujaniątku, które spało na trawie w pstrokatej pierzynie. Naraz na płot wyskoczył czarny kogutek, akurat ten, co to miał być na rosół dla Kuby, i zapiął na całe gardło. Kubę chwyciła złość, że mu przebudzi dzieciąt-

54

ko, złapał za drewniak i łup nim w kogutka! Trafił go prosto w łeppek, kogutek jeszcze zamachał skrzydłami, a potem fajt na ziemię i leży z zadartymi łapami. O szkurna chata, nieżywy!

Kuba się zaśmiał, już widział tłusty rosółek, ale gdy kogutka podniósł i wyprostował się, patrzy, a za płotem stoi kum Kościej. Kosę trzyma w ręku, chmurzy się jak burza nad borem, aż Kubie portki zaczęły się trząść. I kto wie, jak by się to było skończyło, gdyby się akurat nie przebudziło to najmniejsze Darzbujaniątko, co miało Kościeja za ojca chrzestnego, i nie zaczęło się drzeć...

Kuba przyskoczył do dziecka, wziął je na ręce i zaczął je lulać i uspokajać. Na to Kościej, cóż, kosę tylko zarzucił na ramię, odwrócił się i odszedł powolusieńku od płotu, w stronę tych kudłatych sosen. Ale naraz przystanął, podumał, zawrócił, zamachnął się kosiskiem, strącił na ziemię tabliczkę, na której było napisane:

KUBA DARZBUJAN DOKTOR

i dopiero potem jak cień się rozplynął w słońcu.

Do samej mojej śmierci już nigdy nikogo leczyć nie będę — poprzysiągł sobie Kuba na wszystkie świętości i był radi że mu to wszystko tak łatwo uszło płazem. Z

Darzbujaniątkiem na ręku i z nieżywym kurakiem w garści podszedł do okna i powiada Małgorzacie:

— Małgoś, kum jest już znów na świecie. Ugotuj mi z tego kogutka rosółku na wzmocnienie, po południu idę na szychcę!

I tak Kuba od medykowania powrócił znów do górniczej harówki i klepał z Małgoską bidę na sto dwa. Ale że ta bida trwała i trwała, znaleźli w końcu na nią sposób. Jak nie było co upiec, zrobili sobie bodaj zacierek, a zamiast kogutków Kuba co i rusz podebrał jaką młodą wronę skrzeczkę. A z tej wrony, moi państwo, rosółek, palce lizać!

Zapomniany diabeł

Między Kaczynią a Dalskabatami w starym bukowym borze, skąd mroku nie wypłoszy nawet południowe słońce, stała sfatygowana chałupka, była gajówka czy lichy wie co. Nikt już w okolicy nie pamiętał, po co ją tam ludziska postawili, ani też czemu później

się z niej wynieśli. Może dlatego, że tam straszło. Dawno już temu dyrekcja piekła przydzieliła tam podstarzałego, co najmniej siedmusetletniego diabła, pierwotnie się nazywał Trepifajksel, później mówili mu Kunygund, ale że w tej chałupce od niepamiętnych lat żył samotnie, więc też to jego prawdziwe imię, jak to się mówi, wyleciało mu z głowy.

Póki tam jeszcze byli ludzie, mieszkał na strychu w starym sianie, pełnym mysich nor, a między jedenastą i północą straszło. Jak przyszła jego godzina, podnosił jazgot, jakby żelastwo tłukło o żelastwo, puszczał również sztuczne błyskawice i psuczał piekielnymi smrodami, a kiedy nie padało, latał czasem wokół chałupy jako bezgłowe psisko albo ogniste pomiotło. Nic więcej z diabelskich sztuczek nie umiał, może tam jakieś błahe czary-mary i fokusy-pokusy, w jakich wyzna się i pierwsza lepsza wiedźma wiejska, no i odrobinę oszukiwać w kartach.

Ale że niebawem nie miał tam kogo straszyć, bo mieszkańcy chałupy się wyprowadzili, a z wioskowych każdy to miejsce omijał, obmierzło diabłu to straszenie. Zrazu robił jeszcze wy-

56

pady, to tu, to tam, co dwa, co trzy dni, a potem już całe długie tygodnie nigdzie się nie ruszał. Miał co prawda stracha, że się w piekle połapią. Roczek już prawie mijał, więc jak nic spodziewał się jakiegś kontroli. A tu cisza, najpewniej o miłym Kunygundzie w piekle zapomnieli albo też przy jakichś tam przenosinach kartoteki zaginęła jego fiszka. Czekał pięć lat, dziesięć, ale kiedy już całe półwiecze nikt się z piekła nie zjawiał, ani mu żadnego znaku nie dano, machnął ręką na rodzinne ogniste pielesze i żył, jak się dało. Czasem w zimie, kiedy się wtulał w to swoje zleżale siano i aż pisał z chłodu, cknęło mu się za płomieniami piekielnymi. W końcu buchnął drwalom zostawioną w lesie siekierę i choć mu praca śmierdziała na milę, wyrzucił na nowo rozpadający się już w chałupie piec. Zaczął w nim palić bukowymi gałęziami. Buczyna dobrze grzeje, trzyma żar jak węgiel i dycha ciepłem przez całe godziny.

Rozgrzewał sobie przy piecu Kunygund zgrabiałe ręce, a nieraz to i zajaczka sobie upiekł, gdy mu się udało wyrwać go wronom z dzioba czy podwędzić kłusownikowi z sideł. Ma się rozumieć, że piekł go ze skórą i wnętrznościami, bo diabli na ludzkiej pracy się nie wyznają, a u drwali podejrzwał jedynie, co się robi z siekierą. Poza tym pożywał się jak wszyscy diabli: żarł żaby, myszy, ziemne salamandry, czarne ślimaki, a kiedy nawet o tym nie można było marzyć, z konieczności łapał większe muchy i owady. Na takim wikcie się nie utuczył, ba, nawet można by powiedzieć, że wyglądał jak sucha tyka.

Ale że się nie przepracowywał, bo oprócz rąbania drzewa na opał całe dni mógł przesiedzieć lub przeleżeć, na nic się nie uskarżał, odwrotnie, pochlebiał sobie, że życie mu płynie spokojnie, bez nerwów, frasunków i zbytecznej mitręgi. I tak by sobie żył do końca świata albo przynajmniej dopóty, dopóki by się chałupa do cna nie rozwalila, gdyby, jak to się zdarza, nie wdała się w to wszystko baba.

Raz w czerwcu, kiedy to wieczorami zapalają się w zaroślach i na trawach żywe ogniki świetlików, kiedy żółcieją mlecze i bieleje kwiat czarnego bzu, zerwała się nad borem, w pobl-

57

żu Kuny Gundowej chałupy, nagle i niespodziewana burza. Woda się lała strugami jak z otwartych stawideł, istne oberwanie chmury, a piorunograd trzaskał ognistym sękaczem w skały i w dęby aż się iskrzyło.

Diabeł przez chwilę śledził ulewę przez okno w obawie, by mu woda dachu nie zerwała, ale zaraz ze zwykłego lenistwa legł na ławie i zaczął podrzemywać, że niby w półdrzemce spokojnie przeczeka to gradobicie. Oczka już mu się kleiły, mrugnęły jeszcze raz i drugi i zapadł w sen, gdy naraz tuż przed progiem tup-tup i dźwierze brrum!, rozwarły się na oścież, aż od przeciągu wzbiły się w górę wszystkie śmieci z podłogi.

Diabeł ze zgrozą poderwał się na ławie. Oho, pomyślał, nic tylko z dyrekcji piekła przewąchali to jego leniuchowanie i bumelanctwo i nasłali mu na kontrolę ostro podkutego czarta. A tu— fuj, psia noga! — na środku izby baba, zmoczona do suchej nitki, ale nic a nic nie spietrana, że widzi żywego diabła. Skoczył Kuny Gund na równe nogi, zrobił swoim starym zwyczajem „bu-bu-bu” i już miał się przemienić w obłok siarcza-nego smrodu, gdy baba łaps!, capnęła go za róg jak trykliwego capa, przyciągnęła do siebie i powiada:

— Niech się pan czort nie turbuje, miejsca jest dosyć dla nas obojga, a ja tylko na chwilkę, póki ta wścieklica nie przeleci!

Puściła diabła i jak gdyby nigdy nic zaczęła wyżymać spódnice. Ale zarazem tymi swoimi jaszczurowymi ślepiami tak po całej izbie myszkowała, że najmniejszy śmieć nie uszedł jej uwagi. Kuny Gund — nic innego mu nie pozostawało — powrócił na ławę i na myśl przyszło mu piekło ogniste.

— A mieszkać... to tu nikt właściwie nie mieszka, no nie? - -spuściła baba stawidło.

Kuny Gund chciał odpowiedzieć, że lada chwila wprowadzi się tu cały mendel rogatych, a on tu jest pierwszy jako kwatremistrz, ale że długo już z nikim nie gadał, wydobyło mu się z gęby tylko jakieś takie „beee\” jakim stary cap wita z rana kozy.

58

— No proszę! Takie przytulne mieszkanko! A ja, głupia, zachodzę w głowę, gdzie się podziać, skoro mnie wypędza z ko-mornictwa ten wieśniak bez serca!

Kuny Gund wywalił gały, aż dziw, że mu z oczodołów nie wypadły, cicho beknął, że niby tu się rządzą piekielne moce, ale nic mu to nie pomogło.

— Toż my jakoś dojdziemy do porozumienia, ja zawsze ze wszystkimi umiałam żyć w zgodzie! — machnęła baba ręką i już się kręciła z kąta w kąt jak fryga, że niby tu da się łóżko, ówdzie stół, pod tamtą ścianę szafkę, a pod drugą — skrzynkę mącznicę, nad blachą patyk na gałgany, a obok pieca półkę na miski i talerze.

Kuny Gund osłupiały z rozpaczy, uciekł się do swojej najokropniejszej sztuczki: chociaż było dopiero wpół do czwartej po południu, przemienił się w bezgłowego psa, zasmrodził całą izbę siarką i dymem piekielnym, po czym wypadł na dwór przez okno, aż brzęknęła rozłuczona szyba. Ale co tam to dla baby! Dźwierze tylko otwarła, żeby przeciąg wywiał te smrody, zbitą szybę sklepiła rozczynem, rozsmarowanym na lnianej szmatce i jakby się nic nie stało, dalej przepatrywała izbę i rozważała, co gdzie postawi. Kuny Gund, ciągle jeszcze pod postacią psa, popadł w taką desperację, że po trzykroć obleciał chałupę, i choć był bez głowy, ujadał i skowyczał, co przy braku pyska wymagało szczególnego wysiłku, drapał również ognistymi pazurami w drzwi, aż drewno skwierczało. Kiedy i to nie pomogło, wpadł na stryzzek, dobrą chwilę tupał z

całej siły w strop, ale nic z tego, zadyszał się tylko i w końcu z żalu i wyczerpania usnął na zatęchłej słomie.

Przed zmrokiem zbudził go turkot kół. Wyrzał przez okienko w dachu i widzi, jak wieśniak z zaprzęgiem zmyka na złamanie karku z tego upiornego miejsca. Przed chałupą stała komoda ze skrzynką, stągiew na wodę i rozłożone łóżko. Baba akurat chwyciła się za boczną deskę. W pierwszej chwili Kunygund miał chętkę skoczyć wieśniakowi na kark i stłuc go albo splunąć koniom w ucho diabelską śliną, czy nawet we-

59

tknąć im pod ogon rozpalony kamyk, ale pomyślał sobie, że Mrieśniak niczemu nie jest winien, że pewnie boi się bardziej baby niż diabła. Baba zaraz wypatrzyła go w okienku i zawołana z radością:

— Niech zejdzie, pomoże człowiekowi, ciężko tak samej! Kunygund dał jej do zrozumienia, że może go pocałować

^ nos, ze wściekłością wlaź za piec, żeby sobie nie myślała, że się rzeka prawa do chałupy, i zaczął okropnie ciamkać językiem, tak jak to potrafią tylko diabli.

Komu innemu może by to działało na nerwy, ale baba, jakby nic nie słyszała, była dla diabła sam miód. Toć ona wiedziała, że z każdym chłopem ma się jakieś tam utrapienie, sama już trzech mężów wyprowadziła do piachu. Ale nawet zły, burkliwy, wściekły i nie wiem jaki belzebub powinien w chałupie być, bo nie ma nic gorszego niż dom bez chłopca.

Z tego wszystkiego Kunygund zapadł w gniewną drzemkę, Owinął się w kłębek i cicho warczał jak pies gajowego, gdy tu się przyśni zajęczy bał. Ale nim się ta drzemka przemieniła w głęboki sen, uderzył go naraz w nozdrza jakiś dziwny, niesłychany i niebывały zapach, który się rozchodził po całej izbie. Uniósł głowę i wysunął swój diabelski nos, co niby się tu dzieje. A tu już baba odzywa się przymilnym głosem:

— Niech przyjdzie, niech przyjdzie, bez krępacji, panie czort, weźmie sobie kapinkę zupki grzybowej.

Godzi się rzec, że Kunygund tego dnia oprócz trzech za-śmierdziałych jaj sroczych, którymi wzgardziła nawet łasica, oraz jednego chrabąszcza kusaka nic w żołądku nie miał, a ta zupa ze świeżo nazbieranych młodych smardzów i majowych borowików pachniała jak nie wiem co: i przyrumienioną cebulką, i krzynę czosnkiem, krzynę selerem, pietruszką i marchewką, i krzynę złocistą od masełka zasmażką. A także kminkiem, kartofelkami, majerankiem, pieprzem i po trosze innymi jarzynkami, które baba do niej przymieszała.

Ślinka Kunygundowi ciekła, wiercił się w swoim kącie na zapiecku, ale ciągle jeszcze trwał w uporze. Nie był to jednak już ten prawdziwy, zaciekły upór, bowiem zapach tej zupy są-

60

czył mu się w nozdrza i stamtąd pokrętną ścieżynką przedostawał się na język, na podniebienie i do przetyku, i w ogóle gdzie tylko mógł się wśliznąć i przyssać, i jak we śnie spływał przewodem pokarmowym do żołądka, tak że Kunygund czuł się jak odurzony.

A baba przy stole jadła i jadła jakby nie miała dna. Z czarnego żeleźniaka naląła sobie jeden talerz, potem drugi, potem trzeci, dojadła, zapaską otarła gębę, zamysliła się

ociupinkę, ale zaraz naląła sobie czwarty talerz, a za nim piąty, a po chwili już warząchew grzechotała o dno żeleźniaka. Baba znowu zadarła głowę w stronę pieca: — No co, naprawdę nie przyjdzie na tę zupkę grzybową? Bo już szkoda zostawiać tę kapinkę, do jutra by skwaśniała!

Tu już Kunyngund nie wytrzymał, zeskoczył z pieca na równe nogi, złapał żeleźniak, nawet do talerza sobie nie nalął i resztę zupy wyduldał jednym duszkiem. Zasyczało my tylko w wygłodniałej gardzieli, jakby splunął na rozpaloną blachę, i już tylko żałośnie świeciły diabłu oczy nad pustym żeleźniaczkiem.

— Nie dziwota — rzekła baba gładko jakby masło krajała — chłop ma większy spust od białogłowy, bo też i żołądek ma większy! Na drugi raz muszę ugotować co najmniej o trzy talerze więcej!

I zaraz zapytała:

— A jakżeż to, że tak bez ogródek palnę, pan czort się nazywa?

— Kunyngund! — diabeł wykrztusił dość ochoczo, bo go w brzuchu grzała zupa.

— Jejumargaryna! Takie niechrześcijańskie imię! To zupełnie jak nygus! — jęknęła baba — no to już lepiej ja mu będę mówić Matusz, jak temu mojemu ostatniemu nieboszczykowi, com go łońskiego roku pochowała!

I tak, ani się Kunyngund obejrzał, dostał imię po ostatnim mężu baby i nic mu nie pozostawało, jak doń przywyknąć. Zaraz pierwszej nocy leżąc za piecem słyszał przez sen, jak baba z drugiego końca izby, gdzie stało jej łóżko, woła:

61

— Matusz! Matysku, nie chrap tak!

— Cóż to, ja chrapię? — ostro odburknął Kunyngund, bo nawet przez sen czuł, że baba pije do niego.

— Chrapiesz, Matusz! Obróć się raczej na prawy bok!

— No dobra... — wymamrotał — to ja w takim razie... — i nie wiedząc, co by tu począć, usłuchał baby.

W taki oto sposób stara Plajznerka z Dalskabatów, zielarka i w ogóle baba na każde zawołanie, żyjąca z wszelkiej zbożnej posługi, usadowiła się w chałupie, gdzie straszycy i nie mogła się wprost nachwalić, ile tu wszędzie dokoluśka, na łąkach i polanach, na mokradłach, gdzie kumkają żaby, i na piaszczystych wzgóreczkach, gdzie się wygrzewają żmijej w ostępie i na słońcu — rośnie i kwitnie najosobliwszych ziół i bylinek.

Zaczynały się czerwienić poziomki, babi kwas i miłek wiosenny już przekwitały, ale za to błękitniał przetacznik, purpurowiał kopytnik, pieniały się przytulie czepne, babka pospolita, babka lancetowata, babka płesznik, cibora, rutewka, węży-mord, mniszek, kozibród, wiesiołek, kokornak, kniec, ciemier-nik, przestępy i ziarnopłony, krwiściąg, dziesięciornik, czer-mień, siedmiopalecznik, dzwonek, szczyr, tojad, kozłek, piep-rzyca i czarci ząb.

Wszystko to stara Plajznerka zbierała i suszyła kwiaty, listki, szypułki i łodyżki, czasem każde z osobna, kiedy indziej znów do gromady z korzeniami i kłączem bulwiastym. Mieszała rumian z kocimiętką, dosypywała szczyptę kurzyślądu, szczyptę kozłka, co działa kojąco na wątpia, szczyptę dziurawca, co czyści żołądek, ciut lulka, tyle, co między dwa palce się zmieści, ociupinkę bielunia dziedzierzawy, żywokostu i mysiego drzewa. Kiedy to się zaparzyło i gorący napar elegancko wypilo, jak bonie dydy, po

takich ziółkach człowieka nie imaly się ani suchoty, ani kolki, a blednica trzymala się od niego na milę z daleka.

Kunygund, przechrzczonej teraz na Matusza, z poczatku co i rusz robil babie na zlosc. Przesypywal susz z jednego woreczka do drugiego, rozpirzal peczki, kozlek mieszal z mysim faj-

62

nem, a w woreczki wrzucal krolicze, zajeczce i sarnie bobki, ktorych nazbieral w borze. Plajznerka na to ani mru-mru. Tylko ze jak wykryla jakas taką niegodziwosc Matusza, amen, nie bylo zupy, czasem nawet i trzy dni pod rząd głodem diabla morzyła.

Ale jak zaczal obchodzić się z babą po ludzku, ho, wtedy dzialo się miłemu Matuszowi dobrze. Stara Plajznerka gotowala mu kapusniak albo zalewajkę, zupę koperkową z ziemniaczkami, lane kluski z mlekiem, kartoflanke ze skwarkami i przysmazona cebulka, maczna polewke z jarzynkami, knedle, leniwe pierogi, smazyła placki ziemniaczane, a w ogole robila posiłki, jakie lubil jej nieboszczyk i jakie daja chłopom silę do roboty.

Dziw nad dziwy, nad tymi pełnymi talerzami Kunygund z wolna zapominal o swojej diabelskiej naturze, wchodzil mu w krew Matusz, a niezadługo gębę miał wybredną i delikatne podniebienie. Kluski kladzione kluly go w zęby, jesli byly tylko posypane makiem, lubial, zeby po ugotowaniu przyrumienic je jeszcze na zlocisto w skwierczącym tłuszczu. Z plackow najbardziej smakowal mu sernik, zwlaszcza gdy w serze byly zoltka i rodzynki, a wybieral szelma glownie te z brzegu, w ktore nasaczyl się najwiecej smalcu.

Jednakowoż Kunygund nie tylko przestal chrupac žuki, swierszcze, majki, kusaki, szczypawki, mrówkolwy i inne robactwo, a nauczyl się jesć kluski i wrzatek z zieleniną, zmienil się takze pod innymi względami. Plajznerka, ha, ta go wzielala hurtem do galopu! Parę dni Matusz lazil po chalupie jak zwykle w swojej diabelskiej skórze, ktora miał juz w wielu miejscach wytarta i postrzepiona. Ale kiedyś po obiedzie zaczela baba grzebac w komodzie i wyciagnęła przyzwoite sukienne spodnie barwy chabrowniebieskiej, za jaką akuracik Matusz wprost przepadal.

— Sluchaj, Matusz — powiada, bo zaraz na drugi dzien zaczela mu tykac •— przymierz ty te portki! Nie mozesz tu przecie stale paradowac jak cap, jeszcze ktos przyjdzie i co?! Matusz nie miał nic przeciwko, choc przedtem cale zycie przechodzil tylko w tej swojej diabelskiej skórze i czegoś podobne-

go na sobie nigdy nie miał. Wsadzil w nie jedna nogę, poczul przyjemne cieplo i laskotanie. Wsadzil wiec i druga,, chcial podciagnac portki do pasa, a tu, jej!, klapa na całej rozciaglosci.

No bo Matusz, czy wlasciwie Kunygund, miał kosć ogonową jak wszyscy diabli, konczyla się solidnym chwostem, jakiego nie powstydzilyby się żaden wól, a w tych spodniach takiej niebywalej okolicznosci nie przewidziano. Spojrzal Matusz bo-leściwie na starą Plajznerkę, bo oblecial go strach, ze mu te spodnie zabierze. Ale na to Plajznerka musialaby nie być Plaj-znerką! Ona raz-dwa sobie z tym poradzila. Przypasowala miłego Matusza galancie tyłkiem do pniaka bukowego, w którym tkwila siekiera do rąbania drzewa, i zagadala słodziutko:

— Zamknij oczy, Matusz, bodaj na momencik, a ja ci zgotuje niespodziankę!

Diabel usluchal, w duzej mierze dlatego, ze byl głupi i ciekaw tej niespodzianki.

Plajznerka capnela prawą grabulką sty-lisko siekierki, lewą przytrzymala diabelski ogon

akuratnie na samym środku pniaka i nim miły Matusz zdążył choćby pisnąć słówko, ciach! i już się chwost walał na ziemi, jak gdyby nigdy do Matusza nie należał. Dobrą chwilkę Matusz skomlał jak pies, ale baba mu przyłożyła do rany roztluczoną cebulicę morską, przewiązała lnianą szmatką i za pół godziny było po bólu.

Matusz bez ogona, ale za to w spodniach paradował po dworze jak panisko i radował się, że tak przyjemnie grzeją jego wyziębłe gnaty. Do spodni baba mu dała również koszulę, na koszulę kamizelkę, na kamizelkę kapotę, a na szyję elegancką pstrą chustkę, jaką noszą drwale. Nogi, czy jak tam się te diabelskie kończyny nazywają, obuła mu w cholewy do pół łydki i Matusz sam siebie nie poznawał, taki się z niego zrobił szykowny chłop!

Pozostały — diabelska sprawa — już tylko te czarcie rogi, które Matuszowi wyglądały z czarnych kuddeł na głowie. Godzi się rzecz, że nie były ani o cal większe, niż miewają porządne capy, ale trudno i darmo, pod żadną czapą schować się nie dawały.

64

m
'jem-
KOWAL

Matusz trząsł się cały ze strachu, że mu je stara Plajznerka, gdy kiedy weźmie na odwagę, również siekierą odetnie. Ale przy tym i on sam chętnie by się ich pozbył, głównie dlatego, że mu się okropnie podobała ta czapa w kratę po nieboszczyku baby, kupiona na jarmarku w Padernosicach u czapnika Stybla. Pstrzyła się wszystkimi barwami, ze świecą drugiej takiej szukać po świecie!

Aż raz Matusz, kiedy tak go dręczyła chrapka na tę czapkę, wpadł na pomysł. Wbił prawy róg w okrągły otwór, który pstry dzieciół wydziobał w bukowym pniu, wykręcił łeb i naprężył się zezując, co< też się stanie.

Zabolało niezgorzej, we łbie mu łupnęło, ale naraz trzask! i prawy róg odskoczył jak ta lala! Został po nim przy samych kudłach niepozorny kłapeć, który bez niczego zmieścił się pod czapą. Matusz na momencik przysiadł, żeby ochłonać, a po chwili spróbował tej samej sztuczki z drugim rogiem. I znowu trzask! — i było po krzyku! Kiedy przyszła stara Plajznerka z boru, siedział Matusz przy stole, a tę kraciastą czapę, pamiątkę po nieboszczyku, miał nasadzoną aż na uszy.

— Ach, ty mój Matysku! — przyskoczyła do niego Plajznerka, bo zaraz zmiarkowała, co sobie diabeł wybił z głowy — toż z ciebie jest teraz chłop całkiem do rzeczy! Jeszcze mi cię będą białogłowy zawidzieć! •— i z tej radości dała mu buziakar aż cmoknęło.

Od szewca we wsi pożyczyła raszpli i co wieczór Matuszowi ułamane rogi przyglądała, podpiłowywała i zrównywała, ot tak, lekutko i powoluśku, jakby mu tylko we włosach wiskała, aż po paru dniac'i całkiem mu się w czarnej czuprynie schowały.

Dopiero by wam oczy na wierzch wyłaziły, taki był z Matu-sza teraz kędzierzawiec, choć mu już szło na osiemsetny rok! Gębę miał co prawda krzywą jak wszyscy diabli, uszy ciut przyszpiczaste, a u nosa, jak tylko troszkę chłodniej, drgała mu kropieleńka, ale poza tym nie był wcale szkaradniejszy od innych wieśniaków, a włosów miał na głowie więcej niż cała rada gminna do kupy wzięta.

5 Bajki czeskie

65

Godzi się wszakże rzec, że ze starej Plajznerki była baba robotna i jak soli w oku nie cierpiała, żeby chłop, skoro już jest w obejściUr cały dzień bąki zbijał. A to akuracik była najślabsza strona Matusza, diabli z natury mają leniucha za skórą i myślą tylko o bezeceństwach, o wodzeniu na pokuszenie i sprowadzaniu ludzi na manowce.

O jeje, w tym punkcie wpakował się Matusz z babą z samego początku w kabałę! Owszem, siekierę podwędził drwalom jeszcze w tamtych czasach, gdy był w chałupie sam i żarł ślimaki i czerwie. Ale posługiwać się tym narzędziem nie zanadto umiał, tyle że przetrącił lub przepitolił suchą gałąź, żeby wlaźła do pieca. Wyciosać klin i zabić go, gdzie należy, rozszczypać klocek na równiutkie czworoboczne drewnienka, to była dla biednego Matusza rzecz zgoła niemożliwa, chociaż w Dalskabatach potrafił to każdy podrostek. A stara Plajznerka co i rusz naprzykrza się:

!— Matusz, narąb mi drzewa! Smolnych drzazeg natnij na podpałkę! A te najsmolniejsze odłóż na łuczywo, żeby było czym świecić! Siekierę byś sobie bodaj trochę pilnikiem pod-ostrzył, zrobiła się już zębiasta jak szczupak!

A cóż dopiero inne roboty, które jej nieboszczycy, wszyscy trzej, tak jak następowali po sobie, wykonywali jak z bicza trząś! Gontami pobić dach, łatami płot obsprawić, kołki do grabi przyciąć, drewniaki z jesionu wyrzezać, z lipy mątewkę, warząchewkę i nieckę wystrugać! Ma tuszowi kręciło się w głowie, gdy mu to baba wyliczyła. Trudno i darmo! Musiał się nauczyć jakichś męskich robót, jeśli nie chciał mieć z babą na pieńku. Bo karmić się Szwabami już nie miał ochoty. Nic innego nie pozostawało jak uczynić się niewidzialnym, co dla diabła akurat nie było zbyt trudne, i po kryjomu chodzić na wieś do rzemieślników, żeby coś tam z tych ich kruczków podpatrzeć.

Siadywał u stolarza na warsztacie, za cieślą wlaził na dach, u majstra krawieckiego garbił się nad deską do prasowania, u szewca się podkładał do zydła. Oj, niełatwe było mu terminowanie! Taki nibypomiagier, co to na niczym się nie wyznaje,

66

srodze naskacze się koło majstra zaglądając mu pod ręce, toteż nie dziwota, że co i rusz dostanie mu się po nosie.

Stolarz mu przyciął łapę w imadle, gdy Matusz zagapił się oparty o warsztat, szewc mu nabił guza pod okiem, kiedy niezdarnie zamachnął się młotkiem, kudły miał Matusz skołtunione i pozlepiane od szewskiego kleju i stolarskiego klajstru, krawiec mu na plecy wysypał parę rozżarzonych węglików z żelazka, aż się Matuszowi skóra przysmażyła, a cieśla na tiomiar złego strącił go belką z dachu prosto do dołu z wapnem niegaszonym, które zżarło mu do cna sierść z połowy pleców. Nie darmo powiadają: kto się uczy, ten skuczy. A gdy już o zmroku przyczłapał do domu, baba go brała na spytki, zanim postawiła przed nim talerz dymiącej zupy:

— No to pochwal się, Matysku, czegoś to nowego się dziś nauczył!

Nim się rok z rokiem spotkał, mimo całej udręki podpatrzył Matusz u rzemieślników tyle kruczków, że mógł dorównać w robocie najzmyślniejszym mężczyznom we wsi.

Ze wszystkiego najbardziej spodobało mu się kowalstwo, pewnie dlatego, że w kuźni się dmucha na ogień jak w piekle, że za każdym uderzeniem młota wesóło skaczą ogniste gwiazdki iskier, a wszystko tam pachnie tym osobliwym zapachem żelaza, który mu przypominał pioruny i błyskawice, a tym samym przywodził na myśl jego zamierzchłą diabelską młodość. Przykucnąwszy przy palenisku albo przysiadłszy w górze na miechu potrafił przesiedzieć tam cały dzień aż do zmroku i potajemnie

dmuchać na rozżarzone węgielki, aż naraz się kowal dziwował, że mu się ten ogień tak dobrze pali.

Czasem, gdy majster akurat stał tyłem, tyknął Matusz na spróbowanie piwa z majstrowego dzbana — oj, jakżeż ono orzeźwiało w takim żarze! — ba, parokrotnie się przydarzyło, że Matusz za tym paleniskiem przysnął i musiał po zamknięciu kuźni wymykać się do domu dziurką od klucza albo kominem. Ale po niespełna roku umiał wyginać i kuć wszelkie rodzaje podków, wprawnie nasadzać zimowe i letnie hacele, podpiło-wywać kopyta, wykuwać hufnale, krótko mówiąc, z mety mógł

67

iść do kowala za czeladnika, zwłaszcza że znał się jak wszyscy diabli na koniach. Stara Plajznerka nie posiadała się z radości, że ten czort Matusz wyszedł na ludzi. Niekiedy nawet przy bylinach jej pomagał, bydlęce ziele mieszał, dziurawiec suszył, kłęczą paprotki z ziemi wygrzebywał, piestrzenice i trufle lepiej od psa wywąchiwał, po zieloną jemiołę aż na wzgórki jodłowe się wypuszczał. Mierziło ją tylko, że nie bardzo może pokazać się z nim we wsi, boby ją wzięto na języki. Ale niewieściej ciekawości i tak się nie ustrzegła.

, — A cóż to za chłopca macie w chałupie, Plajznerko? — wypytywały gospodynie, kiedy baba roznosiła po wsi bydlęce ziele.

— Chłopca, chłopca... Starego diabła! — mówiła prawdę — ktoby inny pasował do takiej baby jak ja?

— Diabeł to diabeł, ale zawsze ostoja dla słabej białogłowy! — żartowały gospodynie przytakując.

Aż raz, tak na jesieni, w poniedziałek poodpustowy po Świętym Wacławie, zachciało się nagle babie pokazać między ludźmi we wsi z tym swoim Matuszem.

— Słuchaj, Matusz — zaczęła gładko jakby masło krajała — może byśmy tak zaszli do wsi po odpuście? Przyodzievek masz jak nowy, świecić oczyma przed ludźmi nie musisz! Na ten ku-felek piwa też mamy, co będziemy siedzieć w tej samotni, kiedy tam w gospodzie robią poprawiny? Między ludźmi ci się spodoba, zobaczysz!

Matusz się trochę wdragał, bo był wstydlivy, ale tak naprawdę to go ciągnęło między ludzi.

— A kowal tam też będzie? — spytał dla pewności.

— No pewnie, będzie! Kowal z kowalką i wszyscy czeladnicy!

— Ich to ja lubię — uśmiechnął się Matusz — oni tak pięknie pachną żelazem!

A kiedy mu Plajznerka obiecała, że przysiada się do stołu kowala, dał się Matusz namówić i poszli. Chustkę na szyi miał ciemnoczerwoną w białe podkwoy, na głowie szykowną kracia-

stą czapę, słowem, jakby z pudełka go wyjął. Kowal już w karczmie siedział, Matuszowi aż oczy błysły, gdy go zobaczył. Stara Plajznerka posadziła Matusza tuż obok kowala i powiada:

— To jest, panie majstrze, ten mój stary czort, Matusz!

Kowal pomyślał, że nic tylko jakiś stary wojak weteran, którego baba pod swój dach przygarnęła, i uściskał Matuszowi łapę, aż mu w kościach chrupnęło.

— A ja jestem dalskabacki kowal! — wybuchnął śmiechem.

— Toż ja was znam cokolwieczek... tak z widzenia...

— Możliwe, żeśmy gdzieś już razem piwo pili! — odparł kowal, nie wiedząc nawet, jak wielką ma rację.

Szelma Matusz na to ani mru-mru, niuchał tylko, czy kowal i w odświętnym ubraniu pachnie żelazem. Owszem, pachniał, aż Matuszowi cieplej pod sercem się zrobiło. Stara Plajznerka z kowalką i z wieśniaczkami zaczęły prać brudy świata tego, a tymczasem Matusz z kowalem rozgadali się o koniach. W tej materii obaj byli znawcami, to trzeba przyznać. Zaczęli się wzajem egzaminować, jakie są na świecie siwki i po czym odróżnić jeden rodzaj od drugiego.

Na pierwszy ogień poszły siwosze z żółtobrunatnymi plamami jak miodne kołaczki, za nimi dereszowate w brunatnoczer-wone placki, potem szły moręgowate z ciemniejszym łbem i uszami, dalej — jabłkowite i srokacze w cętki, ze srokaczy przeskoczyli na myszate i wreszcie, od słowa do słowa, przyciemniali coraz bardziej maść przerzucając się na bułane, z bułanych na cisaki, z cisaków na brązowe podpalane, z podpalanych na gniadosze, z gniadoszy na kasztanki, a z kasztanek na karę. Z każdą nową maścią zabierali się do nowo natoczonych kufli, żeby nie mleć ozorami na sucho.

Nim się dorwali do karych z białymi strzałkami, ciemnych maści mieli już pełną głowę, a pełne serce przyjaźni, toteż padli sobie w objęcia i raz za razem dawali sobie pyska tak siarczyście, że się ludzie wokoło oglądali, co to za cmokanie się rozlega. Kowal oczarował diabła, a diabeł kowala. Zaraz też się dogadali, że nazajutrz w podwieczerek Matusz może przyjść

69

do kuźni i podkuć jakąś tam kobyłkę, skoro go to kowalstwo tak bawi.

Jak raz w tym czasie wieśniak Plavec potrzebował podkuć trzyletnią klaczkę Majkę. Była to kobyłka narowista jakby się ze smoczycy jaj wylęgła, w żyłach jej grał płynny ogień. Sam majster już się do niej przymierzał przed odpustem, ledwo jednak do niej podszedł, aby ją pogłaskać w czoło, chapsnęła mu z głowy czapkę i rozszarpała zębiskami. A kiedy zbliżył się znowu, poderwała się wszystkimi czterema kopytami wygięła w pałąk jak kocisko i jak nie wierzgnie do tyłu, aż kawał dechy odskoczyło z parkanu.

— A kto by to chciał być kopniętym lub zostać kaleką tuż przed odpustem! Raz kozie śmierć, to odłożmy to na wtorek po poprawinach! — powiedzieli sobie kowale i odesłali Majkę wieśniakowi do domu.

A tu po poniedziałku poodpustowym powiada majster czeladnikom:

— Pod koniec dnia przyjdzie tu ten Matusz od Plajznerki, bo chciałby spróbować podkuć jaką kobyłkę. Jest to chyba stary wiarus po wojaczkach albo koniarz, co światem wędruje, ale stawia się jak zmarznięta koszula! Przyprawiajcie mu tę Plawcową Majkę, pobawimy się trochę jego kosztem!

Co tu dużo gadać, majster to majster, takich nie ma w tuzinie dwunastu. Toż go mierziło odrobinę, że wczoraj z tym Matuszem tak się bratał, choć razem gęsi nie pasali, a jeszcze ten włóczęga się tu przyszwendał diabli wiedzą skąd. Toteż w głębi duszy postanowił, że Matuszowi pokaże, co to jest porządne kowalstwo, i że jego zuchwalstwo wystawi na pośmiewisko przed całą wsią. Kiedy Matusz przyszedł w podwieczerek z ciężką cokolwieczek łepetyną po tym poniedziałku poprawinowym, ale żadnej roboty w kuźni, Majka już tam stała przywiązana do słupa, a pęciny jej grały jak struny.

Czeladnikom kowalskim, choć robili poważne miny, kąciki ust filuternie drgały, tak się cieszyli na to, co będzie z Matuszem wyczyniać ta wierzgająca i gryząca dzikuska. Mieli pod ręką nawet skopek z wodą na wypadek, gdyby ten wariatuńcio stracił przytom-

70

ność po jakimś cięższym kopniaku i trzeba było mu wodę wy-chlustać na łeb. Ale Matusz jak gdyby nigdy nic. Przyszykował sobie narzędzia, wsadził podkowsy do paleniska i elegancko podszedł do kłaczki jak do panienki. Majka tylko uszami strzygła. Stał przed nią z przodu, pogładził po nozdrzach i poklepał po szyi. Dziw nad dziwy! Z tej postrzelonej Majki w jednej chwili zrobiła się trusia, patrzyła na Matusza jak na dobrodzieja i posłuszna jego skinieniom podnosiła jedną po drugiej roztańczone nogi. A cała przy tym lekuchno drżała. A Matusz, zakasawszy rękawy, kopyto za kopytem podpiłowywał, przypalał, przymierzał podkowsy, aż tę sławetną furiatkę Majkę odprowadził pod parkan jak gdyby nigdy nic kutą na cztery nogi:

— Słowo się rzekło, kobyłka u płota.

Majster gapił się jakby z byka spadł, takiego kowala to u wszystkich diabłów jeszcze nie widział!

— Człowiecze, ty jesteś szatan — powiada z uznaniem — widzę, że nie tylko piwo potrafisz pić! Robota ci się w rękach pali, a my tu co i rusz mamy straszne piekło, zagłądaj do nas. skoroś taki fachman!

Matusz, diabelnie szczęśliwy, skinął głową, że rad będzie pomagał, bo w rozhajcowanej kuźni czuje się jak u siebie w domu.

Od tej pory już go w kuźni dzień w dzień widywano. Niech-no która kobyła zaczęła się biesić, już ją brał w swoje ręce Matusz, kuł, rozkuwał, czyścił kopyta, i nawet najdziksza piekielnica widząc go z młotkiem i obcęgami łagodniała i stawała się potulnym jagniątkiem.

W wolnych chwilach z lubością rozdmuchiwał ogień, ale też mógł w płomieniach hartować sierpy i kosy, a także obręcze na koła nabijać i okuwać pudła fur. Poznał przy tym masę luda, gospodarzy z Kaczyni i Dalskabatów, nasłuchał się do diabła i trochę męskich gadek i mądrości, załapał to i owo ze zdrowego chłopskiego rozumu i z tej prostej życiowej filozofii, jakiej by i sam belzebub nie wymyślił.

Plajznerka była bardzo rada, że wieś jest z tym jej starym

71

czortem za pan brat, że się nie musi bać ludziom na oczy pokazywać.

W każdą niedzielę, gdy szła do kościoła, towarzyszył jej Matusz do pierwszych chat, a tam się ich drogi galancie rozchodziły: baba paradowała pod kruchtę, a Matusz do karczmy „Pod wiankiem”. To były jego najmilsze godzinki: usiąść przy stole z kufelkiem płynnego chmielu i porajcować z chłopami o koniach, o pracy w lesie, komu grad, komu deszcz co potłukł, gdzie piorun walnął, gdzie gorzało, co diabli nadali, co poszło w czorty, jaki gdzie dopust boży, a w ogóle jak to się plecie na tym bożym świecie. Gdy baba wracała z kościoła, zaglądała przez szybę, Matusz w te pędy wysupływał grajcarek za pod-chmielunek, wysączał ostatnią kapkę z dna, i znowu z babą zgodnie mas'zerowali do tej swojej chałupy.

— Co tam kaznodzieja gadał? — pytał Matusz ot tak, żeby coś powiedzieć.

— Ee tam, znowuj o piekło — mówiła baba z rozgoryczeniem, ponieważ wielebny fararz każde kazanie okraszał siarką i płomieniami piekielnymi, jak gdyby robił Plajznerce na złość, a czasem przydawał również skrzywienie zębów.

— Dużo on tam wie, gaduła jeden! — krzywił się Matusz pogardliwie.

Zaraz zresztą zaczynał gadać o koniach, bo to go o całe niebo żywiej obchodziło. Ma się rozumieć, że nie dało się ukryć, jaki z tego Matusza od Plajznerki zawołany koniarz, toteż wieśniacy często go się radzili, kiedy konie dostały nosaczyny albo się ochwaciły,

a także, gdy zamierzali kupić, sprzedać czy wymienić jakąś sztukę, bo Matusza w koniarstwie nie okpiłby ani handlarz, ani cygan. A że przy tym kupnie i jemu kapnęło * co nieco, a i kował mu za pomoc grosza nie żałował, więc obo-je, baba z Matuszem, opływali we wszystko.

Ale nigdy nie jest tak dobrze, żeby nie mogło być źle. Żyli do spółki już siódmy rok, kiedy ni stąd, ni zowąd przyszła kry-ska na Matyska. Jak raz znowu w czerwcu, w niedzielne popołudnie, wracał z babą ze wsi i już czuł w gębie smak koperkowego sosu na kwaśnej gęstej śmietanie, którą baba niosła

72

w kamiennym dzbanku. Nagle postyszał, że w powietrzu coś zupełnie blisko zasyczało, a chrapami zwietrzył odrobinę siar-czanego smrodu.

Plajznerka też się zaniepokoiła, jak gdyby tknęło ją złe przeczucie, ale w Matuszu w tej chwili krwi by się nie dorzeżał. Dobrze wiedział, że wybiła jego godzina. Że niebawem grunt się mu zacznie palić pod nogami, skoro tym letnim pachnącym powietrzem przeleciał diabeł i to tak bliżuchno, że nie mógł Matusza nie zauważyć. I zauważył, psia jucha!

Zanim Matusz uszedł jeszcze dziesięć kroków, diabeł był już z powrotemr zafurczał powietrzem jak chrobak chrapaszcz, w przelocie nawet wysunął nos sprawdzając na węch, czy się co do Matusza nie myli, i już go nie było. Matuszowi przeszedł smak na sos śmietanowy z koperkiem, choć kiedy indziej potrafił opędzlować cały roidelek. Wbijał w siebie kluchy ot tak, żeby tylko przez gardło przeszły i błdził oczyma po kątach, jak gdyby tam wypatrywał jakiegoś znaku piekielnego.

— Co tobie, Matysku, przyznaj się? — dociekała zafrasowana Plajznerka. Ale Matusz tylko milcząco głową pokiwał, że na nic się tu nie zda żadne dociekanie. I gdyby diabli w ogóle umieli płakać, pewnie by miał w tej chwili oczy pełne łez. Bo mu się piekielnie zrobiło żal, tego anielskiego życia z babą, tej jej kartoflanki z majerankiem, kumpli w Dalskabatach, z którymi pić, bając i diabłami rzucać można, i tego rzemiosła kowalskiego, które mu tak zasmakowało, że o mało co serce mu nie pękło.

Cóż począć, teraz te piękne czasy diabli wezmą — ten pio-ruński grzdyl, co smyrznął Matuszowi koło ucha, bez ochyby złożył już w piekielnej dyrekcyi donos, że się tu pałęta jakiś zagubiony czy zdziczały diabeł, a w piekle aż się zaiskrzy i przyskrzynią go piorunem. Całe pół dnia snuł się po chałupie, jak dusza pokutująca. Baba mu najpierw naparzyła dziurawca, potem dziewanny z przymieszką krwawnika i poziomek, na brzuch mu przykładała wywar ze skrzypu, ale trudno i darmo, chorość Matuszowi nie przeszła. Jak się ściemniło, zaczęła w nim się duszyczka trząść, jakby ją miał z osiki.

73

Mogła być dziesiąta, gdy naraz w okno buch! buch! Matusz wyszedł za próg na nogach jak z waty. Wokół chałupy latał czarny pies ze ślipiami jak ogniste bochenki i puszczał piekielne smrody siarczane, zupełnie jak kiedyś Kunygund. Ledwie ujrzał Matusza, podskoczył ku niemu, przemienił się w diabła i zaszwargotał;

— Umraj dyrko parte fajo, tyś to Kunygund?

—• Durmi fajte kedro, to ja — bełkotał Matusz robiąc się na twarzy siny !— medo ustań esparvilo, a bo co niby?

— Trubalante mordomare! Żebyś ty, chłopie, wiedział, jakie z twojego powodu jest u nas piekło! Cziko drante bastona-do, ajvej muchri kostoduro, toż ciebie dyrekcja

poszukuje już sto pięćdziesiąt lat! Masz w krótkich abcugach stawić się przed najwyższym oberlucyferem! No, uszanowanko, gotuje ci się siarczysta chryją! A że przy tych słowach spostrzegł, jak stara Plajznerka pazernie kikuje za niedomkniętymi drzwiami, splunął ku niej czarcią żrącą śliną, aż w drzwiach wypaliło dołeczek.

No to masz, diable, bał, Matuszowi nic nie pozostawało, tylko pójść do piekła... —! Poczekaj na mnie, brachu — powiada nieswoim głosem — we dwójkę droga szybciej zleci!

I poszedł do chałupy pożegnać się z Plajznerka. Baba spłakana podniosła krzyk, że ona za nic w świecie Matusza nie puści, że się z nim związała na dobre i złe i pał licho, wytrwa przy nim do ostatniej godziny, ba, że poprzez niego również przynależy do piekieł, a tedy wraz z nim tam pójdzie. Toć i z Lucyferem dałoby się jakoś obgadać, żeby Matusza przywrócił na to samo miejsce w Dalskabatach. Skoro jest w Dalskabatach proboszcz, musowo powinien tu być i diabeł!

— Ty nic nie załatwisz, Matysku, ty jesteś taki wstydlivy, ale ja jestem baba wyszczekana! — obejmowała Matuszową łe-petynkę i głaskała go po tych nieszczęśliwie upiłowanych rogach.

Ale Matusz nie chciał ani słyszeć, do piekła baby wziąć nie może, dopieroż by mu się dostało, dubeltowo!

74

— Kiedy ty, Matysku, ze wszystkich moich nieboszczyków byłeś najpoczcwiwszy! — zachlipała baba, aż się serce krajało i na siłę mu w garść wetknęła związany w zawiniątku kawał sernika z rodzynekami. Matusz frr!, wleciał z drugim diabłem w powietrze i szlak nie szlak szybowali nocą do bramy piekielnej.

Ledwo przeszli przez zwodzony most, zaroilo się dokoluśka nich od czartów, aż było czarno. Poniektórzy, co to Matusza znali jeszcze z niegdysiejszych czasów, pokpiwali, że dopiero teraz mu Lucyfer przytrze rożków, inni stroili sobie żarty z jego kapoty i tej kraciastej czapy, a najmłodsze diablęta pod-/ śmiewały się, że czuć go człowieczyzną. Znikąd dobrego słowa, ' dobrego spojrzenia, ta hołota diabelska czegoś takiego nie zna!

Zrobiło mu się jeszcze smętniej, gdy sobie przypomniał jaki mir miał między chłopami u kowala czy w karczmie dalska-backiej. A teraz będzie musiał na wieki zostać między tą kosmatą kompanią, bo Lucyfer na pewno nie puści go już z powrotem między ludzi. Na domiar złego Matusz odwykł już przez długie lata od piekielnego dymu i smrodu, szczypało go to w oczy i dusiło, aż dziw, że go nie zmoły nudności.

Zaraz go wzięli pod pachy i prosto do Lucypera. Najstarszy diabelski ober siedział na tronie, a że to było w czerwcur kiedy lęgnie się mnóstwo much i wszelakiego innego szkaradzień-stwa, miał ich na sobie i dokoluśka zatrząsienie. Raz po raz opędzał się ogonem, a jeśli tylko jaka mucha uwięzła mu między pazurami, ze smakiem rozgryzał jak rodzynekę. Gdy Matusz to zobaczył, zaczęło go mdlić w żołądku.

— Padnij na kolana, bestio diabelska i bij pokłony przed moim majestatem — rozsierdził się Lucyfer na biednego Matusza, który już zapomniał, co się należy księciu piekielnemu.

Ale dwaj diabli tak go galancie szturchnęli kułakami pod żebra, że Matusz faktycznie padł na kolana. Zleciała mu przy tymvz głowy ta jego piękna czapa i Matuszowy feler wyszedł na jaw przed calutkim piekłem.

— Nie ma rogów! Nie ma rogów! — rechotali wszyscy diabli,
75

bli, co się pomieścili w Lucyperowej komnacie i przekazywali tę wieść tym, którzy tłoczyli się za drzwiami. W jednej chwili całe piekło o tym wiedziało.

— A gdzie masz ogon, potworo? — zagrział Lucyper. Piekelnicy zdarli z Matusza spodnie tak żywo, że mu wszystkie szwy popękały.

— Ma ogon obcięty jak pies myśliwski! — szło znowu przez całe piekło.

Biedny Matusz, czy właściwie Kuny Gund, nie wiedział, gdzie oczy podziać ze wstydu.

Lucyper strasznie się rozgniewał, że Kuny Gund okrył piekło taką sromotą. Nie chciał słyszeć żadnych usprawiedliwień, z miejsca chudzinę Matusza kazał wtrącić do czarnej dziury, że niby jutro będzie sądził go najwyższy trybunał piekielny.

Sędziowie wzięli Matusza w obroty, aż się z niego kurzyło. Zaraz na początku sam pokpił swoją sprawę, kiedy zapytali jak się nazywa.

— Ma... Matusz! — wyjąkał zastrachany, a że sędziowie zaczęli przewracać białkami, dodał pośpiesznie: — Matusz od Plajznerki.

Dopiero gdy na niego wrzasnęli, opamiętał się nieco:

— Kuny Gund... Kuny Gund czy Matusz, jeden diabeł! Oskarżenie tak naprawdę to nie stało na mocnych nogach,

bo Kuny Gund cały ten czas, kiedy go w piekle nie było, spędził w Dalskabatach, jak miał przykazane w dyrekcyi piekielnej, toteż nie można go było obwiniać, że się od piekła wymigiwał. Za to w pięć całych paragrafów od a do zet tego biednego golca ubrali. Że niby sto sześćdziesiąt pięć lat zaniedbywał się w straszaniu od jedenastej do północy, kiedy wedle przepisów miał podczas szarug latać dokoluska chałupy jako bezgłowe psiskor a przy pogodzie suchej jako ogniste pomiotło.

Oskarżycielem był doktor Solfernus, a był to znany hycel, który ofiary tak łatwo nie wypuszczał z pazurów, choćby dopadł psa z kulawą nogą. Zgodził się wprawdzie, że oskarżony nie ma zbyt tęgiego pomysłu, ale zaraz ruszył z kopyta i wlepił mu okoliczność obciążającą za to, że samowolnie obla-

76

mał sobie rogi. Włos po włosku rozbierał też diabelski ogon załamując nad nim ręce, choć musiał uznać za niedowiedziostwo, by Kuny Gund go upitolił własną mocą piekielną czy w diabelskiej przewrotności dla uczynienia tegoż jaką duszyczkę niewinną nakłonił albo też komu nieczystą siłą wiedziony urzezać go przyzwolił.

Sąd się ciągnął jeden dzień, drugi, trzeci, gdyż doktor Solfernus chciał z tego zrobić głośną i wielką hecę. A im dłużej to trwało, Kuny Gund coraz gruntowniej się wkopywał. Okazało się, że odmawia żarcia francuzów i szwabów, ba, żeby tylko, wprost brzydzi się nimi, bezwstydnie zaś wychwala kluski z sosem koperkowym albo z twarogiem, co jest u diabła niesłychane. Wydało się też, że obraził Jego Jaśnieogństwo Lucypera oświadczając: „Fuj, on wpięprza muchy!”. Na dobitkę wyszły na jaw rzeczy o niebo groźniejsze i straszliwsze. Mianowicie, że Kuny Gund zwykł kumać się z chłopami, że pomagał ludziom w kuźni czasem za pieniądze, a czasem — o zgrozo! — za haniebne Bóg zapłać, że lubi pracować, że nie zapiekł się w sobkostwie, że zaprzyjaźnił się z babą, kowalem, karczmarzem, szewcem i furmanami, że wyuczył się kilku rzemiosł. I wrzepił mu sąd szatański pięćset osiemdziesiąt lat, aż huknęło. Usłyszawszy wyrok, zbladł nawet adwokat diabła, a Matusz spuścił nos na kwintę i żałośliwie nim siąkał. A gdy się go zapytali, co on na to, rzekł ze skrucą:

— Nic nie poradzę... trza to odsiedzieć, skoro nie ma innego wyboru. O jedno tylko bym upraszał, dajcie mi na czas tej odsiadki jakąś pracę, mógłbym na ten przykład diabłom kopyta ostrzyć, wtedy szybciej mi to zleci. I żebym mógł tak raz na rok wyskoczyć za kamratami do dalskabackiej karczmy...

— Wodź ich na pokuszenie?

— Skądże, pokrzepić się na duchu!

Tu zerwał się najstarszy Lucyper i w krzyk, aż mu z gęby płomienie bluzgały:

— Na zbity pysk wygońcie go z piekła, bestię diabelską! Tego dydka i sam diabeł nie zrozumie! Toż to wyrodek, ta baba nam go do imentu uczyłowieczyła!

77

Złapali miłego Kunyngunda, a właściwie już znów Matusza, i jednym zamachem wyrzucili go jak psią skórę na śmietnisko przed bramą piekielną. Matusz rymsnął na plecy jak wór, tylko mu w oczach gwiazdeczki się zaiskrzyły. I zaraz brama piekielna z hukiem się zatrzaskała.

A on wstał i kuśtykając raz na lewą, raz na prawą nogę smarował do Dalskabatów do baby Plajznerki, do kamratów w karczmie, do tego złotego rzemiosła kowalskiego. Oczy mu się świeciły z radości, a gdy już odszedł od piekła spory kawałek, że już go tam nie mogli usłyszeć, jął szelma równo pod nogę podśpiewywać sobie:

Kluski z koperkowym sosem to bym cięgiem jadł i jadł!

Czeski Honza

W pewnej wsi nad rzeką, w nędznej chałupinie pod skałą żyła biedna wdowa ze swoim synem Honzą. Ojca mu zabiło drzewo w lesie, gdy Honza jeszcze koszulę w zębach nosił, toteż całe dzieciństwo przeharowali z mamą u wieśniaków. Mama pracowała, aż jej w krzyżu trzeszczało, a Honzik musiał jej pomagać, jak tylko umiał i mógł.

Kiedy już był większy, zniechęciło mu się służyć u pazernych chłopów. Wyszperał w domu tatową drwalską siekierę na długim stylisku, przeciągnął ostrze na bruku i zaczął jak tato chodzić do lasu i żywić się chlebem drzewnym. Matka po kryjomu popłakiwała, bała się, żeby Honzy nie spotkało nieszczęście, tak jak jej nieboszczyka męża, ale że z czegoś musieli żyć, a ją samą już siły opuszczały, nie dała nic po sobie poznać. Honza rósł i nabierał krzepy na całym ciele, aż miło. Toż się za nim oglądały dziewczęta z dziewięciu wsi, kiedy przez pola zaszedł na jaką zabawę! Miejscowe chłopaki patrzyły wilkiem na przybysza z Oubienic, ale jego krzepa osadzała ich w miejscu.

A jeśli który zaszurał, zaraz im Honza dawał bobu. A potem wyśmiewał się z nich w śpiewce, którą pięknie solo przed kapelą wywodził:

Chodem tu z Oubienic sam, zjeść się w kaszy nie dam wam,

79*

jeśli który ze mną zadrze, raz dwa wepchnę go w zanadrze, a za pasem zmieszczę trzech, będą ludzie mieli śmiech!

Jednakowoż razu pewnego do wsi przyszli cesarscy werbownicy na pobór rekruta do dalekich koszar. Kolej była akurat na oubienickiego sołtysa, żeby dał swojego młodszego syna Marcina. Nie bardzo mu się to uśmiechało, więc zawołał na bok kapitana od werbowników i wcisnął im w garść spory mieszek dukatów. Przy tym szeptem mu poradził, aby zamiast Marcina wzięli Honzę od starej wdowy, tak krzepki wojak uraduje oko cesarza pana.

Po prawdzie to do Honzy prawa nie mieli, bo był jedynym synem i żywicielem biednej wdowy. Ale czy mógł biedak u panów dochodzić swojego? Zaczaili się na Honzę, kiedy

wracał na wieczór z lasu, i chcieli go wziąć przemocą. Ale Honza im się wyrwał, tym najbliższym trzask-prask dał po uchu i uciekł. Myślał sobie, że już jest ze wszystkim kwita. Ale kapitan z pustymi rękoma wracać nie mógł, rekruta musiał mieć. No to posadził werbowników w gospodzie i za sołtysowe pieniądze kazał nalać każdemu kwaterek wina na kuraż, że niby nocą cap-ną Honzę w domu. Gdy zapadł mrok, przyszykowali sobie powrozy, żeby Honzę związać, i z szablami i flintami ruszyli na wdowią chałupę. Dokoluśka ją najpierw otoczyli, po czym pod doboszowe bębnienie zaczęli brać zagrodę szturmem.

Honza z mamą już spali, ale ten łomot ich zbudził. Matka wyrzawszy za próg, ledwo zdążyła dźwierze werbownikom przed nosem zatrzasnąć. Werbownicy walili, ba, nawet siekli szablami i krzyczeli jak szaleńcy, żeby im wdowa otwarła po dobroci, bo niby dla Honzy i tak nie ma ratunku. Mama buchnęła płaczem, że jej jedyne dziecko zwiążą i zaciągną do wojska. Na widok maminych łez Honza powiada:

— Ani mi się śni cesarzowi służyć. Zostańcie tu, matulu, z Bogiem, ja ucieknę w świat, jakoś sobie poradzę!

.80

— Honziczku złoty, toć ońi ciebie zastrzelą, ledwo głowę za próg wyściubisz!

— Skąd, mamu — zaśmiał się Honza — na mnie jeszcze kulki nie ulano!

Złapał oburącz szafę, jednym podrzutem przystawił ją do drzwi, które werbownicy siekierami już rozrąbywali, i zamia-rował wyskoczyć oknem na tę stronę ku rzece.

Struchlała matka zaczęła grzebać w starej komodzie, skądś ze dna wyciągnęła czerwoną tasiemkę z białą kościaną fujareczką na tej tasiemce i duchem zawiesiła ją Honzie na szyi.

— Weź to, Honziczku, weź to ze sobą! To chrzestny podarunek od jednego pątnika, który był ci za kuma. Kiedy cię życie zapędzi w straszne tarapaty i opadną ci już ręce, masz zaświstać na tej fujarce, a on ci przyjdzie pomóc!

Honza ucałował matkę, fujarkę wsadził za koszulę i pospieszył do okna. Ale wtem werbownicy wybili je od zewnątrz i kapitan z obnażoną szablą skoczył do izby. Tuż za nim wepchnął się dobosz z bębniem, okrutnie wojowniczy po wineczku. Honza wziął w łapska dobosza, zerwał z niego bębni aż dobosz fajtnął na polepę, i nim się kapitan tą swoją kosą zamachnął, nadział mu Honza bęben na łepetynę. Nie czekając, co będzie dalej, jednym susem wypadł na dwór. Wokół chałupy czaili się werbownicy jeden przy drugim, ale Honza przykucnął, temu najbliższemu podciął nogi i nim się reszta połapała, smyr-gnął z obejścia i skoczył do rzeki.

Płynął na drugi brzeg co sił. Ale wojacy nie dawali za wygraną. Skoczyli na prom, a w ślad za Honzą wypuścili do wody całą sforę złych ogarów i chartów. Honza szczęśliwie dopłynął do brzegu i wbiegł do lasu, ale psie ujadanie goniło za nim trop w trop. Gałązki siekły go po twarzy, pod nogami zapadało mu się trzęsawisko, błoto bryzgało mu aż nad głowę, ale Honza biegł i biegł. Werbownicy zostali daleko w tyle, za to charty były coraz bliżej. Już myślał, że przyjdzie mu się poddać, bo zupełnie opadł z sił.

Naraz ujrzał przed sobą w leśnej ciemności migające światełko. Rzucił się w jego stronę ostatnim zrywem. Była to jakaś

6 Bajki czeskie

81

walącą się buda, taką nawet we dnie lepiej omijać z daleka. Honza z duszą na ramieniu przypadł do dźwierzy i psom przed samym nosem wśliznął się do środka.

Zaraz zmiarkował, że dostał się z deszczu pod rynnę. W izbie stały przy piecu dwie ławy, a na każdej chrapał diabeł i to tak głośno, aż w uszach drapało. Ale dla Honzy, któremu charty już skrobały marchewkę, nie było odwrotu. Jednym susem wdrapał się na piec i duchem przycupnął za starymi gałganis-kami, wiszącymi tam na drążku. Była to ostatnia chwila. Charty i ogary, węsząc Honzę za progiem, podniosły skowyt jak opętane i coraz natarczywiej skrobały w dźwierze. Z lasu nadciągał raban i rejwach kompanii werbowników. Zaklinali się, że z tej budy to już im Honza się nie wymknie, a gdy się zbliżyli na zasięg strzału, zaczęli z gwe-rów kropić w gonty na postrach. W Honzie duszyczka się skurczyła jak ułęgałka, bo przy takiej zgrai z flintami cała jego siła nie była warta borowej szyszki. I czynił tylko to, co mógł; wciskał się w kąta za diabelskimi szmatami i nawet nie dychał z bojaźni.

Kiedy werbownicy zaczęli walić w dźwierze, w dole na ławie ocknął się jeden diabeł, koślawy, kudłaty i rogaty jak cap. Zerwał się z ławy, szturchnął tego drugiego, jeszcze bardziej kudłatego i powiada:

— Bracie, wstawaj, ktoś się do nas dobija!

Dostawszy sójkę w bok, drugi diabeł skoczył na równe nogi, przez chwilę nasłuchiwał, a potem burknął:

— Pożycz mi tego płaszcz, bracie, coś na nim spał, pójdę popatrzeć, co się tam dzieje!

Wziął z ławy stary zamszowy płaszcz, wystrzępiony i okrutnie wyszmelcowany i zarzucił go na ramiona. Ledwo to uczynił, w oczach Honzie znikł, jakby się zapadł pod ziemię. Za mo-mencik był już z powrotem, zdjął płaszcz i niewidzialność go opuściła, jak ręką odjął. Powiada do drugiego diabła:

— Jakaś hołota tu się nam zwała! Mają psy i flinty, naj-pew iej chcą nas wykurzyć z naszej chałupki. Zdejm torbę, bracie, i daj im co na odczepnego!

82

Honzie oczy wyłaziły na wierzch. Diabeł podszedł do ściany, gdzie wisiła na kołku stara podarta torba, w sam raz dla wędrownego chudziny na żebry za chlebem. Gdy ją diabeł zdjął i trzepnął w nią dłonią, z torby piorunem wyskoczyło pięciu czerwonych huzarów. Wyciągnęli pałasze, oddali diabłu salut i posłusznie spytali, co pan każe.

— Wystarczy tych pięciu, bracie? — zwrócił się diabeł do tego drugiego, co przed chwilą był na dworze.

— A skąd! Tam ich jest ze dwa tuziny, a jeszcze mają psy! Na to ten pierwszy koślawiec zaczął walić i walić w torbę.

Za każdym uderzeniem wyskakiwało pięciu nowych huzarów. Salutowali, po czym odmaszerowywali do szeregu i zanimbyś zliczył do dwudziestu, cała izba naraz była pełna wojska. Werbownicy niczego się nie spodziewali, myśleli, że Honza jest w chałupce sam jeden, toteż dobijali się do drzwi, aż drzazgi leciały. Huzarom, gdy na to patrzyli, z niecierpliwości same szable z pochwę wyskakiwały.

— Marsz tę czeladkę uspokoić! — rozkazał diabeł. Huzarzy wypadli. Z dworu dochodziło najpierw tylko ach!

i och!, tak werbownicy się przelękli, a potem też świst szabli i huk pistolców, a ma się rozumieć, że i skamlanie psów.

Po chwili huzarzy byli z powrotem i ich wódz zameldował diabłu, że tę hałastrę tani na dworze wyrąbali w pień i rozpi-rzyli. Diabeł trzepnął w torbę wykrzykując:

— Huzarzy, hop do dziury!

Wojacy posłusznie zniknęli w torbie i zrobiło się cicho jak makiem zasiał. Diabeł powiesił płaszcz i starą torbę na kołku tuż przy drzwiach, po czym obaj piekielni bracia zasiedli przy stole. Klęli przy tym, że wszystko się tu zasmrodziło ludzkim fetorem, ale nie połapali się, że Honza jak myszka przycupnął u nich na piecu.

— No to cokolwieczek się posilimy i pójdziemy straszyć! — zabelkotał ten bardziej kudłaty, wyciągnął z szuflady obrus i rozłożył go na stole. Było to zwyczajnej płócenko, a do tego nie najczyściejsze. Diabeł nad nim pstryknął palcami:

— Ucztę szykuj, obrusiku!

83

Ledwo to rzekł na płótno zaczęły wyskakiwać półmiski z jadłem, coraz to smakowitszym: pieczony kogut, kuropatewki i bażanty, schaby wieprzowe ze złociście przyrumioną skórą, małe prosiątka jakby wychuchane, cielęcina i baraninka, słowem, czego dusza zapagnie, a do tego jeszcze misy z rybami, z pasztetem, z owocami i z chlebem. A obok mis świeciły cynowe koneweczki z winem, zimniutkim, aż się rosą pokryły wieczka konewek.

Diabli przysunęli się bliżej stołu i jedli, tylko im się uszy trzęsły. Kiedy im się przejadło pieczone prosiątko, zabrali się do kogucika, a gdy i tego mieli dosyć, obgryzali skrzydełka kuropatwie i udka bażancie, przejadali to wszystko pełnymi łyżkami żurawiny i przepijali winem prosto z konewek, aż im po brodach ciekło. Honza siedział na piecu jak trusia, patrzył tylko na tę ucztę i ślinkę łykał. W głowie przy tym kłębiły mu się niewesołe myśli, jak to się dla niego wszystko skończy i czy aby nie przyplaci na ostatek własną skórą.

Ale diabli coraz bardziej kiwali się nad stołem, a w dodatku jeszcze raz nakazali obrusikowi napełnić konewki, gdy zaświeciły dnem. Pijani już na umór, zaczęli śpiewać, jakoś tak po czarcjemu, same kudłaj mudlaj rachacha, w końcu im się zaczęły plątać języki i nie minęła godzinka, a piekielne ochlap-tusy posnęły przy stole. Rogate łby zwały im się na obrus między na wpół opróżnione talerze i półmiski.

Honza zobaczył, że nadeszła jego chwila. Zrazu chciał się z tej diabelnej budy czym prędzej wymknąć, ale kiedy był już na progu, żal mu się zrobiło tego szykownego płaszcza, w którym jest się niewidzialnym. Taka rzecz przecież może się do czegoś przydać! Zdjął więc z kołka płaszcz i nałożył go na siebie. Ale wisiała tu i torba i kłuła go w oczy. Cóż, i takie huzary to nie w kij dmuchał dla biednego wędrowca. Zabrał więc również torbę i przerzucił ją przez ramię. Kiedy już wychodził z chałupki, pomyślał z żalem o cudownym obrusiku. Do trzech razy sztuka, po co go diabłom zostawiać? Skoro może służyć jadłem takim kudłatym potworom, czemuż by nie mógł równie dobrą posługę czynić poczciwemu człowiekowi?

Ale jak ten obrus zabrać, skoro obaj śpiący diabli mieli na nim oparte łby i łokcie? Wszelako w swojej śmiałości Honza wpadł na dobry pomysł. Złapał za kostur, który stał w kącie, i bez namysłu wyrzucił jednego diabła w łeb. Czort się zerwał, ale niewidzialnego Honzy nie zobaczył. I zanim zdążył przetrzeć oczy, Honza piorunem łups! tego drugiego między rogi. Ten wyskoczył w górę jak z armaty:

— Bracie, tyś mnie grzmotnął!

— Toś ty mnie grzmotnął, przyznaj się!

— Jeszcze się będziesz wypierał?

I mili kudłacze, którym się jeszcze dymiło z głowy po wińsku, porwali się za łby, szarpali się okrutniej niż dwa wściekłe psy, tylko kłaki leciały na wszystkie strony. Honza tylko na to czekał. W chwili, gdy bójka rozgorzała na całego, aż furczało, złapał obrus za dwa końce, jednym zamachem ściągnął go ze stołu i nie martwiąc się brzękiem padających na ziemię naczyń z obrusem w kieszeni zwiewał przez las. Zanim się diabli opamiętali, niewidzialny Honza był już daleko i mogli szukać wiatru w polu.

Honza rwał bez zatrzymania dobrą godzinkę, cały był posiekany od igieł i zmordowany przez dołki i korzenie pod nogami, kiedy znalazł się na cichej porębie. Było tu spokojnie, od gwiazd nad głową aż się iskrzyło, w trawie migotały latarenki świetlików, gdzieś całkiem blisko pachniała lipa. Przysiadł na odziomku, zrobiło mu się nagle strasznie smutno. Toż tak maluczko, jak odszedł od matuli, a tyle złego musiał przeżyć. Oj, czas najwyższy, żeby spotkać jakichś porządnych i pocziwych ludzi!

Gdy tak przemyślał, wydało mu się naraz, że kawałek dalej w lesie prześwituje jakiś mały ogienek. Był już przezorny, opatulił się płaszczem, żeby go nie było widać, i ruszył w stronę tego żywego światełka, żeby przeniuchać, co i jak. Kiedy podszedł blisko, ujrzał, jak wokół maluśkiego ogniska grzeją Się trzej biedni wędrowcy.

Jeden z nich to był istny wyrwidąb, nogi miał jak jesionowe pnie, tułów jak kadłub stuletniego drzewa, a ręce, rany bos-

84

85

kie! — jak drewniane szufle do zgarniania zboża na klepisku. Był to doprawdy olbrzym, tyle że z oczu mu nie patrzyło źle jak straszny wielkoludom, były pocziwe i łagodne; z jego spojrzenia zaraz byś mógł odgadnąć, że to nie może być zły człowiek.

Drugi o tyle był szerszy, o ile był niższy, w pasie przypominał beczkę na kiszoną kapustę, za to gębę miał okrągłutką i łakomą. Trzeci był cienki jak scyzoryk, mógł się przebierać za biczyskiem. Oczka, czarne jak tarki i połyskliwe jak jaśniepańskie guziki, bystro świdrowały. Za to włosy na głowie sterczały mu jak włosie na murarskim ławkowcu. Siedział jak raz na klęczkach i próbował cygankiem pokroić na trzy równe części kawałek chleba, leżący przed nim na chuście.

Kiedy to Honza zobaczył, rzekł sobie w duchu:

— Nie ma co, są to pocziwcy, skoro mogą takim kawałt-kciem chleba sprawiedliwie się dzielić. Gdyby to byli jacy rozbójnicy albo łotrzykowie, ten wyrwidąb sam chapnąłby pajdę, a pozostałym \y nos by się śmiał, żeby się napaśli trawą! Cóż, usiądę z nimi, a jeśli się okażą naprawdę porządnymi ludźmi, na jakich wyglądają, zaproszę ich na jaką przekąskę!

Odszedł parę kroków w ciemność, płaszcz złożył do pustej torby i umyślnie zaczął potykać się o korzenie i szeleścić gałazkami, żeby wyglądało, że dopiero teraz nadchodzi. Tamci trzej zwrócili w jego stronę oczy i kiedy stanął w świetle, pierwsi go pozdrowili.

— Dobry wieczór, przyjaciele — rzekł na to Honza — już od dłuższego czasu błąkam się po lesie i pewnie łąziłbym tak całą noc, gdybym nie ujrzał waszego światełka. Jestem biedakiem, tak jak i wy, pozwólcie mi przy sięść się do ogniska!

— Ależ siadaj — powiada wyrwidąb — miejsca tu mamy więcej niż sam król na dworze i fotele o wiele szersze! Słuchaj, Trzęsipiórku, pamiętaj o tym młodzieńcu przy podziale chleba.

— Bądź spokojny Kujbabo — odparł chudzielec, który zwał się Trzęsipiórek — i bez twojego przypominania pamiętałem. Zresztą i tak na cztery części podzielić łatwiej niż na trzy!

86

I

I już podawał Honzie kawałek chleba, niewiele więcej rżby się zmieściło za paznokciem.

— Jedz, przyjacielu! Jutro chyba będzie bogatsze. Może tu w nocy dokoluśka wyrosną jakie surojadki, rano upieczemy je na kamieniach i będziemy ucztować jak książę!

Wzruszyło Honzę, że podzielili się z nim tą ociupiną, którą mieli. Uwalił się na ziemię obok wyrwidęba Kujbaba i obok grubaska, którego nazywali Waligrochem, wszystkim po kolei grzecznie podał rękę i powiada:

— Dziękuję wam, przyjaciele, za ten chleb. Nic tak nie smakuje, jak to, co człowiekowi dadzą ze szczerego serca. A że jesteście ze mną tacy serdeczni, to teraz ja was zapraszam na wieczerzę!

Sięgnął do kieszeni, rozłożył obrus na igliwiu i nad nim:

— Ucztę szykuj, obrusiku!

No, samiście powinni byli zobaczyć, jakich specyjałów na-rychtowali Honza z obrusikiem diabelskim. Czterykroć pod rząd go rozkładał, żeby żaden z nich nie musiał niczego zazdrościć drugiemu, zgotował podróżnym towarzyszom ucztę, na jakiej by sam król nie przestawał palców lizać! Zdziwieni wędrowcy nie mogli od Honzy oczu oderwać, ale kiedy im po prawdzie powiedział, jak to płócienko zdobył, ochotnie zabrali się do jedzenia. Kosteczki rzucali za siebie mrówkom, resztki kurczął lisom, a czego nie byli w stanie zjeść Honza, Kujbaba i Trzęsi-piórek, opchnął ze smakiem Maciej Waligroch.

Podczas tej uczty opowiadali sobie galancie, co który umie i kim jest. Ten wyrwidąb, Piotr Kujbaba, to był kowal, a krzepę miał taką, że potrafił jednym zamachem młota wbić w ziemię całe kowadło, a podkowy rozrywał jak precle.

— Żeby mi tylko ta moja siła na co się mogła przydać! Błąkam się i błąkam po świecie i ani rusz nie mogę znaleźć porządnej pracy, śpię po lasach i piję ze źródeł jak ta zwierzyna leśna, a na ząb mam tylko to, co wyżebram! Gdyby mi tak kto powiedział: Kujbabo, masz tu kupę żelastwa, wykuj tysiąc lemieszów od niedzieli do niedzieli! Ho, to dopiero byłoby świę-

87

to, wtedy dopiero bym wiedział, że jestem naprawdę człowiekiem!

Maciej Waligroch, ten grubasek, był piwowar czy kiem:

— A ja znowu potrafię wlać w siebie każdą piwa, jak gdyby to był jeden kufel. A gdybym chciał, umiałbym go wybryznąć z powrotem aż tam, pod czub tego najwyższego świerka.

Chudzielec Kuba Trzęsipiórek był to krawczyk, mistrz igielka. Ale że krawiectwo w tym czasie przydawało się psu na budę, bo stare łachy baby w domu potrafiły same przenicować, a na nowe nikomu nie starczało grosza, Kuba nauczył się także dmuchać w trąbkę, którą nosił ze sobą w węzełku. A umiał ci na niej grać i do marsza, i do tańca, i do śmiechu, i do płaczu, i do różańca, jak tam kto sobie zamówił albo jak samego Trzę-sipiórka napadło. Ale jak ci huknął na skoczną nutę, to nogi same szły w płas i

nawet te stare baby, co wokół pieca przesiadują na ławach i już ze wszystkich członków służy im tylko język, zaczynały podrygiwać i trząść spódnicami.

— Ja tam w żadnej specjalnej sztuce uczony nie jestem —• powiada na to Honza — potrafię jeno porządnie machać drwal-ską siekierą. Ale jeśli my we czterech będziemy trzymać się w gromadzie, to ho-ho, już tam co nieco we świecie pokażemy!

Przybili na sztamę, przepili z konewek reńskim winem, Kuba Trzęsipiórek elegancko zagrał im przed snem taką ciągliwą melodię, przy której zasypia się jak ta lala, a rano, raniuško, na jakąś godzinkę przed wschodem słońca, zgodnym krokiem wyruszyli w świat. Trzęsipiórek trąbił im rażno do marsza, a Kujbaba z Waligrochem śpiewali, aż huczało:

Za tym naszym piecem ciepło,
a na dworze mróz, a na dworze mróz,
uwiązali sześciu chłopów
na je-den po-wróz!

Sześciu chłopców za dwa jabłka,
dziewięciu za trzy,
jedno dziewczę za sto ryńskich —
każdy ku-pił-by!

88

I wędrowali tak jakiś czas po świecie wesołą gromadą, aż zaszli za siódmą górę i siódmą rzekę. Któregoś dnia, już o zmroku, przymaszerowali do bramy wielgachnego miasta, zewsząd otoczonego wysokimi murami. Z daleka widzieli, jak furmani przejeżdżają przez bramę jeden za drugim, ale kiedy oni się zbliżyli, siepacze zatrzasnęli im bramę przed samym nosem. I zaraz strażnik, co miał pieczę nad bramą, jakby naumyślnie wylazł na wieżyczkę i zaczął na całe gardło wykrzykiwać i wyśpiewywać:

Dalej od murów, dalej, jak pan król nakazali!
po czym dodał jeszcze coś jakby o żebrackich przybłędach, co już się wprawdzie nie rymowało, ale tym żywiej spieniło w naszych przyjaciółach krew.

— Co ty na to, Honzo, prześpimy się pod murem albo też mam spróbować, czy tę bramę da się otworzyć? — zwrócił się Kujbaba do Honzy, którego cała trójka uważała za swojego przywódcę.

Honza podrapał się w kędziory:

— Ano cóż, toż i oubienicki proboszcz kazał: Stukajcie, a będzie wam otworzone!

Otwórz, a gdyby co, stukniemy tych siepaczy zdrowo!

Kujbaba podszedł do bramy, zaparł się kolanem o lewe skrzydło, prawe chwycił za żelazne kółko, naprężył się, aż mu w krzyżu zatrzeszczało, i rozwarł przemocą bramę. Na widok takiego siłacza wartowni siepacze wzięli nogi za pas, a Honza z kompanami bez niczego weszli do miasta.

Uuu, to było jakieś smutne miasto! Domy tu mieli sztywne, kamienne i murowane, pełno ulic, rozdroży także, ale ludzie tu jakoś tak bojaźliwie skradali się po ulicach, nikt się nie uśmiechnął, nie powiedział dzień dobry, zupełnie jakby to nie były żywe stworzenia, ale strachy i widziadła.

I wszędzie na ulicach siedziało pełno żebraków i wszelakiej nędzy ty, co to już nawet nie prosiła o wsparcie i ręk nie wy-

89

ciągała po jałmużnę, tylko patrzyła się przed siebie mętnymi oczyma. Honzie żal było tych ludzi, widział, jak im z oczu patrzy kumoter głód. A że z tłustego obiadu schował co nieco do torby, wyciągnął kurczę smakowicie upieczone i podał je bladej nędzarce, klęczącej na rogu ulicy z małą dziewczuszką. Ale żebraczka nie tylko że nie podziękowała Honzie za ten podarunek, ale z okropnym przerażeniem zakryła sobie oczy, żeby nawet nie oglądać pieczonego kogucika.

— Zaszliśmy, braciszku, do jakiegoś dziwnego miastal — westchnął zdumiony Honza.

Ale że byli całodzienną wędrowną drożnicą, nikogo o nic nie pytali, uprosili tylko w jednej gospodzie, żeby im w stajni pozwolono odpocząć i się przespać. Na drugi dzień rano, jeszcze przed pianiem kogutów, zbudziło ich głośnie tarabanienie w bęben.

— Co się dzieje? — zerwali się ze słomy na równe nogi i pognali przed gospodę, żeby niczego nie przeoczyć.

Był to przesmutny widok! Za dobozem, który młócił pałeczkami w oślą skórę, szli dwaj siepacze z halabardami, za nimi czterej katowscy pacholki w szkarłatnych kapturach, a pośrodku tego zastępu dreptała chwiejnie młodzianka dziewczka. Na rękach miała okowy, oczy splakane, nogi ugięły się pod nią ze zgrozy. I choć tak rzewnie płakała, była piękna jak obrazek i ledwo ją Honza ujrzał, zamarło w nim serce.

— Co zrobiła ta ładniuczka dziewczka, że ją dali w ręce kata?

— Ty nie wiesz? Toż to jest Małgorzatka, służka królowny! Uszczknęła po kryjomu pieczonego kurczątko, które królowna kazała zabrać ze stołu!

— I za to ma być stracona? Czyżby w tym mieście wszyscy powariowali? — zasmucony Honza o mało co by nie parsknął pustyni śmiechem.

Ale ludzie od niego czym prędzej się odsuwali, jak gdyby bali się być w pobliżu takiego wichrzyciela. Honza duchem złapał ze stajni torbę z płaszczem i razem z kompanami ruszył w ślad za żałobnym pochodem na miejsce straceń. Małgorzatka już stała pod szubienicą, blada jak woskowa świeca, smut-

90

nymi oczyma po raz ostatni rozglądała się po ludziach, kiedy sędzia jej odczytywał wyrok.

Dopiero teraz czwórka naszych przyjaciół dowiedziała, się, że nikomu z prostego ludu pod karą śmierci nie wolno w tym mieście zjeść ani kawałka mięsa. Król Lambrechtus, który tu panuje, ma, jak powiedziano Honzie, straszliwego dziewięcio-głowego smoka na swoim grodzie, a ten smok ponoć ma. zostać królewskim zięciem, małżonkiem królowny Eufrozyny. A z tym smokiem to nie przelewki, dzień w dzień zżera stado bydła, trzodę wieprzów, kierdel owiec, a jeszcze na wierzchu musi mieć stertę drobiu! Król Lambrechtus ma stracha, że przy tych porządkach sam wkrótce zostanie bez dań mięsnych i dlatego szarym ludziom zabronił jeść mięso. Kogo na takim przestępstwie przyłapią, ten na własnej szyi rychło się przekona, jak umie polećtać konopna przepaska! Tylko arystokracja dworska, dobrze urodzona szlachta i królewscy dworacy mają po-zwolone posmakować sobie mięska, a oprócz nich jeszcze tylko kaci i siepacze, żeby król mógł utrzymać porządek w mieście.

Dla Honzy, jak i dla Kujbaby z Waligrochem i Trzęsiopór-kiem, było to wszystko śmiechu warte, ale teraz nie czas był na to. Sędzia kończył czytać wyrok:

— ...i za to przestępstwo, jak postanowił król, ma być powieszona na szubienicy!

Złożył papier, a kat przystąpił do Małgorzatki, aby jej nasadzić na głowę pętlę. Chudzinka płakała, ręce składała błagając, żeby jej nie zabierali młodego żywota przez taką bagatelkę, toż tylko oblizała kosteczkę i nic więcej. Ale wszystko jak groch o ścianę.

— Przyjaciele! — krzyknął Honza — przecież na to nie mogę patrzeć z założonymi rękoma!

Kujbaba z Waligrochem żwawo się rzucili mu pomagać, ba, nawet ten Trzęsipiórek zakasywał rękawy do bójki, ale Honza zarzucił na ramiona płaszcz i w tej sekundzie znikł, jakby się pod nim ziemia rozstała.

A tu na rusztowaniu kat już wchodził na drabinę, żeby zaczepić powróż na belce. Ale co to? Kiedy wyciągnął rękę ku

91

belce, drabina naraz wyskoczyła mu spod nóg, kat na złamanie karku zleciał w dół, a Małgorzatka... Gdzie jest, do stu piorunów, Małgorzatka? Zniknęła nagle z samego środeczka rusztowania i nie zostało po niej ani słychu, ani dychu... Ludzie zaczęli podbiegać, rzucać w kata kamieniami, siepacze mieli pełne ręce roboty, zanim odepchnęli ciżbę o parę kroków do tyłu, ale nikt nie potrafił uczciwie powiedzieć, co tu się właściwie przytrafiło...

A tam, nic się nie przytrafiło! To Honza, niewidzialny w diabelskim płaszczu, w ostatniej chwili wbiegł na rusztowanie, wykopał spod nóg katu drabinę, przycisnął do siebie Małgo-rzatkę i okrył ją opończę-niewidką. Małgorzatka nie wiedziała, co się z nią dzieje, jeno że zarzucił na nią płaszcz jakiś śwarny chłopak, który mignął jej przed oczyma. Ale jak Honza szepnął: „Uciekajmy!”, bez wahania zaczęła z nim zmykać z miejsca straceń. Zatrzymali się dopiero na trzeciej ulicy, gdzie już nie było ludzi. Honza powiedział, żeby Małgorzatka na razie sobie opończę-niewidkę zostawiła, póki bodaj trochę nie uspokoi się ta wrzawa w mieście, a potem niech mu ją odeśle albo raczej sama przyniesie do gospody „Pod Murzynkiem”, gdzie on i jego przyjaciele spali ostatniej nocy, tam już będą wiedzieli, jak zapyta o Honzę. Małgorzatka miała pełne oczy tego śwarnego młodziana, co jej ocalił życie, i najchętniej ze wszystkiego dałaby mu buziaka. Ale sromała się, więc tylko mu pięknie podziękowała, miło się do Honzy uśmiechnęła i zniknęła mu przed oczyma...

Honza powrócił na miejsce straceń, żeby poszukać swoich kompanów. Już z daleka ich zobaczył w tłumie luda, jak dla hecy okładali kuksańcami królewskich siepaczy. Ledwo Honzę ujrzeli, pierwszy Waligroch dał sobie spokój z zabawą i podskoczył do Honzy, bo już mu okrutny głód doskwierał. Więc niechaj Honza bodaj gdzieś w kątku rozłoży obrus, gdyż Maciej ze swoim maćkiem już sobie rady dać nie może, tak mu w nim kruczy. Ale Kujbaba się nachmurzył:

— A mnie by teraz mięso przez gardło nie przeszło, kiedy pomyślę, ile tu ludzi jest głodnych!

92

— No cóż — uśmiechnął się Honza — wszak możemy ugościć wszystkich, choćby król pękł ze złości! Będzie to poczęstunek od nas, wykuglujemy to sami, a do nas on nie ma prawa!

Jak powiedzieli, tak i zrobili! Kuba Trzęsipiórek wyciągnął swoją trąbkę, przecisnął się przez strażników, wskoczył na rusztowanie i odtrąbił taką intradę, aż dokoluśka wszystkie okna drżały. Ludzie myśleli, że zjechali jacyś kuglarze, i od nowa zaczęli się

tłoczyć wokół rusztowania. Teraz Honza zaczął swoje sztuczki z obrusikiem. Rozkładał go raz przy razie od jednego do drugiego końca rusztowania, bez przerwy powtarzając: „Uczę szykuj, obrusiku!”, i ledwo doszedł na koniec, zaczynał w drugą stronę i tak chodził tam i z powrotem, aż całe rusztowanie wokół szubienicy zapełniło się kopiastrami mięsiwem. Pod ciężarem srebrnych półmisków uginały się deski, a zapach pieczeni rozchodził się po całym placu, aż się z tego ludziom zaczęło w głowie kręcić. Takiej smakowitej woni od dawna już nikt tu nie wachał. Zapach z placu rozplątywał się po okolicznych ulicach, sklepach, warsztatach rzemieślniczych, gospodach i szpitalach i kto tylko miał nogi, pędził na rynek. Szewcy zostawili buty, stolarze strugi, golibrodzi na pół namydlonych klientów, ba, nawet kościelny powiesił na kołku kadzielnicę i gnał na czele ministrantów za innymi mieszczanami.

Kuba Trzęsipiórek stał na rogu rusztowania i przygrywał na swej trąbce tak słodko i przejmująco, że ludziom zagrała w żyłach krew, kobiety zapłonęły rumieńcami, a mężczyznom same nogi jęły podrygiwać. W końcu Honza musiał mu kazać przestać, boby ludzie tylko podrygiwali i hopsali nic nie jedząc. Trzęsipiórek tedy przestał, ludzie przysunęli się do samego rusztowania i tak wachali, aż im łzy z oczu płynęły. Honza się jeno śmiał:

— Patrzcie państwo, odpust co się zowie! Takiego nie ma nawet u nas, w Oubienicach! I zaraz ludzi zapraszał i częstował, i zachęcał, żeby śmiało brali, na co mają chrapkę, kurczę czy jagniątko, gąskę, prosiąt-ko, kwiczoły bądź kuropatewki, kiełbasy albo wątrobianki. I że-

93

by się nie bali, bo to nia od króla, ale od niego, od Honzy ten smakowity gościniec. Ludzie stali jak wryci połykając ślinkę, wszelako nie odważali się niczego tknąć, tak byli podszyty strachem. I pewnie by nikt nawet kosteczki nie polizał, gdyby nie szkraby. Ale nad dzieciarnią nie zapanuje nawet ten najsroższy król. Brzdące poprzeciskały się ludziom pomiędzy nogami aż pod samo rusztowanie, chwilę się gapily, obwąchiwały, po czym ten najodważniejszy wyciągnął rękę i najbliższemu kogucikowi urwał udko. A za nim następni. Jeden chwycił szyjkę bażanta, drugi prosięcą nóżkę, trzeci schabik barani i bez żadnych ceregieli zaczęli się opychać.

Kiedy to zobaczyli starsi, nie wytrzymali. Głód był silniejszy od strachu. Jak woda z otwartych naraz stawideł zalali rusztowanie, ten złapał to, ów tamto i po chwili cały plac od szewca po kościelnego miał gębę świecąca się od tłuszczu. Honza był szczęśliwy jak małe dziecko, że tylu ludziom zrobił frajdę. Sam wybierał dla mężczyzn najładniejsze kawałki cielęciny i wołowiny, a kobietom pchał w zapaski połówki nadziewanych kurcząt, żeby każdemu się coś dostało w podarunku.

Przypałętał się tutaj także jakiś dworak i w te pędy pognął donieść królowi, co się na dole w mieście dzieje. Król Lam-brechtus spurpurowiał od gniewu na takie zuchwalstwo i posłał cały batalion muszkietarów, żeby nie mieszkając przyprowadzili mu w okowach wszystkich tych wichrzycieli.

— Plonzo, kiepsko z nami! Królewscy muszkietarzy na nas ciągną! — chwycił Honzę za rękaw Kuba Trzęsipiórek, który pierwszy zmiarkował, że muszkietarzy kilkoma ulicami zbliżają się do placu.

— A tam, kiepsko! — zaśmiał się Honza — nie boję się tych sługusów królewskich! Ale muszkietarzy ze wszystkich stron już wmaszerowali na rynek, wyciągnęli szable i głowa nie głowa zaczęli sieć zbiegowisko, żeby utorować sobie drogę do Honzy. Na

ludzi to podziałało jak grom z jasnego nieba. Każdy rzucał, co akura-cik miał w ręku, żeby nie być przyłapanym na gorącym uczyn-

94

u, i ciżba rozpierzchła się na wszystkie strony jak stado kuropatw.

— Trzęsipiórku, zatrąb marsza! — krzyknął Honza i zaczął klepać dłonią w starą torbę. Szereg za szeregiem wyskakiwali z niej czerwoni huzarzy, a kiedy usłyszeli marsza, krew w nich zagrała niecierpliwością i rwali się wprost do walki z królewskimi muszkietierami. Kiedy ich Honza wyklepał równą setkę, sam stanął na ich czele, w rękę złapał ociekający tłuszczem udziec wołowy i dał komendę:

— Naprzód!

Huzarzy ruszyli na muszkietierów z wielgachnymi pałaszami, Honza tym tłustym udźcem poczęstował w łeb samego kapitana, aż mu na środku czoła wyskoczył siniak jak talar, i po chwili cała królewska gwardia zmiatała z placu, tylko się im spod ostróg kurzyło. Król Lambrechtus stał w królewskim oknie z lornetą i obzie-rał całą tę batalię. Gdy zmiarkował, że jego wojsko sromotnie podaje tyły, ze złości wyszedł z siebie i pobiegł do wielkiej złotej klatki, gdzie mieszkał dziewięciogłowy smok Bucyfał. Król Lambrechtus miał z tym smokiem tajną umowę, że mu będzie dawał żreć wszystko, co tylko smocza dusza zapagnie, a nawet, że mu odda królową Eufrozinę za żonę, a w zamian za to smok będzie niemiłosiernie niszczył wszystkich nieprzyjaciół króla. Ma się rozumieć, że ludowi król o tej umowie ani ruru-mru, swoim ludziom kazał natomiast rozpowiadać, że ponoć smok króla prześladowuje, że przemocą wprowadził się na jego gród, że domaga się od króla ręki królowy Eufrozyny i że król by ozłocił tego, kto by go wyzwolił od Bucyfała.

Rozsierdzony, że Honza pokonał królewskich muszkietierów, wypuścił smoka Bucyfała z klatki na dziedziniec zanikowy. Smok chrząścił i łoskotał swoim pancerzem i pluł ogniem ze wszystkich dziewięciorga nozdrzy. Rozprostował ohydne nietoperze skrzydła, machnął nimi, aż okna w zamku zadrżały, ryknął strasznie i wyfrunął z dziedzińca prosto na miasto.

— Teraz to naprawdę kiepsko z nami! — wykrzyknął bystro-oki Kuba Trzęsipiórek — leci na nas dziewięciogłowy smok!

95

— A moi huzarzy to co? — zaśmiał się Honza. — Już oni sobie poradzą i ze smokiem! A tu masz, kapitan huzarów przyskoczył do Honzy, zasalutował i powiada:

— Na tego smoka my się porywać nie mamy co, panie. Jak po nas bryźnie ogniem, spłoniemy w jednej chwili jak nowiutka strzecha!

— No, chłopcy — zmarszczył czoło Honza — widać już nic nam nie pozostaje, jak wziąć nogi za pas!

Ale zanim skończył mówić, na plac padł ogromniasty cień. Smok Bucyfał błyskawicznie przeszybował nad domami, tylko zafurczało, sfrunął na bruk gruchocząc dziewięcioma ogonami, po czym bluznął na naszych przyjaciół takim ogniem, że całe rusztowanie stanęło w płomieniach. Za późno było uciekać. Honza zmiarkował, że naprawdę z nimi kiepsko, lecz postanowił bronić swej skóry do upadłego. Skoczył do szubienicy, wyłamał górną poprzeczkę i wywijając nią rzucił się na pierwszy z brzegu łeb smoczy. Widząc to Kujbaba nie pozostał w tyle. Wyrwał szubieniczny tram z rusztowania, stanął u boku Honzy i młócili smocze makowy raz przy razie jak na klepisku.

Ale smok Bucyfał, choć go ci dwaj młócili jak żyto, nie poddał się tak łatwo. Siekał pazurami, a z rozwartych paszczy wypluwał ogień i gęsty dym łzawiący. Bierwiona w rękach Honzy i Kujbaby zajęły się płomieniami, dym ich szczypał w oczy i zasłaniał widok, płatali się obok siebie i aż dziw, że jeden drugiego nie grzmotnął. Było już z nimi całkiem źle, gdy naraz usłyszeli okrzyk Waligrocha:

— Nie poddawajcie się, przyjaciele, zaraz wam pomogę!

Baryłkowaty Waligroch nie odważyłby się skoczyć na smoka z belką jak Honza i Kujbaba, ale znał jedną piwowarską sztuczkę, która w tej chwili mogła się przydać. Pochylił się nad studnią, co stała na środku rynku, i wciągnął w siebie całą jej zawartość, jak gdyby to była kadź smakowitego piwa. Z brzuchem odętym jak bania tysiąclitrowa rozkroczył się i chlusnął z gęby silnym strumieniem wody na smoka. A że potrafił gębę

96

obracać na wszystkie strony, nacelowywał strumień dokładnie na smocze paszczęki i gasił ogień już w rozplomienionych gardzielach. Bucyfał syczał, parskął, prychał, z nozdrzy zamiast czarnego dymu wydobywała mu się biała para, ale Waligroch nie popuszczał, póki' nie zalał i nie ugasił wszystkich, choćby najmniejszych jęzorów płomieni. Jak to zobaczył Honza, rzekł sobie w duchu: Nasi górą! Teraz mógł podejść aż do samego smoczego grzbietu.

Zamachnął się belką nad głową, jakby to była lekuchna siekiera, i z całej siły rąbnął po grzbiecie przetrącając mu krzyż. Piotr Kujbaba też się nie lenił, wziął na siebie drugą połowę roboty, elegancko roztrzaskując wszystkie dziewięć łbów Bu-cyfała. Smok przestał parskać, prychać i dymić, wyciągnął po raz ostatni mazury i zastygł na środku rynku jak wykarczowa-ny odziomek dębu.

Dopieroż było radości i krzyku na całym placu! Ludzie, którzy tę walkę śledzili z okien, zza rogów ulic lub zza drzwi domów przez dziurki od klucza, gdyż bali się smoka bardziej niż króla, nie posiadając się ze szczęścia pognali na rynek i sławili Honzę jako swego obrońcę i wybawcę.

Król Lambrechtus lornetował całą tę bitwę z okna zamku. Jak ujrzał, że Honza przetrącił smokowi kościec, czyli że Bu-cyfała załatwił na amen, piorunem kazał zaprzęgać złotą królewską karete, usadził obok siebie dumną, ale przepiękną królewnę Eufrozynę, dał znak trębaczom, żeby odtrąbili królewskie fanfary, i z całą świtą wyjechał na spotkanie Honzie. Im byli bliżej miejsca, gdzie Honza zabił smoka, tym głośniej dochodziły do nich okrzyki mieszkańców. A kiedy zjawili się na placu, nieustające wiwatowanie tłumu było tak wielkie, że własnego głosu nie mogli usłyszeć.

— Niech żyje Honza! Niech żyje Honza król! — wrywało się z tysiąca ust zgodne wołanie.

Król Lambrechtus zmiarkował, że będzie musiał potężnie ruszyć głową, jeśli nie chce z niej stracić korony. Rozkazał tedy zatrzymać się, głowę pochylił i wystąpiwszy z karety, z najśłodszą miną miodowego piernika piechotą podszedł do Honzy.

7 Bajki czeskie

97

Honza, cały jeszcze usmolony od walki, ze zwisającym strzępem rękawa, który mu smok rozerwał pazurami, patrzył ze zdumieniem na króla, bo był to pierwszy król, jakiego Honza w swoim życiu widział. Król Lambrechtus go objął i ucałował, i gorąco mu podziękował, że zabił smoka Bucyfała i tym samym ulżył doli narodu. Toż on sam, Jego

Miłość Lambrechtus, strasznie od tego smoka ucierpiał. Ta bestia chciała nawet za żonę najjaśniejszą panienkę Eufrozynę. No to król woli już ją dać wybawcy miasta, Honzie, a jeszcze do tego mu przyda pół królestwa.

Honzie wydawało się, że spadł z księżycy. Królowna Eufrozyna, złotowłosa i błękitnooka, uśmiechała się do niego niebiańsko, dworacy łasili się, lud wiwatował, wszystko było jak w najpiękniejszej bajce. Honza nie wiedział, że na królu cierpnie skóra, żeby lud, rozgniewany za jego wiarołomność, nie pozbawił go korony i że płaszczenie się przed Honzą jest dla niego tylko płaszczykiem.

— Ten król jest fałszywy jak zły szeląg! — szepnął Kuba Trzęsipiórek Kujbabcie. Najchętnie by to powiedział i samemu Honzie, żeby go przestrzec. Ale było za późno, do Honzy już jego przyjaciele nie mieli przystępu. Król Lambrechtus podprowadził Honzę do złotej karety, usadził go między siebie i królowną i zaraz kazał ruszać. Widząc Honzę w królewskiej złotej karecie lud myślał, że dobra nasza, i tym głośniejszym wykrzykiwał:

—! Niech żyje Honza król!

Honza uśmiechał się jeno rozanielony. Królowna Eufrozyna podobała mu się, nigdy w życiu nie widział z bliska tak wy-pachnionej i wystrojonej panienki. A kiedy wzięła go za rękę i swoją jedwabną dłonią pogłaskała go po twarzy, czuł się ten głuptasek z Oubienic w siódmym niebie.

Kompani Kujbaba, Waligroch i Trzęsipiórek cisnęli się razem z tłumem za królewską karetą. Nie żeby Honzie zwalić się na kark, kiedy się do niego uśmiechnęło szczęście, lecz bardziej ze strachu, że może go spotkać coś złego. Jednakowoż gdy powóz wjechał w bramę królewskiego grodu, król Lambrechtus

98

kazał bramę zamknąć i lud mógł się jeno gapić na malowane wrota. Kujbaba z Waligrochem i Trzęsipiórkiem dopchali się w końcu przez ciżbę do bramy.

— Hej, pstrokacze, puście nas do środka! — wołali na królewskich odźwiernych — myśmy najlepsi przyjaciele Honzy!

Ale gdzie tam, nie wpuścili ich, ba, jeszcze Trzęsipiórek dostał halabardą po grzbiecie, kiedy chciał zwinnie wśliznąć się za ich plecami.

— Lękam się, braciszku, żeby tam Honzie czego nie wyplatali! — martwił się Waligroch.

— Cóż — pocieszał go Kujbaba — Honza nie da sobie w kaszę dmuchać! Toż ma ze sobą torbę na wypadek, gdyby go tam chciała ukrzywdzić ta jaśniepańska hałastra! A Trzęsipiórek dodał, że Honza przecie o kompanach nie zapomni. Najrozumniej będzie wrócić do gospody, bo tam na pewno Honza po nich pośle umyślnego, kiedy zechce się z nimi zobaczyć. Zabrali się tedy i poszli, bez grosza przy duszy i bez obrusika.

A w zamku Honzę zawiedli do pięknej komnaty, żeby się umył i uczesał, że niby za chwilę zacznie się uroczysta gościna na cześć jego zwycięstwa i zrękowin z królowną.

— Ale nie może tu brakować Kujbaby z Waligrochem i Trzęsipiórkiem, toż to moi najlepsi przyjaciele! — kładł na serce służebnikom Honza.

— Nie ma obawy, czcigodny panie — odparł najchytrzejszy lokaj, któremu już król Lambrechtus powiedział co i jak — pańscy przyjaciele zaszli na chwilę do gospody, żeby się trochę ogarnąć, tylko patrzeć, jak tu będą!

Królowna Eufrozyna odciągnęła króla na bok do swojej komnaty i cała zielona ze wściekłości oświadczyła, że tego gruboskórnego Honzy, co śmierdzi końskim gnojem,

nigdy w życiu nie weźmie za męża. To już po stokroć wolałaby zostać małżonką smoka Bucyfała, ten miał przynajmniej błękitną krew.

Król Lambrechtus był starym lisem. Z uśmiezkiem szepnął Eufrozynie:

— Ależ złociutka, czyżby mi mogło w ogóle strzelić coś ta-

99

kiego do głowy, żebym swoją jedyną córkę wydawał za jakiegoś śmierdzącego ćwoka ze wsi? Ale ten nieokrzesaniec zna jakieś potężne czary, które poraziły całe moje wojsko. No a poza tym... sama widziałaś, co wyprawiali ludzie na ulicach! Dziw, że mnie nie obalili, a jego nie obwołali królem! Bądź dla niego grzeczna, zmusz go do picia i popróbuj od niego wyciągnąć, na czym te czary polegają. Kiedy już te czary posiadziemy, będzie bezbronny i wtedy wtrącimy go do lochu!

Królowna usłuchała ojca, kazała Honzę przywieść do sali biesiadnej i zaraz zaczęła mu nalewać wina, że niby muszą ze sobą przepić za przyszłą zażyłość. Honza wypił raz, wypił po dwakroć i po trzykroć, cokolwieczek sobie podochocił. Królowna pierwsza zachęcała do stukania się pucharami, ale potem tylko usteczka moczyła i pilnie patrzyła, żeby Honza wychylił wszystko do dna. Po trzecim kielichu wstąpiła w niego pyszałkowatość. Wyjął z kieszeni obrus i powiada:

— Co tam będziemy czekać na królewskich kucharzy, skoro z tą gością tak marudzą? Ja mam lepszego kucharza, tu w kieszeni!

I dalej zastawiać puste stoły srebrnymi półmiskami przewspaniałych i rzadkich jadeł, zupełnie jak to uczynił rano na rusztowaniu egzekucyjnym. Królowna i król oczu nie mogli oderwać od tego cudu, w te pędy zaczęli Honzę wynosić pod niebiosy, dworacy zachwycali się obrusem, co to za niebywałe płótno, że niby takiego to nawet w Wenecji nie kupi, i że już choćby za to należałoby Honzę odznaczyć i wynieść do stanu szlacheckiego.

— Co tam, to jeszcze nic! — prostoduszny Honza wyszczerzył w uśmiechu zęby — ja z sobą noszę również swoją służbę i straż!

Zaczął klepać w torbę i przed oczyma całego jaśniepaństwa piątkami wyskakiwali czerwoni huzarzy i oddawali honory Honzie jako swemu panu. Honza im kazał odłożyć broń do kąta i żwawo zabrać się do obsługiwanego jaśniepaństwa przy stołach. Dopieroż wszystkim oczy wychodziły na wierzch! Huzarzy skoczyli, brzęknęli ostrogami i zaraz częstowali gości

100

mięsiwem i winem, jak gdyby nic innego nigdy w życiu nie robili. Po chwili ogarnęła salę taka wesołość i gwar, jakich nie uświadczą w Oubienicach nawet na poodpustowych poprawinach.

Honza ochoczo zaglądał na dno pucharów, śpiewał, aż okna brzęczały, a kiedy przyszli królewscy muzykanci, wziął na ambit, że sobie z królowną Eufrozyną zatańcuje. Ledwo królowna się zgodziła, skinął Honza na muzykantów i dziarsko huknął oubienicką przyśpiewkę:

Hop, dziewczko, ze serdaka,
ze serdaka,
każemy grać tupaka,
grać tupaka!

Dziewka serdak zostawiła,
lecz tupaka zatańczyła!

Dworacy śmiali się ukradkiem, robili miny, ale rozochocony Honza nic nie widział, myślał, że wszystkim się to podoba przynajmniej tak jak jemu. Wezwał biesiadników, żeby żwawo szli do kółeczka, bo teraz będzie się tańcować, aż stare drapa-chy po kątach się zazielenia. A kiedy podszedł jakiś generał i klasnąwszy odbijanego, chciał mu królownę zabrać, Honza wyskoczył do niego z przyśpiewką, zupełnie jak na zabawie w rodzinnej wiosce:

Choć tyś pan, a ja pachotek, nie boję się, bom nie kiep, chwycę cię za hajdawery i przerzucę cię przez łeb!

Królowna Eufrozyną uciekła do stołu, że niby ją bolą nogi. Wołała z Honzą usiąść w kącie na aksamitnej kanapce. Stuknęli się kielichami, po czym Honza chciał za wszelką cenę wymusić od królowny buziaka. Nie połapał się, że królowna nic nie pije, tylko go świdruje chytrymi oczyma i zachęca do picia. W pewnej chwili, gdy Honza patrzył w inną stronę, pochyliła

101

się nad jego pucharem i wsypała mu do wina spod oczka w pierścieniu proszek nasenny. Zanimby doliczył do dziesięciu, Hon-zie opadły powieki, jak gdyby były z ołowiu, i jął tak chrapać, że nawet królewską muzykę zagłuszał.

— Nic się nie stało, to tylko zdrowy sen po wielkiej mordędzie! — uśmiechnął się król Lambrechtus i przykazał lokajom ostrożnie i pieczołowicie przenieść śpiącego Honzę do królewskiej łóżnicy. Złożyli go bez rozdzielania, razem z torbą, na królewskie poduszki, a król z królowną usiedli przy łożu, że niby sami będą czuwać nad śpiącym bohaterem. Ledwo służba wyszła, król przekręcił klucz w drzwiach, królowna przecięła rzemień przy Honzowej torbie i zaraz klepnęła w nią rozkazująco:

— Huzarzy, hop do torby! — jak to podpatrzyła u Honzy.

Jak tylko huzarzy znikli w torbie, chciała ją królowna schować przed Honzą na dno starej komody. Ale król Lambrechtus obawiał się tych Honzowych huzarów:

— Toż ja mam dosyć swojego wojska! — powiedział do królowny — lepiej tę torbę wyrzuć do ognia, będzie z nią już spokój! Co ogień pożre, to już przepadło!

Królowna zatem cisnęła torbę do palącego się w łóżnicy kominka. Płomienie się tylko oblizwały, skoczyły i z huzarami był koniec jak amen w pacierzu.

A w sali biesiadnej dworacy jedli i pili, aż im guziki odskakiwały od portek. Kiedy już znikł Honza, a po nim zupełnie niespodziewanie również wszyscy jego huzarzy, ogarnęła biesiadników żądza posiadania tego cudownego obrusa. Królewscy rajcy i generałowie, dworskie damy, a nawet i lokaje zaczęli się o niego szarpać, każdy ciągnął za jeden rąbek, pragnąc innym wyrwać z rąk obrus, by mieć go dla siebie, i zanim król z królowną powrócili, chciwi dworacy zdolali płótno poszarpać na strzępki...

Honza chrapał w królewskiej łóżnicy i przez myśl mu nawet nie mogło przejść, co się stało z jego cudownymi podarkami. Spał i spał, i nie zbudził się ani wówczas, gdy przyszli siepacze i skrępowali go najgrubszymi łańcuchami, nie ocknął się

102

ani wtedy, gdy go już spętanego wlokły te zbiry do lochu. Rzucono go tam na zgniłą słomę, a Honza dalej chrapał...

Tymczasem Kujbaba z Waligrochem i Trzęsipiórkiem siedzieli w gospodzie „Pod Murzynkiem” oczekując, że sobie Honza

O nich przypomni i przyśle po nich umyślnego. Nastął zmrok, wybiła północ, naszym głodnym kompanom kiszki marsza grały, ale od Honzy nikt nie przychodził. Na drugi

dzień rano zjawił się w stajni, gdzie spali, pacholek gospodarza mówiąc, że dopytuje się o Honzę jakaś wiejska dziewczka, najpewniej jego krajanka.

— Przyrowadź ją tu! — rzekli trzej przyjaciele, ale kiwali tylko głowami.

Pacholek dziewczkę przywiódł. Była ładna, czarnowłosa, w policzkach miała śliczniutkie dołeczki, pośrodku głowy rozdziałek, a na szyi sznur granatowych koralików. Waligroch i Kujbaba pokręcili głowami, toż takiego stworzenia w życiu nie widzieli. Ale Kuba Trzęsipiórek, który był z nich najbystrzej-szy, powiada przezornie:

— A czy panienka przypadkiem nie czesała się wczoraj krzy-nę inaczej?

Dziewczyna się zaczerwieniła jak mak, ale potrząsnęła głową, że nie, że już od dziecka czesze się tak samo.

— Nas się panienka bać nie musi — uśmiechnął się Trzęsipiórek — myśmy Honzy przyjaciele i strasznie nas ucieszyło, gdy Honza panienkę wczoraj z tego nieszczęścia wybawił.

Okazało się, że Trzęsipiórek ma rację, była to Małgorzatka, służka królowny. Jeno się u ciotki przebrała za wieśniaczkę

1 włosy sobie przeczesła, żeby jej nie poznano, i przyszła oddać Honzie ten jego cudowny płaszcz.

— Ach, Honza! Złociutka, jemu już na niczym nie zbywa, nad naszym Honzą możemy postawić krzyżyk! — szczerze westchnął Kujbaba — siedzi sobie teraz z królowną na zamku, a królewski krawiec bierze mu miarę na ślubny przyodziewek!

Małgorzatka zbladła jak płótno, krwi by się w niej nie do-rzeżał:

103

— Z naszą królowną? Z tą dumną okrutnicą, co mnie wczoraj na szubienicę posłała? To niemożliwe!

—! Niemożliwe! Toż go zabrała sobie wczoraj w królewskiej karecie, ledwo Honza zabił na rynku smoka!

Małgorzatce ręce się zatrzęsyły i o mało co by nie wybuchnęła płaczem.

— A ja w to nie wierzę... nie wierzę! Polecę na zamek, mój kum jest tam komuchem, zapytam go, on mi powie całą prawdę!

Rozpostarła opończę Honzy, którą miała przewieszoną przez rękę, zarzuciła ją na siebie i tyle ją widzieli. Kujbaba tylko głową pokiwał:

— Dobrze się składa, przynajmniej się dowiemy, co z Hon-zą się dzieje! Ja również nie wierzę, żeby Honza tak szybko dał się przekabacić na jaśnie pana i o nas zapomniał!

Nie przeszła nawet godzinka, już była Małgorzatka z powrotem. Policzki jej płonęły wypiekami.

— Honzę wsadzili do lochu! — zawołała. — Uciekajcie z miasta! Król już posłał siepaczy, żeby was pojмали, z ledwością udało mi się ich wyprzedzić!

Wierzyli, że Małgorzatka ich nie okłamuje, tedy piorunem zebrali swoje manatki i spieszyli z gospody i z miasta, żeby dopiero za bramą uradzić, jak uwolnić Honzę z ciemnicy. Ale było już za późno. Królewskie zbiry dopadły ich przed gospodą i z halabardami w ręku poprowadziły naszych przyjaciół do grodu, że niby Honzie za nimi ckni się i migiem muszą ich do niego zawieść. Całe szczęście, że ich nie skuto! Jeno że siepaczy było dwudziestu, a każdy z piką i mieczem, toteż o ucieczce nie można było nawet marzyć. Kujbaba pomstował, Wali-groch milczał jak zaklęty i tylko Trzęsipiórek przez całą drogę niespokojnie się rozglądał, jakby spodziewał się skądś cudownej odsieczy.

Ho-ho, dobrze on widział, jak w chwili, gdy ich otoczyły zbiry, Małgorzatka zarzuciła na siebie czarodziejski płaszcz i znikła na środku dziedzińca przed gospodą.

104

—• Ta dziewczka ma chytre oczy — myślał Trzęsipiorek — ona nas z tych tarapatów niedługo wyciągnie!

Gdy na podzamczu doszli do skrzyżowania, gdzie wiją się pokrętnie stare wąskie uliczki, usłyszał Trzęsipiorek, jak ktoś mu szepcze nad uchem:

— Idźcie ciasno przy sobie! Zbijcie się mocno w jedną kupę! Ten głosik jak dzwoneczek był mu dobrze znajomy. Trącił

zatem Kujbabę, szepnął mu co i jak, i już obaj przycisnęli się do Waligrocha, jak gdyby chcieli z obu stron naraz uszczuplić i zwęzić choć trochę tę jego wspaniałą piwowarską szerokość. Wtedy Małgorzatka zarzuciła na nich z tyłu opończę-niewidkę. Siepacze osłupieli, jak gdyby każdy dostał obuchem między oczy. Trzech więźniów, których trzymali w garści jak wróbla, zniknęło im nagle z oczu! W ziemię się zapadli! W powietrzu się ulotnili!

— Łapać! Trzymać! Chwytać! — krzyczeli jeden przez drugiego, żeby ukryć swoją bezradność.

I zaraz rozbiegli się na wszystkie rogi skrzyżowania, bo może w którąś z uliczek pierzchnęli im więźniowie. Ale nic z tego, po więźniach wszelki ślad zaginął.

Małgorzatka, która również wcisnęła się pod czarodziejski płaszcz, ciągnęła Kujbabę za rękę, bo ona tu na podzamczu znała każdą uliczkę, każdy zakątek, każde przejście.

Kujbaba przyciskał się do Waligrocha. Trzęsipiorek przytrzymał płaszcz z drugiej strony i tak schodzili pośpiesznie ku miastu. Ale opończa była jednak za mała, żeby zakryć całą czwórkę, a kiedy ją rozciągnęli wszerz, zaczęła być przykusa.

Toteż jeden z żołdaków, który biegł na chybił trafił tą samą uliczką, ujrzał ku swemu przerażeniu, jak po wybojach uciekają grube łydki Waligrocha bez reszty ciała. Zaczął jednak te grube łydki śledzić posuwając się ich tropem, gdyż ufał, że ich pan nie może być od nich tak bardzo daleko, skoro są tak żywe i rączce. Wbiegali właśnie na most, który szedł przez rzekę w środku miasta, gdy siepaczowi udało się dogonić łydki Waligrocha na wyciągnięcie ręki. Ufny, że dostanie mu się szczególne wyróżnienie, jeśli przychwyci tych niebezpiecz-

105

nych czarodziei, rzucił się na łydki jak pies. Waligroch co prawda poczęstował go obcasem trzewika w zęby, ale siepacz padając chwycił rąbek cudownego płaszczka i ściągnął go z uciekającej czwórki.

Małgorzatka, Kujbaba, Waligroch i Trzęsipiorek, cali ociekający potem, stali się nagle widzialni dla wszystkich, którzy tamtędy przechodzili. Ale że ludzie nie kochali siepaczy, nikt nie kwapił się, żeby żołdakowi pomagać w zatrzymaniu naszych przyjaciół. Siepacz z cudownym płaszczem w ręku zaczął drzeć się, jakby go ze skóry obdzierano:

— Chwytać ich! Są tu! W imieniu Najjaśniejszego Pana łapcie ich!

Przyskoczył do niego Kujbaba, a że nie miał innego sposobu, żeby mu zatkać gębę, złapał go swoimi kowalskimi łapskami i wyrzucił za barierę mostu. Żołdak trzepnął nogami w powietrzu jak sandacz ogonem i runął na łeb do wody. A że miał na sobie zbroję i przyłbicę, a także nagolenniki, poszedł prosto na dno. Wyskoczyło jedynie parę

bąbelków... Ale do ostatniej chwili trzymał kurczowo w pazurach opończę-niewidkę. No i przepadło, było już po Honzowych sztuczkach...

Tymczasem biedak Honza wciąż leżał na zgniłej słomie w lochu i łamał sobie głowę, dlaczego to mu nasadzono na ręce i nogi te szkaradne branzole, skoro przedtem wszyscy byli dla niego tak mili. I leżałby tak jeszcze długo, gdyby zaraz trzeciego dnia nie przyszła na zamek królewski wieść, że do kraju wtargnęło wojsko grabieżczego króla Brambasa. Ten rozbójnik miał w mieście swoich tajnych agentów i jak tylko się od nich dowiedział, że smok Bucyfał został zabity, i że w takim razie nie ma się czego bać, wtargnął w rubieże króla Lambrechtusa, łupił i palił miasteczka i wsie, i ciągnął już ze swym wojskiem do stolicy królewskiej. Rycerzy miał zakutych w żelazo od stóp do głów i kędy tylko przejechali, zostawała po nich spustoszona ziemia, popioły i zgliszczka. Król Lambrechtus dał rozkaz swoim generałom, by ruszyli na nieprzyjaciela. Ale ci ozłoceni tchórze umieli wprawdzie urządzać parady, nosić pióropusze i wypinać piersi z rzędami

106

medali, ale wojować się bali, toteż czmychnęli królowi. No, a wojacy bez generałów też rzucali flinty, że niby niech się między sobą królowie rozprawiają sami, bo oni nie myślą nadstawiać karku za Lambrechtusa.

Król Lambrechtus biegał po zamku jak niespełna zmysłów, chwilami pomstował, chwilami zwijał manele i szykował się do ucieczki, żeby nie wpaść w ręce nieprzyjaciela. W ostatniej chwili, gdy już królewska korona i berło były zapakowane do wiklinowych koszyków, królowa Eufrozyna przypominała sobie, że mają na dole w lochu Honzę.

!— Dobra nasza, Honza nam na pewno pomoże! — rozradował się król i w te pędy zbiegł do lochu przesadzając po trzy schodki na raz.

Królowa, dumna ze swego pomysłu, biegła w ślad za królem. Honza siedział na zgniłej słomie i rozcierał sobie kostki, obtłuczone od kajdan, które mu nałożyła ta dwójca.

— Honziczku drogi — objęła go za szyję Eufrozyna, pośpiesznie odmykając mu kajdany — ten loch to był tylko taki żart! Tak naprawdę to dostaniesz pół królestwa i moją królewską rękę, ale musisz najpierw pobić tego złego króla Brambasa, co ze swoimi rozbójnikami ciągnie na nasze miasto!

Honza wstał, rozprostował obolałe gnaty i powiada:

— Pobić rozbójników? Zrobi się! Tylko mi duchem przynieście tę moją torbę, co ją miałem na sobie, kiedy przyszedłem na zamek!

Król Lambrechtus pobladał jak ściana, królowa ręce załamała:

— Ja nieszczęsna! Tak strasznie się bałam tych twoich huzarów, że cisnęłam tę torbę do ognia!

— No to przynajmniej przyprowadźcie mi moich przyjaciół, z którymi pokonałem smoka!

— Ach, już ich nie ma w mieście, gdzieś powędrowali! Masz babo placek, co teraz!?

Honza podparł głowę rękoma

i milczał jak dąb, król z królową biadolili, aż wstyd. Już Honza myślał, że na nic nie wpadnie, gdy naraz przypomniawszy sobie o fujarce, którą mu dała matula, kiedy uciekał z domu. W te

107

pędy sięgnął za pazuchę... była! Uszczęśliwiony wyciągnął ją i zagwizdał, aż król Lambrechtus podskoczył ze strachu. A ta już przed Honzą stoi stary pątnik. Honza z radości zaraz go uściskał:

— Mój kumie, poradzcie, co teraz! Stary kum wzruszył ramionami:

— Honziczku, byłeś wielce lekkomyślny, nie pilnowałeś darów, któreś miał! Obrus rozszarpali dworacy na nitki, torba spłonęła w kominku, czarodziejski płaszcz, o czym jeszcze nie wiesz, zabrała woda. No to widzisz, Honzo drogi, to już nie jest bajka!

— Ale co z tym zbójcekim królem?

— Toż ci powiadam, że z bajką już koniec! Teraz musicie sobie radzić sami!

To rzekłszy, zerwał Honzie z szyi fujarkę i znikł. Król i królowna, kiedy to usłyszeli, zostawili Honzę w spokoju, złapali za koszyk z klejnotami, wsiedli do złotej karety i trzasnąwszy biczem, zmykali z miasta co koń wyskoczy. Nic ich nie obchodziło, jak tam sobie ludzie poradzą z rozbójnikami, grunt, żeby samemu ujść cało i mieć się dobrze. Honza wyszedł z opuszczonego grodu, skąd w ślad za królem pierzchli wszyscy dworacy. Brama też stała otworem, nikt jej nie pilnował. Z domków na podzamczu wybiegali ludzie lamentując, co z nimi teraz będzie, skoro rozbójnicy ciągną na miasto. Honzie z tego wszystkiego głowa pękała. Po chwili go rozpoznano, ludzie go obścapiłi i zaczęli błagać:

— Honziczku złoty, skoro umiałeś zabić smoka, pomóż nam i teraz!

— Mili braciszku, z bajką już koniec! — uśmiechnął się smutno Honza. — Nie mam już żadnej mocy czarodziejskiej, jestem teraz najzwyczajniejszy człowiek, tak jak wy!

— O nie, Honzo, ty masz siłę, przecież i smoka zabiłeś bez czarów!

Ale Honza, jak gdyby tego nie słyszał, machnął ręką i poszedł dalej. Do fałszywego króla i do jego stolicy stracił serce. A co się czarować, nawet sobie już zbytnio nie ufał. I chciało

108

mu się stąd odejść, jak najdalej od tego wszystkiego, co tutaj się działo, i kniło mu się już za matulą. Opuścić wreszcie te mury i móc przez góry i lasy pomaszzerować do rodzinnej wsil Doszedł do murów miejskich niedaleko bramy, przez którą dostał się do tego miasta razem z przyjaciółmi. Udał się w jej kierunku, nagle słyszy:

— Honzo! Przyjacielu!

To byli oni, poznałby ich po głosie nawet w najciemniejszej nocy! Padli sobie z Kujbabą w objęcia, uściskali się z Wali-grochem i Trzęsipiórkiem... Ale co to? Stoi tu jeszcze jakaś czarnooka panienka i uśmiecha się do Honzy, jak gdyby się od dawna wzajem znali.

— Nie znasz jej? To przecież Małgorzatka, służka królowny! Ani się obejrzał, jak trzymał w ramionach Małgorzatkę, jak przed chwilą trzech pozostałych przyjaciół, i dostał od niej takiego buziaka, że aż mu się w głowie zakręciło.

— Chodź z nami, Honzo, szukamy cię po całym mieście! Musimy pomóc miastu przeciwko zbójcekim łupieżcom!

— A co mnie obchodzi miasto! — skrzywił się Honza. — Należy do tego drańskiego króla, a w ogóle nic dobrego nas w nim nie spotkało! Niech je łupieżcy przewrócą do góry nogami, palcem nie kiwnę!

— No to chodź, Honzo, pokażemy ci coś... — rzekł Kujbaba biorąc Honzę pod ramię.

Cała piątka weszła na mury i patrzyli przed siebie ku dalekim wsiom, przez które kiedyś maszerowali do tego miasta. Ale zamiast białych wsi były tam już tylko czarne pogorzelska, z których unosił się dym. Łupieżczy rycerze zbliżali się już na swych koniach pod mury miasta groźnie wymachując kopiami, na które nadziali głowy wieśniaków.

— Widzisz, Honzo — powiada Małgorzatka cała drżąca od wzbierającego w niej płaczu — teraz właśnie są we wsi, gdzie się urodziłam! Może jak raz wyganiają z chałupy moją matulę i mojego tatę... a może już ją podpalili...

— To oni tak postępują ze spokojnymi ludźmi? ~ przeraził się Honza, a na czole wystąpiła mu żyłka gniewu — toż nikt

109

nie może dać sobie tak skakać po głowie! Król nie król, weźmiemy się za nich!

Trzęsipiórku, dmij w trąbę! Ludzie kochani, złapcie, co tam macie akurat pod ręką, ja was na tę łupieżczą hołotę sam poprowadzę!

Całe miasto stanęło do boju, jak tylko usłyszeli, że poprowadzi ich Honza, który zabił smoka. Honza kazał otworzyć wszystkie składy królewskie i rozdać ludziom jadło, żeby się posilili przed walką. Na ulicach piekło się barany, na skrzyżowaniach puszczono w ruch różny z udźcami wołowymi i kto chciał, temu kucharze dawali polec mięsiwa prosto z ognia. Kowale pod wodzą Kujbaby'całą noc machali młotami, okuwali wiejskie cepy, ostrzyli piki i szable, żelazne haki przytwierdzali do długich drągów, żeby do rana być gotowym z bronią przeciwko łupieżcom.

Rano, jeszcze przed pianiem kogutów, Trzęsipiórek złapał za trąbkę i zagrał na niej takie fanfary, że wszyscy jak jeden mąż musieli wyskoczyć z łózek. Trębacz grał marsza, a ludzie wybiegali z domów, wstępował w nich duch bojowy, krew grała w rytm melodii, którą dziarsko pomrukiwali zgodnym murmurandem. Dziś już nikt nie rozpaczał, nie załamywał rąk. Już prędzej cepem wywijali nad głową, siekierę w dłoniach ważyli szykując się do zamachów. Wszyscy wierzyli, że z łupieżcami rozprawią się należycie. Honza z Małgorzatką przy boku szedł na czele, miał wielki okuty cep, ramię w ramię z nim kroczył Kujbaba ze strasznym kowalskim młotem w garści. Trzęsipiórek trąbił do marszu, a wszyscy odważnie drałowali przeciwko łupieżcom. Gdy król Brambas zobaczył, jak się wali na niego wojsko kowali, krawców i szewców, wybuchnął takim śmiechem, że aż się za boki trzymał, i kazał trębaczom zagrać szyderczą piosenkę: Links, lechts, krawiec, szewc, to są dwaj rycerze, ten zabija ćwieki w but, ten dźga igłą w cerze!

110

i w ogóle nie chciał walczyć z Honzowym wojskiem, że niby wystarczy, jak na nie puści same kobyły, żeby kopytami zdeptały to szmaciane wojsko.

Ale król Brambas srodze się przeliczył! Kiedy drańscy rycerze rzucili się na koniach przeciwko Honzowym ludziom, zaczął się taki mętlik, jakiego jeszcze świat nie widział! Chłopy waliły cepami po przyłbicach tak zajadle, że pękały jak gliniaki, cieśle długimi hakami ściągali jeźdźców za szyje z koni, stolarze i kowale grzmocili ich młotami i siekierami, że z pancerzy tylko iskry leciały, krawcy wywijali rozpalonymi żelazkami, konie się parzyły, stawały dęba, zwały rycerzy i spłoszone uciekały, a szewcy dźgając, czym popadło, młotkiem, szydłem, raszplą, walczyli jak lwy. Pośrodku tej bitki stał Honza, młócił cepem na wszystkie strony, a przy tym dawał rozkazy, gdzie wzmocnić atak i gdzie bardziej się zewrzeć! Z jednej strony miał Trzęsipiórka, który zagrzewał

ludzi do boju graniem, z drugiej strony Małgorzatkę, chustką ocierającą mu czoło. A gdy mu sił ubywało, z uśmiechem mówił do niej:

— Małgorzatko, daj mi słodkiego buziaka na rozgrzewkę!

Bitwa trwała aż do wieczora. Ściemniało się już, gdy król Brambas skoczył na ostatniego konia, który mu jeszcze pozostał i próbował zwać z pola walki. Ale Kujbaba wojujący w pobliżu rozkręcił swój młot i puścił go za królem. Kowalski per-lik wyrzucił łupieżcę obuchem w krzyż, król Brambas fiknął koziołka przez końską grzywę i rozłożył się na ziemi jak żaba. Było po bitwie. Żelazni rycerze leżeli na pobojowisku jak łan makówek po gradobiciu. Chłopcy, koniuchy, rzemieślnicy, w ogóle cały lud miejski wesóło ustawił się w szyku. Kujbaba z drugim kowalem wzięli Honzę na bary i pochód ruszył z piosenką do miasta.

Kiedy się zbliżyli do bramy miejskiej, wyjechała z niej nagle złota karetka z królem Lambrechtusem i królową Eufrozyną. Dowiedzieli się o wygranej bitwie i przypędzili co koń wyskoczy, by ratować swoje rządy. Król nawet wyjął koronę z koszyka i nasadził ją na głowę, żeby wyglądać bardziej po królewsku.

111

— Miły mój Honziczku — zaczął słodkim głosem wyciągając do niego otwarte ramiona — teraz to już na pewno nie ominie cię pół królestwa! A królowę możesz brać całą i to zaraz, spójrz tylko, jaką miłością do ciebie płonie!

Małgorzatka na te słowa nachmurzyła się jak czort, ale Honza stanął przed królem i wesóło powiada:

— Dajcie sobie z tym spokój, panie królu! Toż słyszeliście od mojego kuma, że z bajkami już koniec! I ta bitwa to już nie była żadna bajka!

Król Lambrechtus chciał jeszcze coś powiedzieć, ale ludzie już nie mieli do niego cierpliwości. Otoczyli go, ktoś mu strącił koronę, ktoś inny zdarł z niego płaszcz, dwóch podskoczyło i hopsnęli go w górę, i tak miłego króla przerzucano sobie z rąk do rąk aż pod bramę nad fosą z wodą. Tam niezbyt pocziwie smyrnęli go w brudne fale jak niepotrzebny rupieć. Królowa Eufrozyna czym prędzej wzięła nogi za pas, żeby nie spotkał jej ten sam los. A koronę królewską, co zdarli z Lambrechtusowej głowy, ludzie podali Honzie wykrzykując:

— Niech żyje Honza! Niech żyje Honza król!

Honza wziął koronę w rękę, przyjrzał się dobrze tej złotej obręczy i powiada:

!— Jaki znowu król! Toż byłbym ludziom na pośmiewisko! Ja jestem Honza, i to mi wystarcza...

I hop, rzucił koronę za Lambrechtusem do wody, tylko plusnęło.

Trzęsipiórek zagrał tusz, przyłączyli się do niego inni muzykanci, ile ich tam się z całego miasta zbiegło i kto zdrowe miał nogi, puścił się w tany. Honza złapał Małgorzatkę, zakręcił się z nią, aż jej spódnice fruwały, i nie wypuścił już z objęć do pierwszych kurów. A wszyscy poszli w jego ślady. Zaczęli trzęsionym, po trzęsionym tańcowali wywijasa, potem tupała, polkę, obe ka i do rana, zanim słońce wzeszło, mieli podeszwy w trzewikach do imentu wytańcowane!

U.

Koniec Skąpej Woli

Onego czasu, gdy w kapelach prym wiodła basetla, gdy w gospodach pijało się z cynowych naczyń, a stare śpiewki świeciły jeszcze pierwszą nowością, stała wieś przy

gościńcu, nad brzegiem rzeki Wydrówki, jakieś sto dwadzieścia sążni od miejsca, gdzie świat się kończy, wieś, którą nazwano Skąpa Wola.

I po prawdzie nie było człowieka, jak kraina długa i szeroka, co by nie wiedział, jak się tego miana dochrapała. Miejscowi wieśniacy byli tak chciwi, że gotowi byli sprzedać nawet własnych rodzicieli, żeby tylko dorzucić jakiś nowy grosz do skrzyni. Bogactwo jest od Pana Boga, powiadali sobie, kto rachuje i oszczędza, tego nie nawiedza nędza, kto umie sprzedać z głową, ten zarabia dubeltowo, a kto jeszcze do tego potrafi co obrotnie przychachmęcić i przykraść, ten bogaci się po trzykroć.

Biedota ich mierziła, zdawało im się, że biedak już swoim wygłodniałym spojrzeniem kradnie bogatemu z talerza[^] toteż z chudzinami i z biedaczkami skąpowolskimi załatwili się bez ceregieli.

Najpierw ich pozbawili drobnych poletek i włączyli je do swych morgów, potem ich lepianki wystawili pod młotek licytacyjny, wreszcie zrobili z nich swoich komorników i parobków i jeść im dawali tylko tyle, żeby mogli harować i nie wyzionąć ducha.

8 Bajki czeskie

113

— Za jakie grzechy tyramy dla was, panowie wieśniacy? — żalili się komornicy i parobcy. — Chyba za to, że po tej czarnej ziemi nogami powłóczymy!

Na koniec, gdy już u tych bogaczy nie mogli dłużej wytrzymać, uciekli w świat wszyscy komornicy i parobcy, pewni, że nigdzie indziej nie może im być gorzej niż w Skąpej Woli.

No i bogaci wieśniacy pozostali sami ze sobą, ujęli się pod boki i hopsa-dana, ejchu-ejchu, w to im tylko graj, wysiudali głodomorów ze wsi i nie będzie przynajmniej kłuć ich w oczy to szkaradne zabitzone dziadostwo. Ale rychło zaczęło im w polu brakować pracowitych rąk wyrobników i parobków, które przedtem urabiały się po łokcie: z samej ziemi, nawet najbardziej tłustej, bez pracy nie napieczesz kołaczy i na gruntach, choćby najlepszych, jeśli ich potem nie użyżni ludzka krwawica, wyrośnie jeno łoboda i szalej.

— Jeszcze czegor drzeć pazurami pole! — rzekli sobie na koniec skąpowolscy wieśniacy — to już lepiej będziemy fry-marczyć, czym się da, przy tym nie w ciemną bitą człowieka tak się nie zapocił

Cesarskim gościńcem przejeżdżali przez Skąpą Wolę kupcy z ogromniastymi wozami, pełnymi sukna, kowanych metali i korzeni. Jęli im skąpowołanie wyprzedawać, co popadło. Najpierw urodzaj na pniu, owoc na drzewach, roje pszczele, zanim jeszcze wróciły z godów do ula, a potem jak leci, gołębią chmarę w powietrzu, zajęcze szaractwo wśród zagonów, mak, zanim jeszcze zawiązały się z kwiatów makówki. Skrzynie napełniały się grosiwem, a zagrody pustoszały.

— A co nam właściwie po pustych zagrodach? — mędrkowali szpakami karmieni skąpowołanie, do imentu już opętani kupczeniem i brzękiem mamony.

I zaczęli wyprzedawać kamienne wierzeje, gonty z dachu, żłoby z obór, łańcuchy, zgrzebła, chomąta, luśnie, orczyki, pół-koszki i co tam jeszcze w obejściu wypatryli. Skrzynie już pękały od dukatów, ale tym łakomcom ciągle było mało. Jakiemuś przygłupkowi opylili powietrze w izbach, światło dzien-

114

ne w oknach, prawo puszczania dymu przez komin, a za jednym zamachem również te trzy korce błękitnego nieba, które wznosiło się nad jego posiadłością.

Ani się obejrzeni, jak im pozostały już tylko nabite dziadź-kami skrzynie. Przejeżdżali jak raz przez Skapą Wolę kupcy, strzelili z bicza i huknęli z pełnych płuc:

— Gospodarze mili, co dzisiaj macie na zbyciu?

Wieśniacy drapali się za uchem, żal im było wypuszczać z rąk kupców, ot tak, bez najmniejszego utargu, bez wyłudzenia od nich bodaj złamanego szeląga, toteż próbowali im opę-dzłować za złoto ten piasek z potoka, te nocne gwiazdy ze skąpowolskiego katastru, chcieli im wmówić żabie kumkanie, bo i to może się do czegoś przydać i nigdy nie wiada, czy w jakich krainach, gdzie nie uświadczy stawów i mokradeł, przypadkiem ludziska nie uganiają się za czymś takim. Ale kupcy mieli jednak na względzie co nieco inszego.

No to co poniekórym wpadło do głowy, że na ten przykład pasek przy spodniach to rzecz całkiem zbyteczna. A jest co zbyć. Ty zaś, chłopie, jak wypniesz porządnie brzuch, portki i tak utrzymasz na tyłku. Dalej więc wyciągać paski ze szlufek i rzucać je kupcom po trzy białe pieniążki za sztukę. A ci naj-chciwsi i najpazerniejsi, co mieli głowę na karku, to by i kark swój im wtrynili, boć łeb się ma nie od parady, mógłby cicho siedzieć na samym tułowiu, jeno żeby kupcy tę zgoła nieprzydatną człowiekowi szyję umieli bez obrazy i szkody na ciele sami jakoś wykręcić z pacierza.

Reszta jednak wolała mieć dalej głowę na karku i zaraz ruszyła nią obrotnie i na pozór chytrze: wysypano po prostu brzęczącą mamonę ze skrzyń, żeby spieniężyć skrzynie po dziesięć groszy dobrej wagi. Kupcy pokupowali, co tylko się dało, i od-turkotali gościńcem ku czarnym borom. Skąpowolscy wieśniacy zostali ze swoimi złotymi górami błyskotek na pustym wiejskim placu, zachodzić teraz mogli już tylko w głowę, co tu dalej robić.

Ignac Pysknera, który miał być wójtostwo, póki go nie prze-handlowali razem z prawem gminnym i z młotkiem licytacyj-

115

nym na dokładkę, rzucił myśl, jako że pomyślunek miał tęgi i przezierny, żeby skąpowolanie nie marnotrawili tu dłużej czasu i ruszyli się gdzieś z miejsca. Toż jak okiem sięgnąć wszystko już wyprzedane. Lepiej chyba wyjść na szerokie przestrzenie czarnych borów, które całymi milami ciągną się aż do Bo-romyśli, i zająć się zbytem sośniny, jedliny, dębiny, buczyny i innego drzewa, żeby ich majątek się powiększał. — Ale jak tu sprzedawać, skoro nie mamy siekier do karczowania? — pytali się co toporniejsi.

— Na pniu, jakby inaczej! — wyśmiał ich ciemniactwo Pysknera.

I już łamał sobie głowę, jak tu zabrać ze sobą taką kupę pieniędzy. Podwiązał żonie zapaskę i napełnił ją czterdziestoma kopami monet, aż się biedaczka ugięła pod tym ciężarem. Dzieciom podwinął koszulki i sznurkiem zasupłał je wokół szyjek, to samo zrobił z rękawami, objuczając swoją trzódkę srebrnikami i dukatami. Sobie nawsypanywał brzęczącej gotówki, gdzie tylko mógł, do wszystkich kieszeni, do drewniaków, do kapciucha na tytoń, za koszulę, pod czapkę i do obydwu noga-wic. I jeszcze mu została na kupie niezła sumka talarków, groszy, złotych krążków z dziurką i z uszkiem, szóstaków, trojaków i białej drobnicy.

Gdzie je upchać? Kazał żonie wziąć w obie garści, ile tylko może zgarnąć i utrzymać, dzieciom tak samo. Kupka zmalęła, ale nie do cna. Przemyślny Ignac Pysknera wpadł na nowy pomysł, który miał jeszcze inne dobre strony. Żona, a niech ją gęś kopnie, była nazbyt gadatliwa, dzieci zasię zbyt często głodne. Przykazał im tedy otworzyć usta i

resztę bogactwa pouty-kał każdemu obok języka, w wielkiej gębie talary i złote, w małych gębulkach groszaki i białą drobnicę, a temu najmniejszemu Pysknerzątku wlepił ostatnie trzy trojaki na język. Co jeszcze zbyło, sam zgarnął w pazury i z kupki pozostał już tylko jeden jedyny talar, wielki jak męska dłoń. Klęknął przed nim Ignac Pysknera, pochylił się i ostrożnie wziął go w zęby, po czym wstał, gotowy do drogi dzięki swej mądrości. Skąpowolanie rozpływali się głośno nad przemyślnością są-

116

siada Pysknera i wszyscy poszli w jego ślady. Po czym ruszyli gościńcem w tym samym kierunku, w którym niedawno odjechali kupcy.

W opuszczonej wsi nad rzeką pozostała jedynie Zuzanka Gawronkowa, karczmarka na Malowance. Nie była skąpowo-lanką, pochodziła z Czerzenia, stąd półszóstej mili na wschód, toteż nie trawiła jej miejscowa choroba zachłanności. Przed rokiem ściągnął ją tutaj z czerzeńskiego zajazdu karczmarz Gawronek, wniosła mu w wianie dwieście beczek czerwonego wina. Ale karczmarz nie miał nawet kiedy cieszyć się z tego skarbu, bo w dniu ożenku koń go pokopał tak srodze, że rychło nieborak jak się zwinął, tak się i zwinął. Wino, które mógł z rozkoszą popijać, pozostało nietknięte, a tedy od długiego czekania nabierało jarej mocy.

— A idźcie sobie, kutwy zakute! — wniosła Zuzanna pięść na pożegnanie skąpowolanom. — Przy was porządny człowiek mógłby dostać wścieklizny! Wleczcie swoje parszywe gnaty i opuchłe kałduny, drałujcie, wy, żywe truposze, gdzie was ślepią poniosą!

A gdy zniknęli jej z oczu, podskoczyła do sadu, wlaźła po drabinie na gruszkę i sycąc się słodziuchnymi żółtymi owocami, co to wprost rozpływają się na języku, wypatrywała, czy zza zakrętu gościńca nie nadjeżdżają jacyś śwarni furmani, z którymi by można się poweselić i skrócić czas samotności wdowiej.

Tymczasem kupcy, którzy pokupowali u skąpowolan skrzynie, jechali przez czarne bory koło Siedmiu Krzyży, gdzie kiedyś zbójcy dali łupnia posażnemu weselisku. Mijali akurat to miejsce, gdy świerki się zakołysały i zatrzeszczały gałązki z obu stron drogi.

— Kurde bele, zbójcy! — jęknęli woźnice i ze strachu puszczały z rąk lejce.

— Jacy tam zbójcy — uspokajali ich kupcy, choć sami mieli pełne portki strachu — sarenka tam smyrnęła! Patrzcie, jak nas śledzi z gęstwiny! A tam dokazuje ta bestyjka wiewiórka! O tam, nie widzicie, jak wywija kitą?

117

Ale słuszność mieli woźnice, a nie kupcy. Rychło się okazało, że dwoje sarnich ślepi to otwory dwu luf strasznej gwintówki. która zresztą nie była tu sama, ale z wieloma towarzyszami, i że wiewiórcza kita nie zdobi jakiejś rudej figlarki, ale kapelusz samego herszta Lauberdona, który zaszedł pocziwym furmanom drogę:

— Krucytirken, pizfonckaliber, zwałać mi te pudła z fur i to już, jeśli nie chcecie, żeby was przykrócić o głowę!

Ledwie to wyrzekł, zaświstały zbójnickie jatagany, krzywe ostrza liznęły powietrze sycząc jak węzowe języki i tylko patrzeć, jak poderzną Bogu ducha winnym kupcom nieszczęsne gardziołka. Ale jeden z kupców, niejaki Emanuel Jelinek, człek obyty i nie tracący nigdy głowy, i tym razem potrafił jej nie stracić.

— Za pozwoleniem, panie zbójco — przemawiał przypoehlebnie i gładko, jakby krajał masło — nie byłoby to z naszej strony ani trochę ucziwe wciągać szanownego pana w

taki interes. Na mój honor! Toż te skrzynie są puste, niech łaskawca rzuci okiem, wieziemy w nich tylko świeże powietrze i tych parę robaków, co je toczą!

•— A dokąd to? — zagrział herszt Lauberdon i przeciął jedno wieko szablą.

— Na targ, szanowny dobrodzieju, żeby interes nie stał w miejscu. Wielkie obroty a małe zyski, to jest nasza kupiecka zasada i hasło!

W krótkich, lecz jasnych słowach oświecił głównego zbójcę, jak to kupiec z wielkiego grosza robi trzy mniejsze i obracając nimi, żeby wyjść na swoje, dochodzi do jeszcze większego grosza. A tak te słowa były przekonujące, że herszt Lauberdon machnął w końcu ręką i kazał swym kompanom wsadzić jatagany do pochew, a proch z gwintówek do kieszeni, żeby nie zawilgnał, bo i tak rzecz spaliła na panewce.

Jak to mówią, przysługa za przysługę, wdzięczny kupiec Jelinek uwiadomił herszta Lauberdona, skąd te skrzynie pochodzą i jakie piękne roje żółciutkich pszczołek w nich się gnieździły zanim je w Skąpej Woli załadowali na wozy.

!— Awanti tutti kwanti! — rzucił Lauberdon swoją hersztow-ską komendę, skoro dowiedział się o skąpowolskich skarbach.

I machnąwszy jataganem nad głową, aż syknęło powietrze, ruszył na czele swej szajki w drogę do Skąpej Woli. Nie przeczuwał nawet, że skąpowołanie wyszli mu naprzeciw. Ale gdy tylko wyjechał zza pierwszego zakrętu w tej posępnej dąbrowie, ujrzał w dali pośród kurzu gościńca gromadę podróżnych. Dziwnie im w słońcu jarzyły się uśmiechy, które zbójcom trafiły do przekonania, kiedy byli już blisko na jakieś dwadzieścia końskich ogonów.

Toteż ci byle jak przyodziani wędrowcy rozczulili herszta Lauberdona, że mu sami niosą daninę w zębach i zręcznym ruchem ręki, nie schodząc nawet z konia, błyskawicznie ją zebrał

do garści.

— Więcej już, kochaniutcy, nie macie? — zapytał dość grzecznie, bo jak na początek był zadowolony.

Ale nikt z wędrowców nie był w stanie odpowiedzieć i Lauberdon zaraz się połapał, że ci łakomcy mają złota pełne gęby aż po gardziele. I nie wahając się ani chwili jął wybijać im z głowy te skarby, i to tak nielitościwie, że się pióro wzdraga o tym pisać, przejęte zgrozą. Starców wąsatych i dziecińy ledwo od ziemi odrosłe, baby rozdygotane i kmieci w sile wieku, wszystkich bito i siniaczono dopóty, póki nie wysupełali co do grosza swojego majątku i nie oddali zbójcom. Rozpędzono ich potem po haszczach jak dziką zwierzynę.

Trzy dni i trzy noce zbójcy pod wodzą herszta Lauberdona zbierali i wytrzepywali grosze, dukaciki, talary i białą drobnicę z kapciuchów, czapek, urwanych rękawów, a gdy to wszystko znieśli na jedną kupę, naliczył herszt Lauberdon, razem ze swoimi pomagierami, osiemnaście tysięcy dwieście siedemdziesiąt sześć wielkich talarów z uszkiem, trzynaście tysięcy pięćset trzydzieści cztery z dziurką wybitą przy krawędzi, czternaście tysięcy dziewięćset sześćdziesiąt dwa bez dziurki i bez uszka, dalej jedenaście tysięcy sześćset czterdzieści dwa dukaty z wizerunkami siedmiu cesarzy, dziewięciu królów, siedemnastu książąt, pięciu arcyksiążąt, trzech margrabiów, dwóch kurfirs-

118

119

tów, jednej królowej i jednej papieżycy, sześć tysięcy sześćset sześćdziesiąt sześć kop srebrnych groszy, kopa w kopę po sześćdziesiąt sztuk, dwa cetnary białej drobnicy i zatręśienie trojaków.

Dzień i noc rozdzielali między siebie te skarby, po czym postanowili zajechać do karczmy w Malowance, żeby sobie dać folgę. Obładowani pieniędzmi, aż szwy pękały, przyjechali ostrym kłusem do wrót Malowanki. Karczmarka Zuzanna znów siedziała na gruszy i racząc się z rozkoszą miodnymi owocami wypatrywała, czy gościńcem nie nadciągają skądś śwarni furmani. Jak to ujrzeli zbójcy, hops przez płot do sadu i dalej częstować karczmarkę pieprznymi powiedzonkami.

— Dajcie mi spokój, hultaje — w nos im się śmiała Zuzanna — słodsza mi jedna gruszka niż pół korca pochlebstw i wygłupów takich rzezimieszków!

Na to zbójcy zeskoczyli z koni, przywiązali je u płota i żartem zaczęli skamleć, żeby im karczmarka rzuciła tę jedną gruszkę, to i oni oszacują różnicę między tymi słodkościami. Chcieli tym przymawianiem się rozpocząć różne zuchwalstwa i zbereźnictwa. Ale Zuzanna była chytra sztuka, umiała sobie radzić z takimi mamelukami! Zrywała każdą gruszkę, do której przypiął się złotoczarny szerszeń, i tak nią celowała w kolejnego zbójcę, żeby te kąsające stwory padły prosto na policzki, nosy i brody.

— Oj-oj, o rety, jerum! — darli się bandyci jeden przez drugiego, lecz choć ich pożądłone gęby piekły i swędziały, nie ustawiali w prośbach, zalecankach i wywczasach pod gruszą.

Wtedy Zuzanna ułamała całą gałąź ciężką od gruszek, dobrze wiedząc, że pośród ciemnozielonych woskowych liści kryje się gniazdo szerszeni i cisnęła zbójcom ten słodki podarunek. Rzucili się na kiście gruszek, zaczęli sobie wrywać tę gałąź, bo każdy chciał ją mieć dla siebie jako znamię szczególnych względów karczmarki. W tej szamotaninie nie zauważyli szerszeni póki im gniazda nie porozrywali łapskami, czym niemożliwie je rozdrażnili.

— Kurna, hurma! Fiksum dyrdum! Sakrę blu! Basamandza-
120

rom! Porka mizeria! — jazgotali jeden przez drugiego wałąc się brudnymi łapskami po własnych gębach, puchnących na potęgę. Ale nic nie pomogło, od szerszeni się nie opędzili.

Po chwili rozłożyli się rządkiem na trawie jęcząc, wyjąc, klnąc, bełkocząc i błagając Zuzannę, aby znad brzegu Wydrów-ki przyniosła gliny i zrobiła im z niej okłady na obrzękłych twarzach i do cna zapuchniętych oczach, bo inaczej od tego pieczenia i gorączki spłoną na miejscu żywym ogniem. Herszt Lauberdon miał na gębie czterdzieści pięć jadowitych ukąszeń, innym szerszenie zadały od szesnastu do pięćdziesięciu ośmiu ukłuć.

Ale Zuzanna wiedziała, że ma przed sobą morderców i zakały ludzkiego rodu, że te bandziory nie oszczędzają ani dzieciątek, ani białogłów, ani starców, toteż nie miała najmniejszego zamiaru okazywać miłosierdzia takiej barbarzyńskiej zgrai.

— Ma się rozumieć, kochaniutcy, już spieszę wam ulżyć, jak tylko słaba białogłowa potrafi — wykrzykiwała.

Ale zamiast uśmierających okładów z zimnej gliny przysposabiła szerokie pasy płótna, posmarowane trującym lepem na ptaki z utłuczonej jedlinowej jemioli. Jednemu po drugim lepiała te plastry na oczach, aż im te bandyckie gały oślepiła na amen. Potem

ich tłukła kijem po porządku i jak popadło, i tak ich wzięła w obroty, że stracili czucie i dech.

Wszystkie pieniądze, które przy tym z nich się wyturlały, zgarnęła na jedną kupę, a ciała zbójców strąciła z wysokiego brzegu do rwącej rzeki Wydrówki. Żaden z tych oprychów nie słyszał skowytów młóconego właśnie kompana, bo i tak wszyscy darli się, lamentowali, wyli, jęczeli i pomstowali wniebogłose, i może nawet sami nie rozeznawali, czy ich rwie ból po strasznych ukąszeniach szerszeni czy po cięgach karczmarki.

Tak karczmarka Zuzanna sama jedna uporała się z hordą zbójców i zyskała tyle złota, ile go tylko skąpowolscy wieśniacy, a po nich bestie zbójcy nachapali się! A że skąpowolanie już nigdy do wsi nie wrócili, a Zuzanna tyle pieniędzy do koń-co życia nie byłaby w stanie wydać, bo i na co, toteż rozdawała je po trochu wszystkim, kto tylko tamtędy przechodził. Pod-

121

rostkom po talarze, chłopiskom po złociszu, dziewczkom po złotym pieniążku z uszkiem albo z dziurką, babulinkom po groszu na miętóweczkę, dziadkom po pół kopy na tytoń, szlifierzom, gęślarzom, olejkarzom, sprzedawcom wstążek, każdemu wędrowcowi sypnęła zawsze pełną garść, a dzieciom przynajmniej te drobne białe srebrniczki.

0 królowie Jaśnienie

1 latającym szewcu

Dwaj młodzi przyjaciele, Ondra z Jurą, wesoło wędrowali po świecie. Ondra się wyuczył kowalstwa, a Jura był z przeproszeniem szewc. Obaj swój fach znali dobrze, ale że mieli młodą, niespokojną krew, nigdzie nie zagrzali długo miejsca. Nauczyli się czegoś, czego jeszcze nie umieli, co nieco nowego obejrżeli i podchwycili, podziękowali i po tygodniu, po dwu smarowali dalej. Kiedy mijał trzeci rok ich wędrowki, mogli niejednego majstra w kozi róg zapędzić.

Raz tak pod wieczór, gdy zachód pałał złotym, gęstym jak miód światłem, obaj kompani wyciągnęli się pod olchami nad potokiem, podróżne tłumoczki wsunęli pod głowę i beztriosko odpoczywali. Zmęczenie zmęczeniem, a młodość młodością, po chwili już się spierali, czyj fach jest w gruncie rzeczy lepszy i czy szewc, czy kowal ma większe pole do popisu.

— Ha, gdybym ja tylko miał galancie kujne żelazo, zgrabne kowadło i dobry perlik, ja bym ci pokazał, co może wykuć zmyślny kowal! Nasze rzemiosło to rzemiosło, to nie to, co łątać i kleić chodaki! — powiedział Ondra przewracając się z lewego boku na prawy.

— A ja gdybym miał mięciutką skórę koźlęcą, to byś zobaczył, ty smoluchu kowalski!

To nie to samo, co krowom pazury przycinać i raszplować!

Naraz, mniejsza z tym, skąd się wziął, zjawił się przed nimi szykownie przyodziany pan, który najpewniej podsłuchiwał

123

m

ich za olszynką, bo wywijając spacerową ozdobną laseczką powiada:

— No cóż, młodzieńcy, jeżeli chcecie poprobować, który z was jest większym mistrzem w swoim fachu, to chodźcie ze mną do mojego domu, dam wam żelaza i skór, ile będziecie potrzebować, i zobaczymy, kto lepiej się spisze!

Jura i Ondra nie dali się długo namawiać, zarzucili tłumoki na plecy i podreptali z tym panem do miasta.

Przyszli do jego domu, pan ich elegancko ugościł, przydzielił im dwie osobne izby do spania i dwie na pracownie, a do każdej z pracowni kazał przynieść sprzęt i narzędzia. Ondrze dali kowadło z perlikiem, a nawet urządzili palenisko, przy którym stał miech, Jurze przynieśli szewski zydel, szaflik i pocięgiel. A teraz, młodzieńcy, pokażcie, na co was stać!

Ondra nie ociągał się, zaraz chwycił kawał kujnego żelaza, wsadził do ognia, a po chwili było już słychać, jak wali młotem w kowadło. Jura obmacał w palcach koźlęce skóry, żeby sprawdzić, czy są dostatecznie mocne i giętkie, złożył je na stolik obok zydlu i poszedł wyciągnąć się na łóżku, bo na leżąc najlepiej mu się myślało.

Myślał dzień, dwa, trzy, a tu Ondra od rana do wieczora stukał obok za ścianą jak dzieciół i dopiero czwartego dnia również i on zabrał się powolutku do pracy. Krajał, ciął, zeszywał, ale nie był wcale taki pewny, czy mu się powiedzie. Przed końcem tygodnia pan wezwał Ondrę i Jurę, niech mu powiedzą, jak są z robotą daleko.

— Ja będę gotów jutro w przedwieczesz! — oświadczył Ondra pewnym siebie głosem.

— W takim raziczku i ja tak samo! — krzywo uśmiechnął się Jura i odszedł do swojego warsztatu.

W sobotę pod wieczór przyszedł pan zobaczyć, co Ondra z Jurą stworzyli. Ondra, który nie mógł się już doczekać tej chwili zaprowadził pana prosto do swojej pracowni. Słowo daję, warto było zobaczyć, co Ondra zmajstrował! Wykuł żelazną kokoszkę, która co kwadrans gdakała jak żywa, co pót go-

124

dziny trzepotała skrzydłami, a co godzina znosiła żelazne ja-jeczko, tak że mogła służyć do mierzenia czasu jak zegar.

— Kunsztowna rzecz — pokiwał głową pan uśmiechając się — no a ty, szewczyku, czym się pochwalisz?

Jura ani mru-mru, wziął pana na podwórzec, na galeryjkę, u sam poszedł przygotować się do pracowni. Miał uszyte z tej giętkiej koźlęcej skóry skrzydła, przypiął je sobie do ramion, po czym — wóz albo przewóz — wybiegł na dwór i zaczął nimi machać próbując wzbić się w powietrze. Ledwo rozpostarł ramiona, skrzydła napięły się i chwyciły wiatr, unoszący się Jura bił oburącz powietrze i po chwili był już na trzy sążnie nad ziemią.

— Patrzcie go, szewc lata jak nietoperz! Daj mi zaraz te skrzydła, niech sam je wypróbuję! — wykrzykiwał pan z galeryjki i niecierpliwie podrywał się w górę chcąc uchwycić Jurę za stopę.

Było widać, że te skrzydła z koźlęcej skóry o wiele bardziej pana oczarowały niż Ondrowa kokoszka z żelaznymi jajkami. Ale Jura rychło zmiarkował, że pan będzie chciał te skrzydła zachować dla siebie, a jemu nic nie pozostanie, tylko dalej ciągać po świecie nogi na piechotę. Żal mu się zrobiło tych zmyślnych skrzydeł, kto wie, czy by mu się udało drugie takie zmajstrować!

I bez dłuższego namysłu zamachał skrzydłami ze wszystkich sił i wyfrunął ponad dom pana i ponad miasto. Pan widząc, że mu Jura ucieka, skoczył do pokoju po rusznicę i zaczął za nim kropić pod obłoki raz przy razie. Ale Jura był już wysoko, nie do ustrzelenia i na tych skórzanych skrzydłach szybował z wiatrem w świat.

Leciał całą noc, już mu ręce drętwiały ze zmęczenia, ale po ciemku bał się schodzić w dół, żeby nie nadzieć się na jakąś szpiczastą wieżę albo nie wpaść do komina. Nad ranem o pierwszym brzasku ujrział przed sobą wielkie miasto. Błyskawicznie puścił się

ukosem w dół, w zagajniku przed miastem wylądował, zwinął swoje skrzydła do podróżnego węzła i ruszył do

125

miasta w poszukiwaniu majstra szewskiego, żeby go poprosić o nocleg i garnuszek jadła. Była niedziela, nie musiał się lękać, że go zaraz zapędzą do roboty, a w podwieczorz zamierował lecieć dalej. Odnalazł jednego szewca, co mieszkał tuż pod królewskim zamkiem, najwyższa zamkowa wieża ocieniała okna szewskiej pracowni. Choć to była niedziela, majster siedział na zydelku i szewcował na całego.

— Dobrze, że tu jesteś! Mam tu z królewskiego zamku sto par do podzelowania, na pojutrze muszę być z tym gotowy a cztery ręce to nie dwie!

Jura, ot tak, dla hecy usiadł z majstrem przy kopycie i jął szewcować, aż mu kurz szedł spod palców. Majster chwilę patrzył mu na ręce, pomrukiwał z zadowoleniem widząc, jak Jurze roboty ubywa, po czym stwierdził:

— No, no, chłopcze, z ciebie szewc nie od parady! Nawet nasza królowa nie krzywdowałaaby sobie przy twoim boku!

— A cóż to, czyżby tutejsza królowa pragnęła wyjść za szewca? — zapytał Jura ot tak, żeby podtrzymać rozmowę.

— Juści, że nie! Ale nasz król się kiedyś pociął ze złą czarownicą, która wiedźmuje na zamku gdzieś tam w czarnych borach, a ona mu z zemsty przepowiedziała, że jego jedyna córka weźmie sobie szewca za męża. Przeto król kazał wystawić tę wysokachną wieżę, co nam tu ocienia okna, królowę Jaś-nienkę zamknął na samej górze w poddasznej izdebce, a pod nią co drugi schodek aż do dołu stoją gęsiego strażnicy, warują we dnie i w nocy, żeby się tam na górę jaki szewc nie dostał i naszej panienki nie oczarował.

— A młoda aby ona? — spytał Jura zerkając spod oka na wysokachną wieżę.

— Latoś było jej osiemnaście wiosen.

— A ładna chociaż?

— A bo ja wiem, nam szewcom jej, chłopcze, nie pokazują. Zwierzyła mi się tylko stara klucznica, że ponoć jest jak obrazek, że na to imię Jaśniena doprawdy zasługuje!

Jura wolał o nic więcej nie pytać, bo już i tak miał pełną głowę tej królowy, co musi spędzać swoją młodość samiuteńka

126

na takiej wysokachnej wieży, żeby się z jakim ładnym szewczykiem nie mogła spiknąć. Cały dzień o niej myślał i doczekać się nie mógł zmroku. A ledwo zapadła ciemność, jął udawać sennego i ugadał się z majstrem, że pójdzie sobie legnąć na stryszek z sianem. Na stryszku przy okienku przypiął sobie skrzydła, chwilę wpatrywał się w żółte światełko na poddaszu wieży, rozejrzał się jeszcze po ulicy, czy nikt nie przechodzi i trzepocząc skrzydłami wyfrunął na szczyt wieży. Z gzymsu zajrzał w okienko i dziw nad dziwy, że nie omsknął się z wieży, bo ten obrazek, który ujrzał w izdebce, zaparł mu dech i przyprawił o zawrót głowy.

Królowa Jaśniena siedziała przy stoliku i rozczesywała swoje złocistopłowe włosy. Liczko miała jak z jabłoniowego kwiatu, oczy jak niezapominajki łąkowe, czerwone usteczka jak malinki pod sam koniec czerwca... Jurze zaczęło walić serce, zdjął go strach, że królowa mogłaby po nim poznać, jakim fachem się para, toteż piorunem poleciał z powrotem na swój stryszek i dobrą godzinę szorował się u majstra w kuchni gorącą wodą z mydłem, żeby to swoje szewstwo wypłukać ze wszystkich porów skóry.

Kiedy znowu powrócił na wieżę i zerknął w okienko, królowna Jaśnienna siedziała przy stoliku smutnie zapatrzona przed siebie. Jura nie wytrzymał i cichutko zapukał w szybę. Królowna uniosła głowę, w pierwszej chwili się złękła, ale zaraz podeszła i otworzyła okienko na oścież. Widząc to Jura raz i drugi zawachlował skrzydłami i jak orlątko w poblasku miesiąca wpłynął do pokoju królowny.

— Jejuniu kochany, skąd tu się wzięłeś? — dziwowała się królowna, ale bez bojaźni.

•—! Kręciłem się akurat w pobliżu — łągał Jura jak z nut — i przypadkiem rzucił mi się w oczy blask tych twoich włosów. A kiedym cię ujrzał, nie mogłem tu nie przylecieć...

— A to czemu? — wypytywała królowna.

— Bo tak pięknej dziewczyny nie widziałem, jak żyję!

— Naprawdę? Przysięgnij mi!

127

— Przysięgam na moją duszę! — szczerze wykrzyknął Jura.

— Nie mów tak głośno! — rzekła na to królowna. — Powinieneś wiedzieć, że zaraz za tymi drzwiami śpi moja pokojowa, a na schodach stoją strażnicy. Gdyby cię zobaczyli, byłoby z tobą źle!

Jura zaraz przyciszył głos do szeptur królowna Jaśnienna również, a jak się rozszepotali to starczyło im wątku aż do świtania. Pożegnali się, gdy gwiazdy zaczęły blednąć, i Jura fr! z wysokiego okienka jak jerzyk. Na szewcowym stryszku schował skrzydła do tłumoka i czym prędzej zagrzebał się w siano, żeby krztynę się zdrzemnąć, zanim go majster przyjdzie budzić do roboty. No i proszę, choć nie spał ani trzech godzin, w poniedziałek praca paliła się Jurze w rękach. Majster oczy wybałuszył, jak gracko i wprawnie ten szewczyk wbija w bu-ciska ćwieki.

Ale również królowna Jaśnienna była na swojej wieży jak nowo narodzona. Przedtem od rana siedziała rozmarzona i smutna z rękoma na podołku i w zadumie patrzyła przed siebie. Dziś sobie podśpiewywała przechadzając się od okna do okna. w oczach jej grały iskierki, na widok pokojowej, do której zwykle nie odzywała się ani słówkiem, rozszczebiotała się jak jaskółka. Stara pokojówka nie mogła wyjść z podziwu i na wszelki wypadek poszła o tym donieść królowi.

— To pewnie dlatego, że się poprawiła pogoda — powiedział król •—• ja mam też zaraz lepszy humor, jak zaświeci słońce. Pilnuj tylko, żeby między strażników nie dostał się jaki szewc, bo będzie źle!

Pokojówka uspokoiła się kapinkę, ale zaczęła mieć się na baczności. A królowna przed wieczorem stała się jakaś niecierpliwa, a to słońce jej za długo sterczało nad horyzontem, a to to, a to tamto. Dopiero jak się zaczęło na dobre ściemniać, wróciła jej wesołość i znów sobie podśpiewywała. Rychło odprawiła pokojówkę ze swej izdebki, że niby pójdzie dziś wcześniej do łóżka. Ale pokojowa dobrze słyszała przez drzwi, że królowna nie śpi, tylko podreptuje od okna do okna. Około dziesiątej

128

i sflMs:

\

|

pokojówka lekko się zdrzemnęła, i w tej drzemce widziała, jak koło jej okna przeleciał ogromniasty ptak. Duchem się ocknęła i przystawiła ucho do dziurki od klucza. Wydało jej się, że słyszy jakiś cichutki szept,

— Królewienko miła, nie śpicie jeszcze? — powiedziała słodki głosem i zamiast ucha migiem przytknęła do dziurki od klucza oko.

W tym momencie jednak królowna Jaśniena zdmuchnęła lampę i pokojowa nie zobaczyła nic oprócz najciemniejszej ciemności. Ale Jura, ma się rozumieć, był znów w gościnie u królowny Jaśnieny, a że nie mogli dziś nawet poszeptywać, trzymali się chociaż za ręce i tylko czasem odezwali się do siebie słówkiem, cichutkim jak chuch.

— No nie, coś tu nie klapuje — powiedziała sobie w duchu na drugi dzień rano pokojowa, kiedy ujrzała, że królowna ma wprowadzić niewyspane oczy, ale za to cała jest rozanielona.

Znowu poszła z doniesieniem do króla, że w nocy po dziesiątej słyszała w pokoiczku królowny jakiś dziwny szept.

— Może pannica przez sen mówi — uspokajał sam siebie król — ale tak czy owak, wieczorem pilnie zwracaj na wszystko uwagę. I wiesz co, popiołku nasyp na podłogę, to zobaczymy ślady, a jeśli coś usłyszysz, przywołaj straż... albo nie! Najlepiej poślij kogoś po mnie!

Jurze nad trzewikami kleiły się oczy z niewyspania, ale zarazem czuł się niewypowiedzianie szczęśliwy. No bo czyż tymi palcami, co teraz ciągną nasmołowaną dratwę, nie głaskał królowny po jej złocistopłowych włosach?

Ale biada! Tego wieczora, ledwo przywitał się z Jaśnieną, pokojowa za drzwiami podniosła taki rejwach, że Jura musiał sfruwać na łeb na szyję. Krążył cicho jak nocny puchacz naokoło wieży, krążył wolno i na tyle blisko, że widział, jak zwariowana pokojówka posyłała pierwszego z brzegu strażnika po samego króla. Król przybiegł tak jak stał, tylko w nocnej koszuli, na którą zarzucił jeno swoje królewskie gronostaje, na głowie zamiast korony miał myckę z frędzlastym wisiorem. Zdyszany wpadł do królowny i zaraz zaczął ślepiami inyszko-

9 Bajki czeskie

129

wać po ziemi, jakby szukał wczorajszego dnia. Po czym huknął na królownę:

— Kto tu był? Z kim tu odprawiałaś szu-szu-szu? Gadaj! Bo zobaczysz, czym ta pięść pachnie!

Królowna najpierw chciała stroić fochy, skoro król ją tak zbeształ, spuściła oczka na ziemię i wtedy zobaczyła ślady swoich pantofelków, a obok dużo większe Jurowych skórzni, aha, pokojówka potajemnie ją wysypała, więc nie ma co strugać z tata wariata. Ale powiedziała sobie w duchu, że przecież nic złego nie zrobiła, i zaczęła odpowiadać królowi gładko, jakby masło krajał.

— Kto tu był? Anioł przyszedł mnie nawiedzić w mojej samotni!

— Jaki znów anioł? Co ty pleciesz, dzierlatko sfiksowana?

— No, anioł ze skrzydłami, przecież mówię! Któż inny tu na górę by się przedarł przez te twoje stráže?

Król wprawdzie nie bardzo wierzył w anioły, ale strażnicy, wszyscy jak jeden mąż, przysięgali się, że po schodach nie przemknęłaby się nawet mysz, więc skoro ktoś był u królowny, faktycznie mógł tylko przylecieć na skrzydłach. Toteż król już ani be, ani me, ani kukuryku, ale postanowił zacząć się pod drzwiami i przekonać na własne oczy, jak to z tym aniołem jest naprawdę.

Jura tymczasem siedział na szczycie wieży i usilnie czekał, kiedy ucichnie ten szum, który przez niego się podniósł. Coś mu mówiło: Daj sobie dziś spokój! Leć do domu, bo

to źle się skończy! Ale żądza ujrzenia najmilszej Jaśnienki była silniejsza od wszystkich tych podszeptów.

— Juści! Jeszcze by sobie mogła pomyśleć, że ze mnie istne strachajło! Że przed babskim krzykiem trzęsę portkami i zmiatam, gdzie pieprz rośnie!

Zapukał żurawia w okienko, a kiedy zobaczył, że światło gaśnie, duchem zerwał się, obleciał raz i drugi wieżę i leciu-chno zapukał w szybę królowy. Jaśnienka w te pędy otworzyła okno na szeroko, jakby tylko na niego czekała, i ledwo wśliznął się do komnatki, serdecznie objęła go za szyję.

130

— Coś powiedziała królowi panu? — wyszeptał Jura, zdyszany jeszcze po lataninie.

— A co miałam mu powiedzieć? Prawdę! Że przylatuje do mnie anioł na pogaduszki! — zaśmiała się jak dzwoneczek.

Ale w tym momencie drzwi ze strasliwym łoskotem się rozwarły. Jaśnie pan król, który podsłuchiwał i podglądał przez dziurkę od klucza, wpadł jak grom do komnatki z orszakiem siepaczy i strażników, tłoczących się jeden przez drugiego, żeby się u króla czegoś dochrapać. Król wrzeszczał na całe gardło:

— Brać go! Łapać! Trzymać! Sto dukatów nagrody! Co tam sto, tysiąc dukatów!

Na widok króla Jura zrozumiał, że z nim źle, i w mig rozpostarł skrzydlate ramiona, żeby wyfrunąć znajomą drogą. Koźlęca skóra napięła mu się u boków jak błona nietoperzowi. — Mara piekielna! Czart! Belzebub! — rozdarł się król ze zgrozą i zwałił się na ziemię jak długi i szeroki.

Takoż żołdacy zamarli na chwilę, przerażeni Jurowymi skrzydłami. Tylko Jaśnienka nie straciła ducha. Obiema rękoma złapała się Jury za szyję, miarkując przy tym, żeby mu w locie nie być zawadą, i Jura z królową za jednym zamachem wyleciał przez okno. Po całym zamku poszedł hyr, że królową Jaśnienę porwał o północy czart skrzydlaty. Tymczasem Jura z Jaśnienką lecieli i lecieli ciemną nocką, aż Jurę ramiona pobołowały od ciągłego machania i żeglowania, i ledwo zaczęło się pierwsze świtanie, sfrunęli w jakimś borze na poziomkowej polance.

— Ale ja nie jestem żaden anioł, Jaśnienko — westchnął Jura czerwieniąc się po same uszy, bo czuł, że trza wyciągnąć szydło z worka, bo i tak wyjdzie — ze mnie jest przecież zwykły...

— Milczże, głuptasku! — pocałowała go Jaśnienka, żeby Jurze zamknąć usta, zanim mu przejdzie przez gardło ostatnie słowo — więc ty sądzisz, że ja się niczego nie domyśliłam? Musiałbyś nie mieć szewskiej smoły za paznokciami.

Nijaki strach Jury nie obleciał, tak szczerze się ucieszył, że

131

Jaśnienka pokochała nie anioła, ale jego, szewczyka, i dał jej za to takiego buziaka, że tchu nie mogła złapać. Wreszcie go zaczerpnęła i wtedy zaczęli się martwić, co dalej. Polanka była czerwona od jagódek. Jura, który wyciągnął się na chwilę miał koszulę na plecach jak we krwi. Mogli je rwać, ile dusza zapagnie, a też i rwali! Jaśnienka co chwila wkładała poziomkę Jurze prosto do dzióbka, a Jura te najdorodniejsze Jaśnien-ce. A te najśłodsze i najdojrzałe przegryzali na pół, żeby każde miało jednakową frajdę. Mogli się nimi żywić jeszcze jutro i pojutrze, i popojutrze, i może nawet cały tydzień. Ale co poczną, jak nie będzie jagódek i tego letniego słońca, które karmi i grzeje?

Całe szczęście, że Jaśnienka miała na tasieńce przy szyi złotego dukata, którego dostała od kuma na chrzcinach. Kupili za niego szydeł, knypów, dratwy i ćwieków, kopyt, smoły, szczeci i wszystkiego, co porządny szewc powinien mieć, i jeszcze jakiś ten garnek na gospodarstwo. Znaleźli sobie izbę w miasteczku, gdzie królowny Jaśnieny nikt nie znał, Jura szył buty do tańca i do roboty, dopóki tylko starczało mu skóry, a Jaśniena chodziła na targ je sprzedawać. Jaśnience to wspólnie dzielone z szewczykiem życie zadziwiająco służyło, bardziej od samotności na wieży, a jeśli i przedtem była piękna, to teraz rozkwitała różowiotko jak młoda jabłoneczka.

— Ze świecą szukać by drugiej takiej krasawicy po świecie, jak ta żonka naszego szewca! — mawiali sąsiedzi w miasteczku i była to szczerza prawda.

Wkrótce ta wieść o pięknej szewcowej rozniosła się za góry i doliny i doszła również do uszu tej złej ksieni czarownicy, co kiedyś królowi przepowiedziała z zemsty, że jego jedyna córka wyjdzie za szewca. Przepowiednia się spełniła — przekonała się czarownica, ledwo spojrzała w swoje czarodziejkie zwierciadło. Ale czemu ta szewcowa z królewskiego rodu zamiast trapić się i usychać z żalu jest taka kwitnąca? Czemu jej oczy jarzą się tak rezolutnie zamiast płakać i puchnąć?

Zatrwożyło to wiedźmę i zgniewało. Zawołała swoją córę Czerniawę, „dawno już dojrzała do zamęścia, dosiadły pomiotła

132

i w te pędy poleciały ciemnąnocką do tego miasteczka, gdzie żyli Jura z Jeśnienką. Przyleciały przed świtaniem, ukradkiem zajrzały do izby szewcostwa, jak raz gdy Jura całował Jaś-nienkę na dzień dobry. Czerniawa ze wściekłości aż tupać zaczęła, kiedy zobaczyła, jaki ten młody szewc jest ładny i pełen życia, a jej twarz szkaradnie wykrzywiła się gniewem. Ofuknęła zaraz starą czarownicę:

— Ładnie się zemściłaś! Ta królewska panna jest z tym szewcem szczęśliwsza niż z nie wiem jakim księciem. Gdybyś mnie naraiła takiego dorodnego oblubieńca, skakałabym w górę z radości!

Starej czarownicy też nie było w smak, że z jej zemsty nic nie wyszło. Próbowała jednak pocieszyć swoją córę:

— Czy to ważne, że jest ładny? Mimo wszystko to szewc, od którego jedzie smołą i smrodem upačkanych w gnoju wiejskich skórzni!

Ale Czerniawy rozdrażnionej jak smoczyca nie udobruchała, póki jej nie przyrzekła, że migiem ukręci łeb temu szczęściu szewcowskiemu, a królewską córkę uczyni tak nieszczęśliwą, że do śmierci będzie przeklinała ten dzień, w którym na świat przyszła.

W parę dni potem był w miasteczku jarmark. Jura naszył wiejskich butów i babskich pantofelków, a z czerwono farbowanej skórki koźlęcej uszył jedną parę na drobną dziewczęcą nóżkę, w sam raz dla Jaśnienki. Myślał sobie:

— Jeśli je sprzeda, w porządku. Każdy grosz w domu się przyda. A nie sprzeda, też dobrze. Podaruję je Jaśnience, będą dla niej jak ułat, niech wie, że ją kocham.

Rano rozłożyli na rynku towar na straganie, Jura życzył Jeśnience szczęścia, umówił się z nią, że przyjdzie w południe pomóc jej zwinąć kram i poszedł do domu szewcować. Jaśnienka siadła przy straganie czekając jak zawsze na klientów z wiosek. Długo nikt nie przychodził, aż tu ni stąd, ni zowąd zaszleściły przed nią jedwabne spódnice jakiejś wyniosłej pani, która podeszła z czarnowłosą i czarnooką córą, nabzdyczoną jak pawica. Pani od razu wyciągnęła rękę do tych czerwonych

133

pantofelków pytając, ile kosztują i czy są starannie wykończone, bo niby chciałyby je kupić dla swojej córki. Była to czarownica z Czerniawą.

— Są to najpiękniejsze pantofelki, jakie w tej krainie kiedykolwiek wystawiono na sprzedaż, szanowna pani! — powiedziała grzecznie Jaśnienka, bo zależało jej na tym, żeby ją mąż pochwalił za dobry utarg.

— Cicho, nie chwał z góry! Kto wie, jaki usmolony partacz je wyszewcował — oburzyła się Czerniawą, ale już się niecierpliwie pchała do czerwonych pantofelków.

— Szył je mój mąż! — zarumieniła się powściągliwym gniewem Jaśnienka.

Ale czarownica nie dała jej dokończyć:

— No co, szewcowo, rusz tyłek! Nie widzisz, że moja córka chce te buciki przymierzyć?

Czerniawą zezula swój trzewik, Jaśnienka musiała przed nią przykłęknąć i zmierzyć klientce ten piękny czerwony bucik. Ale Czerniawą miała stopę szeroką, niekształtną, a do tego wystającą kostkę u nasady wielkiego palca. Wsunąć jej zgrabny pantofelek na nogę było niepodobna, choć Jaśnienka próbowała, jak mogła.

— Kiepsko uszyty! Jeden tłumok sknocił pantofel, a drugi chce mi nogę złamać przy obuwaniu! — Czerniawą odepchnęła z wściekłością Jaśnienkę.

Czerwony pantofelek zrzuciła z nogi.

— Uszyty jest pięknie! — broniła się Jaśnienka. — Spójrzcie tylko, jak leży na nodze. Lekko wsunęła w pantofelek swoją drobną stopę. Ale zanim zdążyła się wyprostować, czarownica smagnęła ją różdżką czarodziejską. Jaśnienka przemieniła się w synogarlicę, czarownica wetknęła ją do torby i razem z Czerniawą spłynęły od szewcowskiego straganu. Próżno ludzie się rozglądali, gdzież to podziała się piękna szewcowa...

W południe przyszedł Jura zwijać kram. Serce w nim zamarło, gdy nie zobaczył Jaśnienki przy straganie. Na ziemi leżał jeden czerwony pantofelek, a po Jaśnience ani widu. Darmo

134

rozpytywał się między ludźmi. Nikt nie umiał mu nic pewnego powiedzieć. Co do jednego tylko nie było dwóch zdań, przy kramie była jakaś nabzdyczona pani z czarnowłosą córką, z nimi po raz ostatni Jaśnienkę widziano.

Jura przedumał całą noc nad swoim krótkim szczęściem. Kiedy wschodziło słońce, podniósł twarz z dłoni, spakował swój szewski kram, w tłumok wsadził również skrzydła i ten jeden czerwony pantofelek, co został przy straganie po Jaśnience, i ruszył w drogę.

— Odnajdę ją, choćbym miał iść na kraj świata!

Ale w którą stronę się zwrócić, nie bardzo wiedział. Szedł tędy, gdzie go oczy poniosą, naprawiając trzewiki po jarmarkach, przyszywając przyszczyпки po karczmach. A wszędzie wypytywał się, czy ludzie nie słyszeli o jego Jaśnience. Raz, jak tak siedział w izbie czeladnej przy karczmie i za kawałek chleba łątał czeladzi krypcie, przyszła do niego młoda gęsiarka. Przez chwilę udawała, że przygląda się robocie, bo nie wiedziała od czego zacząć, wreszcie wzięła na odwagę:

— A umiałbyś mi zrobić jeden szykowny czerwony pantofelek, żebym latoś miała na tańce przy odpuście?

— Jeden? — zdziwił się Jura. — Co to, u was przy muzyce skacze się na jednej nodze?

— Jakiś ty głupi, no, po co mi dwa, skoro jeden już mam?

— A skąd go wzięłaś?

— Spadł mi z nieba, kiedy pasłam gęsi!

Dziewka sięgnęła do zapaski i wyjęła drobniutki czerwony pantofelek. Jurę jakby ktoś nożem dźgnął, na pierwszy rzut oka poznał swoją robotę. To był on, ten, który znikł z Jaśnienka, nieodrodny bliźniak pantofelka, który nosił Jura w tłu-moku!

— Na litość boską, mów, gdzie go naprawdę znalazłaś?

— Toż powiadam, z nieba mi spadł!

I gęsiarka opowiedziała Jurze, co widziała, kiedy na błoniach pod lasem pasła gęsi. Z obłoku wypadły dwa jastrzębie, - jeden większy, drugi mniejszy, poganiały między sobą chudzińkę synogarlicę. Synogarlica próbowała im się wymknąć, ale jastrzę-

135

bie ją tłukły skrzydłami i dziobami, aż pióreczka leciały, i zmuszały ją, żeby leciała razem z nimi. I akurat kiedy były nad gęsiarką, coś od tej synogarlicy się oderwało i o mały włos by spadło gęsiarce prosto na głowę. No i był to ten czerwony pantofelek...

— A w jaką stronę zaganiały jastrzębie synogarlicę?

— Za Czarne Błota, w tę stronę, gdzie zachodzi słońce. Jura nie zasypiał gruszek w popiele, skoro świt wyruszył

w tym kierunku. Za każdym razem, gdy mijał rozdroże, wyciągał pantofelek Jaśnienki, który odkupił od gęsiarki, i rzucał go przed siebie. Którą stronę czubek pantofelka wskazywał, w tę stronę Jura szedł. A szedł i szedł, pogoda nie pogoda i przez deszcz, i przez śnieg, i przez wiatr, ani się golił, ani strzygł, tylko szedł. Wkrótce wyglądał jak rozczochrany, brodaty starzec. Ale po J3Śnience nigdzie nie było śladu.

Któregoś wieczora, gdy leżał zdrożony na skraju lasu z głową pełną rozpaczliwych myśli, ni z tego, ni z owego podniósł się wokół niego wielki wiatr. Jura skoczył na równe nogi, co to się dzieje! A tu widzi, jak ze środka trąby powietrznej, wirującej w jednym miejscu, wyskakuje jakiś gracki długowłosy pan i prosto do Jury:

— Hej, kumoterku, jesteś szewc, no nie? Przedmuchałem dziś twój tłumok, gdy jeszcze szedłeś drogą, porządnie zalatuje szewską smołą!

— Jestem, panie, jestem — rzekł Jura — macie dla mnie jakąś pracę?

— Ja jestem pan z Wichrowic, jeżdżę na wietrznych koniach, prawie nie zdzierani skórni. Ale moja siostra potrzebuje podzelować pantofle, jutro ma cały dzień chodzić po błękitnym niebie, musiałbyś być z tym gotowy do pierwszych kurów.

— W ciągu nocy podzelować jedną parę? A czemużby nie, to dla mnie zabawka!

— Oj, kumoterku złoty — westchnął pan z Wichrowic — sam zobaczysz, że to nie taka zabawka! Ale skór oś ochotny, chodź! Moja siostra dobrze płaci!

Ani się Jura obejrzał, już siedział za panem z Wichrowic na

136

jego wietrznym koniu i lecieli szybciej od strzały pod obłoki. Po chwili Jura poczuł w całym ciele ziąb, no bo wietrzny wir przedmuchiwał mu koszulę, a palce, którymi trzymał się siodła, zlodowaciały mu jak sopte, ale pan z Wichrowic kłutł i kłutł ostrogami wietrznego konia, a ten galopował, aż mu piana bryzgała z pyska. Przed samą nocą wjechali do pałacu na wy-sokachnej górze. Trzykrotnie objechali dziedziniec, a potem, cały czas na koniu, wstąpili do olbrzymiej sali.

—• Siostrzyczko złota, przywiozłem ci szewca, podjął się naprawy twoich butów! — krzyknął wesoło pan z Wichrowic.

Szturchnął przy tym łokciem zlodowaciałego Jurę tak energicznie, że szewczyk zleciał z konia. Ledwo podniósł się na nogi, już w sali stały otworem wielkie drzwi, z których uderzyła Jurę taka jasność, że mu oczy zaczęły łzawić. Dopiero po chwili, gdy całkiem zmrużył powieki, zobaczył, że pośrodku tej jasności stoi promienna jaśnie pani trzymając w ręku parę złotych pantofli.

— Witam cię, człowieku — promiennie uśmiechnęła się Słoneczna Pani do Jury — oto moje pantofle. Podarły mi się dziś w przedwieczesz, a jutro w nich muszę znowu wędrować. Jeśli mi je wyrychtujesz w ciągu nocy, sowicie cię wynagrodzę!

Jura jedną ręką przysłonił sobie oczy, a drugą wyciągnął po pantofle. O rety! Pantofle paliły, jakby wyjął z paleniska rozjarzony do białości kruszec, i biła od nich taka jasność, że oczy wprost oslebiała. Jura się zląkł, tej pracy przecież nie podoła. Toż ledwo dotknął pantofli, a już mu wyskoczyły na palcach bąble i skóra na dłoniach popękała. A z oczyma jeszcze gorzej, do cna by je sobie wypalił przy takiej robocie!

— Szkoda — odparła Słoneczna Pani, gdy Jura oświadczył, że nie może jej pantofli naprawić, — chętnie bym w zamian spełniła każde twoje życzenie!

— Każde? — drgnął Jura. — Ja mam tylko jedno jedyne życzenie: być tam, gdzie jest moja Jaśnienka! Czy i takie życzenie jaśnie pani by spełniła?

— I takie — skinęła Słoneczna Pani. — Jeśli mi w ciągu nocy naprawisz pantofle, rozejrzę się jutro po wszystkich zakąt-

137

kach świata za twoją żoną. Przed moim wzrokiem mało co się ukryje!

Na to Jura bez namysłu obiecał, że zrobi wszystko, żeby do rana pantofle jaśnie pani były wyrychtowane. Kazał sobie przynieść kowalskie kleszcze, żeby do cna nie upalić palców, i zabrał się do roboty. Oderwał stare, podarte zelówki, ze złotych płatów wyciął nowe podeszwy, złotymi ćwiekami je przybił i złotą dratwą przyszył, omal nie płacząc przy każdym dotknięciu. A jeśli nawet płakał, łez nie było widać, gdyż promieniująca ze słonecznych pantofli jasność w jednej chwili je osuszała.

Powieki mu tak napuchły, że patrzył jedynie przez wąskie szparki, a zarost i włosy spalił mu rozogniony do białości kruszec. Ale myśl o straconej Jaśnience dodawała mu sił.

Rano, gdy na dziedzińcu Słonecznego Pałacu zapał pierwszy kur, słoneczne pantofle z nowymi złotymi zelówkami stały na marmurowym stole czekając na swoją panią.

— Wygodnie mi się w nich chodzi — promiennie uśmiechnęła się Słoneczna Pani, kiedy je wypróbowała — poczekaj tu na mnie do zmroku, na pewno przyniosę ci dobrą wieść.

Po tych słowach jaśnie pani lekko weszła na słoneczną kopułę i już jej nie było. Zbolały, zmordowany gorącą robotą i bezsennością, związał Jura w tłumok swój szewski kram, wsadził go pod głowę i wyciągnął się na schodach Słonecznego Pałacu. Kiedy się ocknął, wydłużały się już cienie, a Słoneczna Pani szybkim krokiem powracała do pałacu. Jura niecierpliwie wybiegł jej na spotkanie, nic sobie nie robiąc z kłującego bólu w oczach, który sprawiał jej blask.

— Widziałas moją Jaśnienkę, jaśnie pani? — wykrzyknął już z daleka.

— Widziałam, bratku, widziałam — skinęła głową Słoneczna Pani niewesoło.

— Spełnij więc moje życzenie, tak jak przyrzekłaś! Chcę być przy niej!

— Ja ci się chciałam sowicie odwdziżyć, Juro, a to by była niedźwiedzia przysługa!

138

I zaraz zaczęła opowiadać, że Jaśnienkę trzyma w niewoli zła czarownica na swoim kamiennym zamku w czarnych borach. Ale ten zamek jest nie do wypatrzenia, bo ta czarownica dokoluśka go otoczyła mgłami, przez które nawet słońce z wielkim trudem przenika. I nie ma nawet mowy, żeby do tego zamku dotrzeć, gdyż znajduje się pośrodku bezdennych moczarów, gdzie nie ma żadnej drogi. Sama Słoneczna Pani musiała przywołać swojego brata, pana z Wichrowic, żeby swoimi wietrznymi końmi bodaj na chwilę rozwiały mgły wokół zamku i dopiero wtedy wypatrzyła Jeśnienę. Jest tam najostatniejszą służką złej Czerniawy, córki tej czarownicy.

— Kiedy ją ujrzałam, dygotała z zimna i głodu myjąc kamienny dziedziniec wewnątrz zamku. Chciałam jej chociaż krzywą ogrzać zgrabią ręce, więc rzuciłam na nią snop złotych promieni, ale zaraz wybiegła Czerniawa jak rażona wściekłą i wysmagała ją biczykiem, że przez jedną jedyną minutkę śmiała wystawić twarz do słońca. A zaraz potem czarownica spowiła wszystko gęstą mgłą...

Jura padł na kolana i ze złożonymi rękoma błagał Słoneczną Panią, by mu pomogła się dostać do zamku, gdzie czarownica więzi Jaśnienkę.

— Bratku miły, toż ja cię nie mogę wziąć z sobą na kopułę niebieską. Tam na górze w południe takimi płomieniami smagam, że spłonąłbyś od mojego żaru, gdybyś wtedy był w pobliżu. Chyba tylko mój brat mógłby cię przywieźć do tego zamku na swoim wietrznym koniu poprzez moczary i błota. Ale jak się przedostaniesz przez mury warowne, a potem jak z tego zamku się wymkniesz? Mury tam są wysokie, nie przeskoczysz ich, ani nie przelecisz, jedynie możesz kark sobie skrócić! — westchnęła Słoneczna Pani.

— Przeleć! — krzyknął Jura, w te pędy rozwiązując swój tłumok.

Zanim Słoneczna Pani zdążyła się rozejrzeć, wyciągnął swoje stare skórkowe skrzydła, przypiął je do ramion i zaraz na nich wzbił się ładny kawałek nad ziemię i zaczął polatywać dokoluśka po wielkiej sali.

139

— Wszystko już na świecie widziałam — śmiała się Słoneczna Pani — ale żeby szewc latał jak kania, to jeszcze nie! No, gdyby ci pan z Wichrowic trochę dmuchnął w plecy, żeby cię podpędzić, to do rana byś pewnie doleciał do tego wieżmow-skiego zamku. Dzień możesz przeczekać gdzieś na wieży, a o zmroku znaleźć okienko, za którym twoja Jaśnienka sypia. A potem sam już sobie radź, jak umiesz!

Wezwała pana z Wichrowic, a ten obiecał mu dmuchnąć w plecy najszybszą dujawią. Słoneczna Pani pokazała Jurze maleńką błękitną gwiazdeczkę daleko na niebie. Lecąc ma się jej trzymać, bo w tamtej stronie jest Jaśnienka w niewoli. Noc będzie dzisiaj jasna, tylko zamek czarownicy pozostanie w mgłach. Tak że jak natrafi na mgły, niech się czym prędzej opuszcza, bo tam w nich w środku znajdzie zamek.

— A gdybyś już był w najgorszych opałach i gdybyś czuł, że ziemia ci się pali pod nogami, na taką złą godzinę weź ten mój włos! Upuść go na ziemię, ja usłyszę, jak upadnie, a wtedy, choćbym nawet była na kraju świata, uczynię dla ciebie wszystko, co w mojej mocy.

Jura schował ten włos, świecący jak złoty drucik, wyszedł na schody pałacu i rozpostarł ręce do lotu. Ledwo nimi zamachał, dmuchnęła mu w plecy tak silna dujawią, że wyleciał w górę jak z armaty. Szybował pod gwiazdami nie spuszczać z oka tej jednej, błękitniejącej w oddali, i spieszył co sił w jej stronę, żeby jak najszybciej być przy swojej udręczonej, najmilejszej Jaśnience.

Jasna noc już siwiała, kiedy Jura ujrzał przed sobą pośrodku czarnych borów gęste kłęby mgieł, spiętrzonych jak śnieżna góra. Podziękował dujawicy za pomoc i zataczając w powietrzu kręgi jął spuszczać się w dół, w tę nieprzyjazną mgłę. Opaadał już dobrą chwilę, gdy naraz ujrzał po prawej ręce jakąś iglicę z zielonym kurkiem. Zawiosłował tedy ramionami i wkrótce trzymał się już tego miedzianego kogucika. Nie miał wątpliwości, że był to szczyt wieży na zamku czarownicy. Gdzieś w głębi dziedzińca mignęło mu jak raz różowe, przyćmione mgłą światełko. Jura zjechał po murze w dół i zama-

140
chawszy skrzydłami, zatrzymał się na gzymisie tuż nad dziedzińcem i wtedy zobaczył, że tam na kocich łbach klęczy jakaś służka czyszcząc przy świetle kaganka zabłocone damskie buty.

— Pewnie to moja Jaśnienka! — zaświtało mu w głowie. Zsunął się jeszcze niżej, na krużganek, położył się na posadzce i szczeliną w kamiennej barierce przyglądał się służce. Głowę miała otuloną ciemną chustką, spod szarej spódnicy wystawały dwie bosc, zgrabiące od zimna nóżki. Twarzy nie było widać bo służka pochylała się nad butami. Ale Jura na samym dnie serca czuł, że to jego najmilejsza. Ze wszystkich sił musiał się powściągnąć, żeby nie zawołać jej po imieniu i nie zeskoczyć ku niej, by złapać ją i wycałować. Rozsądek mu jednak nakazywał, że nie może przedwcześnie się zdradzić. Przecież on chce Jaśnienkę uratować, a nie tylko się z nią zobaczyć, dlatego musi się wziąć w garść i przetłumaczyć sercu, żeby nie szalało! Więc tylko się w nią wpatrywał, przyglądał się jej w milczeniu, oczu od niej oderwać nie mógł, a przy tym przemyślał, co i jak dalej, żeby Jaśnienkę ocalić i siebie samego nie zgubić. Umyślił sobie, że najpierw da Jaśnience znać, że tu jest, ona już będzie wiedziała, a on wtedy tak się ukryje, żeby czarownica niczego nie przewąchała. Napisał na małej karteczce:

„Postaw wieczorem światełko w swoim oknie!”

Karteczkę włożył do czerwonego pantofelka, przylepił ją szewską smołą, a kiedy służka na chwilę weszła do środka zamku, rzucił z krużganka czerwony pantofelek pomiędzy inne buty.

Kiedy służka wróciła, od razu zmiarkowała, co się stało. Była to na pewno Jaśnienka! Złapała czerwony pantofelek, przycisnęła go do serca jak najdroższy klejnot, ze wzruszenia uniosła głowę w górę, tak że Jura mógł wreszcie ujrzeć jej jasną twarz, i głęboko westchnęła, aż Jurę serce zabolalo. I zaraz znalazła wewnątrz bucika jego karteczkę, szewską smołą przylepioną. Przeczytała, błyskawicznie zwinęła w dłoni i po raz drugi westchnęła, ale już nie tak boleśnie. W tym momencie Jura znowu miał straszną ochotę uściskać swoją najmilejsza. Ale do-

141

brze, że się powstrzymał. Skądś z okna dobiegł na dziedziniec zły, kraczący głos:

— Oślisko ospała, długo jeszcze będziesz wałkonić się przy tych butach! Pośpiesz się, bo będę cię młócić jak żyto!

Jaśnienka duchem schowała czerwony pantofelek pod spódnice i lękliwie odpowiedziała:

— Za chwileczkę będę gotowa, łaskawa pani!

Wzięła wyczyszczoną stertę butów na ręce i pobiegła z nimi do zamku. Jurze zaciskały się pięści z gniewu, kiedy usłyszał, jak Czerniawa wygraża Jaśnience. Ale do wieczora

trzeba było wytrzymać. Kiedy ucichł szum na dziedzińcu, ostrożnie wleciał na najwyższą wieżę. Znalazł tam małe okienko, którym wcisnął się do środka i jak gołąb przysiadł między belkami, żeby przeczekać dzień.

Ach, któż jest w stanie wyobrazić sobie, jak z lęku i zarazem tęsknoty biło Jaśnienie serce! Wsadziła czerwony pantofelek do kieszonki, którą miała przyszytą z lewej strony spódnicy, żeby nikt nie mógł widzieć, i pośpieszyła do złej Czerniawy. Drżała na całym ciele, kiedy ustawiała wyczyszczone buciki para przy parze przed tą złośnicą, że Czerniawie rzuciło się to w oczy.

— Co tak drżysz, zdiro szewcowska? Zimno ci? Może mam cię trzepnąć bacikiem na rozgrzewkę? — szyderczo wykrzyknęła.

I zaraz podniosła na Jaśnienkę swoją złą łapę. Jaśnienska w milczeniu opuściła powieki i przycisnęła rękę do serca, żeby tak mocno nie tłukło. Kiedy posługiwała przy obiedzie, nie uszło bystrym oczom starej czarownicy, że z Jaśnienska coś się dzieje.

— O czym myślisz, bestio! — ofuknęła ją niespodziewanie, kiedy Jaśnienska w zamyśleniu zbierała talerze ze stołu. Jaśnienie zadrżały ręce i jeden talerz spadł na ziemię.

— Nikczemnieć nikczemna! Tak szastać naszym majątkiem! — wyrznęła ją czarownica w głowę ostrą pięścią.

Po czym zarządziła, że dziś Jaśnienska za karę będzie spać nie w swojej izdebce przy kuchni, ale na wieży, gdzie ją za-

mkną po całodziennej harówce. Była to pusta śmierdząca nora. w której stało jedynie drewniane łożo, i gdzie było ciemno, gdyż przez małe okienko pod stropem nawet w biały dzień sączyła się ledwo skąpa szarość. Z zapadnięciem ciemności zamknęto Jaśnienkę w tej norze.

Całe szczęście, że Jaśnienska w czas usłyszała, co ją dziś wieczór czeka, i po kryjomu zabrała ze sobą z kuchni krzesiwo i kawałek łojówki, którą znalazła na przylepie. Kiedy nastąpiła noc i w zamku ucichło, przyciągnęła drewnianą pryczę pod okienko, na hubkę skrzesła z krzesiwa iskierkę i rozdmuchawszy ogienek zapaliła łojową świeczkę. Z wielkim trudem do-sięgnęła z pryczy okienka, ale jakoś udało się jej umieścić w nim światełko. Przez chwilę słuchała z napięciem, w końcu wydało się jej, że słyszy szum Jurowych skrzydeł. Wzmagął się i znowu zacichał, widać Jura oblatywał wieżę.

Wreszcie usłyszała jego cichutki głos:

— Jaśnienko, kochana moja, jesteś tam?

— Jestem, Jureczku — krzyknęła ze wszystkich sił — czekam na ciebie, mój miły!

— A czemu cię tak marnie słyszać?

— Mur jest gruby, a okienko strasznie wysoko, nie mogę się do niego dostać!

— A dla mnie to okienko jest za wąskie — uskarżał się Jura, który przytrzymał się gzymsu — nie mogę się przez nie precisnąć.

— Oj biada, biada co my nieszczęśliwi teraz pocniemy — załkała cicho Jaśnienska.

— Nie płacz, Jaśnienko, polecę do lasu, uplotę z łyka powrósł i podciągnę cię do okienka. Wtedy machnę skrzydłami na tę wiedźmę i polecimy sobie w dal.

— Z tym ci zejdzie do jutra.

— No to przylecę jutro wieczór! Masz tu swój drugi pantofelek, żebyś nie musiała chodzić boso!

W świetle świeczki Jaśnienka zobaczyła, jak coś ciemnego przeleciało przez okienko i spadło na podłogę. Podniosła czerwony pantofelek, spod spódnicy wyciągnęła drugi, wzięła je na

142

143

skostniałe nogi i w jednej chwili było jej ciepło jak w środku raj.

Jura co sił poleciał w ciemne bory, daleko od zamku czarownicy i ledwo się rozedniło, zaczął zdzierać z drzew korę. Ze spodu wybierał pasy białego łyka, a kiedy miał go już całą stertę, zaczął pleść z niego mocne i długie powrósło. Zanim słońce doszło do południa, był już z robotą gotowy. Przerzucił powrósło przez konar dębu, uwiesił się rękami za dwa jego końce, żeby wypróbować jego siłę, i dopiero wówczas położył się zadowolony pod krzakiem czarnego bzu, by do wieczora pokrzepić się snem.

Jaśnienka z rana, zanim straż wywiodła ją z wieży, schowała swoje czerwone pantofelki z powrotem pod spódnicę i bosobiegła na dziedziniec, by wypełnić swoją powinność: wyczyścić wszystkie nowe i stare buty swojej pani. Czuła się dziś jak nowo narodzona, nawet w nogi nie było jej zimno, twarz miała rozpromienioną, jakby stała w słońcu. To jaśniała w niej myśl o Jurze.

Ale wiedźma nie była taka głupia. Podczas obiadu nie spuszczała oka z Jaśnienki, widziała każdy jej ruch, każde drgnięcie twarzy. Co ona dzisiaj tak świeci radością? Zaczęła ją lustrować dokładnie i wypatrzyła, że jej spódnica ma dwie fałdy dziwnie wystające, jakby służka coś pod nią ukrywała.

— Chodź tu! Podnieś spódnicę! — powiedziała zniecierpliwiona, aż Jaśnienka osłupiała. A kiedy wiedźma sama jej laską zdarła spódnicę ukazały się dwa czerwone pantofelki, dobrze czarownicy znane.

— Przyznaj się, skąd je wzięłaś? Kto ci je przyniósł? — rozwrzeszczała się wściekle.

— Spadły mi z nieba — odparła Jaśnienka wcale nie kłamiąc — najpierw jeden, a potem drugi. Chyba mi jakieś ptaki je przyniosły. Pomyślałam, że mogę je sobie zatrzymać, bo szyl je przecież mój mąż Jura...

— Pójdiesz znowu pod klucz, jak tylko się ściemni! Ja ci dam, ty kłamczucho!

Ale Jaśnience rzuciło się w oczy, że czarownica jest zanie-

144

pokojo. Ze złości kazała służce wyszorować ceglane schody, a sama pospieszyła ze swoją piekielną córką Czerniawą do komnaty, gdzie miała schowane czarodziejskie przybory. Wyciągnęła magiczne lustro i obie wiedźmy zaczęły nim lustrować wszystkie kąty swojego zamku i najbliższych okolic. Całe szczęście, że Jura nie spał już dzisiaj na wieży! A że był wiele mil od warownych murów ich grodu, czarownice nie znalazły ani paprocha podejrzanego i cokolwieczek się uspokoiły.

Ale stara na wszelki wypadek wyciągnęła ze skrzyni cienki siwy szal, którym robiła mgłę, podała go Czerniawie, a ta wyszła na wielki balkon i zaczęła nim machać. Za każdym machnięciem z cienkiej tkaniny waliły gęste kłęby białej jak mleko i nieprzejrzonej mgły. I dopiero gdy cały gród w niej utonął i z okien nie było nic a nic widać, zła czarownica się uspokoiła, wzięła szal z rąk Czerniawy, schowała go do skrzyni i zamknęła na siedem stalowych zamków.

Nie spostrzegły jednak ani stara, ani młoda, że Jaśnienka, która szorowała schody, widziała całe to czarowanie, a nawet udało jej się sprytnie podejść do dziurki od klucza i zobaczyć, gdzie stara chowa swój szal do robienia mgły.

Jednakże Jaśnienka nie wiedziała, że zła czarownica oprócz mgły zastawiła na Jurę jeszcze inne niebezpieczne pułapki.

— Ten zwariowany szewc widać gdzieś się tu blisko kręci, jakżeby inaczej mogły się tu naraz znaleźć te pantofelki! Niech tylko się odważy, niech tylko spróbuje zbliżyć się do mojego zamku! Zniszczę go jak czerwia!

Zagroziła pięścią niewidzialnemu nieprzyjacielowi, po czym zabrała się do roboty. Nagotowała maku z przymieszką jakichś jeszcze innych bylin, jej tylko wiadomych, i z tego naparu przysposobiła napój zapomnienia, który kazała zamiast wody podać wieczorem Jaśnience. Choćby nawet ten szewc i przedostał się do zamku, dziewczka sobie nie przypomni, kim on jest i że kiedykolwiek go w życiu widziała i znała. Dopiero po natarciu rąk między palcami liśćmi macierzanki i po wciągnięciu jej woni w nozdrza ulatniają się pary zapomnienia z mózgu

10 Bajki czeskie

145

i wraca człowiekowi pamięć. Ale gdzie by tu w tym kamiennym grodzie znalazła dziewczka macierzankę! Do śmierci tu będzie tyrać jak głupia służka i tylko jej dola będzie kruszynę lżejsza, bo nic z przeszłości nie będzie sobie przypominać.

Wzięła też wiedźma swoją najważniejszą księgę i wedle jej czarnoksięskich prawideł rozkazała, by na dzisiejszą noc zleciały się z boru z dziesięciu mil naokoło wszystkie nocne drapieżniki, puchacze, puszczyki, rosiste pójdzki, sowy uszate, sowy palone i inne strzygi i by, obsiadłszy najwyższą wieżę, pilnowały do samego rana dostępu do grodu. A kto wbrew woli pani zamku będzie chciał się przedostać za mury, niech go rozszarpną ostrymi dziobami i postrzępią pazurami!

Biedna Jaśnienka! Nie wiedziała o tym wszystkim, toteż było jej lekko na sercu i nie mogła się wprost doczekać swojego Jury. Ale mimo radości nie zapominała o niebezpieczeństwach, jakie na nich obojga jeszcze czyhały. Dumiała nad tym, żeby chociaż w czymś małym być pomocną Jurze, i wtedy przyszedł jej na myśl mgielny szal w skrzyni czarownicy. Szkoda, że na tyle ciężkich zamków jest zamknięty! Sama by ich nie zerwała, a w grodzie nie ma nikogo, kto by jej mógł pomóc posiąść ten czarodziejski szal.

Nie ma nikogo? Jaśnienka przypominała sobie, że przecież pośród tej nienawiści i obcości ma jednak przyjaciółki, które jej samotność czynią znośniejszą. Usiadła na pryczy w swojej norze, rzuciła na ziemię parę skórek od chleba, jak to zazwyczaj czyniła o zmroku, i przy tym głośno westchnęła:

— Ach, myszki, gryzulki, kumpelki moje jedyne, wy byście mi mogły pomóc, gdybyście mnie rozumiały!

Po tych słowach zachrobotało pod starą komodą i jedna z myszek wystawiła pyszczek. Zamrugnęła chytrymi ślepkami, jakby chciała Jaśnience powiedzieć, że wszystko rozumie. A za nią wyrzała druga, trzecia, cała gromada jak za każdym razem. Dziś wszakże nie przypadły do rzuconych skórek, jak to czyniły zawsze, lecz bez bojaźni obstały Jasnienkę, jakby czekały na rozkazy.

— Ach, przyjaciółki moje drogie, gdybyście wy mogły prze-

146

gryźć drewno czarodziejskiej skrzyni i przynieść mi z niej potajemnie cieniutki szal, który tam został schowany... pewnie byście ocaliły mi życie!

Cóż to? Myszki ani chwili dłużej nie czekały, jedna za drugą podreptały ku drzwiom i zbiegając co sił po schodach mknęły do tej sali, gdzie czarownica trzymała w skrzyni swoje przybory. Jako stare mieszkanki zamku, znały tu każdy kącik, toteż szybko przelazły przez dziurę pod progiem, z dawna już wydrążoną. Znikły, zamerdawszy ogonkami...

Ale Jasnienkę o zmroku znowu zaprowadzono do wieży. Na podłodze obok pryczy postawili jej miskę z przesolonym jedzeniem, a obok dzbanek z wywarem zapomnienia. Czarownica liczyła na to, że wygłodniała dziewczka nie wytrzyma i naje się jadła, a kiedy ją sól zacznie palić, do dna wypije napar z dzbanka, który jej postawiła zamiast wody...

Dziwnym trafem Jaśnienska tego wieczora nie czuła ani głodu, ani pragnienia. Ledwo siepacze zaparli drzwi, obuła swoje czerwone pantofelki, usiadła na skraju drewnianej pryczy, objęła rękoma kolana i z otwartymi oczyma śniła o tym, jak to będzie pięknie, gdy znowu pospólnie z Jurą będą żyć na wolności. A myszki gryzulki? I o nich chwilami myślała, ale na ich pomoc przecież nie mogła liczyć. Gdy zapadła zupełna ciemność, wyciągnęła z kryjówki krzesiwo i tak jak wczoraj zapaliła resztkę łojówki i postawiła ją na brzegu okna.

Jeszcze nie zdążyła nawet przysiąc na pryczy, już pod okienkiem usłyszała szum cichych skrzydeł. Zaczęło jej walić serduszko — to na pewno Jura! Ale szum był coraz większy i większy, a Jura ani słychu! Na Jaśniencie ścierpła skóra, co to może znaczyć, takie dziwne skrzeczenie, ksykanie i płaczące skomlenie, które bez ustanku razem z szumem skrzydeł słyszy nad głową? Jej, mówiła do siebie w chwili bojaźni, lepiej, żeby Jura dziś nie przylatywał, bo uniknąłby przynajmniej tych strachów nasłanych przez czarownicę.

Tymczasem Jura spał pod czarnym bzem jak zabity. Dopiero po zmroku, gdy padła na ziemię rosa i zwilżyła mu twarz, ocknął się z głębokiego snu. Obwiązał się wokół pasa tyko-

147

wym powróstem, zarzucił na plecy swój szewski tłumok, przypiął do ramion skrzydła, a jeszcze na wszelki wypadek wziął w garść szewski młotek, ostrzejszy od sztyletu.

Rozejrzał się wśród gwiazd i nieomylnie wzbił się ponad świerki.

Kierunek był dobry, już po godzinie lotu natrafił na pierwsze strzępy mgły, wróżyły bliskość zamku czarownicy. I choć mgła była dzisiaj w dwójnasób gęsta, a noc wyjątkowo ciemna, dotarł niebawem do warownych murów. Zakołował nad zamkiem i dostrzegł cieniutkie światelko w więziennej wieży. Za jednym zamachem skrzydeł był przy okienku, złapał się gzymsu i zawołał:

— Jaśnienko! Serce moje!

A tu jak grom z jasnego nieba podniósł mu się nad głową straszny harmider i w jednej chwili był otoczony rozwścieczonymi, dzikimi stworami, pierzastymi i uszastymi, które go szarpały szponami i dziobami i tłukły po głowie twardymi skrzydłami. Jura się zachwiał w powietrzu, osunął parę metrów w dół, ale piorunem znów zamachał skrzydłami, żeby nie rozbić się o ziemię.

Wzleciał na krawędź dachu i swoim młotkiem zabił parę bestii. Czuł jednak, że w tej nierównej walce musi ponieść klęskę. Zebrał w sobie wszystkie siły, wysforował się

jeszcze wyżej, przebił się przez gromadę sów na wierzchołek wieży i łykowym powróstem przywiązał się do blaszanego kurka. Dzięki temu miał wolne obie ręce. Z młotkiem w lewej dłoni i z ostrym sztydłem w prawej kłuł i dźgał na wszystkie strony bez litości.

Ale nocni drapieźnicy spadli na niego całą chmarą i na miejsce jednego porażonego zjawiało się pięcioro innych. Szpony puchaczy, ostre jak żelazne haki, rwały mu przyodziewek cal po calu i dobierały się już do ciała. Bluzę miał w strzępach, koszula przesiąkała broczącą krwią, ręce całe były podziobane. Tracił już przytomność, powieki same mu się kleiły, kolana ugiwały.

— Bim, bi-rim, biri-lim! — usłyszał nagle osobliwe cieniu-sieńkie brzdęknięcie. Co tak dźwięknęło? Czy mu się tylko wydawało? Co to za złudzenie? Oprzytomniał, otworzył oczy nai-

148

szerzej, jak mógł i ujrzał, że to dźwięczy świecący złoty drucik, który toczy się po dachu wieży. Włos Słonecznej Pani!

Któryś z tych rozsierdzonych puchaczy urwał Jurze kieszeń przy bluzie, gdzie był schowany ten drogocenny podarunek. I oto świecący włos się staczał, aż stoczył się poza krawędź dachu. Zanim Jura nabrał tchu, brzęknął po raz drugi i to dużo głośniej, uderzając z góry o kocie łby dziedzińca. Biada, biada, czyż teraz, w środku nocy, może Słoneczna Pani usłyszeć to dźwięknięcie? Jura uśmiechnął się cierpko, przekonany, że już ze wszystkim koniec...

Ale starsziwa ciemność nad głową Jury nagle się rozerwała i przez rzednące mgły przedarło się wspaniałe światło! Wokół wieży podniósł się szalony wiatr, który rozwiewał resztki mgieł hen ponad bory. Toż to pan z Wichrowic przegalopował nad Jurą na swoich najszybszych koniach! Trąba powietrzna roztrąca skrzydła drapieźników, zdmuchuje pójdzki i puszczyki jak papierki, a grubasnym puchaczom i lozczapirza całe upierzenie. Przewód nieba jest już czysty i coraz bardziej roz-błękitnia się świetlistą jasnością.

To Słoneczna Pani, zbudzona brzękiem złotego włosar wstała ze swojego łóża i wyszła na sam środek kopuły niebieskiej, by wesprzeć Jurę. I oto złotymi strzałami swych promieni uderza w dach wieży, poraża ślepiu nocnych drapieźników, a te, oślepione, mrugają powiekami i wściekle przebierają w powietrzu pazurami. Słoneczny blask, jarzący się o północy, zbudził również wszystkie dzienne ptaki. Sroki skrzeczki, wrony krzy-kaczki, sójki szczebiotki i kawki, całe ptactwo rozświergotało się nad borem i z wrzaskiem rzuciło się na otępiałe sowy, puchacze, puszczyki i pójdzki. Taki jazgot podniósłby nawet nieboszczyka z grobu! Zła czarodziejka skoczyła na równe nogi z łóża, wyciągnęła za włosy z pościeli leniwą córkę Czernia-wę, wcisnęła jej do ręki klucze od skrzyni i oprzytomniła ją przerażonym krzykiem:

— Leć, złap szal i wyczyniaj mgłę, co masz siły! I to jak najgęstsza i jak najciemniejsza, żeby ta słoneczna potwora nie przeniknęła przez nią!

149

Czerniawa, jeszcze rozespana, dopadła w komnacie skrzyni. Raz dwa odemknęła wszystkie zamki, uchyliła wieko, ale cóż to? Przetarła oczy, raz i drugi, bo może wzrok ją zawodzi, ale niestety! Mgielnego szala, który tu leżał na samym wierzchu, nie było! O psia krętka, a co to znaczy ta nitka, no tak, dziura w skrzyni, którą wywiązał ten cudowny

szal i tylko nitka zaczepiła się o drzazgę... Wystraszona, pobiegła Czerniawa do starej, żeby jej oznajmić tę złą nowinę.

— Uciekaj, Juro, póki czas! — jak dzwon rozległ się po całym niebie głos Słonecznej Pani. — Na proch spalę ten przeklęty zamek ze wszystkimi czarami i gusłami! Jura zadarł głowę i zobaczył Słoneczną Panią, jak schodzi ze środka niebios coraz niżej i niżej. Za każdym jej stąpieniem promienie słoneczne stawały się coraz gęstsze i natarczywsze. Czuł, jak się rozpala miedziana blacha wieżowej iglicy. Z gontów, pękających od żaru, zaczynało się dymić. Jura krzyknął na cały głos w stronę nieba: —• Dzięki ci, Słoneczna Pani! Kiedy tylko będziesz potrzebowała podzelać pantofle, zawołaj mnie. Przyjdę, choćbym miał sobie wszystkie palce popalić! Czym prędzej odwiązał się od iglicy i sfrunął pod okno Jaś-nienki z powrośłem w rękę. Bez wahania rzucił do środka jeden jego koniec, drugi obwiązał mocno wokół prawego nadgarstka.

— Jesteś tam, Jaśnienko? Pospiesz się, obwiąż się łykiem dookoła pasa!

— Zaraz, mój miły! — zadzwonił głosik Jaśnienki.

Gdy wyciągnęła rękę po łykowy sznur, w dziurce pod drzwiami zapiszczała myszka. Jaśnienka drgnęła i spojrzała na gryzulkę. Słowo daję, takie chytre oczka miała właśnie tamta myszka z kuchni! A zanim powiedziała ach! czy och!, już z dziurki powyskakiwały następne myszki ciągnąc jedna za drugą niby długaczną linę mgielny szal czarownicy. Był wprawdzie zakurzony, wyszmelcowany i poskręcany, bo go kumy gryzulki cały czas wlokły swoimi podziemnymi korytarzykami, ale był! Jaśnience załzawiły oczy z przejęcia, wzięła od

150

myszek szal, pogłaskała po szarym futerku tę z chytrymi oczkami, a szal, zakurzony i postrzępiony, zawiązała sobie na szyi.

— Jestem gotowa! Ciągnij, Juro! — wykrzyknęła radośnie.

— Jeśli masz tam w dzbanie wodę, to weź ze sobą! Strasznie mi zaschło w gardle! — usłyszała w odpowiedzi głos Jury.

Złapała dzban, sznur się napiął, kiedy Jura zaparł się nogami na gzymsie, i, po paru sekundach zjawiła się przed nim promienna twarz Jaśnienki. Jurę piekło całe ciało od dziobnięć sowych, z rozranionego czoła zalewała mu oczy krew, gardło ścisnęło się z pragnienia, ale mimo wszystko była to najszcześniejsza chwilka jego życia. Łapczywie chwycił dzbanek:

— Tylko jeden łyk!

Ale jak go przytknął do ust, nie mógł się oderwać, póki nie wypił wszystkiego do dna... Zaraz przywiązał sobie łykowym sznurem do pleców Jaśnienkę, i zdał się na swoje skrzydła. Był najwyższy czas, z zamkowego dachu strzelały już w górę drobne jęczyczki płomieni. Jura rozpostarł ramiona, zamachał skrzydłami i zaraz poczuł, że mu pan z Wichrowic elegancko dmucha w plecy.

— Ojej — krzyknęła naraz Jaśnienka, ledwo ulecieli parę metrów — mój drogi Juro, musimy się wrócić, z lewej nogi zsunął mi się czerwony pantofelek!

— Uszyję ci inny, moja najmilsza, teraz trzeba co tchu stąd zmykać!

Jaśnienka ściągnęła z szyi mgielny szal, pomachała nim w locie wokół siebie i wnet ich oboje spowił biały obłoczek, który pośród innych obłoczków płynął z wiatrem daleko, daleko na wschód, precz od tego państwa złej czarownicy.

Do rana był Jura śmiertelnie zmęczony. Ostatkiem sił zatoczył krąg nad jakąś polaną, sfrunął na ziemię i ledwo Jaśnienka odwiązała się od niego, upadł skonany na mech i natychmiast usnął. Jaśnienka się tym nie martwiła, byli już daleko od państwa czarodziejki, a do domu musiało być już bliźniętko.

Pocałowała śpiącego Jurę w czoło, czule go pogłaskała po twarzy i podreptała na polanę. Szeroki liść łopianu zwinęła w trąbkę i żwawo zaczęła do niej wrzucać zrywane jeżyny, że-

151

by Jura miał się czym orzeźwić, kiedy się zbudzi. Nie wiedziała, nieszczęsna, jakim to napojem ugasiła jego pragnienie tam na wieży... Po chwili trąbka była pełna, aż się jagódki przez brzegi wysypywały. Z trudem wyplątała się z gęstwiny jeżynowych krzewów, które łapały ją swoimi pazurkami za szaty i ręce, i ruszyła przez polanę w stronę Jury.

Ledwo jednak postąpiła parę kroków, ujrzała nagle jakiegoś jeźdźca, wynurzającego się z lasu. Podjechał do niej na koniu i — jak to myśliwi — żartem zaczął ją straszyć:

— Oj, panienko, coś mi się zdaje, że panienka kradnie w moim lesie!

— Narwałam tylko tę garstkę jeżyn na ugaszenie pragnienia — uśmiechnęła się Jaśnienka — ale mógłbyś mi, panie, powiedzieć, w jakim królestwie ten las się znajduje?

Jeźdźca zastanowiło to pytanie, bystro popatrzył na Jaśnienkę, po czym wyjął z kieszeni jakiś obrazek, znowu utkwiał wzrok w Jaśnience i w te pędy zeskoczył z konia. Ujął Jaśnienkę za ramiona tak gwałtownie, że jej jeżyny rozsypał.

— Tyś chyba ta zaginiona królewna Jaśniena, o którą jest taki szum?

— To ja — przyznała się Jaśnienka pochopnie — a cóż to, ktoś mnie szuka?

— Hurra, dziesięć tysięcy dukatów będzie do mnie mówić panie! — jeździec z radości zaczął hopsać i tańcować wokół Jaśnienki. — Nasz pan król wypisał wielką nagrodę za odnalezienie ciebie i przyprowadzenie na zamek królewski całej i zdrowej!

— Ale ty tego nie uczynisz — zaśmiała się Jaśnienka — tam pod tą trzecią brzozą odpoczywa mój mąż Jura, on mnie za nic w świecie nikomu nie odda!

— Ależ uczynię! — wykrzyknął jeździec zuchwale. — Sam diabeł mi w tym nie przeszkodzi!

Ani się Jaśnienka obejrzała, już trzymał ją w objęciach, skoczył z nią na siodło, a koń bodnięty ostrogami ruszył z kopyta jak strzała. Na próżno Jaśnienka usiłowała się bronić, na próżno biła go swymi drobnymi piąstkami, na próżno wołała

152

Jurę na pomoc. Jeździec, nieczuły na prośby i groźby, unosił ją do stolicy królewskiej. Te dziesięć tysięcy złotych ptaszków, które już mu ćwierkały w jego sakiewce, dodawało mu odwagi i stanowczości.

Jura zbudził się dopiero po południu, cały zziębnięty i jakiś odurzony. Napój zapomnienia, który czarownica zastawiła na Jaśnienkę, dokonał swego dzieła. Jura na śmierć zapomniał, jak się do tego lasu dostał i co tu robi, obraz Jaśnienki ulotnił mu się z głowy, zapomniał że w ogóle Jaśnienka istnieje na świecie i że jeszcze dziś w nocy z ochotą narażał dla niej żywot. Nic nie wiedział ze swej przeszłości/ niczego nie pamiętał. Tylko to, że jest szewcem, kołatało mu się jeszcze po głowie. Ze zdziwieniem popatrzył na swoje skórkowe skrzydła, które miał ciągle przywiązane do ramion. Na co mu takie bzdurstwo?

A że nic mu nie przychodziło do głowy, chciał je po prostu wyrzucić. Jednak w ostatniej chwili zwinął je i włożył do tłu-moka. Taka giętka skórka może się w końcu na coś przydać. Czuł głód i pragnienie, paliły go rany. Poszedł tedy na chybił trafił przez las szukać jakiejś ludzkiej zagrody...

Kiedy jeździec wjechał z Jaśnienka na królewski zamek, zbiegła się na dziedzińcu cała czeladź, siepacze i strażnicy i w jednej chwili zjawił się również sam król ze starą pokojówką Jaśnienki.

— To ona! To nasza królowna! — radośnie wszyscy krzyczeli, gdy jeździec zszedł z Jaśnienka z konia.

Szczęśliwy znalazca złożył królowi panu głęboki ukłon:

— Wasza Królewska Mość, spełniłem wasze życzenie! Znalazłem królownę i przywiodłem ją żywą i całą. Czekam teraz na obiecaną nagrodę!

— Nic mu nie dawajcie! — wykrzyknęła Jaśnienka. — To nie on mnie znalazł, porwał mnie jedynie z lasu, gdzie zbierałam dla swojego męża jeżyny!

— A któż to taki, ten twój mąż? — zaraz zapytał rozgniewany król.

— To szewc, tátu, ale jest to najlepszy mąż pod słońcem! Król się nachmurzył jak niebo przed burzą, a że nie miał

153

pod ręką nikogo, na kim by się jego gniew skrupił, kazał chociaż wyrzucić z zamku tego pazernego jeźdźca, który Jaśnienkę porwał z polany.

Jaśnienka, już w królewskiej komnacie opowiedziała aż do najdrobniejszych szczegółów wszystko, co się z nią działo, i jak szewc Jura wyswobodził ją z niewoli złej czarownicy. Tylko

o tym postrzępionym szalu, który miała na szyi, nie pisnęła słówkiem.

— Ale najpierw cię ukradł z naszej wieży — złościł się król — no, poczekaj, szewcze, tylko mi wpadniesz w ręce, już ja ci gnaty poprzetrącam!

Zaraz wysłał drużynę konnicy, żeby przetrząsnęła las i tego szewca przywiodła na zamek. A gdyby nie chciał dobrowolnie iść, niech go przywłoką siłą. Ale jeźdźcy powrócili późną nocą z lasu z pustymi rękami. Przetrzęsnęli każdą kępę, każdy krzak, wypłoszyli stado saren, jeleni, kopę lisów i nawet dwa stare borsuki, ale po szewcu ślad zaginął. Tej nocy Jaśnienka umyślnie zapaliła wielkie światło w swojej więziennej izdebce i do świtania przesiedziała u okna, bo może Jura nadleci nocą. Na śniadanie zeszła z zapłakanymi oczyma — Jura jakby zapadł się pod ziemię. Czekali miesiąc, dwa, cały kwartał — nic. Stary król zaczął coraz głośniejsze zrzędzić:

— Ładna historia! Nie chciałem mieć córki szewcową, a teraz mi tu siedzi wdowa po szewcu i beczy! Z tymi bzdurstwami trzeba skończyć! Wydam cię za księcia i basta! Jak mu wniesiesz w wianie pół mojego królestwa, weźmie cię nawet z twoją szewcowską przeszłością!

Darmo Jaśnienka płakała, darmo się broniła, że już jednego męża ma i innego nie chce! Król przykazał otrąbić po wszystkich krajach ościennych, że szuka dla swojej córki oblubieńca

1 następcy tronu. Rychło na zamku było zatrzęsienie najrozmaitszych książąt. Kiedy już Jaśnienka nie mogła dłużej się wzbraniać i na rozkaz króla musiała iść do sali tronowej przedstawić się księciom, przyodziła się w najpiękniejsze szaty, obszyte perełkami, rozczesała swoje piękne włosy, że jarzyły się jak słońcem pozłacane. Na prawą nogę wzuła swój czerwony

pantofelek, który zachowała jako najdroższą pamiątkę po Jurze, lewą stopę miała jednak bosą. Kiedy tak weszła do sali w jednym pantofelku, zaszumiało między książętami z zadziwienia.

— Nie ma się czego dziwić, mili panowie — rzekła im Jaśnienka śmiało — miałam kiedyś dwa takie piękne pantofelki. Kiedy jednak uciekałam od złej czarownicy, jeden mi spadł w ciemny bór. Wezmę za męża tego, kto mi do mojego jednego pantofelka, co go mam na prawej nodze, odnajdzie i przyniesie ten drugi, lewy. Bez tych pantofelków do ślubu nie pójdę!

Książąt ogarnęła rozpacz. Królowna im wprawdzie się podobała, pół królestwa również, ale gdzie szukać pantofelka, zgubionego podczas ucieczki, nie mieli pojęcia. Tylko jeden z nich, królewicz z sąsiedniego królestwa, wziął na odwagę i podszedł do królowy Jaśnienki:

— Jeśli mi, jaśnie królowno, pożyczysz pantofelek, który masz na nodze, żebym nie zmylił się przy poszukiwaniach, w ciągu trzech dni przywiozę ci całą parę!

Znał w swoim kraju, w królewskiej stolicy, szewca, który od lat szył królowi buty i miał złote ręce do takich misternych robótek. Dla niego to będzie fraszka, zrobić drugi taki pantofelek do pary, że nikt się na tym nie pozna. A królownie naopowiada, jak to wyprawił się do borów czarownicy i znalazł tam pantofelek w sroczym gnieździe. Co miała Jaśnienka robić? Pod surowym spojrzeniem króla z bólem serca zgodziła się pożyczyć królewiczowi na trzy dni swój najdroższy pantofelek. Dobrze wiedziała, że na całym świecie nie ma drugiego takiego szewca, który by potrafił dorównać Jurze w szewskim mistrzostwie. A w ciągu tych trzech dni i tak może wymyślić jakąś nową wymówkę, gdyby nawet królewicz ten drugi pantofelek niespodziewanie przyniósł. Królewicz puścił się co koń wyskoczy do domu, jednak nie na zamek królewski popędzał zgonione koniska, ale prosto do starego szewca, który królewiczowi od dziecięcych lat szył miękutkie buciki. Majster siedział jak raz przy stole i z wielkiego talerza nabierał łyżką zupę jarzynową, kiedy królewicz

wpadł do jego przybytku. Rzucił czerwony pantofelek na środek stołu, obok brzęknęła sakiewka dukatów, i krzyknął:

— Ta sakiewka będzie twoja, jeśli mi na jutro wieczór zmajstrujesz do pary drugi taki pantofelek. Ale musi być kubek w kubek taki sam, inaczej pożegnasz się z moimi względami!

Majster odłożył łyżkę, wziął pantofelek w obie ręce, przyjrzał mu się z góry i z dołu, sprawdził każdy ścieg, po czym rzekł w zadumie:

— Miły królewczu, ten pantofelek szył jakiś szewc na zupełnie inną modłę niż ja szyję. Nie umiałbym tych ściegów podrobić, za stare już mam oczy. Moi czeladnicy mają wprawdzie lepsze oczy, ale za to ręce mniej wprawne. Chyba żeby...

— Co chyba żeby? Piekło przewrócę do góry nogami, żeby mieć takie dwa pantofelki!

— Chyba żeby się wziął do tego mój nowy czeladnik, którego przyjąłem przed tygodniem. Ten chłopak ma złote ręce, tylko że z niego jest wielki dziwak i mruk, nie wiem, czy w ogóle da się do takiej roboty namówić!

— Zasypię go pieniędzmi!

— Kiedy właśnie na pieniądzach mu nic nie zależy!

— A gdzie jest ten twój czeladnik?

— Leży w ogródku i śledzi obłoki na niebie...

Wybiegli obaj, królewicz i szewc, szukać tego dziwaka pośród sadu. Leżał na trawie z rękoma pod głową, wpatrując się w pierwszą gwiazdę wieczorną, która migotała nisko na widnokręgu, na majstra z królewiczem ani nie spojrział.

— Hej, czeladniku, skąd ty jesteś?

— A czy to ważne?"Sam nie wiem! — rzekł ten dziwak, zarośnięty, o głębokich smutnych oczach i nie ruszył się nawet.

— A co powiesz na tę robotę? — chytrze zagadnął majster podając mu czerwony pantofelek.

Czeladnik wziął go w rękę, usiadł, w oczach mu zaświeciło jakieś dziwne wzruszenie, ale zaraz spojrzenie mu przygasało:, — No cóż, niegorsza robota!

— A ty byś coś takiego potrafił?

156

— A bo ja wiem? Może bym i potrafił, przecież to nie są żadne mecyje.

Królewicz stał jak na rozżarzonych węglach, chciał czym prędzej pozyskać czeladnika, był nawet gotów mu zagrozić, gdyby się ociągał, ale milczał, bo majster go uprzedził, że z tym dziwolągiem można tylko powoli i po dobremu.

— Przyjrzyj się temu pantofelkowi, rano ci wybiorę skórę, popróbujesz zrobić drugi do pary?

— Czemu nie? Robota jak robota... — rzekł czeladnik obojętnie i obrócił się na bok.

— Wasza Miłość może być spokojny, pantofelek będzie jutro gotowy! — szepnął majster królewiczowi ciągnąc go za łokieć z ogródka.

— Ale ja go muszę mieć jutro przed wieczorem! Pojutrze rano obiecałem go oddać królowie Jaśnience!

— Postaram się, jaśnie panie! — pokłonił się szewc.

I zaraz pobiegł do pokoju szukać w szafie najodpowiedniejszej skórki safianowej.

Tak, tak, żebyście wiedzieli, ten smutny czeladnik w ogródku majstra to był Jura. Wtedy, jak zginął Jaśnience, dowłókł się zmordowany do jakiejś samotni w lesie, a tam u dobrych ludzi cały miesiąc wylizywał się z ran, które zarobił w walce z nocnymi drapieżnikami. Tylko pamięć nie powróciła mu wraz ze zdrowiem. Toteż wędrował światem obojętnie, nic go nie cieszyło, nigdzie mu nie było pilno, nie wiedział ani skąd przyszedł, ani dla kogo żyje. Nawet pantofelka Jaśnienki, swojej własnej roboty, nie poznał. Jednakże na jego widok coś w środku mu drgnęło, ogarnęła go jakaś dziwna tęsknota, gdy obracał w rękę ten mały przedmiocik. Zanurzył głowę w trawie, wyciągnął ręce i patrząc w te obce, niezrozumiałe gwiazdy na niebie, czuł, jak mu się ściska serce jakąś osobliwie tkliwą boleścią.

I palce u rąk same mu się rozwarły i zaczęły gładzić i przebierać łądyżki i szypułki stokrotek, i innego kwiecica. I kiedy tak tymi palcami gmerał w trawie ni stąd, ni zowąd urwał całą wiązkę ziela. Ściskał i gniótł w palcach te drobnolistne ziółka

157

o fioletowych kwiatkach, aż ich pomięte płatki wydały z siebie woń, którą poczuły Jurowe nozdrza. Mimo woli powąchał macierzankę...

— Jaśnienka! To pantofelek Jaśnienki! — wykrzyknął nagle ten dziwak i mruk, i zerwał się z trawy na równe nogi. W głowie miał naraz olśniewającą jasność: Jak mógł zapomnieć

O Jaśnienie? Jak mógł ją opuścić? Od tej chwili zaczął się strasznie trapić swoją nieświadomością. Przybiegł do majstra jak szalony, że niby po co królewiczowi ten lewy pantofelek i skąd wziął prawy?

Majster osłupiał widząc tę niespodziewaną przemianę obojętnego czeladnika. Ale że mu zależało na robocie, rzekł Jurze, co wiedział: że królewiczowi obiecano rękę królowy, jeśli przyniesie do tego prawego pantofelka lewy.

— Szyj! Im szybciej będziesz z robotą gotowy, tym lepiej dla naszego królewicza! Jura na to nic nie powiedział, wziął jeno porządny płat skóry i narzędzia i zamknął się w swojej izdebce. Szył i szył, tylko mu palce latały jak błyskawice. W przedwieczers, gdy już się robiło szaro, wyszedł wreszcie ze swojej izdebki blady

1 półprzytomny.

— Gotowe — rzekł do majstra — pošlijcie po królewicza! Królewicz o mało co nie oszalał z radości, gdy Jura postawił przed nim gotowe pantofelki. Wysypał na stół całą kiesę dukatów, pantofelki owinął w jedwabną tkaninę i jeszcze tego wieczora ruszył z kopyta wraz ze swoją drużyną do sąsiedniego królestwa. Majster ułożył z dukatów dziesięć słupków i rozradowany wołał czeladnika, żeby się z nim podzielić tą królewską nagrodą. Ale co to? Czeladnik, który wykonał tak mistrzowską robotę, zniknął gdzieś nagle i to razem ze swoim szewskim tłumokiem...

— Znikł, jakby odfrunął — dziwował się majster i drapał za uchem.

Na drugi dzień rano, gdy królewicz z pantofelkami przytroczonymi do siodła zbliżał się wraz ze swoją drużyną do stolicy królewskiej, minął pod samą bramą wędrowca, który też spie-

158

szął do miasta. Królewiczowi ani przez myśl nie przeszło, że to może być ten szewc, co wczoraj wieczorem dokończył robotę przy lewym pantofelku dla królowy. Ba, toż królewicz całą noc poganiał konie bez litości, a ten wędrowiec szedł na własnych nogach...

W zamku wiwatowano, aż okna drżały. Królewicz wysłał naprzód z wieścią posłańców, aby oznajmili królowi, że prośba jego córki została spełniona i można bez zwłoki wyprawiać weselisko. Wszystkim w to graj, ludzi jak much nazlatywało się pod zamek, śmiali się, tańczyli, tylko Jaśnienska była blada jak śmierć.

Na rozkaz króla pana wywiodły ją dworskie damy na dziedziniec, a tam musiała usiąść na podwyższeniu z balaskami. Królewicz, pewny swojej wygranej, buńczucznie podszedł do Jaśnienki, rozwinął jedwabną materię — niestety, były tam obydwie pantofelki, piękne jak gdyby je w alabastrze wyrzezał. Jaśnienska jeno smutnie westchnęła i wzięła lewy pantofelek w rękę. Któż to taki potrafił wykonać robotę równie piękną, jak jej Jura?

Ale ledwo ten pantofelek obróciła w rękę, rzuciło się jej w oczy coś białego, ukrytego w środku. Sięgnęła dłonią i rychło miała w ręku karteluszek złożony we czworo i przyklejony smołą szewską. Ukradkiem go rozwinęła i jednym rzutem oka przeczytała pięć krótkich słów:

„Jaśnienko, jestem tutaj! Rozejrzyj się!”

Nogi się pod nią ugięły, ale oczy jej lśniły taką jasnością, aż przez tłum poszedł szmer zdziwienia. Jej wzrok przenosił się z twarzy na twarz. Tam, w prawym krańcu

dziedzińca, na samym skraju ciżby stał pośrodku ludzi ten, którego wypatrywała! Król, szczęśliwy, że w ostatniej chwili Jaśnienia odzyskała dobry humor, kazał grać fanfary. — No widzisz, droga córuniu, nie ma się co obawiać, śmiało pocałuj, na oczach ludu tego, kogo wybrałaś sobie za męża!

Królewicz, nie posiadając się z radości, już nadstawiał policzek. Ale dokąd to królowna spieszy? Nie do królewicza, ale po schodkach między zwykłych śmiertelników i obejmuje ja-

159

kiegoś wędrowca z tłumokiem! A ten nie czuje się zbity z pan-tałykur bierze Jaśnienie w ramiona, jak gdyby to się rozumiało samo przez się, a teraz jej dał, do stu piorunów, buziaka, aż rozległo się na dziedzińcu!

— Juro!

— Jaśni enko!

Król w złości wypuścił z rąk berło i jabłko i huknął przez cały dziedziniec:

— Co to za pyszałek? Skąd tu się wziął ten zuchwalec, który bez pozwolenia całuje królewską córę?

— To jest mój mąż! — wykrzyknęła Jaśnienia wesoło — ma do tego prawo!

Ale król wściekł się, jakby go co ugryzło:

— Do lochu z nim!

Królewicz, który poczuł się oszukany, porwał za kord, siepacze rzucili się między ludzi, i już-już chwyтали Jurę za chaj-dawery. Ale Jaśnienia była szybsza. Migiem ściągnęła z szyi swój mgielny szal, zamachała nim nad głową i nagle cały dziedziniec nappełnił się gęstą mleczną mgłą. Mgła była tak nieprzejrzana, że sąsiad sąsiada nie widział. Ciżba ludzka rzuciła się do ucieczki, zaczęli się potrać, przewracać, krzyczeli, piszczeli, hałasowali, ktoś zanosił się śmiechem, ktoś pomstował, a w ogóle zrobił się taki mętlik, jakiego świat jeszcze nie widział.

Dobłą godzinę trwało, zanim mgła zaczęła rzednąć i rozplwać się. Czy w takiej zawierusze siepacze mogli kogoś złapać? Toteż Jaśnienia z Jurą znikli gdzieś na dobre — gdzie, sam nie wiem. Ukryli się przed wszystkimi. Ale pewnie na tym szewskim chlebie żyją szczęśliwi, skoro się tak kochają...

Jak królowna grała w zgadywanki aż przegrała rękę

Był w Niezyczliwcach sierota Ondra, pasał wieśniakom prosięta. Cała wieś go przeżywała Ondra Swiniarz, ale nikt nie miał na myśli nic złego. Na garnuszku był u wszystkich i u nikogo, co dzień w innym obejściu, a sypiał tam, skąd go jak raz nie przepędzili. Gdy go wyrzucili z chlewa, pchał się na słomę w stodole, a gdy i ze stodoły go przegnali, przespał się choćby w kurniku czy na stryszku albo w starej bryczce pod szopą, a niekiedy też pod gołym niebem w ogrodzie lub pod płotem. Rękę niby poduszkę kładł sobie pod głowę, a przykrywał się czystym sumieniem. Taki żywot nie jest zbyt zabawny, gdy człowiek ma już osiemnaście lat. Ale on nic sobie z tych tarapatów nie robił. I choć wyglądał jak strach na wróble, miał pod czapką nie tylko te słomiane włosy, gwoli którym dziewczęta z całych Niezyczliwców wołały za nim:

„Białas!”

Zostawiał prosięta, niech się tam tyłtają w gnoju albo gme-rają ryjami w darni, żeby chapsnąć glistę czy chrobaka, a sam dla zabawy wymyślał najprzeróżniejsze zgadywanki i łamigłównki. Choćby to: Kto jest największym leniem na świecie? No, woda! Zamiast leżeć pięć minut na wzgórzu, woli dwie godzinki je obchodzić. Albo to:

Kiedy ma wejść do środka, trza go zasunąć w głowę, a kiedy ma wyjść — pociągnąć za grzbiet! Nie wiecie, co to? Grzebień! I do trzech razy sztuka: Komu na starość przybywa zębów? Tej brzytwie, którą fryzjer Piskora skrobie co sobota gęby nieżycziwskim chłopom! Takie łami-

11 Bajki czeskie

161

główki Ondra zadawał dziewczynom, gdy przygnały gęsi na pobliskie błonia, a która nie odgadła, musiała mu dać siarczystego buziaka. Magdalenka od kowala to prawie nigdy nie odgadła, tak że czasem Ondrze tymi buziakami się odpłacała, odpłacała, aż była z tego cała różowa. Ale nic a nic się nie gniewała, ba, jeszcze Ondrze kołacze i placek z powidłami z domu przynosiła.

Raz, tak na wiosnę, poszedł Ondra po obiedzie z prosiętami na gnojowisko koło gościńca pod lasem. Słoneczko napierało mu na twarz z wiosenną siłą, Ondra mu jeszcze nastawiał gęby i podrzemywał, a być może, że i o czymś też śnił. Naraz w tej drzemce usłyszał turkot kół, a po chwili wyjechała z lasu pędząc przez kurzawę gościńca wielka pańska karetka. Konie szybkie jak pstrągi, woźnica nabzdyczony jak gołąb, jeju, to był widok!

Ondra duchem podbiegł do drogi, żeby z bliska się przyjrzeć, jakie to cudo pędzi tutejszą okolicą. Gdy go powóz mijał, nie mógł się powstrzymać i skoczył z tyłu na stopień przy pudle. Co tam, prosięta nie uciekną, przewiezie się do pierwszego kamienia milowego, a potem zeskoczy i wróci na pastwisko. Ale minęli pierwszy słupek, drugi, trzeci, a jemu nie chciało się zeskakiwać. A cóż to się stanie, jeśli się trochę oderwie od tych porchaczy i rzuci okiem na świat? Kiedy się zacznie ściemniać, prosięta same trafią do domu, a po Ondrze świnia-rzu nikt w Nieżycziwczach płakać nie będzie. Może jedna Magdalenka...

x

Do licha, chyba są w świecie weselsze krainy, niż ta, w której się Ondra narodził, i gdzie na pół mili za Nieżycziwczami są Narzekajły, za lasem Niemanice, z drugiej strony stawu Bez-pieniądzów, kawałek dalej Skromnieciny i Płaczków! I jechał Ondra bez przerwy, jechał i jechał, aż minął Mizeroty, Skrobo-głowy, Wyprujkabzy, Głodomory i Niedojady i postanowił, że nie zeskoczy z wozu, póki nie napotka jakiejś weselszej nazwy, jak na przykład Mięsożarciuchy, Posilin czy Kołacze.

I kiedy tak jechali, nie mógł się powstrzymać, aby bodaj nie zerknąć, jakie to państwo mu towarzyszy w tym powozie.

162

W tylnej ścianie pudła była szczelina, przez którą ujrzał młodego wysztafiowanego panicza z koronkową kryzą pod brodą, hrabiątko czy co, a przy jego boku szkaradnego lokaja. O czymś między sobą żywo rozprawiali. Przystawił Ondra ucho do tej szpary, żeby usłyszeć, o czym też mówią. Patrzcie-no, zupełnie jakby kto o Ondrze myślał! Ten wystrojony panicz mówił, że w jakiejś stolicy jest królowna, która kazała ogłosić, że weźmie sobie na męża tylko tego, kto przez trzy dni pod rząd odgadnie za każdym razem trzy jej zagadki. Ponoć już mnóstwo luda próbowało, ale wszyscy po próżnicy, ba, poniekórych nawet królowna kazała wychłostać na zamku!

— To były jakieś zakute pały, ale wy macie główkę oświeconą, jaśnie panie — przypochlebiał paniczowi lokaj — wy te jej zgadywanki rozgryzicie bez trudu! Zresztą, jak królowna zobaczy waszą piękną twarz, zapomni o zgadywankach i tym podobnych głupstwach i bez niczego rzuci się wam prosto na szyję!

— Jeju, zagadki, to by był dla mnie żer! — łamał sobie Ondra palce. — Muszę się trzymać tej karety jak rzep psiego ogona, żeby się dostać do owej stolicy z królowną od zagadek!

Zaraz też przywiązał się sznurkiem, który nosił zamiast paska, do pudła karety, żeby go na gościniec nie zrzuciło, gdyby się przypadkiem zdrzemnął. Bo też trzęsło nim, jakby tańczył na czarcim weselu. Ondra był cały obtłuczony. Na przystankach piorunem musiał znikać, żeby go woźnica nie wypatrzył za pudłem, a gdy znowu słyszał trzask bata, czym prędzej wskakiwał. Ale Ondra nie popuścił, oj, nie popuścił.

Trzeciego dnia w przedwieczorz zajechała kareta do tej stolicy, gdzie królowna częstowała narzeczonych zagadkami. Dostojny panicz zakwaterował się w najlepszym zajeździe. Ondra czym prędzej się schował pod snopek słomy w stajni. Pomógł pachołkom przy zgrzebłowaniu koni i wyprosił u nich jakąś skórkę chleba na ząb, żeby uspokoić pusty żołądek. Rano był pierwszy na nogach, umył się nad korytem, co z niego konie piły, otrzepał słomę z włosów i z przyodziewku, nawet drewniaki sobie wypucował, aż się świeciło jesionowe drzewo,

163

i przyczajony za wrotami czekał na tę chwilkę, gdy wyfraczony pan ruszy na zamek. Duchem naskoczył i pam-pa-ram! jechał uczepony powozu!

Książąt i najróżniejszych panków ściągnęło na zgadywanie tyłu, że wokół zamku było aż czarno. Jeden przez drugiego pchali się do środka, a z przeciwnej strony dwaj grenadierzy, chłopcy na schwał, wyrzucali przez wrota tych, co zgadywankom nie podołali.

— W jakim humorze jest dziś królowna? — niecierpliwie pytali oczekujący.

— Oj, w parszywym! Dzisiaj trzaska psim kańczugiem! — odpowiadali wyrzucani machając rękoma, a mieli okrutnie kwaśne miny.

Wtem od wrót gruchnęło, że to już królownie zbrzydło, że pchają się i pchają ci próżniacy i głupcy i tylko błoto na schody noszą, bo żaden nigdy nic nie zgadnie, i że niby od dziś kto nie zgadnie, musi zapłacić swoim lewym uchem, a jeśli ośmieli się przyjść jeszcze raz i znowu nie zgadnie, to wtedy jeszcze prawym. A kto będzie taki bezczelny, że zjawi się po raz trzeci, już bez uszu i znowu przegra, temu się bez litości obetnie czubek nosa.

No-no, to ci była nowina! Zalotnicy u zamkowych wrót zaczęli się roić, cofać schodek po schodku i tłum powoli rzednął, a kiedy z rąk grenadierów wyleciał z kwitkiem pierwszy jed-nouszatek, przed wrotami jakby do wróbli strzelił! Jeden w lewo, drugi w prawo, ktosik się wykopyrtnął, inny na kogoś wleciał w biegu, a wszyscy zmiatali na łeb na szyję. Dał też drapak ten wyfraczony panicz, z którym Ondra przyjechał. Pod zamkowymi schodami został Ondra świniarek sam jeden jak palec.

— Co tu robisz, durniu? — groźnie na niego huknął grenadier w niedźwiedziej czapie.

— Jaki panie z Niemanic cię tu posiał?

— To chyba jakiś wołek, a przyjechał na nim jaśniepan ze Szmatofutrze! Popatrz, czy nie ma w gębie uzdy! — rechotał

164

drugi grenadier, aż mu podskakiwała na głowie niedźwiedzia czapa.

No i co teraz? Ondra dałby pełny kapelusz naleśników za to, żeby w tej chwili mógł być przy swoich spokojnych prosiątkach w Nieżycziwcach. Ale brać nogi za pas? No, nie, z uciekaniem Ondra nie był nigdy za pan brat! A co tam, jednym uchem zaryzykuje, toż

przy prosiętach wystarczy mu jedno! Tak więc Ondra świniarek śmiało zatupał jesionowymi drewniakami na marmurowych schodach i szedł prosto między tych dwu grenadierów.

— Gdzie to się pchasz, pędraku? — ostro na niego wrzasnął grenadier z lewej strony i łaps go za kołnierz, aż szwy zaczęły pękać.

— Idę dać sobie obciąć lewe ucho, wasza wielgachność! — ukłonił się Ondra uniżenie, ale z oczu mu patrzyło sto czartów ognistych.

— W drewniakach, ty pało zakuta? — zarechotał wojak, — Dotąd wywalaliśmy samych książąt i baronów! Pośledniejszą hołotę rąk sobie nie brudziliśmy! Toż królownę Rozmarynkę szlag na miejscu trafi, jak jej tym drewnem zaczniesz tarabanić w posadzki, jeszcze ci za jednym zamachem utnie oba uchle i nos na dokładkę!

— A niech tam! — nie ustępował Ondra. — Co można zrobić dziś, nie trza odkładać do jutra!

I byłby się z grenadierami jeszcze dłużej handryczył, lecz naraz nad ich głowami rozwarło się okno, to, co było na samym środeczku zamku, i stanęła w nim królowna, cała roześmiana, dziw, że jej koronka z główki nie spadła.

— Pouciekali, bałwany, co do jednego! — krztusiła się ze śmiechu.

— Jeden tu jeszcze czeka, czcigodna królowno! Ale ci wasi niedźwiedziarze nie chcą mnie wpuścić! — krzyknął Ondra, któremu było już wszystko jedno.

— Co, ty byś chciał zgadywać? A wiesz ty, że uchem się płaci za takie zgadywanki?

— naburmuszyła się królowna Rożni ar ynka w oknie.

165

— Toć uszy dostałem za darmo, nie muszę sobie z nimi robić ceregieli! — nie dał się zbić z pantalyku Ondra i nabrał takiej śmiałości, że nawet popatrzył w górę na królownę. Królowna zaraz zatrzasnęła okno i krzyknęła na swoje dworskie damy:

— Co szkodzi, weźmiemy na górę tego głuptasa w drewniakach, przynajmniej się pośmiejemy! A jak nie zgadnie, z przyjemnością każę mu upitolić na pamiątkę to jego świniopaskie ucho.

Ani się Ondra spodział, jak przyhopsały dwie dworskie dzierlatki po schodach, ujęły go za łokcie, każda z jednego boku, i już go ciągnęły na górę do paradnej komnaty zamkowej. Ondra aż dostał zawrotu głowy, jak temu wszystkiemu sprostą. Mniejsza o zagadki, tych się nie bał, w kozi róg nie da się zapędzić. Ale miał pietra, żeby nie wyskoczyć ni w pięć, ni w dziesięć z czymś niestosownym, za co królowna wywaliłaby go za drzwi, zanim jeszcze dojdzie do zgadywanek. A że mu w Niezyczliwcach od maleńkości wbijali w głowę, że milczenie jest złotem, postanowił na schodach, że bodaj na początku, nim się u królowny rozejrzy, będzie mówił tylko w ostateczności i to jak najwiężej.

— Patrzcie go, rycerza — parsknęła śmiechem królowna Rozmarynka, ledwo wściubił nos przez próg jej paradnej komnaty — ty doprawdy chcesz odgadywać moje zagadki?

— Rad bym.

— A w ogóle już kiedyś rozgryłeś jaką?

— Moc.

— A coś robił łamiąc sobie łepetynę nad zagadkami?

— Paś.

— A jak się nazywa to stworzenie, które ci dotrzymywało towarzystwa?

— Wieprz!

— Ho-ho, a co porabiał przy tobie ten szczeciniasty zwierzak?

— Żarł.

— A co potem?

166

— Legł.

— I co jeszcze?

— Żuł!

— Miły świniarku, i ty masz śmiałość rozwiązywać moje zagadki?

— Mam.

— A ile chcesz ich dziennie rozgryźć?

— Trzy.

— A wiesz, co cię czeka, jeśli nie zgadniesz?

— Nóż.

— A co ci nim zrobię?

— Ciach!

— A wiesz, co postradasz?

— Słuch!

— A potem?

— Nos!

— A co masz wygrać, jeśli wszystko zgadniesz?

— Was!

Królowna się zaśmiała, że niby wszystko w porządku, skoro Ondra zna warunki, i że teraz mogą zacząć zgadywanki. Posadziła Ondrę naprzeciwko siebie w fotelu, klasnęła w dłonie, żeby wszyscy byli cicho, i zadała Ondrze pierwszą zagadkę:

— Czy wiesz, świniareczku, które stworzenie jest człowiekowi najwierniejsze?

Tej zagadki była królowna Rozmarynka pewna, na niej sobie połamało zęby już wielu odgadywaczy. Kto tylko ją usłyszał, w te pędy wykrzykiwał: Pies! Ale co to? Ten świniarek nie krzyczy: Pies, tylko się wisielczo uśmiecha...

— Dalejże, śmiało, świniarku! Które stworzenie jest człowiekowi najwierniejsze?

— Wiesz! — wydusił z siebie Ondra.

Wśród dworek podniósł się szum podziwu i przest్రachu, ale królowna przytaknęła głową:

— A dlaczego?

— Bo mu towarzyszy aż na szubienicę!

!— Aj-aj! — kręciła głową królowna Rozmarynka — jak to

167

mogłeś tak szybko odgadnąć? No dobrać jeden punkt dla ciebie, teraz uważaj na drugą: Które stworzenie pije najdroższy napój?

I tej zgadywanki była królowna Rozmarynka pewna. Ci przeróżni baronowie i książątka jak jeden mąż odpowiadali, że szlachetny koń, bo koniom na rozgrzewkę dają panowie płomienistego węgryzyna. Ale Ondrze świniarkowi wino węgierskie ani przez myśl nie przeszło. Uśmiechnął się kącikami ust i powiedział:

!— Pchła. Ta ci pije ludzką krew!

Rozmarynka niespokojnie się poruszyła, ten świniarek o słomianych włosach odgadł bez trudu już drugą zagadkę. Ale nie dała nic po sobie poznać i szybko przeszła do trzeciej:

— A wiesz ty, świniarku, od kogo są w naszym królestwie najwyższe rozkazy?
Oj, to była strasznie trudna zagadka! Większość odpowiadała, że od najjaśniejszego Pana Króla, a ci, co chcieli wkraść się królownie w łaski, przymilnie mówili, że bez ochyby od najwspanialszej i przemądrej królewskiej córki. Ale ani jednym ani drugim, królowna nie przyznała racji. A co na to świniarek? Dworcy i dworacy nie odrywali oczu od ust Ondry, bo nikt z nich nie wiedział, co przez tę zagadkę chciała powiedzieć?
— Od kogo niby je mamy? — rzekł po chwili Ondra. — Mam doprawdy powiedzieć?
— Ależ mów, świniarku!
— Od dwu stworzeń!
— Od jakich?
— Od jakich? Toż przecie... od osła i gęsi!

Trzeba wam było widzieć ten popłoch między dworakami. Wyglądało na to, że Ondra obraził za jednym zamachem i króla i królownę! Osioł, przecież o tym królu tak właśnie każdy myśli! A z tą gęsią... to już się zupełnie wkopał! Wszyscy tylko czekali, jak królowna rzuci się z batem na Ondrę, a ona nic, tylko cierpko się pyta, co niby Ondra ma na myśli.

— Ano nic złego! Od osła jest przecież skóra na pergamin,

168

na którym się pisze królewskie zarządzenia! A od gęsi! Toż jak świat światem królewską wolę spisuje się gęsim piórem!

Królowna niechętnie skinęła głową, że Ondra ma słuszność. Oj, nie wiedziała ta mądrała, że akuratik tą zagadką fryzjer co sobota częstuje niezycziwskich wieśniaków! Ale Ondra, ma się rozumieć, ani mru-mru, skąd wziął ten rozum, szczerzył tylko, w uśmiechu zębki do królowny Rozmarynki jak kocur do smakołyków.

Dworacy szumieli jak pszczoły w wyroju. Toż jeszcze się nie zdarzyło, żeby kto odgadł wszystkie łamigłówki królowny — a tu proszę, świniopas! A co to będzie, jeśli powiesz mu się jutro i pojutrze...? Nie-nie-nie, mowy nie ma, królowna przecież nie mogłaby sobie wziąć za męża świniopasa, nawet gdyby wygrał.

Jedynie Ondra nie łamał sobie w tej chwili niczym takim głowy. Z uśmiechem przemówił do królowny jak gdyby nigdy nic się nie stało:

— Aa tam, zgadłem, to zgadłem! A teraz ja wam zadam jedną łamigłówkę, żebyście i wy użyli trochę frajdy. Na ten przykład, co to jest: Jedną dziurą się wchodzi, dwiema dziurami wychodzi, a kiedy się już wyjdzie, dopiero jest się w środku!

Królowna spojrziała z niedowierzaniem na Ondrę:

— A co będzie, jak nie zgadnę?
— A nic — Ondra na to — chyba żebyście mi dali buziaka!
— No to będę zgadywać...
— Zgaduj zgadula!

Królowna srodze się zamyśliła, aż jej czoło się zmarszczyło, kręciła głową, patrzyła w okno na niebo, jakby sprawdzała, czy nie da się czegoś wyczytać z obłoków, potem znów spojrziała na podłogę, ale w końcu potrząsnęła głową:

— Miły świniarku, podejdź do mnie! Już widzę, że nie zgadnę, wolę ci dać buziaka!
Ondra się nadstawił, buziak cmoknął, dworacy byli w kropce, bo nikt z nich nie wiedział, co trzeba robić, gdy królowna całuje się ze świniopasem. Ale Ondra po tym buziaku nabrał rezonu:

— To są zwykłe spodnie, czcigodna królowno Rozmarynko! Nie wy jedna żeście nie odgadli! Magdalenka od kowala też mi musiała dać na pastwisku buziaka! To ja wam powiem jeszcze jedną zagadkę, całkiem łatwą...

Ale królowna zaraz, że to na dzisiaj starczy, niech przyjdzie znowu jutro rano. Ondra przytaknął, zabrał się i polazł z powrotem do tego zajazdu, gdzie przespał się poprzedniej nocy. Z rana znowu się wyszorował nad korytem, końskim zgrzebłem przeczesał kędziory i smarował na zamek, aż mu się spod pięt kurzyło.

Królowna Rozmarynka stała w oknie, niecierpliwie wypatrując Ondry. Zobacysz, świniarku, już ja ci dziś pokażę, gdzie raki zimują, mówiła w duchu, nauczę cię dziś rozumu, ty nie-okrzeszańcze, co całujesz królowny jak jakie Magdaleny na pastwisku! Ale choć płonęła żądzą zemsty, gdzieś w głębi serduszka cieszyła się, że ten zgrzebny świniarek znów przyjdzie, a w największej skrytości pomyślała nawet, że to nie byłoby wcale takie złe, gdyby Ondra i dzisiaj wygrał. Ale było to tylko takie tajne myślątko, szybko je przytłamsiła królewska pycha, której niełatwo się wyzbyć! Jakoż Rozmarynka sama już nie wiedziała, czego chce, a czego nie chce, i z tego mętlika cokolwie-czek kręciło się jej w głowie.

Klap, klap! zastukał Ondra drewniakami na schodach, wesóło zamachał królownie w okno, bo dostrzegł ją za firanką, i jak gdyby nigdy nic walił prosto między tych ogromniastych grenadierów, co i dziś tu trzymali straż. Jeden z tych grenadierów, jak raz ten, co wczoraj nazwał Ondrę wołkiem, dźgnął go pod żebra flintą wściekle burcząc:

— Co tu wypatrujesz, fujaro?

Ondrę zabolalo, że nie mógł tchu złapać, ale nie dał po sobie tego poznać:

— Ciebie idę sobie wysłużyć u królowny, ty łbie kołtunia-sty! Zobacysz wtedy, nasadzę ci uzdę z wędzidłem, osiodłam i będę na tobie jeździł pod oknami królowny! I szybko wsunął się za bramę, żeby go grenadier nie mógł

przydusić swoim łapskiem. W korytarzu czekały już na Ondrę dwie dworskie damulki.

— Szybciej, świniarku, królowna już się nie może na ciebie doczekać, wymyśliła dziś takie zagadki, że jedno uszko bez, ochyby stracisz!

— Możemy zaczynać, najdroższa królowno — Ondra zzuł na progu drewniaki i wziął je pod pachę — ale z innej beczki niż wczoraj, te wczorajsze łamigłówki były łatwiutkie!

— No, to słuchaj! Ten, kto to robi, nie chce tego. Ten, co kupuje, nie potrzebuje, a komu to potrzebne, nie wie o tym. Co to jest?

— Oj-oj — zmarszczył się Ondra srodze — wczoraj tak wesóło kończyliśmy, a dziś tak smutno zaczynamy! Myślałem, że przyjdziecie rano z czymś weselszym, a wy zaraz o ostatnich rzeczach człowieka! To jest przecież trumna, królowno.

Królowna Rozmarynka się zarumieniła — dalibóg, czym by tu tego zatraconego świniarka zastrzelić, żeby nie zgadł. I zaczęła z innej beczki:

— No dobra, a teraz druga! Wielki pan dobrodziej stale z małym chodzi, w świątek i przy dniu powszednim. Raz jest za nim, raz jest przed nim. Z dołu kuma na nich kiwa, a im drogi nie ubywa!

A niech to wszyscy diabli, i ty święty Jacku z pierogami, to ci heca! Łamigłówka jak z przednówka: zgadnij, Marcinie, jak mojej Kaśce na imię? ... Oj, niełatwo było Ondrze zdusić w sobie śmiech. Toż u nich w Niezyczliwcach takimi głupimi zagadkami dręczy

nauczyciel pierwszaków! Ale żeby królownie nie zepsuć humoru, zaczął się drapać po głowie jak przy trudnym pomysłu:

— Zaraz, zaraz, to chyba są wskazówki na zegarze, szlachetna królowno?

Ha, teraz trzeba było widzieć dworskie damulki! Ten świniarz drugiego dnia rozwiązał już drugą zagadkę, niewiele brakuje, a wygra rękę królowny! I zaczęły się szemrania i szepty, jak tu z tego wybrnąć. Wyprawiły nawet specjalnego posłańca do

171

komnat króla pana, żeby go uprzedzić o grożącym niebezpieczeństwie.

Królowna Rozmarynka jednak nie okazywała niezadowolenia. Ale dla pewności wybrała jedną łamigłówkę z tych, co miała przygotowane na trzeci dzień, zasłyszała ją dawno temu od starej piastunki, a że piastunka odpoczywała od lat pod dachem z darniny, nikt oprócz Rozmarynki tej zagadki nie znał.

— Uważaj, świniarku, ta trzecia jest bardzo trudna, takiej na pewno nigdy nie słyszałeś! Powiedz mi, które żelazo jest najcięższe, które żelazo jest najtańsze i które żelazo jest naj-szkodliwsze!

Teraz był Ondra naprawdę w kłopotcie. Zagadki tej nigdy nie słyszał, nic mu nie przypominała, nic mu przy niej nie świtało w głowie. No i masz, za nią zapłaci uchem albo i gorzej! Na koniec zemści się na nim ta hałastra dworska za tego jednego buziaka, którego dostał od królowny, wsadzą go gdzieś do ciemnicy, zakują w kajdany i będzie tam gnął za życia. Albo go dla igraszki powieszą elegancko na szubienicy, na żer gawronom! Albo rzucą na pastwę tym żołdakom nieokrzesanym-tym niedźwiedziarzom, co rano go dźgnęli flintą pod żebra!

Oto jakie Ondra miał widoki na przyszłość, trzy widoki, które mu stanęły przed oczyma. Czarne myśli kłębiły mu się w głowie, twarz jednak miał bladą, czoło zaczęło mu potnieć. Rany Julek, jak się wywikłać z tej kabały? Dworacy nie posiadają się z radości, że temu świniarzowi zalano sadła za skórę! Ondrze już-już kolana zaczęły się robić jak z waty, a tu jeszcze królowna Rozmarynka niecierpliwie się w niego wpatruje, czy Ondra wreszcie się podda, czy nie.

Żelazo... żelazo... i naraz z tych jego najgorszych przeczuć jak błyskawica wystrzeliła myśl, jak to jest z tym żelazem!

— No, mam! Już mam! — wykrzyknął radośnie, aż się dworki wystraszyły i zbiły się w gromadkę jak kokoszki.

— Najcięższe żelazo to są okowy na nogach! Najtańsze żelazo to hak na szubienicy, bo skazaniec ma go za darmo! A naj-szkodliwsze żelazo to są te żołnierskie flinty i szable, bo one na nice obracają ludzki żywot!

172

Ondra głęboko odetchnął, bo po oczach królowny poznał, że zgadł. Dworakom twarze się wydłużyły rozczarowaniem, damy dworu mieniły się z gniewu wszystkimi barwami, jedne spurpu-rowiały, inne pozieleniały lub pożółkły, niektóre zsiniały, ba, nawet były fioletowe, tylko królowna Rozmarynka odrobinę poróżowiła jak różyczka polna i powiedziała cicho do Ondry:

— Widzę, że trudno znaleźć dla ciebie łamigłówkę, miły świniarku, ty za każdym razem zgadujesz. Przyjdź jeszcze raz jutro, muszę się na to spotkanie porządnie przygotować! Ondra zaczerpnął powietrze ze wszystkich sił, ażeby sobie dodać odwagi, i powiada:

— Ale, droga królowno, to by nie była żadna zabawa, gdybym tylko ja musiał stale zgadywać! To by, daję słowo, było jak w tej bajce: Dzisiaj my będziemy jeść, a wy

będziecie się przyglądać, jutro zaś wy będziecie się przyglądać, a my będziemy jeść!
Godziłoby się, żebym teraz ja wam zadał jaką łamigłówkę, a wy byście zgadywali!

— A jeśli nie zgadnę... jakie będziesz miał dziś życzenie?

— A co bym ta mógł chcieć... nic innego jak wczoraj!

— To jazda — rzekła królowa Rozmarynka nad podziw szybko i bez wahania.

— Czy wiecie, jak długo koń nosi podkowę?

Królowa Rozmarynka długo się nie zastanawiała, poróżnowiała tylko cokolwieczek mocniej, że Ondrze nawet zaczęła się podobać, i zaraz palnęła:

— Chyba stale, nie? Dopóki nie zgubi!

— Gdzież tam! Tylko wtedy, gdy nogę ma w górze! Gdy oprze nogę o ziemię, podkowa niesie konia! Ale zaraz, ta będzie łatwiejsza, tę to chyba rozwiążecie: Im jest większy, tym prędzej przejdzie nawet przez maciuperką dziurkę!

Królowa nabrała kolorków jak piwonia, ale znowu kręciła głową, że nie wie.

— Toż wiatr, królowo! Do trzech razy sztuka, ta będzie najłatwiejsza, bo to tylko taka dziecięca rymowanka:

173

Dwunóg z jedną nogą w ręce na trójnogu siadł we wnęce. Wtem czworonóg chaps, laboga, dwunogowi jednonoga. Ale dwunóg się nie głowi — wyrwał nogę trójnogowi, nim czworonóg znikł za progiem, już na grzbiecie miał tę nogę.

Rany gorzkie, co się z tą królową Rozmarynką stało, ani takiej prostej zgadywanki nie była w stanie rozwiązać! Toż nawet dzieci domyślają się, że ten czworonóg to pies, ten trójnog to zydel, ten dwunóg to szewc, a jednonóg to gęsie udko! Ale Rozmarynką tylko spąsowiała, lekko spuściła oczka i milczała jak zaklęta. Po dobrej chwilce uśmiechnęła się i dopiero wtedy wyszeptwała:

— Mój najmilszy świniopasku, chodź, to dam ci tego buziaka, którego przegrałam!

— Jeno żeście dziś przegrali nie jednego, a trzy buziaki, najmilsza królowo! — nie dawał się oszukać Ondra.

— Trzy? Tyle buziaków na raz to jeszcze nikomu na świecie nie dałam! — broniła się królowa Rozmarynką.

— Nie bójcie się, to zleci jak nic! Toż Magdalenka od kowala raz przegrała aż pięć!

— No cóż, jeśli już przegrałam... co mogę zrobić?

I Ondra trzymał już królową Rozmarynkę w objęciach i niech tam sobie dworacy rozdziawiają gęby, jak im się żywnie podoba, niech ze wściekłości gryzą sobie wąsy albo nawet i palce, on elegancko jeden za drugim wyfasował te trzy wygrane buziaki, aż Rozmarynce policzki rozpały się do czerwoności. Po czym przyrzekł, że jutro przyjdzie znowu, żeby dokończyć tę rozpoczętą robotę, złapał drewniaki, na progu w nie wskoczył i pognął z zamku do swojego zajazdu, gdzie za garnuszek jadła pomagał pachołkom konie zgrzeblem czesać.

Świat jeszcze tego nie widział, jaki się tym razem podniósł

174

huczek na zamku królewskim! Damy dworu na gorąco poleciały ze skargą do rajców królewskich, ci zaś wymogli na królu, żeby bez zwłoki zwołał radę królewską. Kto to widział, żeby jakiś pastuch wieprzy, i to w dodatku z obcej wsi, dzień w dzień przychodził do królowy na całowanki! Tym sposobem miejscowe królestwo wystawia się na pośmiewisko przed całym światem!

I podczas gdy Ondra w stajni spokojnie zaplatał koniom grzywy, zeszła się królewska rada na posiedzenie i tęgie głowy zaczęły radzić i obmyślać, co by tu takiego zrobić, żeby mieć spokój od tego świniopasa. Najwyższy kanclerz uważał, że z tym trzeba oględnie, no bo wszędzie się już rozniosło o tych konkursach z zagadkami i królowie byłyby trudno tak naraz cofnąć swoje słowo. Najlepiej, gdyby temu świniopasowi coś tam obiecać albo czymś zagrozić, żeby jutro nie odważył się przyjść i zniknąć na zawsze ze stolicy. Po prostu spuścić mu manto! — wtrącił się najwyższy łowczy — a potem przywiązać go do grzbietu dzikiej świni i puścić w gęste bory!

Astrolog królewski napomknął, że najpierw powinno się zasięgnąć rady gwiazd, a zwłaszcza co na to powiedzą Wenus i Saturn, jako że te dwie planety mają latoś pierwsze słowo, jeśli chodzi o zamęścia i pucówki.

— Bzdury! — wrzasnął najwyższy generał purpurowiejąc na gębie — kazać mu bez zwłoki obciąć ten bezczelny łeb! Głowa fajt i koniec zgadywanek i całusów!

— Kiedy tu się kryje jakaś sakramencka pułapka — uśmiechnął się słodziutko najwyższy ochmistrz — pewnie, gdyby było wiadomo, że to jest zwykły świniopas, ukręca się łeb i po krzyku! Tylko że gadu-gadu o pstrym dziadu, gdzieby tam pastuch miał naraz tyle rozumu! Ani chybi to będzie jaki przebrany książę, który naszą królową wystawia na próbę! Nie raz już takie rzeczy na świecie się zdarzały! Ciachnąć mu ni z tego, ni z owego głowę, hu-hu, to byśmy dopiero narazili nasze królestwo na jaką kabałę wojenną!

— To go tu przyprowadźcie, będzie musiał wszystko nam wyśpiewać!

175

Okazało się jednak, że właściwie nikt nie wie, skąd ten świ-niopas na zamek przychodzi i gdzie w mieście mieszka, więc nie było go można ani aresztować, ani podplacić. Król się zamyślił, po czym rzekł z niezadowoleniem:

— Ano cóż, wielka rado, nic nam nie pozostaje, jak dopuścić do zamku tego świniopasa po raz trzeci...

— Obwarrrruję zamek dwoma pułkami grrrrnadierrrrów! Rrrrrozsieczemy go szablami, rrrrozniesiemy na kopytach! — nieopatrznie przerwał królowi panu najwyższy generał, ale kanclerz dał mu tak ostrą sójkę w bok, że generał się zakrztusił i zaczął kaszleć.

Król jakby nigdy nic mówił dalej:

— Trzeba by królowie podsunąć jakie wyjątkowo trudne zagadki, aby ich za nic w świecie nie mógł rozwiązać! Wystarczy, że nie odgadnie jednej jedynej, a już mamy prawo kazać wygonić go z zamku!

— Ja jedną znam! — wyrwał się astrolog. — Obchodzi z sierpem świat dokoła, lecz ani trawki ściąć nie zdoła!

— No, nie, tylko tego jeszcze brakowało! — zaczęli krzyczeć królewscy rajcy jeden przez drugiego — toż każdy wie, że to księżyc!

— Za to ja znam jedną niebywałą zagadkę! — przekrzyczał! — wszystkich najwyższy łowczy — uważajcie, panowie, to nie w kij dmuchać! Którą stroną pada na ziemię zając, gdy go myśliwy ustrzeli?

— Kudłata! Kudłata! — huknęli wszyscy, nie wyłączając króla pana.

— A teraz ja! — dorwał się do głosu pan kanclerz. — Co to jest! Wisi, a nie wie gdzie, bije, nie wie kogo, pokazuje, nie wie co, rachuje i nie wie ile!

Król się zastanowił, podrapał się pod koroną i powiada: —! No, to co innego! Rachuje i nie wie ile, to by na ten przykład mógł być mój królewski skarbnik! Ale co dalej? Słuchajcie, panie kanclerzu, to chyba będzie więcej rzeczy na raz, no nie? Ale ochmistrz z zawiści migiem zawołał, że tę zagadkę zna

176

!•V

-Vi

jeszcze z dziecięcych lat, to jest zegar. Tymczasem zaświtało coś jenerałowi, bo spurpurowiał, jak zwykle, gdy zamierował mówić, po czym wydarł się:

— Nie pieprz, Piętrze, wieprza pieprzem, bo przepieprzysz, Piętrze, wieprza pieprzem!

— To nie zagadka, to porzekadło!

— Ale jakie trudne, musicie to przyznać! — nachmurzył się najwyższy jenerał ocierając chusteczką łysinę, która mu z tego wielkiego wysiłku pokryła się kropelkami potu.

I tak ciągnęło się to nieszczęsne posiedzenie aż do wpół do trzeciej w nocy, a że w końcu łowczy pokłócił się z astrologiem, jenerał nawymyślał kanclerzowi, a ochmistrz niechcący obraził samego króla pana, więc ostatecznie nie uradzili nic.

— Rano będzie mądrzejszy od wieczora — powiedział król zasypiając na tronie.

Na to wszyscy czym prędzej wynieśli się na czubkach butów, żeby nie zbudzić najjaśniejszego pana.

— Zobaczycie, że ten świniopas w końcu wygra! My mamy pecha, u nas jak chleb pada na ziemię, to zawsze tą nasmarowaną stroną! — szeptał astrolog do ochmistrza przy wyjściu.

Ochmistrz bez słowa przytakiwał głową, przemyśliwując, jakby tu zawczasu pozyskać sobie na wszelki wypadek tego świniopasa.

Najwyższy jenerał napisał rozkaz, że rano mają stanąć przed zamkiem dwa pułki grenadierów, dwa szwadrony dragonów i jeden oddział lekkiej konnicy skrzydlatej na wypadek pościgu za nieprzyjacielem. Ale że był śpiący, zapomniał wyjąć ten papier z kieszeni.

I tak to całe pytlowanie rajców obróciło się na nice. Toteż gdy Ondra przyszedł rano przed królewski zamek, ujrzał znowu tych samych dwu grenadierskich dryblasów, którzy każdego dnia tam stali.

Był przekonany, że i dziś bez trudu przemknie się obok nich. A juści! Ledwo wszedł na schodek, gdzie grenadierzy stali, cap-nęli go łapskami z obu stron i nim się połapał, zaciągnęli go na wartownię. Doszła już do nich wieść, że Ondra dwukrotnie wy-

12 Bajki czeskie

177

grał i dziś najpewniej po raz trzeci wszystko odgadnie. Rozgorzała chciwość w chłopiskach i zmówili się na Ondrę.

— Albo dasz nam połowę spojej nagrody, albo cię do królowny w ogóle nie puścimy! — przyparli Ondrę do muru, groźnie świdrując go oczami.

— Połowę to nie — nie stracił Ondra rezonu — ale obiecuję wam jedną trzecią, bo muszę i innym dać w łapę!

Zaręczył im ściśnięciem graby, że swoje dostaną, dopiero wtedy puścili go za bramę.

Kiedy był już na schodach, patrzy, ktoś zdaje się na niego czekać, czyżby to był sam pan najwyższy ochmistrz?! Schowany za kolumnę, przytrzymał Ondrę za rękaw i dalej mu do ucha szu-szu-szu, że jedynie on przemówił za nim w królewskiej radzie, inaczej

byłby Ondra dziś już o głowę krótszy, po czym zażądał połowy nagrody, która się Ondrze dostanie za te zagadki, bo niby w przeciwnym razie w ogóle go nie puści do królowy.

— A to byście chcieli Rozmarynkę podzielić na dwie połowy? — strugał Ondra wariata.

— Nie o nią tu chodzi, królowy i tak nie dostaniesz, nie masz się co łudzić! Ale mogą ci dać wielki worek pieniędzy w zamian za królowę, jeśli i dzisiaj wszystko poodgadujesz. Ale połowa dla mnie, musisz mi to obiecać! Nawet nie wiesz, ile mnie zdrowia kosztowało, żeby cię wybronić w królewskiej radzie!

— Połowy nie dam, jedną trzecią! — targował się Ondra.

— Zgoda!

Tak Ondra odstąpił na gębę dwie trzecie tej nagrody, której jeszcze nie miał. Ale na ostatnim schodku czekała na niego również najstarsza dama dworu, babsztyl z czarną broda-wicą na nosie. I ona była dzisiaj jak miód z masłem, bo nie bardzo wiedziała, jak to wszystko się skończy. I zaraz do Ondry, żeby się nie gniewał, ale tym razem wstęp do księżniczki jest raczej niemożliwy, bo sam król pan surowo zakazał. Chyba żeby...

— Połowę dla was, co? — uśmiechnął się Ondra, jako że wszystko zrozumiał.

178

!— Z was to doprawdy najpojętniejszy zgadula na świecie! — pochwalił go babsztyl.

— Połowy nie dam, trzecią część! — rzekł na to Ondra i znów przybili na zgodę...

Królowa Rozmarynka nie czekała dziś na Ondrę z rozradowaniem w oczach. Wczoraj wieczór król ją porządnie zbeształ, że jak może zadawać się z takim prostym świniopasem, a dworskie damulki od samego rana nad nią trąkotały, co to za wstyd byłby przed całym światem, gdyby pastuch wieprzów miał zostać jej mężem. Bo czyżby król pan mógł mu powierzyć królestwo bodaj na jeden jedyny dzień? Taki ledwo umie stado upilnować, a jeszcze ile to razy mu się rozbiegnie! A zresztą, czy jaśnie paniątka nie czuje, jak ten świniarek krzyknę... z przeproszeniem... śmierdzi?

— Wcale nie! Na odwrót! Pachnie wiatrem i słoneczkiem, żebyście wiedziały! — odparła cierpko Rozmarynka, ale zaraz popadła znowu w dziwne zasmucenie. O zagadkach na dzisiaj całą noc myślała, ale co jaka przyszła jej na myśl, już z góry wątpiła, czy będzie dla Ondry dość trudna.

Ledwo Ondra wszedł do komnaty królowy, poczuł na sobie złe spojrzenia dworaków. Ci, gdyby mogli kłuć, dźgać i rżnąć, w jednej chwili rozszarpaliby Ondrę w drobny mak jak turecki porzecz! Słowo honoru, gdyby w grę nie wchodziły uszy wolałby ponieść porażkę, żeby tylko się nie narażać tym okropnym ludziom! Ale mowy nie ma, przecież bez ucha do domu nie wróci, dopiero by z niego miała pośmiewisko nieżyczliwsza brać! Toteż niech się dzieje, co chce, pokłonił się królowi Rozmarynce, wziął drewniaki pod pachę i powiada:

— No to zaczynajmy, królowo, żebyśmy oboje mieli to już za sobą!

— Dobrze świniarku, powiedz mi teraz co to jest:

Gdy się ojciec śmieje,
a matka łyzy leje,
córka wdziawa kieckę w pasy
siedmioiakię krasę!

12*

179

Ondrze było królowy trochę żal, że ma takiego pecha, więc uśmiechnął się do niej:

! — To fajna zagadka, będę ją zadawał pannom u nas w Nie-życzliwcach! My mamy podobną, jej to znowu wy moglibyście się nauczyć:

Jest długa, choć trwa przez chwilę, szeroka na dobrą milę, ma siedmiostopniowe schody, a mieści się w kropli wody!

Królowna już wiedziała, że Ondra zgadł. Tęcza, bo co innego zmieściłoby się w kropli wody? Jaką tu wybrać drugą zagadkę? Zaraz, tę:

Wielka korona bez czoła, nie ma języka, a woła, nic nie czuje, nie żyje, . a jednak serce mu bije!

Ondra wesoło zamrugnął oczami i wyrecytował jakby z bicza trzaskał:

Cynowe zwierzę w kamiennym chlewie, trzy razy na dzień się śmieje, a nic nie pije i nie je!

Patrzcie go, figlarza, już po raz drugi przebił zagadkę zagadką! Nawet słówkiem nie pisał, że to dzwon, a królowna i tak musiała uznać jego odpowiedź. Ale co teraz? Jaką by tu wziąć trzecią? Nic jej nie przyszło na myśl prócz jednej starej rymowanki, którą również znała od swojej starej piastunki:

To, z czego mam głowę z głębi ziemi wyszło,

180

zaś moje ciało

z lasu przyszło.

Ciało mam gładkie,

ale dziób ostry,

pokarmem są mi

bracia i siostry.

Gdy swoją siłę dać mi raczysz,

co ja potrafię, sam zobaczysz!

Ondra podrapał się za lewym uchem, potem za prawym, przez chwilę szczyptał się w czubek nosa, wykrzywił gębę w stronę dworaków, z lekka uśmiechnął się do królowny i powiedział niby to do siebie:

— To dziwne, że tej zagadki zupełnie nie znam! Ale srodze mi przypomina inną, którą się słyszy u nas we wsi:

Choć jest panną, nie chłopczyskiem, niby nożem trzaska pyskiem, w czepcu dziewczynskim chodzi, ale za mąż nie wychodzi, bez nóg i bez odzieży na pięty gębę szczyrzy. A gdy z lasu wędruje, na las wciąż popatruje!

Pobledli wszyscy dworacy, krwi by się w nich nie dorzezał. Stała się rzecz okropna, świniarz spełnił wszystkie warunki, wygrał rękę królowny! Polecieli budzić króla pana, który jeszcze odsypiał tę nocną naradę, żeby nie mieszkając przyszedł i świniopasa wygnać, zanim się stanie nieszczęście. Król wytrącony ze snu nie mógł znaleźć swojej korony, więc złapał jakąś już znoszoną, co wisiała na kołku za drzwiami, i w te pędy podrapował do komnaty królowny. Dworacy za nim rządkiem jak gęsi za gąsiorem.

— Na co ty sobie pozwalasz — krzyczał król już w drzwiach — ty gaduło jedna, zgadywankami na pokuszenie wodzić mo-

181

ją królewską córę, jakby to była jaka służka? To jest obraza mojego majestatu, żebyś wiedział, ty świniopasie! Jeszcze nie wiem, czy mam cię wtrącić do ciemnicy czy z miejsca kazać ci uciąć głowę!

— Ależ tatuńciu — błagalnie złożyła ręce królowna Rozma-rynka — przecież to była tylko taka gra!

— Milcz, dziewczyno niewydarzona! Ja wiem, co robię! To co wolisz, łamigłówkarzu: głowę pod topór czy dożywocie w lochu?

— Trudny wybór, królu panie, już wolę to zostawić najjaśniejszemu panu — powiada Ondra spokojnie — ale najpierw dla większej hecy zagrajmy sobie w zgadywanego. Będzie to was kosztować najwyżej parę buziaków, jeno że lepiej, gdyby mi je wypłacała, królowna.

Dworaków zatkało, co za bezczelność, król także zdębiał, bo nikt z nim nigdy w życiu tak nie rozmawiał. Ale Ondra po raz pierwszy na własne oczy widział króla i ani mu do głowy nie przyszło, żeby się mitygować.

— No to jak, chcecie jaką łamigłóweczkę, żeby nam czas szybciej leciał?

— Cóż to, ty nie wiesz, że ja jestem król? Że w moim państwie muszę wszystko zawsze wiedzieć najlepiej? — wybałuszył król osłupiałe oczy na tego piramidalnego głupka.

— W tym sęk, królu panie, no bo człowiek nie codzień ma taką gratkę, żeby móc samego króla wystawić na próbę jaką łamigłówką! Na ten przykład powiedzcie mi, którzy ludzie w waszym kraju plują na ziemię tylko w świętki?

— Tylko w świętki? — zdziwił się król. — A co to za szczególny gatunek ludzi? Hej, hola, ministrowie, jest tu który? Toż o tym nikt mi nigdy nie meldował!

Ale ministrowie tylko wzruszali ramionami.

— A czemużby od razu szczególny gatunek, królu panie? To są zwykli wyrobnicy, nie inaczej! W powszedni dzień muszą dobrze pluć w dłoń, żeby zarobić na kawałek chleba! A chcecie jeszcze jedną? O które zwierzęta parobcy i pacholtkowie muszą się troszczyć najwięcej?

182

— O konie, to jasne — rzekł król zadowolony, że tym razem na pewno zgadł.

— A czemu akurat o konie?

— No, tego to sam nie wiem!

— Bo gdyby konie wyginęły, panowie jeździliby na ludziach. Do drzwi już się pchała ciżba grenadierów, żeby na pierwsze

skinienie króla pana pochwycić tego świniarka i dać mu w kość. Ale król ani palcem nie kiwnął, tylko przyglądał się Ondrze spod oka. Toteż Ondra ośmielił się po raz trzeci:

— No to na ostatek: Jacy ludzie na świecie są najbiedniejsi?

— No, tak po prawdzie to... czy ja wiem? — król zaczął usilnie myśleć, aż sposepniał.

— Tacy ludzie jak ty. Swiniopasy, wyrobnicy, żebracy...

— Niestety, królu panie! Wielcy panowie, jak na ten przykład wy! Bo takim to rzadko kiedy kto powie prawdę i zawsze są zdani na to, co im inni nakłamią!

No, trzeba wam było słyszeć, jak teraz zahuczało wśród dworaków. Jak w dąbrowie, kiedy wiatr przedburzowy zadmie. Już się zdawało, że nie będą czekać na grenadierów, a sami rzucą się na Ondrę. Ale z króla nie był taki znowu ćwok, jak oni wszyscy.

— Coś mi się zdaje — powiedział naraz — że powinieneś się do mnie zgodzić na królewskiego błazna, bo umiesz królowi mówić prawdę w oczy. A to robią tylko błażni!

— Nie, to nie dla mnie — Ondra na to — wolę paść wieprz-ki, niż być królewskim błaznem. Ale mówić prawdę królowi w oczy, to nie takie straszne, jak wam się zdaje. Spróbujcie ją powiedzieć sołtysowi, to by była chryja, jeju!

i Król chciał Ondrę jakoś ugadać, no bo niby wygrał rękę królowy, a z nią i pół królestwa, toteż odciągnął Ondrę co-kolwiek na bok i powiada:

— Nie da się ukryć, Ondro, wygrałeś. Królowy to ci nie dam. Na zaślubiny jest jeszcze za młoda i za głupia. Ale powiedz mi w zamian jakieś swoje życzenie, a ja je spełnię!

— No cóż, jak nie dacie, to brać nie będę — skrzywił się Ondra — ja się do żeniaczki nie palę, to jej się zachciało za-

183

męscia! No więc zostaje to życzenie... A wszystko jedno, co to będzie? Spełnicie każde życzenie?

— Daję ci na to królewskie słowo!

Pan ochmistrz, najstarsza dama dworu i ci dwaj niedźwie-dziowaci grenadierzy, którzy dopchali się do drzwi komnaty, w te pędy nastawili uszu, o co niby Ondra poprosi, żeby ich później nie wykołował. Królowna Rozmarynka widząc, że Ondra tak łatwo się jej wyrzeka, była ociupinkę smutna, a jeszcze bardziej dotknięta, ale też pilnie nasłuchiwała:

— No to ja bym prosił serdecznie — powiada podstępnie Ondra — żebyście mi za to zgadywanie wyasygnowali sto porządnych cięgów leszczynową łagą!

— Czyś ty oszalał, chłopcze!

— Nie, nie oszalałem, każcie przynieść ławę!

A gdy już profosowie przynieśli, Ondra w kułak się zaczął śmiać!

— Tu są takie zwyczaje, że musiałem swoją nagrodą już z góry obdzielić innych. Jedna trzecia należy się tym dwom grenadierom przy drzwiach, dajcie każdemu po siedemnaście, aby było sprawiedliwie. Trzydzieści trzy dostanie pan ochmistrz, a zbywające trzydzieści trzy wyprosiła sobie u mnie tamta da-mulka dworska, co ma na nosie czarną brodawicę!

Pan ochmistrz chciał migiem zniknąć, ale biada, capnęli go w drzwiach. Król skinął ręką, profos wybrał laskę i zaczęła się młocka! Och, uch, jeju, o rany, cała czwórka odbierała swoją należność z takim przejęciem, że im nikt na świecie by nie pozazdrościł! Ondra chwilkę patrzył, jak panu ochmistrzowi kurz leci z portek, po czym złapał drewniaki i hop! zmykał precz z zamku.

Ale nie uszło to uwagi królowy Rozmarynki, duchem wybiegła za nim na schody i przechwyciła go za połę kapoty:

— Swiniarku najmilejszy, nie uciekaj! Masz u mnie jeszcze te trzy buziaki, które jestem ci dłużna za tatunia! — szepnęła wstydliwie, ale już nadstawiała swoją różową bużkę.

— Prawda — przypomniał sobie Ondra — dług zaniedbany przepada! Kto to wie, kiedy się znowu zobaczymy!

184

I zaraz te trzy buziaki wyfasował. Królowna Rozmarynka spąsowiała przy tym jak różyczka polna. Poglaskała Ondrę po-twarzy i po cichutku go zapytała:

— A coś sobie przy tych buziakach myślał, swiniarku?

— Zgaduj zgadula, ale już ostatni raz!

— No to... myślałeś, że to najśłodsze buziaki na świecie!

— Gdzie tam — zaśmiał się Ondra — lepiej już nigdy nie grajcie, królowno, w zgadywanego, bo przegracie tatuńciowi całe królestwo!

— A co myślałeś brzydalu?

— Co? Że wszystkie te wasze buziaki są słodkie, ale te Magdalenki od kowala, wygrywane na pastwisku, o jej, tysiąc razy słodsze!

Złapał drewniaki i frr! smarował najkrótszą drogą z powrotem, do Nieżyczliwców.

Wodnik w browarze

Dawno temu była w lasach za Rukapanią taka sobie mała sadzawka, na którą się mówiło Plamka. Kto ją tak ochrzcił, nie ważne, grunt, że nazwa była dobrze dobrana. W zielonym runie lasów i łąk jastrzębiom, kaniom, a także kukułkom i innym ptakom, przelatującym ze świerczyny nad Czarnymi Błotami ku dolinie nad Kwietną, sadzaweczka wydawała się małą niebieską plamką, zakłócającą nieskończoną płaszczyznę zieleni. Dziś na tym miejscu sieje się żyto i sadi ziemniaki, ale nazwa się utrzymała, po starym mówi się tam o tym zakątku: na Plamce.

Ongi, gdy Plamka była sadzawką, a nie kartofliskiem, a w Rukapani, w długi czas po niesławnym Panderholi, warzył piwo nieboszczyk Karaś, kiedyś tam przy zapustnym wtorku odbywała się na wsi Kardawiec zabawa browarniana. Karda-wiecki browar to była piwowarenka-kurdupel, raptem trzech czeladnicy wywijali tam kopyciskami mieszając w kotle brzeczkę ale swój ambit mieli. Toteż na swoją zabawę i pożegnanie Bachusa, któremu w tym dniu starym zwyczajem oddawano ostatnią posługę, zaprosili również rukapańskiego piwowara Karasia z za miedzy.

Śpiewało się tam wesoło, jak u piwowarów przy zapustnym wtorku przystało:

Nie widzieliście tego pana

dziurawego dzbana?

186

Nos czerwony rna od piwa,

jak beka się kiwa,

a pan Bachus się nazywał

Po tej śpiewce najgrubaśniejszego słodownika okutali gro-chowinami, żeby upodobnić go do Bachusa, wsadzili na nosze, przybrali wstążkami z bibułki i na całe gardło zaśpiewali mu pieśń pogrzebową, Kardawiecki pryncypał miał głos jak z głębokiej piwnicy, mielcarz grzmiał jak organy, młody piwowar-czyk znowu ciągnął tenorkiem, a pan ociec Karaś tylko się na-sładzał pomyślunkiem, jaka to rozkosz, gdy słodownicka cze-ladka jest tak galancie zgrana. I sam ryknął jak tur albo przynajmniej jak Turek nad umierającym Bachusem:

— Już to ciało rozstaje się z nami! a reszta odpowiadała na trzy głosy:

— Kuflem go jeszcze pożegnamy!

I już sobie wtórowali odżywka za odżywką:

— Dona nobis pacem!

— Zadołujemy go za tym placem!

— Niech odpoczywa w pokoju!

— Pod wychodkiem na gnoju!

Kiedy już dobrze po północy udało im się Bachusa zagrzebać w kupie śniegu na browarnianym podwórku, rukapański pan ociec wyduldał jeszcze na pożegnanie cztery półlitrowe garnce, wyhopsał się w trzęsionym, tupaku i polce-piwovarce, po czym, nie skorzystawszy z bryczki, którą go chciano podwieźć, puścił się elegancko rozgrzany przez Haramice, Czarne Błota, Siedmioro Zabitych i Kwietną do Rukapani. Noc była roziskrzona, gwiazdy wierciły się jak żywe, ale poza tym panował spokój i cisza, tylko śnieżek pod nogami trzeszczał jak cyna.

Kiedy od czarnych błot zaczął schodzić stromą, śnieżystą i obmarzniętą drożynką ku Plamce, zachciało mu się pić. Gardło mu się ścisnęło, jakby je mocno okręcił sznurkiem, język przywarł do podniebienia, że słowa by nie mógł wybełkotać, ślina zgęstniała i trudno ją było nawet przełknąć. Przystanął tedy nad Plamką, żeby choć trochę zwilżyć krtań. A że był w sta-

187

nie, w którym piwo rozwiązuje język, zaczął kłąć na czym świat stoi taki los, że trzeba pić bagienną wodę. Kłął tak siarczyście, że pobudził liny, drzemiące gromadnie pod lodem, tuż przy tatarakowych łożyzkach, przez które dostają się pod lód perełki powietrza, bluźnił tak straszliwie, aż wystraszył rozgwiadę zbaraniałych karpia, ułożonych w mule pyszczek przy pyszczku, pomstował tak niebotycznie, że nawet na najwyższych świerkach ocknęły się sojki. I naraz, gdy tak wymyślał bez opamiętania wodzie, odezwał się za nim głos:

— Co mi płoszysz ryby, rudzielcze?

Był ci Alojzy Karaś rudy jak lis, choć serce miał szczerzłote. Obrócił się tedy niemile dotknięty i ujrzał zieloną szkara-dę siedzącą na krawędzi wyciętego w lodzie przerębla i pluskającą gumiakami w wodzie. Stwór ten miał gębę bez zarostu jak żabie kolano, za to za uszami długachne włosy, posklejane i utyłane ilem. W lewym kąciku krzywych ust zwiślała mu stara faja, cała oblepiona żabiściekiem.

— A tobie co do tego, zieleniuchu — ofuknął pan ociec wodnego stwora! — nikt mi kłąć nie zabroni, mam sakramenckie pragnienie!

To wodnikowi wystarczyło. Skoczył z lodu na zmarzniętą trawę przy brzegu, podszedł do Karasia i zaskrzeczał żabim głosem:

— Znam ciebie, ty jesteś piwowar z Rukapani! To twoje piwo jest takie obrzydliwe, że tylko karać nim hultajów, szelmo ruda! Raz wysuszyłem banieczkę białkom, gdy tu na łące grabiły siano! Tfu! Istne popłuczyny, warzone na starych brzożowych drapachach! Alojzy Karaś od pierwszej chwili wiedział, że ma do czynienia z wodnikiem Matalą, o którym do czeladnej w browarze znosili wieści wszyscy okoliczni gajowi. A to skąpał w wodzie jakąś babę, gdy przyszła kraść tatarak na gorzałkę, to znów postraszył chłopaków, co z czystej głupoty zaleźli między wodorosty; takie różne niegroźne hocki-klocki, bo po prawdzie to nawet najstarsi wąsacze nie pamiętali, żeby Matala kogokolwiek utopił. Szła o nim fama, że jest to wodnik zgoła dobro-

188

duszny, żadne zło dydko. Toteż Alojzy Karaś nie brał tych jego zniewag poważnie. Powiedział mu tylko:

— Wynoś mi się ze swoimi mądrościami do Pikutkowa, Ma-talo-mądralo! Na bagiennych bąblach, na fusach w stawie to się wyznajesz, ty nieuczesa trąbo wodna, ale nie na piwie!

Matala zarechotał jak zielona żabka cieniutko, co wśród wodników najwidoczniej uchodzi za śmiech, i powiada:

— No to zajdź do mnie na kufelek, ty zadufku słodowy, ja ci pokażę, jakie ja piwo warzę, żebyś wiedział!

— Jak to do ciebie... tam na dół? — wskazał Alojzy Karaś czarną dziurę w lodzie.

— Ma się rozumieć, że tam, a gdzieżby indziej? Tylko się nie bój, ty gulgulku brzeczkowy, u mnie jest zacisznie!

Gdyby był Alojzy Karaś brał to zaproszenie na chłodno, to by nie poszedł. Ale że miał w czubie i mierzyły go te Ma-talowe przechwałki, bez namysłu hopsnął przez dziurę w lodzie prosto do wodnikowego królestwa. Do jakiego tam zresztą królestwa! Matala miał pod brzegiem starą gliniankę, okna oszklone błoną z rybich pęcherzy, zamiast zasłonek porwane rybackie sieci. Za to piec był solidny, kaflowy, a huczało w nim aż miło! Przy piecu stał stary dębowy stół i długa ława, na której wylegiwał się wielgachny wąsaty sum. Był to najlepszy kompan Matali, przychodził do niego się wygrzewać, jako że miał reumatyzm.

Ledwo Alojzy Karaś usadowił się za stołem, Matala klasnął i naraz, masz, diable, kropidło, dwa szczupaki jak szczapy wtoczyły zębiastymi pyskami antałową beczułkę, na jaką w browarach mówiło się szczeniak. Zaraz też zjawiała się karpia sam-ka, leciwa już i spaśna, śpiesząc na stół z trzema kufkami. No, trzeba było wam widzieć, jak to stare sumisko ożywiło się na widok pipy! Matala odczopował szczeniaka, natoczył do wszystkich trzech kufki piwa, jeden wepchnął sumowi do rozdziawionej paszczy, żeby staruszek przytrzymał go sobie w zębach, drugi przysunął uchem do Karasia, i zaraz jak się patrzy: Wiwat! stuknęli się we trójkę gracko, aż bryznęła piana. I ledwo obciągnęli jedną kolejkę, Matala migiem natoczył następną,

189

znowu wsadził kufel sumowi pod wąsy, znowu brzdęknęli się z Karasiem i tak bąblowali kolejka za kolejka, aż się Alojzemu Karasiowi zaczęło ociupinkę kręcić w głowie.

— No i co ty na to, mistrzuniu — wyskoczył z cicha pęk Matala, gdy już mieli za sobą po osiem tęgich kufki.

Alojzy Karaś wszakże siedział jak mysz pod miotłą i tylko w zadumie od czasu do czasu ruszył językiem w gębie, mlasnął z lekka lub ciamknął, delektując się smakiem tego piwa. Jeju-niu nadzारेński, to była rozkosz nie piwo, każdy piwowar musiałby przed nim zamiatać czapką po ziemi! W całej okolicy nie znalazłby jemu równego! Na pierwszy rzut oka wyglądało wprawdzie jak ciemna brzeczka, ani krzyny złocistości i blasku, do czego u siebie w browarze Alojzy Karaś przywiązywał wielką wagę, ale za to jaka moc i przyjemna słodycz, jakby pachnący miód przyprawić korzenną goryczką, był to smak tak osobliwie zniewalający, że pan ociec krzepił się nim jak siódmym cudem świata.

— Słuchaj, Matala, ty łasico jedna, z czego to piwo warzysz? |—| czule objął wodnika za szyję, omal że go nie pocałował w ucho.

— No więc zacznę od jęczmienia. Podkradam go na browarnianych polach, tego się nie wypieram! — skrzywił się w uśmiechu Matala.

— W porządku, kradnij, póki ci stróż gnatów nie przetrąci... A co dalej? — niecierpliwie przypierał wodnika do muru pan ociec Karaś. — A ta wonna goryczka, co tak miodnie rozpływa się na języku, co to takiego?

— Ha-ha, miły Karasiu, to jest cała moja tajemnica! — zachichotał Matala tym jakimś swoim żabim śmiechem od ucha do ucha, a tak się przy tym rozbawił, że podszczypywał suma za wąsy.

W środę popielcową rozniosło się po Rukapani, że pono piwowar Karaś jeszcze nie powrócił z Kardawca, choć stamtąd odszedł o trzeciej po północy, i że wobec tego najwidoczniej uświerkł gdzieś po pijaku w lesie albo ugrzął pod lodem na Plamce...

190

Tymczasem we czwartek po południu pan ociec zjawiał się w Rukapani cały i zdrowy, jeno że we włosach zieleniła mu się krzyna żabiścieku, który rozpościera się po

sadzawce, niby pie-rzynka wodnika. Bo niby tym żabiściekiem miał Matala wypchane swoje wodnikowe piernaty...

Od tego czasu w rukapańskim browarze zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Karaś kazał bednarzom zmajstrować w jednej piwnicy dziesięć wielkich kadzi, które napełniono wodą* a potem przyszedł taki niesamowity mielcarz w zielonym fraczku, wiecznie ociekający wodą i cokolwieczek jakby zasmarkany, który z początku stronił od ludzi. Za to przy tych kadziach, skąd miało się brać wodę do kotłów warzelnianych, siedział bez ustanku od rana do wieczora, a może też od wieczora do rana, i ciągiem coś tam dosypywał, coś tam w tej wodzie moczył i czymś ją ługował. Co to mogło być, nie wiedział nikt w całym browarze, bo te tajemnicze domieszki przynosił mu sam pan piwowar Karaś w wielkich trąbkach z odległych aptek, żeby nikt tajemnicy nie wypaplał, a chyba także* od bab zielarek.

Rukapański browar przestał warzyć piwo jasne, które zresztą nie było zbyt wyborne, przestawił się całkowicie na ciemne. A było to piwko, o którym mówiło się za siedmioma górami! Kto go skosztował, nie mógł ust oderwać, a w czeladnej browaru dzień i noc po południu rozbrzmiewały śpiewki i wiwaty, jakby się tam odbywało nieustające szczęśliwe weselisko. Kto wypił garniec, wpadał w dobry humor, kto dwa •— nie posiadał się z radości. Po trzech dusza rwała się do śpiewania, a po czterech każdemu świeża w głowie taka jasność, że uważał się tysiąc razy mądrzejszy od rukapańskiego burmistrza. I było w czeladnej zawsze pełno gadania, po większej części głośnego, ale gadania z fantazją, z humorem i takim śmiechem, że szyby brzęczały!

Browarniana czeladź wiedziała, że ten cud zawdzięcza zmokłemu mielcarzowi w zielonym fraczku, co przygotowuje wodę słodową. Między piwowarczykami zaczęły się szepty, że tu coś jest nie w porządku, że ten trzęsiportek to właściwie jest wod-
191

.nik Matala z sadzawki Plamka. Sam pan majster pono go raz wieczorem po kryjomu podejrzwał, jak naraz hopsnął do wielkiej kadzi w piwnicy i dobrą chwilę się pławił, zupełnie jak karp w szuwarach. A kiedy wyplął na powierzchnię, ślepiec miał wybałuszone jak żaba i kumkał ze szczęścia, aż pan majster oczy w słup postawił. Potem majster w wielkiej tajemnicy •opowiedział to słodownikowi, a słodownik znowu komuś i rzecz się rozniosła wedle starego przysłowia: Jak jednej musze powiesz, zaraz wszystkie będą wiedziały.

Ale że wodnik nikomu nie wadził, a browar miał z niego pożytek, wszyscy, od pana majstra aż po chłopców-terminatorów, co mielili susz słodowy, powoli się do niego przyzwyczaili, a nawet z nim pozaprzyjaźniali. W każdą sobotę, gdy tylko trochę się ściemniło, wkładał Matala wodnickie gumki, brał pajdę chleba do kieszeni i wyprawiał się do domu na Plamkę, żeby zobaczyć, jak tam gospodarzy ten stary wąsaty sum, którego zrobił na Plamce swoich plenipotentem. I ponoć często widywano go w nocy z sobotą na niedzielę, jak siedzi na stawi-•dle i z braku czasu w ciągu tygodnia obrządza się przy miesi-•czku, pierze kijanką koszulę, ceruje kapocinę lub łąta te swoje miękkie, z żabiej skórki uszyte buty wodnickie. W poniedziałek rano, choćby się gromy waliły, był Matala z powrotem w browarze, a zawsze miał ze sobą jakiś gościniec dla piwo- warczyków, kubetek okoni, raków, ślizów, linów, albo innej rybiej gadziny. Przepadał wprost za smażeniem ryb, w poniedziałek wieczór ich zapach uniósł się na kilometr z czeladnej. A pod te chrupiące śliziki, pod te okoniki na tłuszczu i kminku zaraz i piwko inaczej smakowało!

A kiedy się zeszła cała czeladź, często podbechtywali Mata-lę, żeby im zaśpiewał jakąś piosneczkę wodnicką. Z początku się wstydził, ale w końcu dawał się namówić i nucił cichutkim skrzeczącym głosikiem, a zawodził z takim przejęciem, że wszystkim ze śmiechu łzy płynęły z oczu:

Pod brzegiem rak, nad brzegiem ptak,

192

! !••^

we wodzie rybeczka, za wodą dziewczeczka, ta jest mi w smak!

I tak przez jakiś czas w rukapańskim browarze wszystko szło jak z płatkar a pan ociec z radością zacierał ręce, bo mu w skrzyni przybywało brzęczących złociszow za to sławne ciemne piwo. A że nigdy nie jest tak dobrze, żeby nie mogło być znowu źle, stała się rzecz, która rozniosła w puch tę błogość i spokój. Pan ociec Alojzy Karaś miał córę Julinkę, a była ona kropka w kropkę podobna do tatuńcia — mocno ruda, a do tego jeszcze, biedaczyna, strasznie piegowata; chłopaki nicponie nabijali się z niej w szkole, że się opala przez ma-mine rzeszoto. I ta Julinka weszła akurat w kwitnące latka, gdy dziewczęta zaczynają myśleć o miłości, a ich panie matki o wianie dla swoich pociech i o swatach. Pani piwowarka zaczęła Julinkę obwozić po zabawach w szerokiej okolicy, ale tanecznicy do niej się nie garnęli, a zalotników nie miała ani na lekarstwo.

Julinka czuła się nieszczęśliwa i choć za dziecięcych lat było z niej dziewczątko wesołe, ba, niekiedy nawet rozbrykane ponad wszelką miarę, wyrosła na pannę smutną i frasobliwą, która tylko wzdychała i często ni z tego, ni z owego miała oczy pełne łez.

Siadywała ciepłymi letnimi wieczorami w browarnianym ogródku gapiąc się na gwiazdki lub na miesiącki i śniąc z otwartymi oczyma o tym, jak gorąco kochałaby do grobowej deski swojego najmilejszego, gdyby się ktoś taki, szczerzy i serdeczny, jej trafił.

Aż tu raz, gdy tak Julinka siedziała w ogródku oddając się swoim posępno-słodkim rojeniom, ujrzał ją w blasku miesiąca wodnik Matala, który tam zwykle brodził potajemnie po wieczornej rosie. Licho wie, jak to się stało, może takie samotne dusze nawzajem się przyciągają, dość, że Matala od pierwszego wejrzenia zadurzył się w Julince po uszy! I jak się od tej miłości niebawem przemienił! To już nie był ten umorusany wymoczek z rzęsą we włosach i zabiściekiem za uszami!

13 Bajki czeskie

193

A

Podstrzygł u fryzjera swoje długie wodnickie włosy, kupił grzebień i codziennie się czesał, a nawet jakąś pomadą smarował tę swoją zzieleniałą czuprynę, żeby trzymała się za uszami. U krawca Wondry dał sobie uszyć nową kapotę, taką na poły myśliwską, na poły wodnicką, do tego na jarmarku dokupił elegancki kapelusz z piórkiem. Tak wysztafirowany wychodził co wieczór do ogródka i jak tylko Julinka się zjawiła, przysiadał się do niej na ławkę, wzdychał i miłośnie przewracał oczyma.

Julinka, jak powiadają, nie pozostała na jego wzdychania obojętna. Raz, gdy tak siedzieli na ławeczce, ucisnęła Ma-tali jego wodnicką rękę i nic a nic jej nie przeszkadzało, że ręka ta była jakaś taka rybia, chłodnawa:

— Panie Matala, jestem strasznie nieszczęśliwa — wyszeptała przy tym — wy jeden mnie rozumiecie, prawda? Dla was niechybnie nie jestem wstrętna, prawda, że nie?

— Panno Julinko — westchnął na to Matala — gdybyście wiedziała, jaki ja jestem szczęśliwy, że mogę tak tu siedzieć obok was, że się nie brzydzicie moją szkaradnością!

!— Ja? — pisnęła cichuteńko Julinka — ależ po co w ogóle o tym myśleć, panie Matala, mnie się podobacie, taki, jaki jesteście, głównie że macie takie złote serce! Nawet nie wiecie, jaki świat jest fałszywy. A z tą zielenią bardzo wam do twarzy, żebyście wiedzieli! Ja zawsze lubiłam kolor zielony!

Od tego dnia Matala był jak nowo narodzony. Już nie przynosił z Plamki okoni i ślizów, łąził po całych nocach nie wiadomo gdzie, a rano przed wschodem słońca kładł Julince pod oknem śnieżnobiałe nenufary i takie maciupęńkie, jasnozielone żabki, które popiskiwały cienkim głosikiem, zupełnie jakby to były ptaszęta. Nie minęło wiele czasu, Julinka z Matala w blasku pełni ślubowali sobie wieczną miłość, przysięgając, że nie roz dzielą ich żadne, nawet najpotworniejsze przeciwności...

Tymczasem jednak w domu piwowara nie zamykały się drzwi za swatkami. Przecież Julinka była jedyną córką, a tedy i jedyną dziedziczką tego wielkiego Karasiowego majątku, toteż

194

patrzyli łasym okiem na nią, a raczej na rukapański browar, różni skrachowani i zadłużeni kawalerowie, którzy chcieli dzięki posagowi Julinki prowadzić słodki żywot. Pewien taki het-ka pętelka, niejaki Pucherna z Dusznik, wkradł się w łaski pani piwowarki, która byłaby rada widzieć już swoją córę pod weselnym czepcem, toteż jemu Karasiowie przyrzekli rękę Julinki.

— Kochanie moje, będziesz z nim szczęśliwa! — zwiastowała pani matka tę nowinę Julince chcąc ją przy tym pogładzić po rudej główce.

Ale Julinka wyrwała się jej z rąk jak oparzona:

— A ja go nie chcę, nie chcę, nie chcę! Łysa pała ohydna, nikczemnik, co leci na moje pieniądze, pasożyt jeden!

— Ależ córuniu, kogoś przecież musisz sobie wziąć, żeby mieć męską podporę, kiedy nas już z mamunią nie będzie — pragnął ją udobruchać pan ociec Karaś, który przez całe życie bolał, że Julinka odziedziczyła po nim tę rudość.

— Ja już mam narzeczonego... — załkała Julinka, dotknięta do żywego — on mnie kocha prawdziwie, nie tak jak ci majowi zalotnicy...

Pan ociec i pani matka załamali ręce, po pierwsze z zaskoczenia, a po drugie ze strachu, czy to nieszczęsne dziewczę po prostu nie fantazjuje.

— A kogo, na litość boską? — dziwił się pan ociec.

— Miejscowego... z browaru... — zaszczębiotała Julinka rumieniając się jak różyczka.

— Miejscowego? Chyba nie tego młodszego czeladnika? — wybuchnął pan ociec, który o filuternym terminatorze był jak najgorszego zdania.

— Pana Matalę!

Gdyby na browar padł grom z jasnego nieba, nie byłby pan ociec tak wstrząśnięty jak od tych dwu słów.

— Dziecię nieszczęsne — załkał zdruzgotany — a cóż to ci strzeliło do głowy?

— A bo co? Pan Matala to przecież porządny człowiek! — stanowczo obstawała przy swoim Julinka.

»*

— Kiedy to w ogóle nie jest... człowiek!

— No to co? Mnie to nie robi różnicy! Ale porządny jest! Pani piwowarka dostawała na przemian spazmów i zapaści

serca, kiedy pojęła, że jej córka wybrała sobie... wodnika.

— I to myśmy takiego wyrodka wychowali? — lamentowała, że głaz by wzruszyło. Ale serce Julinki pozostało nieporuszone. Matala ją kocha, ona jego też. On jej nigdy nie będzie miał za złe rudzielstwa, a ona jemu tej jego... wodnikowości.

— To ty jesteś temu wszystkiemu winien! — skoczyła z pyskiem pani matka na męża — ty ohydo, ty leniwcze, ty kałdu-nie z piwem! Tyś nam to straszdyło przywłókt pod nasz dach!

Pan ociec Karaś był pocziwiec z kośćcami. Ale to larum pani piwowarki ruszyło go nie na żarty. Złapał sękaty kostur i pognał między kadzie, że niby od ręki porachuje się na sto dwa z tym lumpem wodnickim!

— Ja ci dam bałamucić mi dziecko!

Matala jak raz sywał do wody swoje domieszki, gdy piwowar na niego tak nagle wyskoczył. W zalęknieniu wypuścił do kadzi wszystkie torebki, ale zanim zdążył ręce podnieść do obfony, piwowar już go po wąskich plecach łup! łup!, aż się Matali z fraczka kurzyło.

— Panie starszy, opamiętajcie się! — krzyknął błagalnie, skoro jednak piwowar nie przestawał, Matala z rozpachy przemienił się w wielkiego karpia, hopsnął do kadzi i piorunem umknął gdzieś tam na dno.

— No, potworze wodny! — ulżył sobie pan ociec — spróbuj tylko jeszcze mi się pokazać na oczy!

W tym wojowniczym nastroju pobiegł do domu i krzyknął do poblądłej Julinki:

— Już po twoim narzeczonym! Trzepoce płetwami w kadzi, do cna się pokarpił, ledwo palnąłem go raz lagą. A ty nie becz, bo jak...

Julince opadły ręce i bez słowa osunęła się na ziemię jak podcięty kwiatusek...

Od tego zdarzenia w rukapańskim browarze wszelki ślad po

196

Matali zaginął. Tylko pod oknem Julinki — był ci jak raz lipiec — każdego rana leżała wiązanka wielka bielutkich nenU/" farów, na które u nas mówi się bękarcięta, a za którymi musiał Matala wyprawiać się na nie wiem jak dalekie tonie.

Pan ociec Karaś nie żałował zniknięcia Matali. Dawno Już wiedział, w czym najpewniej tkwi główny dowcip tego znakomitego wodnickiego piwa. Woda Plamki od niepamiętnych cza-sów była pełna tataraków i z nich wyciągała gorzko korz0nnY smak i zapach. Toż po przyjsciu Matali do browaru piwowar za tatarakiem po wszystkich aptekach w całej okolicy nieźle s^ nalatał. I przypuszczał, że teraz sam tę wodę tatarakową jakoś przysposobi.

Ale niestety! Ledwo Matala znikł, woda w kadziach zaczęła mętnieć i podchodzić bielmem, i choć kadzie wyparzono wro-tyczem, lubczykiem, czarnym bzem, podbiałem, amara^tem i dziewięciosiłem, nic nie można było wskórać. Aż w koncu piwowar kazał parąbać kadzie, mimo że zdawał sobie sprawe-' co to znaczy dla jego kieszeni. Postawił krzyżyk na rukaPan" skiej chlubie:

— Trudno, pójdę z żebrackimi torbami, a wodnika w rodzinie mieć nie chcę!

Tymczasem Julinka co rano zgarniała wiązanki nenuflrow i trzymała je w ukryciu, żeby tatuńciowi nie rzuciły się w L>czy. Całymi dniami pani matka z sześcioma ciotkami trajkotały JeJ nad głową, żeby wyszła za pana Puchernę, który ją na rękach będzie

nosił. Ale wciąż sprzeciwiała się czerpiąc siły z tych nenufarów, które ranek w ranek znajdowała pod oknem.

Lecz czas nenufarów się skończył, na łąkach były już tylko fioletowe ziemowity. Wierny Matala rwał przynajmniej te Je' sienne kwiaty i znosił ich całe naręczka. Raz jednak podczas księżycowej nocy ktoś z czeladzi wypatrzył, jak z nimi wdrapuje się po rynnie pod okno Julinki... Gdy się o tym dc?wie" dział Alojzy Karaś, choć był z gruntu dobroduszny, w pTzJs^' pie gniewu poprzysiągł Matali straszliwą zemstę. Nast^PneJ nocy zastawiono przy rynnie wielki wnyk z łykowego sz:P-ura' który nieborakowi Matali zacisnął się wokół szyi. Wiązanka zie'

197

mowitów wypadła mu z rąk i rozsypała się po ziemi... Nad ranem Julinka nic na parapecie swego okienka nie znajazła, zabolalo ją lekko serduszko, że Pan Matala widać już o niej zapomina. I tak czas płynął, opadały z drzew liście, a pod obstrzałem babskich języków stanowczość Julinki słabła i słabła, aż któregoś dzionka uwiędła jak ten ostatni listek na jaworze. Zaraz następnego dnia rozeszła się po całym miasteczku wieść, że Julinka pana piwowara przyrzekła swoją rękę panu Puchernie i że najbliższej niedzieli zostaną ogłoszone pierwsze, a zarazem drugie i trzecie zapowiedzi. A gdzie był nieborak Matala przez ten czas? Siedział w browarnianej dziegciami, gdzie go związanego łykowym sznurem posadzono w kącie koło pieca, w którym rozgrzewał się smar do smołowania beczek. Żeby go nikt tu nie wypatrzył, nakryto go starą rozeschniętą beką. Pilnował go bednarz Miechura, na którym mógł Alojzy Karaś polegać, bo Miechura od początku nie cierpiał tego szkarady, Matali. Morzono go suchym powietrzem. Nie wolno było dopuścić do Matali ani kapki wody, bo woda wraca wodnikowi siły. Jakoż nieborak Matala suszył się przy piecu chrzęszcząc już jak zrzucona przez węża skóra. Jego wodnicki fraczek był suchy jak hubka, a w nim samym życie ledwo się kołatało, tliło się nikle jak świetlik nad moczarem. Ach, gdyby o tym wszystkim była wiedziała Julinka, kiedy wkładała swój biały ślubny welon i przypinała do rudych włosków rozmarynowy wianek! Ale o więzieniu Matali w browarze nie wiedział nikt, poza Miechura i piwowarem.

— Ususzę go jak makówkę, a potem roztlukę w moździerz! — zaklinał się Karaś dając Miechurze jak co dzień szóstala, żeby nie puszczał pary z gęby. I Miechura milczał jak grób...

Weselisko Julinki było huczne. Pan ociec kazał bić we wszystkie dzwony, ile ich tylko Rukapań miała, a drухen w bieli nawpraszało się półtrzecia tuzina. Weselnicy do kościoła jechali na platformach, ciągnionych przez browarniane woły, którym pozłożono rogi i opleciono je chmielem i wiankami z jęczmienia. Tylko nowożeńców wieziono w krytych powo-

198

zach — pana młodego mogłoby zawiąć, jako że popatrywał już na księżą oborę, a panna miała nazbyt zapuchnięte oczy od płaczu, żeby ją można było pokazywać gapiom. Przez całą drogę z kościoła do browaru weselnicy rozrzucali dzieciom cukierki i krajcary, a piwo płynęło w browarze i wszędzie dokoluśka strumieniami...

I stało się tak, że jeden z terminatorów browarnianych, młodzik niepowściągliwy, sam już mając nieźle w czubie, nato-czył wieczorem w komorze całą konew marcowego piwa i wpadł z nią do dziegciami, gdzie stary Miechura wiernie pilnował wodnika pod beką, żeby w ostatniej chwili jakąś niego-dziwością nie udaremnił ślubu.

— Napijcie się, ociec! Co tak tu siedzicie o suchym pysku? Wyście kościelny czy majster bednarSKI! Pijcie, u diabła! Ho-pla-dana! — huknął młodzik do Miechury. Postawił przy tym z rozmachem ciężką konew na starą rozeschniętą bekę, pod którą usychał Matala. Od tego uderzenia górne dno się zapadło i konew z pianistą cieczą, jakby ją zwędził jaki chochlik, zniknęła w beczce...

— Ratunku — krzyknął zrozpaczony Miechura, daremnie próbując konew złapać. Nagle cosik na niego chlusnęło, jak gdyby szpunt wywaliło z beczki, klepki odskoczyły na wszystkie strony i wodnik, któremu ta ciecz przywróciła siły, chichocząc niesamowicie wypadł z dziegciem w postaci białego konia. Na dziedzińcu browarnianym zarżał, aż rozdygotały się okna, i wszyscy goście poderwali się od weselnego stołu.

Nastąpiła taka ciemność, że ją można było sprzedawać na atrament, tylko ta biała plama, ten koń wodnicki szalał po całym dziedzińcu. Rozpędził wszystkie baby, które gapiły się przy oknach, rozdeptał bęben muzykantom, co przyszli zagrać od ucha pannie młodej, na koniec z potwornym rżeniem przesadził mur i tyle go widziano.

Od tej pory rukapańskie piwo jest znowu takie, jak dawniej: można nim karać hultajów!
O głupiej górniczce

Żył kiedyś na Kocandzie pewien górnik, nazywał się Honza Klepignat. Miał ci on żonę Barbarę, tak głupią, że o tym rozpowiadano we dwudziestu okolicznych powiatach. Że była nie-dbalska, że znała się na gospodarzeniu jak kura na pieprzu, że nigdy nic tam nie mieli w chałupie i często musieli na obiad wylizywać niemyte od zeszłego dnia garnki. Jedynie w dniu, gdy Honza przyniósł wypłatę, zasiadali przy zastawionym stole, a potem znowu nie było co włożyć do gęby, czyli jak w tym starym przysłowiu: Dzisiaj tłusto, jutro pusto.

Aż ci raz umyśliła sobie Barbórka Klepignatowa, że postara się o skrzata domowniczką, aby z nim zawitał do chałupy dobrobyt. Na targu kupiła czarną kokoszkę i jak tylko kokoszka zniosła pierwsze jajeczko, Klepignatowa migiem wsadziła je pod pachę, że niby sama wyhoduje sobie skrzata. Na drugi dzień czarna kokoszka znowu zniosła jajeczko. I myśli sobie Klepignatka:

— No proszę, mam już dwa jaja, z biedą, ale zrobiłby z nich kolację dla Honzy, toć i tak nie wiem, co mu dać, kiedy przyjdzie ze szychty. Tylko że szkoda zjeść takie jajeczka! Jak dochowam się dwu skrzatów, podwójne szczęście do nas zawita!

Jedno jajo miała już pod prawą pachą, tedy pod lewą wsadziła drugie i siedziała jak na rozżarzonych węglach czekając na wyklucie się skrzatów. Wymędrkowała przy tym, że dwa skrzaty do szczęścia im wystarczą, toteż, nie mając nic na ko-

200
lację dla Honzy, zarznęła czarną kokoszkę i ugotowała z niej rosół z kluseczkami, żeby się jej chłop posilił, kiedy przyjdzie wieczorem.

Cały dzień żyła w strachu, żeby jej te jajeczka nie wypadły spod pach, tak że raczej unikała roboty i cały czas trzymała łokcie ciasno przy bokach. W podwieczerek siadła na progu czekając na swojego Honzę. Akurat przechodziła koło ich domu sąsiadka z koszykiem pięknych czerwonych jabłek. Mijając Klepignatkę ze smakiem przegryzła jedno z tych jabłuszek. Klepignatce ślinka pociekła.

. — Marianko, daj mi jedno jabłko! — zawołała przymilnie do sąsiadki.

— A czemu nie, masz, Barbórko! — rzuciła sąsiadka jedno jabłko przez płot.

Klepignatka duchem poderwała się, wyciągnęła ręce po jabłko i bach!... obydwie jajeczka spod pach wysunęły się i rozbiły o kamienie.

— Ach, ja nieszczęsna! — zaczęła się skarżyć Klepignatka. — Do mnie szczęście nigdy się nie uśmiechnie!

Przechodził jak raz koło jej domu rzeźnik, słyszał ten lament, widział, jak Klepignatka załamuje rozpaczliwie ręce. Pomyślał sobie, nic innego, tylko wzdęła się Klepignatom po młodej koniczynie koza, więc lekką rączką coś tu się zarobi.

— Cóż to wam się przydarzyło, kumo? — dopytywał się pospiesznie.

Głupia Barbara wypaplała mu zaraz, jakie to szczęście jej się kroilo i jak spęzło na niczym z tymi skrzatami domowniczkami.

— Więc chciałybyś mieć skrzaty? Ależ to bagatelka! — odparł hultaj rzeźnik. —! Ja mam w domu jednego, akurat ma teraz małe! Daj mi szóstaka na piwo, jutro, jak będę szedł tędy, przyniosę ci ich parkę. Tylko nikomu ani mru-mru!

Klepignatka pobiegła do chałupy, wyjęła z garnka ostatnie dwa szóstaki, które pozostały z męzowej płacy, i wcisnęła je w garść rzeźnikowi. Po przyjściu do domu rzeźnik złapał w masarni dwa wielkie czarne szwaby, samicę i samca, wsa-

201

dził je do pudełka i na drugi dzień już z samego rana pukał u Klepignatów w okno.

— Kumo, przyniosłem wam elegancką parkę — potrzymał pudełko Klepignatce przy uchu, żeby usłyszała, jak te skrza-ciki drapią nóżkami — ale nikomu ani słóweczka!

Zamknijcie, kumo, oczy i wypuście je pod samym piecem, są jeszcze chu-dzinki nieopierzone, więc wstydzilyby się was! Co wieczór postawcie im koło pieca miseczkę mleka, a gdzieś za miesiąc ich błogosławieństwo samo wam się rzuci w oczy!

Klepignatka serdecznie rzeźnikowi podziękowała i zamknawszy oczy, wypuściła miłe stworzonka za piec. Nie mogła się doczekać, żeby trochę podrosły, więc co i rusz dolewała im mlecza. Jeszcze nawet miesiąc nie upłynął, gdy Honza Klepignat zbudził się raz w nocy. Nie mógł się opędzić wrażeniu, że coś mu po twarzy przebiegło. Usiadł gwałtownie na łóżku i naraz słyszy:

— Szszsz... szszsz... I znowu:

— Szszsz... szszsz...

— Barbórko, słyszysz? Ki diabeł tu tak szeleści? — zaczął z niepokojem tarmosić Klepignatkę, wrywając ją z przyjemnego snu.

— Pst, Honzuniu, to są domowniczki! Za dzień, dwa, jak im skrzydełka wyrosną, zaczną przynosić nam szczęście!

— Cóż to znowu za bzdura? Skąd je wzięłaś?

— Od rzeźnika dostałam parkę... za dwa szóstaki!

Honza Klepignat połapał się, że to jakaś oszukańcza sztuczka, zapalił światło i... trzeba było wam widzieć tę chmarę domowniczków, rozpierzchających się gdzie popadnie, pod szafki i za piec! A skrzydełka już miały jak ta lala! Klepignat złapał za miotłę, nawtykał Klepignatce, ile wlazło, ale niestety rozumu jej od tego nie przybyło.

Parę dni zachowywała się jak należy, ale po tygodniu nauczka wywietrzała jej z głowy. Przechodził koło domu studniarz, a że jak raz szukał pracy, powiada:

202

— Że też, kumo nie pomyślicie o wykopaniu studni na podwórku?

— A to po co? Toż w miejskiej studni jest wody pod dostatkiem!

— Dziś jest pod dostatkiem, ale co będzie jutro? Czyżbyście nie słyszeli, że nastanie siedem lat suchych i woda będzie droższa od wina? Jasnowidz to przepowiedział w kalendarzu, całe miasteczko od tego aż huczy!

— Droższa od wina? To ludzie będą płacić za zwykłą wodę?

— No pewnie, i to jak chętnie! Za mały kufelek złociszka będą dawać! A może i dwa! Pod Klepignatową zaczęły się trząść nogi ze zdumienia i przejęcia. Panienko najstodsza, na wyciągnięcie ręki mieć całe worki złociszów, jeju! Honzie wołała o tym nic nie mówić, bo by się pewnie sprzeciwił, ale jak tylko poszedł na nocną szychtę, pozbierała wszystkie miski, gary, dzbanki, bańki i beczułki przetrząsając cały dom, po czym nanosiła do nich wody na suche czasy.

Gdy tarabaniła się po piwnicznych schodach z beczką, w której co roku kisili kapustę, poślizgnęła się i razem z beczką po-koziółkowała w dół. To beczka toczyła się po Klepignatce, to Klepignatka po beczce, aż wylądowały na samym dnie piwnicy.

— Rety, ależ tu głęboko, zupełnie jak w studni! — żaliła się do samej siebie Klepignatka, gdy już zatrzymała się przy ostatnim schodku.

Ale że nie ma złego, co by na dobre nie wyszło, zaświtał jej w głowie niespodziewany pomysł. Ta głęboka kamienna piwnica, toż to lepsze od wszystkich beczek i kadzi do kupy wziętych! Nawodnić ją tak po brzegi, a na suche czasy, kiedy za kufelek wody będą dawać dwa złote, mieliby w domu studnię pieniędzy!

W te pędy złapała motykę i rydel, i pognęła nad stawek, który znajdował się blisko chałupy. Woda w nim była zielonkawa, pełna rzęsy, ale na taką drobnostkę nikt w potrzebie nie będzie zwracał uwagi. Księżyc w pełni świecił jak się patrzy.

203

Klepignatka ochoczo zabrała się do roboty. Przekopła spory rowek, umocniła go dwiema deskami, po czym motyką zaczęła torować wodzie dróżkę do piwnicznego okienka. W taki sposób do rana piwnica się napełni i wszystko pozostanie przed ludźmi w tajemnicy! Ale że noc była ciepła, Klepignatkę z krzątaniny wyrwały żaby:

!— Barrbarrko! Barrbarrko! Twarrogu! Twarrogu! — dały się jedna przez drugą, aż im się nadymały błoniaste worki przy pyskach.

Klepignatkę zdjął strach, że przez te żaby może się wszystko wydać.

— Dam wam twarogu, dam, tylko milczcie, bestie, i pilnujcie swojego nosa!

Pobiegła do domu, chwyciła dwie gomółki twarogu i podczas gdy woda elegancko ciurkała do piwnicy, Barbórka kruszyła nad stawem twaróg i rozrzucała go w miejsca, gdzie żaby rechotały najgłośniej. Nie do wiary, ale za każdym pacnięciem żaby przycichały, a w końcu zupełnie zamilkły i zapanował spokój jakby makiem zasiał.

— Trudna rada, kto smaruje, ten jedzie... — westchnęła Klepignatka po utracie twarogu, ale była szczęśliwa, że ma pełną piwnicę wody.

Honza po szychcie przyszedł rano do domu i zamyślał zaraz uderzyć w kimono. Przed spaniem przyszła mu jednak chętką na glonek kiszzonej kapusty. Żeby było szybciej, machnął się po ćmaku do piwnicy, ten kęsek z beczki chapnie raz, dwa i po krzyku. Na pamięć schodził po stopniach w dół, aż tu naraz na mokrym schodku osunęły mu się nogi, zjechał na złamanie karku pod wodę i zaczął puszczać bąbelki. Ledwo wyłabudał się na górę, podniósł larum:

— Leć po sąsiadów, Barbórko, piwnicę nam zalało, chyba jakieś podskórne źródło się tam przebiło:

— Ciii, Honzo, nie muszą wszyscy zaraz wiedzieć, jaki zapas wody mamy na suche czasy!

Nic innego Honzie nie pozostawało, jak znowu uciec się do

204

miotły i dać Klepignatce zdrową nauczkę. Barbórka przyobiegała, że już nigdy w życiu nic na własną rękę nie będzie kombinować i we wszystkim będzie słuchać męża. Ale diabeł nie śpi, następnej zimy znowu się jej przydarzyła fatalna historia. Nasadziła gęś na jajka, a kiedy już ze skorupki miały się wykluć gąsiątka, wzięła Klepignatka gęś razem z koszykiem do izby, żeby tym nieopierzonym maleństwom nie było zimno. Honza do dnia po ciemku poszedł na szychtę, a Barbórka miała chętkę uciąć sobie jeszcze drzemkę, zanim się rozwidni na dobre. Ale szelma gęś już witała dzień gęgając na koszyku, aż drżały szyby w oknach.

— A będziesz ty cicho! — ofuknęła ją Klepignatka z łóżka. Ale gęś darła się jeszcze głośniej.

—• Wyglodniałaś pewnie, co? Poczekaj, już ja ci ten gęgak zatkam!

Wyskoczyła z łóżka, sięgnęła do miski z knedlami, które zostały z wczoraj, złapała porządną kluchę i całą wetknęła gęsi w dziób. Klucha się nie mieściła, ale Klepignatka popchnęła ją kciukiem przez gęsi przetyk i dziób się zamknął.

— No widzisz, klucha do brzucha i po krzyku! — stwierdziła z zadowoleniem Klepignatka, na powrót wsuwając się pod pierzynę.

I rzeczywiście, gęś już ani pisnęła! Skrzydłami tylko trochę poruszała, ale zaraz całkiem się uspokoiła i nie przeszkadzała Barbórce spać. Kiedy o wpół do dziewiątej Klepignatka wreszcie wstała, gęsi, o retę, łeb nad koszykiem zwiślał jak mokry gałgan.

— No proszę, teraz śpi, kiedy czas wstawać! — zezłościła się Barbórka.

Chwyciła gęś za dziób, żeby jej naprostować szyję. Niestety, gęś już była zimna, i nie dziwota. Klepignatka pobladła, że krwi by się w niej nie dorzeżał.

— Tego by jeszcze brakowało, żeby jaja ostygły! — jęknęła.

I zaraz rzuciła na koszyk Jasiek z łóżka. Co tu robić? Może by napalić i wsadzić jaja do piecyka? Tylko że gąsiątka mogły-

205

by się upiec! Nie, nie, tu trzeba ruszyć głową. Zaczyniła w dzieży kwasu chlebowego i gdy już był dobrze lepki, wlała do środka, całe ciało wymazała tym zaczynem, po czym, nożem rozpruwszy pierzynę, tarzała się w tej wielkiej kupie pierza tak długo, aż od stóp do głów elegancko się opierzyła. No, teraz i ona jest prawdziwą gęsią! Bez wahania usiadła na jaja w koszyku, żeby gąsiątkom było cieplutko, i nie mogła się wprost doczekać, kiedy zaczną się wykluwać ze skorupki...

Ledwo się ciut poruszyła na koszyku, usłyszała, jak pod nią pękają skorupki. Z radością zaczęła liczyć, ile ich już pękło i czy dużo jaj jest jeszcze nie wyklutych, bo już jej się to wysiadanie strasznie dłużyło.

— Wariatko zwariowana, co to wyczyniasz? — klasnął w ręce Honza, kiedy przyszedł ze szychty do domu i zobaczył opierzoną żonę na koszu.

— Cicho-sza, Honziczku, już dziesięć ich pękło — szepnęła uszczęśliwiona Klepignatka

— jeszcze dwa jaja i będzie po wszystkim!

Tym razem Honza złapał dębową lagę i spędził Klepignatkę z rozgniecionych jaj.

— Za jakie grzechy akurat ja ożeniłem się z najgłupszą babą pod słońcem? — lamentował i z tego żalu tłukł Barbarę raz przy razie.

— Jej, Honziczku, starczy! Świat jest wielki, może byś tam jednak znalazł jakieś stworzenie jeszcze głupsze ode mnie!

— Żebyś wiedziała, że pójde na poszukiwania! I biada ci, jeśli nie znajdę!

Cały roztrzęsiony złapał Honza Klepignat kromkę chleba, wsadził ją do kieszeni i poszedł w świat. Nie zaszedł jeszcze daleko, ledwo za pierwsze rozstaje, kiedy napatoczyła mu się baba, zdyszana od pośpiechu i strapiona.

— Co się stało, ciotko, żeście taka zgnębiona? — zapytał Honza ot tak, z czystej ciekawości.

— Lepiej się nie pytajcie, kumie! Jestem żoną kościelnego z Oubienic, spotkało mnie wielkie nieszczęście — weschnęła kobiecina na chwilkę przystając.

206

— A co? Mąż złamał nogę?

—! A bodajby ją złamał! Ten nieszczęśnik zrobił gorszą rzecz! —! Patrzcie państwo, coś gorszego niż złamać nogę to już chyba tylko złamać sobie kark!

— Bóg ustrzegł, ale ten mój nieszczęśnik spoliczkował świętego Macieja! I tak od słowa do słowa wylazła z kobieciny cała ta nieszczęśliwa historia. Jutro jest przecież świętego Macieja, co lody zabiera, a kiedy ich nie ma, to je przynosi. Na tym świętym oubienieckiemu proboszczowi bardzo zależało, bo też sam był Maciej. Tak więc przykazał kościelnemu, żeby posąg świętego Macieja, który stoi we wnęce lewego ołtarza, elegancko umył i wypucował do blasku na ten świąteczny jutrzejszy dzień. Kościelny dla nabrania sił wstąpił z plebanii do gospody. Jeden głębszy siwuchy z rumem wypił, żeby mu się rozjaśnił pomysłuńek, drugi — żeby mu palce przy myciu nie kostniały, po czym zabrał się za świętego Macieja. Wytaskał go z wnęki i na rękach wyniósł za kościół, że niby tam mu sprawi galową łaźnię. Święty Maciej był po prawdzie o głowę niższy od kościelnego, ale wagę swoją miał, kościelnemu aż w krzyżu trzeszczało przy tym wynoszeniu. Już go chciał postawić na ziemię, aż tu Maciej nadepnął kościelnemu na nogę. Kurdepi-kol, kościelny już nie wytrzymał ze złości:

— Myślisz, że skoroś ty święty apostoł, a ja tylko biedny kościelny, to już mi możesz po nogach deptać, co? A guzik, rozumiesz, guzik z pętelką! — łups!, wymierzył apostołowi policzek, aż trzasnęło.

Niestety, głowa świętego nie była zwyczajna policzków, coś w niej chrupnęło i spadła z karku na ziemię, jak przejrzała gruszka.

— Kochana, przylepcie ją z powrotem Majstrem i po krzyku — próbował Honza pocieszyć zrozpaczoną kobiecinę.

— Ach, kumie drogi, toż ten nieszczęśnik nie poprzestał na głowie!

Myślał, że z niego święty Maciej żarty sobie stroi, że chce mu tylko napędzić stracha tym klapnięciem głowy. Nie jego

207

brać na takie sztuczki, złapał się z apostołem za bary i w tych zapasach urwał świętemu najpierw prawą, a potem i lewą rękę. W końcu natarł na apostoła bykiem, Maciejowi w kolanach za-chrobotać i biedak bezrękim i beznogim korpusem poleciał się błotu.

— Do reszty rozsypał się na próchno, stoczyły go robaki, takiego na nogi już nikt nie postawi! — lamentowała żona kościelnego.

Biedna kobiecina była w drodze do Rukapani. Wysupłała wszystkie swoje oszczędności, dopożyczyła od siostry dziesięć złotych dukatów i spieszy do rzeźbiarza, który przed laty wystrugał starego Macieja, bo może ma w domu jeszcze jednego zastępczego. Toż jutro rano zacznie się świątek maciejowy, "wielebny proboszcz chce przed Maciejem prymarię odprawić! Jeśli święty Maciej nie będzie na swoim miejscu, nastąpi zupełna kłapa!

— Nie szalejcie, kumo, i nie wyrzucajcie pieniędzy w błoto — pocieszał Honza Klepignat żonę kościelnego — sam wam odstawię świętego Macieja w tej wnęce, a potem jak już proboszcz odprawi mszę, coś się wykombinuje!
Powiedziane — zrobione. Honza przespał się w domu kościelnego, o świcie zrobił sobie z paździerzy wąsy i brodę, jakiej nie powstydziliby się sam święty Mikołaj, jako apostolską szatę nasadził na siebie różne kościelne habity, na nogi założył sandały, w rękę wziął siekierkę ciesielską i od samego rana we wnęce przy ołtarzu stał święty Maciej, że radość było patrzeć! Przyszedł wielebny proboszcz, zerknął z lubością na swojego patrona i zaczął odprawiać mszę. Tylko te baby dewotki, a niech je! Panbóczkowi by pięty obśliniły, a świętemu Maciejowi chociaż stopy oblepiły groszowymi świeczkami.

Maciej znosił to jakoś w milczeniu, mimo że mu gorący wosk skapywał między palce u nóg. A baby po chwili zapomniały o świętym i o modłach, nachyliły się ku sobie i w trakcie mszy rozpuściły oszczercze jęzory, aż im się z gęby kurzyło.

— Widziała pani, sąsiadko — powiedział krzywogęba, ta naj-
208

bliżej świętego stojąca — jakie ten nasz fararz ma zdarte trzewiki, jedna zgroza!
—! Żeby tylko, ale ta sukmana na nim jaka postrzępiona, co? Toż to farfocel przy farfoclu! Ładny flejtuch ta jego gospodyni, cóż to, nie mogłaby mu jej obrębić, żeby wstydu całej parafii nie przynosił?

— Panbóczek jeden wie, gdzie to się szlajał, że tak sobie sukmanę postrzępił!

— Tak, tak, już wróble na dachu ćwierkają, że wyczynia on różne te... no wiecie...

Święty Maciej ciut pochylił głowę we wnęce, bo nie dosłyszał. Cały się przy tym lekko poruszył i wtedy jedna świeczka przy stopie omsknęła się, palący się knot przywarł kochanemu apostołowi do paznokcia u wielkiego palca i zaczął go piec jak wszyscy diabli. Przez chwilę jakoś znosił ten ból, gdyż miał nadzieję, że któraś z tych bab spostrzeże przewróconą świeczkę i zrobi z nią porządek. Ale gdzie tam, baby myślami były już zupełnie gdzie indziej!

— Przeklęte nabożnisie! — rozległo się naraz nad ich głowami, a oczy świętego Macieja zaczęły ciskać błyskawice gniewu — kto by tu z wami wytrzymał! Miałą pyskiem, jakby się modliły, a naprawdę to rozpuszczają bezbożne plotki! Niech was piekło pochłonie, wiedźmy jadowite!

Nim się baby połapały, święty apostoł już nad ich głowami wyskoczył z wnęki i co sił w nogach wybiegł z kościoła powiewając powłóczystym habitem. Wielebny proboszcz przez chwilę gapił się na cud boski, ale zaraz strasznie się rozsierdził. Z podniesionym kułakiem skoczył od ołtarza do bab i w rozgoryczeniu zaczął je młócić po plecach:

— Precz, baby! Wynocha! Nawet święty Maciej nie może już z wami wytrzymać! Jak rok długi porządnego chłopca w kościele nie uświadczysz, tylko wy tu dzień w dzień żyć mi nie dajecie!

Tymczasem Honza Klepignat w sandałach na gołych stopach i w apostolskiej szacie pędził przez uliczkę do domu kościelnego, zdjęty strachem, żeby go nikt nie przyłapał. Ale jakoś mu

14 Bajki czeskie

209

się pomyliły furtki i zamiast do kościelnego wbiegł do sąsiedniej chatupy, gdzie mieszkała stara Pazernalkowa, wdowa po młynarzu, największa nabożnisia i

największa też plotkara pośród tych, jakie oubienicka ziemia nosiła, a ponadto okropna kutwa i liczykrupa. Drzwi do sieni stały otworem, Honza w te pędy wpadł do izby, ale zaraz połapał się, że zabłądził.

Migiem chciał wypaść z powrotem, ale zanim zrobił pierwszy krok, stara Pazernalkowa stała już w drzwiach. Toż była również w kościółku, ale jak tylko święty Maciej dał drapaka, duchem wypadła za nim, aby nie uronić nic z tego, co się tu święciło. No i patrzcie, apostoł pogalopował prosto do jej chałupy! Pędem puściła się za nim, aż jej spódnice fruwały! Bez ochyby jest to znak szczególnej łaski bożej, że święty Maciej skierował się w jej progi!

— Co za radość, jejuniu nadzareński! — plasnęła w ręce — niechże się święty rozgości! Jak u siebie w domu, święty Macieju! Niech raczy się nie certować! Honza Klepignat zrozumiał, że z nim źle, była to jak raz ta krzywogęba baba, co oczerniała proboszczowe kamaszki, ale nic po sobie nie dał poznać.

— Dyc ja już wiele razy te nasze babiny napominałam, że w kościółku trza mieć jeno zbożne myśli — przewróciła ślepiami, pełnymi fałszu.

I zaraz podskoczyła ku blasze, pod którą wesoło buzował ogienek i gdzie na fajerce wrzała w czarnym garnku woda.

— A nie napiłby się trochę świeżej kawuni? Ja to zawsze przed wyjściem, do kościółka nastawiam wodę.

Święty Maciej skinął głową, że owszem, ciesielską siekierę położył na ławie, podkasał szatę apostołską i usiadł z babą do stołu.

— A weźmie mnie święty do nieba, że się tak ośmielę bez ogródek pytać? — nie zasypiała młynarka gruszek w popiele, ledwo się rozsiedli.

— U nas w niebie ma każdy swoje konto — święty apostoł na to — jasno tam widać, czyje sprawy jak stoją. Gdybyście nie mieli żadnej skazy...

210

— Ach, jejuniu drogi — jęknęła młynarka — czy to kto się opędzi od tych drobnych grzeszków, sam niech powie! A oni zaraz tam to wszystko człowiekowi wyszrajbują? Wychodzi na to, że to niebo jest naprawdę wszechwiedzące, no nie?

— Amen — huknął apostoł — wszystko się zapisuje i to czarną kredą! A plotkarstwo dubeltowo grubą!

Młynarka aż się wzdrygnęła ze strachu:

— Niechże posłucha... a nie mógłby tak ociupinkę rozpatrzyć się w tym moim koncie? Filomena Pazernalkowa z Oubienic, pod piętnastką, wszak ja bym za to świętemu odpaliła... no, sam wie...

— Rozpatrzmy się, rozpatrzmy...

— I gdyby... tam siam były jakieś plamki... mógłby przecież paluszkciem potrzeć...

— Duszo grzeszna, co też ci strzeliło do głowy? — zgorszył się apostoł.

— Dałabym świętemu na ołtarzyk śliczną grubasną świeczkę, całą gromnicę! I do skarbonki wysupałoby się jakiś złoty dukacik!

— O tak — westchnął na to święty apostoł — pieniądze, miła pani, czynią cuda tam na górze, zupełnie jak tu w dole! Jak się da, to się zrobi!

— No jasne — rozpromieniła się z radości młynarka — toż ja od razu myślałam, że to niemożliwe, żeby tam w niebie bogaci byli zrównani z biednymi! Toć muszą być te niebiosy jakoś sprawiedliwie podzielone, nędzarze zadowolają się jednym niebem, a bogaci od tego są bogaci, żeby mogli być w innym, choćby w siódmym niebie!

— Święte słowa! — uśmiechnął się apostoł — czyżbyście nie słyszeli, że niebo jest podzielone na chóry niebieskie?

— Jakżebym nie słyszała! Ale myślałam, że na tych chórach są tylko anioły, co to śpiewają hosanna czy inne alleluja, jak te śpiewaki u nas na chórze w oubienickim kościele!

— Gdzie tam! Chóry są rozmaite — kiwał głową święty Maciej. — Jest i taki zwykły chór, ciosany ze świerczyny, na którym się tłoczą różne biedaki, które przypadkiem dostaną się

211

do nieba. A że to bractwo jest obszarpane, nieraz tylko w samej koszuli, golizną świeci, to i ten chór nawet oheblowany dobrze nie jest, co tu ukrywać. Dla zamożniejszych, dla gospodarzy, kupców, młynarzy, chór jest murowany, z elegancko pobielonymi ścianami. Ale to jeszcze nic, najlepszy chór jest dla tych najbogatszych, których stać na to.

— Pewnie czerwonym aksamitem wybity! — zgadywała baba.

— Jasnobłękitnym! A zamiast gwoździków są złote gwiazdki — powiedział święty Maciej z wielką pewnością w głosie

— na podłodze zaś są aksamitne dywaniki w najróżniejsze kwiatki!

— Ach, jejuniu drogi, czego ja bym nie dała, żeby się tam dostać: całego złocisza, jakem Pazernałkowa! — westchnęła młynarka jak panienka i aż jej ślipia zapląsały.

— Ba, tam najważniejszy jest archanioł Gabriel, on tam rządzi, on ma pierwsze słowo. Ale gdyby mu tak podsunął okrągłą sumkę... — dawał do zrozumienia babie święty — to, co tu ukrywać, i on nie ma serca z kamienia!

— A co święty na... dziesięć złociszów? Nie wystarczyłoby?

— złapała baba apostoła za rękę.

— Kochana! A czy taki archanioł byle dziesiątką będzie sobie ręce kalał? Toż on kształcony... no i wysokie stanowisko, to się liczy, no nie? Ile to już razy różni bogacze pchali mu w łapę pełne trzosy... a on nie, twardziel! — głęboko westchnął święty Maciej.

— A gdyby tak... pięćdziesiąt? Przecież to dzisiaj już piękne pieniądze! A ja cóż, skromna istota, mnie by tam wystarczyło na samym brzeżku tego jaśniepańskiego chóru... — zaskomlała baba i obydwoma rękoma złapała się świętego Macieja, jakby się bała, że jej ucieknie.

— No, w takim razie będę się musiał za wami wstawić, żeby to wystarczyło... — święty Maciej wstał od stołu. — Powiem, od kogo to jest! W niczyjej innej sprawie palcem bym nie kiwnął!

212

Stara Pazernałkowa podskoczyła do skrzyni i wyciągnęła gruby trzosik dukatów. Dla pewności jednak zapytała:

— A święty teraz idzie prosto do nieba, co? Nigdzie po drodze się nie zatrzyma?

— Prosto, nic tu już mnie nie zatrzyma. Za godzinkę będę na miejscu! — zapewnił apostoł.

— No to polecam się świętemu... a tu jest ta okrągła pięćdziesiątka dla archanioła Gabriela!

Święty Maciej trzosik przyjął, ale miał minę zakłopotaną.

— No tak, droga pani, z Gabrielem to już jakoś da się załatwić, ma się rozumieć! Ale cóż, pozostaje jeszcze Piotr...

— A co, on też musi mieć tam swoje trzy grosze? — zatrwożyła się młynarka.

— Phi! To u was w Oubienicach się nie wie, że Piotr dzierży klucze od niebieskich bram?

— Ale że chce w łapę? Dajcie spokój! Jego to bym nie posądzała! — zaczęła kiwać głową rozczarowana młynarka, która już nie miała ochoty sięgać po raz drugi do skrzyni.

— Chce, nie chce, jak dają, to bierze, a co? Ale on to głównie lubi coś smacznego przetrącić! Cieee, jaki to smaczny! Jakiś poć domowej wędzonki prosto z komina, za takimi rzeczami przepada! A podetknąć mu pod nos udko gęsie, to już można go sobie kupić na wieki wieków amen!

Młynarkę żałość zdjęła, że akurat gęsi nie ma. Ale jest w kominie elegancko uwędzona plecówka, chyba święty Piotr by się nie pogniwał, gdyby mu ją posłała jako wystugę.

— Skądże, plecówka, właśnie plecówkę najbardziej lubił Stara Pazernalkowa dała jeszcze świętemu Maciejowi dwadzieścia złotych dukatów dla świętego Piotra oraz zapakowała mu tę plecówkę, i już z góry ze szczęścia promieniała, że pójdzie do nieba prosto na jaśniepański chór. Honza Klepignat posłał ją do alkowy, żeby na klęczkach odmówiła dziesięć ojczenaszków, a sam migiem przez uliczkę wbiegł do kościelnego. Tych dwadzieścia złotych dukatów dał żonie kościelnego na sprawienie nowego Macieja, większy trzosik z pięćdzie-

213

siatką wsadził do kieszeni i ruszył dalej w świat szukać jeszcze głupszych ludzi.

Nawet sobie trzewików nazbyt nie zakurzył, a już był w miasteczku Niedojady. Zaczął doskwierać mu głód, więc zaraz na rynku zaszedł do piekarza, żeby do tej świętopiotrowej plecówki kupić sobie ćwiartkę świeżego chleba. Za ladą stała piekarsowa, stara paskuda, gęba w zmarszczkach jak sucha gruszka, ale popatrywała na Honzę niby jaka młódka. Spostrzegł to zaraz i powiada:

— "Chciałbym ćwiartkę chleba z miękką skórką, no bo sama widzicie, stary już jestem!

— Ejże — klasnęła w dłonie piekarsowa — gołowas z Żół-todziobowa udaje starego? A ileż to możecie mieć wiosenek? Czterdzieści to góra!

— No tak, na każdy bok po czterdzieści z górą, to by się zgadzało — powiada Honza bez zająknięcia — bo mnie, droga pani, stuknęło już osiemdziesiąt siedem!

— Austryjackie gadanie, na osiemdziesiąt parę lat się musi wyglądać! — nie dawała się zbić z tropu piekarsowa. — Ja sama ledwo przeskoczyłam pięćdziesiąt, a przecież nie ma między nami porównania!

— Aa, bo to jest moja tajemnica — rzekł ledwo półgębkiem Honza.

Zaraz też próbował wymknąć się ze sklepu. Ale piekarsowa, usłyszawszy o tajemnicy, dostała jak gdyby skrzydeł. Chwyciła Honzę za łokieć i nic nie pomogło, nie puści go, nie ma mowy, póki jej nie zdradzi tej tajemnicy. Honza przez chwilę się droczył, po czym powiada:

— Gadka szmatka, ale cóż, nie będę się dłużej wzbraniał! Ze mną to jest tak: co pięć lat, jak tylko ugnę się pod ich ciężarem, odpędzam od siebie starość, odmładzam się! I już brał za klamkę, żeby zamknąć drzwi z drugiej strony. Ale piekarsowa nie dała się byle czym zbyć! Uwiesiła się na Honzie obiema rękami!

— Ale jak to, na wszystkie świętości, się robi? Taką użyteczną receptę należałoby ludziom udostępnić!

214

— Droga pani, to nie w kij dmuchał, za tę tajemnicę ja drogo zapłaciłem! — wymigiwał się Honza mocno trzymając za klamkę!

— Toż i ja za darmo jej nie chcę! — piekarczowa w te pędy podbiegła do szuflady i zaczęła brzękać srebrem.

!— Co mi tam pieniądze... już ja wolę ją mieć dla siebie — droczył się Honza. — Skąd mogę mieć pewność, że będziecie trzymać język za zębami i że za parę dni pierwszy lepszy przechodzień nie rozpaple wszystkiego na ulicy?

— Niech padnę trupem, niech sto grzechów moją duszę ob-siądzie — zaczęła przysięgać się piekarczowa — jeśli się przed kimś zdradzę!

— No skoro tak, to ja pani, droga dobrodziko, za dwadzieścia złotych dukatów sprzedam tę tajemnicę. A może to za drogo dla szanownej pani? To już lepiej sobie pójdę!

Piekarczowa nie wzdrygnęła się nawet, bez zmrużenia oka wyłożyła na ladę dwa słupki po dziesięć złociszów każdy.

!— No więc tak — Honza Klepignat zgarnął pieniądze, po czym pochylił się ku piekarczowej przez ladę i zaczął cichutko szeptać jej nad uchem — trzeba w cebryk rozbić osiem kop jajek, dobrze je rozmieszać, żeby żółtka z białkami się przemaserowały, po czym nocą, taką jak dziś, kiedy księżyc jest w pełni, unurzać się po czubki włosów i wytapiać w tej cieczy, zrozumiano? A potem wysuszyć się w zimnym blasku księżycowym, bo inaczej cały proceder wezmą diabli! Najlepiej tak po północy, kiedy już wszyscy posną, ze trzy razy obieć dookoła rynek!

— I naprawdę to mi pomoże, odmłodnieję?

— Wystarczy popatrzeć tylko na mnie! Kto by mi dał osiemdziesiątkę? Jestem szwarny jak czterdziestolatek!

!— Ale ja to bym chciała być jak dwudziestka, skoro już się do tego zabiorę!

— Jak dwudziestka? Psia noga! To by trzeba zużyć przynajmniej z dziesięć kop jaj, żeby silniejsze było działanie!

Honza udał się naprzeciwko do gospody „Pod błękitnym winogronem”, wynajął gościnny pokój na poddaszu z oknem na

215

rynek i kiedy zbliżyła się północ, wpatrzył się w kamienicę piekarza. Ledwo stróż nocny odtrąbił północ i zniknął za rogiem, u piekarzów rozwarły się dźwierze. Miesiączek świecił jak ta lala, niebo wyglądało niby powierzchnia jeziora, kiedy nie ma wiatru, jasności było niewiele mniej, niż za białego dnia. Ale cóż to znowu? Z piekarczowych drzwi wybiega nie jedna osóbka, ale cała czwórka dziwołagów, które co sił w nogach okrążają rynek!

Piekarczowa jak raz nie miała tyle kop jaj w domu, a do następnej pełni nie chciało jej się cały miesiąc czekać. Toteż musiała ze wszystkiego zwierzyć się służce, aby ta jej migiem skądś przyniosła jajek. Służka, nie wapniak co prawda, jak jej pani, ale też już dawno nie dzierlatka, zgodziła się wystraszyć jaja, jeśli po swojej pani i ona będzie mogła wejść do tej kąpieli.

— Masz rację, skoro już zmarnujemy dziesięć kop, niech to przynajmniej do czegoś się przyda!

Ale służka zaczęła się rozwodzić, że niby na co jej pani młodość, jeśli pan majster piekarz pozostanie stary... Młoda żona i mąż bez ikry to na nic, to tylko prowadzi do bezecności!

— Niech pani piekaczowa odmłodzi i pana majstra, wtedy wszystko będzie klapować! Piekaczowa uznała, że to mądra rada, i zaraz poszła do piekarni, gdzie majstrowi przy wałku wyszeptała na ucho całą tajemnicę. Piekacz zrazu się zachnął, szkoda mu było dziesięciu kop jaj, ale że był głuptak, dał się w końcu namówić.

— Niech tam będzie twoje na wierzchu, żonusiu — rzekł drapiąc się w głowę, łysą jak kolano — interes będzie też lepiej szedł, jak za ladą stanie młoda kobita! A i mnie może odrosną włosiska, kiedy sobie łeb wyżółtkuję!

Tak więc wszyscy troje po kryjomu zabrali się do dzieła, natłukli pełną balię jaj, a kiedy się zbliżała północ, jedno po drugim wytapiało się w tej jajecznej mazi, najpierw piekaczowa, po niej piekacz, a na końcu służka.

Tymczasem najstarszy czeladnik nie mógł pojąć, czemu pan majster tak długo zwłoczy z wsadzaniem chlebów do pieca,

216

i poszedł go szukać w domu. Kiedy z wielkiej izby doleciały go głosy, i jakieś dziwne pluskanie, zajrzał do niej przez dziurkę od klucza jak raz w tym momencie, gdy majster cały żółciutki wychodził z balii, a służka już się do niej pchała. Usłyszał, jak pani majstrowa powiada:

— Po takiej kąpieli ubędzie wam co najmniej po pięćdziesiąt lat, zobaczycie! Czładnik podrapał się za uchem, toż i on nie był pierwszej młodości, a tu patrzcie, sami się odmładzają, a o nim nie pomyśleli.

!— Więc to tak! — rzekł w duchu. — No to i ja muszę wleźć do tej balii, skoro tam mają takie cudowne mazidło!

Począł za drzwiami i kiedy tamci wyszli do sieni, migiem wślizgnął się za ich plecami do środka i własnym chudym ciałem wymazał balię z resztek jaj. A że tamci wybiegli przed dom, on również nie chcąc niczego przegapić pognął za nimi !— i tak czworo ująonych na żółto golasów pędziło gęsiego wokół ryneczku pod miesięczkiem w pełni, też podobnym do jasnego żółtka. Chwytał już mrozik, toteż przy drugim okrążeniu rozmazane na ciele jaja zaczęły się ścinać, poczuli zatem, że napina im się skóra.

— Młodniejemy mężusiu, słowo daję! Ja w każdym razie wyraźnie młodzieję! — ucieszyła się piekaczowa.

Oglądając się w stronę męża, ujrzała, że za nią biegną nie dwie, ale trzy osoby, i padł na nią błady strach:

— Diabeł! Belzebub! — rozdarła się na cały ryneczek ze zgrozą.

Dookoła z kamieniczek zaczęli wyglądać ludzie otwierając okna i wychylając się z nich.

— Straszdyła! Maszkarony! Czarownice! — zaczęli krzyżeć jeden przez drugiego widząc cztery bezwstydną żółte pa-skudy. Co odważniejsi wybiegli z domów z laskami i miotłami, żeby przepędzić tych opętańców.

Honza Klepignat, nie czekając końca tego widowiska, wymknął się cichcem z gospody i za plecami wrzeszczącego tłumu rażno pomaszzerował z miasteczka dalej w świat.

Głupich nie

217

sieją, wszędzie na nich urodzaj, co do tego miał w głowie taką jasność jak ta pełnia księżycyca w górze.

Nad ranem, kiedy miesięczek zachodził, stanął Honza Kle-pignat przed zajazdem „Na Viderholcu”.

Zajrzał przez okno do środka, w sali szynkowej pełno było bab, które zatrzymały się tu w drodze na jakiś jarmark, by dla rozgrzewki wypić garnuszek gorącej zupy albo kieliszek mięto wki.

— Oho, to jest sakramencko chytra zbieranina! — pomyślał Honza.

Zaraz jednak przemknęło mu przez głowę, że dobrze byłoby wypróbować te chytruski jarmarczne. Wbiegł na podwórzec, gdzie stały furmanki, przy pierwszej z brzegu wyprzągł zabiedzonego siwka, odwiódł go do pobliskiego lasku, sam natomiast stanął na miejscu konia przy dyszlu i nasadził sobie chomąto. Zaraz też zaczął niecierpliwie rzeć jak prawdziwa szkapa. Starszy wałach stojący obok podchwycił to rzenie, dołączyła się też jabłkowita kobyłka i ni stąd, ni zowąd nastał wśród koni wielki niepokój. Usłyszały to jarmarczne baby i nie dopiwszy mięty wyskoczyły na dwór popatrzeć, co też tam się dzieje. Z miejsca rzucił im się w oczy Honza w chomącie.

— Człowiecze nieszczęsny, a co tu robisz między bożymi bydłatkami? — wyskoczyła z pyskiem baba, do której wóz należał. — A gdzie jest mój kochany siwek?

— To ja jestem, droga dobrodziko — załkał Honza padając na kolana.

— Co mi tu będziesz pleść, chłopie zbzikowany? — cofnęła się handlarka.

— Szczerą prawdę mówię! Toż ja za swoje grzechy byłem w tego siwosza przemieniony, przeszło już chyba ze trzysta lat, a pokutować miałem w tej zwierzęcej skórze latek trzysta dwadzieścia! Ale wasze czułe serduszko wykupiło mnie wcześniej, dobrodziko moja złota! Jest to nagroda za wasze dobre uczynki!

Rzucił się zaraz do handlarki i ręce jej na klęczkach całował. Baby stały jak wryte, jak bonie dydy, gdyby tego człowiek na

218

\

własne oczy nie widział, za nic w świecie by nie uwierzył w jakieś zaklinania i w ogóle w podobne dziwy.

— Austryjackie gadanie! — mamrotała pod nosem właścicielka siwka — ani się człowiek spodzieje, jak dobrymi uczynkami wykupuje zaklętego chłopca, i to ku własnej szkodzie. A jak ja teraz pojedę na jarmark?

— Grzech, kumo, tak gadać, bo się to na złe może obrócić — ofuknęła ją płócienniczka z dwukonnego zaprzęgu, co stał obok — ja wam pożyczę swojego wałacha, najważniejsze, żeby nie zmarnowały się te wasze dobre uczynki!

Obstąpiły zaraz baby Honzę, zaciągnęły go do szynku, że niby tam musi im w szczegółach opowiedzieć, jak to było z tym jego zaklęciem w konia. Na rozgrzewkę zamówiły mu wiśniaczek, Honza wypił i nabrał rezonu.

— Ludzi zaklętych w konie jest mnóstwo, żebyście wiedziały. Co tam ja, ze mnie był biedny rycerz, ale ta jabłkowita kobyła, co stała niedaleko mnie, to zaklęta księżniczka z Czy-meliCi z przebogatego i czcigodnego rodu! Ona by nie wiem co dała za to, żeby ją kto wyzwolił tak jak mnie!

— Co też powiadacie? Ta jabłkowita? Ta moja kobyła? Chodźcie tu bliżej, dobry człowieku, musicie mi szepnąć, co mam zrobić, żeby ją z tej niewoli wyswobodzić!

Baba jak grzmot chwyciła Honzę za rękaw i pociągnęła za sobą na dwór. Była to piernikarka.

— No tak, tak, to ta — potwierdził Honza, kiedy piernikarka podeszła do swojej kobyłki.

— Faktycznie by od niej coś kapło, skoro to księżniczka?

!— Co najmniej trzysta złotych dukatów! — Honza pogładził kobyłkę po pysku. — Właśnie to mi powiedziała, kiedyśmy tu zaczęli rzeć!

Piernikarka natychmiast sięgnęła do kieszeni, wyjęła garść srebrników i wcisnęła Honzie w łapę!

— Co mam więc robić? Tylko żeby to szybko poskutkowało!

— No, moja złota, za te parę groszy... Czyżby wam się nigdy nie obilo o uszy, że dobra rada kosztuje?

219

— Na, masz tu jeszcze, masz! Ale teraz już mów! — dała baba Honzie garść złociszów.

— Musielibyście jechać do Czymelic — szeptał Honza nad uchem piernikarce — kobyłki w drodze nie oszczędzać, żeby się dobrze zgrzała, w Czymelicach trzy razy objechać kościół, po czym gładząc zwierzę po uszach wypowiedzieć trzykrotnie: Amen, amen, księżniczko, odpuszczają się grzechy twoje!

— No a kto będzie dziś za mnie sprzedawał pierniki?

— Mógłbym was w razie czego zastąpić... — nieśmiało zaproponował Honza.

— Dobra, jadę! — piernikarka na dobre dostała hyzia.

Zrzuciła z wozu skrzynki z piernikami, że niby Honzę któryś z furmanów podwiezie na jarmark, zacięła kobyłkę batem i duchem wyjechała z podwórca.

— Ach, jejuniu drogi, niektórzy to mają szczęście — wes tchnęła baba, która utraciła siwka — ja, głupia, swoimi dobrymi uczynkami wyzwoliłam biednego rycerza, a temu babsku nadarzyła się sama księżniczka czymelicka!

Honza poprosił furmanów, żeby go podrzucili z tymi piernikami do miasteczka, a tam rozdał je co do jednego dzieciarni. Puste skrzynki zostawił na rynku, żeby je baba, kiedy powróci z księżniczką, mogła sobie zabrać. Przynajmniej te skrzynki umniejszą jej szkodę.

Sam wesoło ruszył do domu. Przekonał się, że jego Barbórka nie jest aż taka głupia w porównaniu z innymi, cóż, rozumu ma nie za wiele, ale Honzie okrutnie już się za nią cknęło.

Złota paproć

Za lesistym pagórem Trzemosznicy, z tej strony, gdzie przez głązy skacze rzeczka Wilcza, zarośnięta wysokimi paprociami, na leśnych polankach pasał swój kierdel młody owczarz Mikesz. Mieszkał w drewnianej chacie z sosnowych bali, którą ponoć postawili kiedyś tam węglarze, było tam czarne palenisko z kominem, gdzie wieszał kociołek z owczym mlekiem, i żyło mu się jak w raju. A że ze wsi szło się tu dobry kawał drogi, nikt dokoluśka łąk nie kosił, więc pastwisk było a było. Owce brodziły w bujnym runie traw jakby płynęły przez rzekę. Wynurzały się tylko baranie rogi, kręte i karbowane, a tu i ówdzie mały łeppek, gdy jakieś jagnię ze swawolności podskoczyło na wszystkich czterech nóżkach.

Takie odludzie było Mikeszowi w smak. Co jakiś czas od gospodarza ze wsi ktoś tam się zjawiał, zabierał sery i twaróg albo i runo po strzyży, zostawiał zaś Mikeszowi mąkę na chleb i wszelaką zacierkę, krupy, groch, fasolę, soczewicę. Po czym Mikesz zostawał tutaj sam. Żeby mu czas jakoś leciał, wystrugał sobie z dzikiego bzu fujarkę, starym gwoździem wypalił w niej dziurki, nauczył się kłaść na nie palce i niezadługo miał na dokładkę do fujarki również piosneczkę.

Lasu się nie bał, bo od maleńkości żył i rósł przy starym owczarzu. A gdy po jego śmierci pozostał sam, był już dawno zwyczajny lasów i wszelkich jego szumów, szelestów i łomotów, które towarzyszą nocnym burzom, nie bał się nawet wyj-

221
ców, jędz, mężów dzikich, rusałek i panien leśnych. A kiedy pełnia miesiączka rozświecała oroszone łąki, popatrywał często zza proga na wirujące w tańcu dziwożony, które prześwitywały z dalekiej poręby, i wsłuchiwał się w skoczne melodie, wygwizdywane na fujarkach z trzciny.

Potem raniutko, nim słońce wstało, by wybierać rosę, widywał na trawie ich ślady gdzieś w pobliżu chaty lub owczej zagrody. A gdy po czubach drzew pędziła burza, słyszał jęki jędz, zawroźnienie wyjców i gwałtowne ujadanie rusałek. Wtedy nawet owce tuliły się jedna do drugiej ze strachu i zbijały się tak ciasno, że wynosiły nad swoje grzbiety którąś ze lżejszych towarzyszek. Ale Mikeszowi nigdy ani w głowie nie powstało bać się, przyjmował to jako przyrodzoną właściwość lasu.

— Toż ty tam, Mikeszu, skiśniesz, zdziwaczysz w tym lesie do reszty jak pustelnik — pokpiwała sobie z niego kawa-lerka, kiedy czasem, raz albo dwa razy w roku, zjawiał się w rodzinnej wsi — toż ty tam w końcu obrośniesz mchem i zestarzejesz się! Powinieneś rzucić ten las i wżenić się do jakiejś chałupy tu we wsi!

— Nie martwcie się o mnie, znajdę ja sobie pannę, jaK przyjdzie na mnie odpowiedni czas! — żartem zbywał ich ataki Mikesz.

— Myślisz, że któraś pójdzie z tobą w te leśne pustkowia?

— A gdzie tam, za żadne skarby! Nawet gdybyś był cały ze złota! — zaklinały się te największe trajkotki, które często ukradkiem zerkwały na Mikesza.

— A cóż to, myślicie, że w lesie nie mam ładnych panien? Jeśli mnie żadna z wiejskich dziewcząt nie będzie chciała, wezmę sobie tę najładniejszą panienkę leśną!

— Pewnie jakąś z kopytkami, rusałkę dziką, co to ugania się po haszczach! — droczyły się z Mikeszem dziewczuchy.

— Ach wy pleciugi! Nawet królowi panu nie uda się zdobyć takiej piękności, jaką ja sobie znajdę w tych haszczach!

Mikesz to mówił ot, tak, dla żartu, aby dokuczyć dziewczynom. Ale kiedy czerwcowymi wieczorami siadywał na progu

222

swojej drewnianej chatki, patrząc na migocący dokołuśka złoty deszcz świetlików, zaczynało mu serce ścisnąć się z tęsknoty za kimś, z kim by mógł sobie czule poszeptywać, czy choćby wspólnie milczeć na widok tych mieniących się piękności. A kiedy nad czarnymi sosnami ukazał się złoty róg księżyca, robiło się Mikeszowi tak dziwnie, słodko, a przy tym i żałośnie, że nie mógł usiedzieć na miejscu. Zrywał się i gnał nie wiedzieć dokąd, brodził wysoką trawą między świetlikami, bezwolnie rwał szypułki kopru, które go lekko smagały po rękach, przystawał przed brzózkami, olśniony ich bielą, a powracał do domu dopiero nad ranem, po zachodzie księżyca. Ale tej pięknej panienki leśnej, którą pragnął spotkać, nie napotykał.

Kiedyś o zmroku, jak raz tego dnia, gdy chłopcy ze wsi skaczą przez ogniska świętojańskie, a dziewczyny chodzą oczyszczać krynice, zdarzyła się Mikeszowi przykra rzecz. Kiedy w blasku zachodzącego słońca zaganiał do zagrody owce i raczej z przyzwyczajenia niż z potrzeby je przeliczał, okazało się, że jednej brak. Być może sama przybiegłaby w nocy pobekując, być może odnalazłaby się rano, kiedy będzie

gnał kierdel na pastwisko, ale Mikesz był zbyt sumiennym owczarzem, żeby z lekim sercem móc iść spać. Wziął tedy laskę, przywołał psa i ruszył na poszukiwanie zguby w stronę Wilczy, gdzie tego dnia owce się pasły.

Brnął przez wysokie trawy, przedzierał się przez gęstwiny, zaglądał pod rozłożyste sosny wypatrując swojej zbłąkanej owieczki, bo może gdzieś tu przysnęła, albo ją zawłókł wilk, aż w końcu doszedł na brzeg Wilczy. Pośród starych karczwy rosły tu olbrzymie paprocie, przesłaniające liśćmi głazy i próchniejące odziomki, o które Mikesz potykał się przetrząsając tę plątaninę zarośli.

Nie miał pojęcia, że akurat tej nocy rozkwita złota paproć, której poszukuje tak wiele ludzi. Zresztą, gdyby nawet, o tym wiedział, nie przywiązywałby do tego żadnej wagi, wypatrywał przecież swojej zguby. Tymczasem mimo woli natrafił na ten czarodziejski kwiat, który w nocy świętojańskiej się roz-

223

wiera, by po chwili przemienić się w niewielkie złote nasionko. Temu, kto je zdobędzie, złota paproć na każdym kroku przynosi szczęście, póki tego nasionka nie straci.

Mikesz rozgarnął liście paproci, a kiedy dotknął szypułki ze złotym kwiatem, ukruszyło się złote nasionko i wpadło mu do drewniaka. Nie zwrócił na nie uwagi, było przecież maciu-pkie jak ziarenko maku. Zresztą w tym momencie nie opodał w ciemności zamęczała jego zbłąkana owieczka, Mikesz rzucił się ku niej jak szalony, że omal drewniaków nie pogubił. Chwycił owieczkę za nogi, zarzucił ją na bary i wesoło pomaszerował do domu poprzez łąki.

Były jednak oczy, które doskonale widziały, gdzie się podziało tej nocy nasionko złotej paproci. Toż leśne panny zaczęły się wokół niej już z wieczora i tylko czekały na rozchylenie się kwiatu, gdy zjawił się przy nim Mikesz i mimo woli pomieszał ich szyki. Patrzyły z ukrycia, jaką to drogocенność zabiera im owczarz w drewniaku.

— Musi zginąć! — najstarsza z nich zawyrokowała gniewnie.

— Ale nie mamy przecież nad nim władzy...

— Zwabimy go między siebie i na śmierć zatańczujemy!

— Wystarczyłoby, gdyby nam dał te swoje drewniaki!

— Wystarczy, jeśli ukradkiem zabierzemy mu złote nasionko! On nawet nie wie, jaką władzę ono daje. Ba, nie wie nawet, że je ma!

Tedy postanowiły, że jedna z nich, ta najmłodsza i najpiękniejsza oczaruje owczarza, po czym wymknie się od niego ze złotą paprocią. Nie raz widziały, jak młody owczarz błąka się po nocy, a wiedziały też, dlaczego.

Na drugi dzień wieczorem Mikesz znowu, jak przed paroma dniami, wypuścił się na nocną rajzę. Zaszedł aż na polanę na samym brzegu Wilczy, gdzie w kwietniu złocą się smukłe pierwiosnki, a teraz było pełno dzikich niebiesko-fioletowych irysów. Postać tu chwilę i już miał zawrócić, gdy nagle odrętwiał jakby go ugodziła strzała.

Co tam się tak bieli na samym brzegu? Nie, to przecież nie

224

jest brzoźka! Przywarł do pnia sosny i, zataiwszy oddech, przyglądał się, jak leśna panienka rzuca na mech swoje zwiewne szatki i pas. Plusnęła już pod jej stopą woda, już się w jej falach dziewczyna zanurzyła nie bojąc się ani nocy, ani rzeki. A oto na samym środku Wilczy usiadła na wielkim głazie i palcami rozczesuje sobie mokre włosy.

Mikeszowi serce biło jak dzwon. Ale niewiele myśląc jednym susem przyskoczył do zwiewnych szatek, złapał pas dziewczyny i schował go za pazuchę. Widząc to kąpiąca się krzyknęła i jak wiatr pomknęła przez wodę do brzegu. Mikesz nie tracił czasu, co sił w nogach puścił się biegiem przez rosiste łąki w stronę domu. Wiedział, że leśne moce nie sięgają za ludzkie progi. Ta, której jest ten pas, chcąc nie chcąc musi do niego przyjść.

I rzeczywiście! Ledwo przysiadł w chacie na łóżku, zasłanym baranicą, za oknem mignął lekki cień. Po chwili ujrzał przytkniętą do szyby pobladałą twarz dziewczęcą. Księżyc świecił dość słabo, można było jednak rozeznaczyć, że dziewczyna porusza wargami jakby o coś prosiła. Otworzył okno.

—• Zwróć mi mój pas, owczarku — wyszeptala leśna panna błagalnie — nie mogę bez niego iść między swoje siostry! Czyżbyś chciał mojej zguby? A ja naiwna zawsze myślałam, że ty jesteś dobry człowiek!

Mikesz wyszedł do dziewczyny przed próg. Spodziewał się, że przed nim ucieknie, ale ona ani drgnęła. Jedyne spuściła oczy i dostała gęziej skórki z przejęcia. Mikesz ją ujął za rękę:

— Nie chcę twojej zguby. Pragnę cię wziąć za żonę... Poddała rękę dłoni Mikesza i podniosła na niego dziwnie zielone, pełne dzikiego blasku oczy:

— Pragniesz tego naprawdę? A nigdy mi nie będziesz wymawiał, że jestem... z lasu?

— Nie obawiaj się i chodź! — lekko ją wziął pod ramię i wprowadził do chaty.

Przez myśl mu nawet nie przeszło, że to może być rusałcza-ny podstęp, że ta dziewczyna prowadzi z nim tylko grę, do której ją namówiły towarzyski. Mikeszowe drewniaki ze zło-

15 Bajki czeskie

225

tym nasionkiem stały w sieni, tylko ręką sięgnąć! Mikesz zaprowadził dziewczynę do izby, posadził ją przy ciosanym stole i nalał jej mleka do lipowej miski. Co to za dziwne oczy! Jak woda stojąca na głębinie! A jakie włosy! Złote jak pszenica i ciężkie jak wieniec dojrzałych kłosów.

— Jak ci na imię? — nieśmiało zapytał Mikesz, lekko ją przy tym musnął dłonią po tych włosach.

— Młódka... — wyszeptala, po czym łyknęła haust mleka.

— A mnie mówią Mikesz —; uśmiechnął się do niej, nieco śmieiej, gładząc ją po włosach.

I tak społu siedzieli i cichutko gwarzyli aż do pierwszego brzasku, oboje przy tym zapomnieli i o drewniakach, i o rusał-czanym pasie, i o złotej paproci, i o całym bożym świecie. Dopiero gdy pierwsze ptaki zaczęły poćwierkiwać w gałęziach, Mikeszowi ni stąd, ni zowąd zamknęły się powieki i ogarnął go sen. Teraz Młódka mogła skorzystać ze sposobności, by zabrać nasionko złotej paproci i wymknąć się z nim z chaty, jak jej siostry sobie życzyły. Śpiący Mikesz nie słyszał, jak wstała od stołu i podeszła do jego drewniaków, nic nie widział, gdy złote nasionko wysypała na dłoń. Pozostawało jej już tylko przekroczyć próg i dołączyć do sióstr w lesie. Ale zamiast tego Młódka odwinęła kołnierzyk jedynej koszuli Mikesza i wsunęła mu nasionko głęboko w obrębioną zakładkę. Po czym wzięła jego głowę na kolana i zwinnymi palcami zaczęła mu wiskać we włosach.

— Młódko, Młódko, siostrzyczko nasza, wróć do nas! — niosło się polaną aż ku chacie wołanie dziewczęcych głosów, nim pierwsze promienie słońca wzeszły na widnokręgu.

Ale chata owczarza pozostała cicha i niema.

— Młódko, siostrzo nasza, nie mów chociaż, co ta paproć daje! — rozległo się po chwili, już po raz ostatni.

I zaraz okna chaty dotknęło opuszkami złotych palców wstające słońce.

Tak owczarz Mikesz, zanimby się kto spodział, miał już żonę, jakiej nikt w całym świecie nie dorównywał urodą. Kiedy swoje złote włosy okręciła wokół głowy, jaśniały jak korona,

226

piękniejsza niż wszystkie korony królewskie. Najbardziej jednak lubiła nosić włosy rozpuszczone, jak zwykła je nosić w swoim wolnym życiu. I wyglądała jakby chodziła w złotym płaszczu. Cały dzień pomagała w pracy Mikeszowi, w gorącej wodzie myła szkopki na mleko, pieła chleb i gotowała kaszę. A gdy wieczorem po pracy pragnął Mikesz odpoczywać, cichuteńko mu śpiewała przedziwne piosenki, jakich nikt jeszcze nigdy nie słyszał.

— Ach, Młódko — mawiał w takich chwilach Mikesz — nigdy mi nie przyszło na myśl, że ktoś może być taki szczęśliwy jak ja przy tobie!

— A ja również nie wiedziałam, że ludzkie szczęście jest takie piękne! — uśmiechała się Młódka, głaszcząc Mikesza po włosach.

Ale w ślad za takim wielkim szczęściem lubi się przynieść nieszczęście. Wybuchła wojna i musiał na nią iść każdy mężczyzna, który zdołał szablę udźwignąć. Wezwano i Mikesza, daremnie próbował się wykręcić. Zadali go do miasta, tam mu dali konia, opasali pałaszem, na głowę wcisnęli czako i chcąc nie chcąc musiał Mikesz pomaszerować na wojnę z innymi szwoleżerami. Lecz ani na chwilę nie przestawał myśleć o swojej najmilejszej Młódce. Stale ją miał przed oczyma, wyciągającą do niego ręce, kiedy ich werbownicy od siebie odrywali.

— Nic się nie martw, Mikeszu! Wróć i zdrowy! — wołała za nim co siły.

— Ale co będzie z tobą, Młódko? — wykrzyknął wówczas zrozpaczony. — Co poczniesz tutaj Sama?

— O mnie się nie bój! Póki mnic nie przestaniesz kochać, nikt mi nic złego nie będzie mógł zrobić!

Srodze się Mikesz naturbował przez ten pierwszy okres, zanim przywykł do gorzkiego chleba i syrojenca. Często budził się w nocy z dręczącą myślą, jak tej siostry Młódce w leśnej samotności wiedzie, co z owcami, czy ją chcą słuchać, a jej siostry rusalczane czy jej nie dokuczają, czy nie zastawiają na nią z zemsty jakichś pułapek. Podczas takiej trapiącej bezseri-

227

ności ułożył piosenczkę, bardzo smutną, tak jak jego wszystkie nocne myśli:

... miła, w serduszku twym boleść wzbiera, panowie mnie wzięli za szwoleżera, i koniczka mi dali i na Wągry posiali!

Na Turka za Dunaj hen pojedziemy, ;• tam mi pościeli na obcej ziemi zębata panna z kosą, padnę na trawę z rosą!

Ale Młódka dzielnie się wzięła w domu za stado, pasła je, doila, gospodarzowi odsyłała sery i gdyby nie tęsknota za Mikeszem, za jego pieszczotami i miłymi słówkami, byłaby

żyła beztrosko. Pilnowała się tylko, żeby przed zmierzchem znaleźć się za progiem człowieczego domostwa, i póki panowała noc, za nic w świecie nie wyszłaby z chaty. Znała dobrze swoje siostry, wiedziała, że o zdradzie nigdy nie zapomną. Ale ochraniała ją miłość Mikesza, ludzka miłość, ten czar, ze wszystkich czarów na świecie najsilniejszy.

Tymczasem Mikesz był daleko na tureckim pograniczu, dzień w dzień w objęciach tej zębatej panny, o której ułożył swoją smutną pioszeczkę. Wokół padali towarzysze, którzy razem z nim wyruszyli z domu, padali też i inni, następni, którzy stanęli na miejscu poległych.

Natomiast Mikesz, dziw nad dziwy, chociaż się rzucał z koniem w sam środeczek rąbaniny, wychodził zawsze spod ciosów bez szwanku i trzymał się w siodle krzepko. Jak gdyby omijały go kulki i te krzywe nieprzyjacielskie szabliska. Sam nie wiedział, skąd ma takie szczęście, ale głowy sobie tym zbyt nie łamał.

Za to jego towarzysze, co wojowali z nim w jednym szwadronie, ciągle się zdumiewali:
— Mikesz, ty masz szczęście! Inni wokół ciebie padają jak

228

żyto pod kosą, ty lecisz dalej, tam gdzie bój najsroższy i nic, nawet twój koń podkowy nie straci!

Ale Mikesz na to zawsze uśmiechał się tylko smutnie:

— 2le mi, braciszku, oj źle! Piękną młodą żonkę musiałem w domu zostawić, aniśmy się nie pokochali do syta. Jeden Panbóczek wie, jak sobie sama tam radzi!

— Toż opiekują się nią rodzice! — pocieszali go kompani, z którymi siadywał przy jednym ognisku.

— Nie ma kto się nią opiekować. Ani ja rodziciele nie mam, ani ona nie ma nikogo!

— Już lepiej chodźmy się napić, co tam po próżnicy się tur-bować! Jeśli cię kocha szczerze i w tej chwili jest myślami przy tobie!

I pili czerwone winko, gdy było z czego nalać, a przed spaniem pośpiewywali sobie z cicha:

Andulinko moja'

już mi wiodą Kon>a>

na kraj świata biorą mnie!

Bywałaś ty

nim mi dali konia,

czyjaś tera, licho wie...

Raz tak wypadło, że pułk, w którym służył Mikesz, musiał zdobywać wielką turecką twierdzę, całą z twardego kamienia, od którego kule armatnie odbijały się jak gruszki.

Pod tą warownią wojacy padali setkami, tak że ich ciała zrównały fosy obronne. I nie pozostawało najwyższemu generałowi, jak dać rozkaz, by również jazda zsiadła z koni i szła na pomoc swym kompanom, atakującym tureckie mury.

— Widzicie tam ten zielony proporzec, co na nim tak powiewają końskie ogony? — zapytał generał szwoleżerów ukazując im najpotężniejszą basztę tureckiej warowni. — Jeśli mi który z was ten proporzec przyniesie, natychmiast ustanowię go kapitanem!

229

|-— Kapitanem? — pomyślał Mikesz. — To by mnie może wcześniej puścili z tej wojaczki, gdybym był kapitanem, a nie zwyczajnym rekrutem!

Wyciągnął pałasz, przychwycił klingę zębami, obiema rękami złapał za drabinę i puścił się pod warowny mur. Gdy to zobaczyli kompani z jego szwadronu, zaraz każdy brał się za drabinę i po chwili również dopadli twierdzy. Mikesz oparł swoją drabinę ciut poniżej górnego występu muru, żeby jej nikt nie mógł przewrócić, nad głowę wznosił końskie siodło jako tarczę przed strzałami i ciosami n[^]eczów i szczebel za szczebłem włożył na mur. Wiegacimy i krzepki jak niedźwiedź Turek zamachnął się swoją krzywą szablą na Mikesza, ostrze ześlizgnęło się po siodle i ucięło Mikesza w prawe ramię. Rozpruło szwoleżerską kapotę, ale na zgrzebnej owczarskiej koszulce zatrzymało się jak na kamieniu. Dźwięknęło i odskoczyło od rękojeści. Turkowi w ręku został jedynie krótki kikut. Nim się Turek połapał, Mikesz odrzucił siodło, chwycił olbrzymia za nogi i poderwał go, tak że Turek przekoziółkował się do fosy.

I Mikesz stał już pewnie na murze. Złapał w prawicę pałasz i zaczął przerąbywać sobie drogę do tej baszty, na której powiewał zielony proporzec z końskimi ogonami. Kompani nie chcieli być od niego gorsi, toteż gdzie tylko Mikesz ściał obrońcę, wskakiwali zaraz na mur i siekli Turków, ile tylko im sił starczyło.

Najważniejszy bums-basza, co miał pod sobą tureckie wojsko, zmiarkował niebezpieczeństwo, migiem chwycił zielony proporzec i chciał go jak najrychlej wynieść gdzieś dalej, żeby nie wpaść w łapy Mikeszowi. Ale gdzie tam! Mikesz już wskoczył na obramowanie baszty i widząc, że bums-basza chce dać drapak z proporcem, ucapił go za pas i jak barana podniósł nad głowę razem z tym zielonym proporcem. Po czym cisnął go z baszty prosto na trawę pod warownymi murami, gdzie jak raz zatrzymał się najwyższy jenerał. Jak tylko Turcy zobaczyli, że ich wódz razem z proporcem dostał się do niewoli, potracili głowy i zmykali z murów. Kompani Mikesza w te pę-

dy rozwarli na oścież wszystkie bramy i wojsko mogło już jak nic wejść do grodu.

— Chwała ci, wojaku — rzekł najwyższy jenerał, gdy przywiedli do niego Mikesza — co jak co, ale słowa to ja dotrzymuję, od tej chwili jesteś w naszym wojsku kapitanem! A jeśli masz jakie inne jeszcze życzenie, śmiało mów! Co będzie w mojej mocy, spełnię, tak jak ty wypełniłeś mój rozkaz!

!—! Najchętniej to bym pojechał do domu — Mikesz na to smutnie — chociaż na parę dzionków, żeby zobaczyć, co tam robi moja młoda żonka...

!— No nie, przyjacielu! Wszystko, tylko nie to! Tak dzielnego wojaka jak ty, nie ma mowy, nie puszczę od siebie!

Jeszcze tego samego dnia dostał Mikesz kapitańską kapotę i wszystko, co trza, ale zbytniej radości z tego nie miał. Domu tym sobie, ani Młódki nijak nie przybliżył, ba, raczej oddalił. Kapotę kapitańską włożył na swoją zgrzebną owczarską koszulę i nadal sypiał ze swoimi kompanami przy jednym ognisku, a często pod wieczór, gdy ogarnęła ich tęsknota, śpiewali sobie pospołu swoje smutne piosneczki żołnierskie.

Ale najwyższy jenerał nie zapomniał o Mikeszu, zrobił go dowódcą jego szwadronu, który posyłał zawsze tam, gdzie była najcięższa rąbanina. Dziwnym trafem Mikesz zawsze wychodził z tego cało, a jego szwadron, nierzadko w swojej mokrej robocie wpadający z deszczu pod najgorszą rynną, miewał względnie mało strat.

— Żadna odsiecz nam niestraszna, jeśli nas prowadzi Mikesz! — zwykli mawiać wojacy, gdy ich posyłano na pomoc rozgromionym już niemal oddziałom.

Z każdą bitwą Mikesz nabierał coraz większego doświadczenia i coraz większej zajadłości i już nawet nie liczył, ile to razy był za waleczność wyróżniany i odznaczany, i

dukatów niezły mieszek miał w sakwie u siodła, i pistolety kością słoniową wykładane, i na kurtce sznury złote.

Raz, gdy na czele szwadronu powracał z wojaczki do miasta, gdzie wojsko kwaterowało przez zimę, na balkonie domu, koło którego jechali, stała córka tego najwyższego jenerała. Była to

230

231

czarnowłosa ślicznotka o ognistych oczach i gorącej krwi, ale zła i kapryśna. Ten śniady, wiatrem wysmagany kapitan wpadł jej w oko. Celowo wychyliła się z balkonu, bo sobie życzyła, żeby ją zauważył, żeby się poddał urokowi jej piękności i jak inni kawalerowie oddał jej honory wojskowe wyciągniętym z pochwy pałaszem. Ale Mikesz siedział w siodle jak posąg, ani myślał dobywać pałasza, tylko ukradkiem na tę ślicznotkę zerkał spod przymrużonych powiek.

Ona wzięła w dłoń różę, którą miała za pasem, i kiedy spostrzegła, że kapitan zerka na balkon, rzuciła mu ją z fantazją. Chwytny różę w locie Mikesz ukłut się cierniem w palec. I jakby jaki jad wsącżyło mu do krwi to ukłucie, nie mógł już odpędzić od siebie myśli o czarnej ślicznotce, która mu rzuciła różę. Gdzie się nie ruszył, czuł przeszywającą go do głębi serca błyskawicę jej spojrzenia, a woń tej róży, którą co chwila brał w rękę, upajała go bardziej niż najpłomienniejsze węgierskie wino.

Tego dnia przy obiedzie, gdy najwyższy jenerał błogo uśmiechnięty zaczął opowiadać o najróżniejszych wyczynach swoich wojaków, zagadnęła go córka:

— Co to za kapitan dziś koło naszego domu jechał na czele szwadronu?

— A czemu pytasz? To mój najdzielniejszy wojak!

—! Zasłużył na karę! Nie oddał mi honorów jak przystało jeneralskiej córce!

— Cóżbyś więc chciała, żebym uczynił? — roześmiał się jenerał.

!— Zaproś go do nas na kolację! Już ja sama wymyślę dla niego karę!

Gdy jeneralski adiutant powiadomił Mikesza, że ma dziś przyjść na kolację do jenerała, bo życzy sobie go widzieć ta ślicznotka, co mu dziś w południe rzuciła różę z balkonu, Mikesz po raz pierwszy cisnął w kąt tę starą koszulę, którą zawsze miał na sobie w boju, i włożył delikatniusią, z najcień-go batystu.

I śmiech go porwał ni stąd, ni zowąd, że tak długo nosił ta-

232

kie byle co owczarskie, ten łach przetarty, sprany, poseszy-wany na wszelkie sposoby, wyświechtany w dymie i ogniu bitew. Jego sługa podniósł to zgrzebne płótno z pogardliwym zakłopotaniem.

— Co z tym zrobić? Mam ją spalić, panie kapitanie?

— Włóż ją do sakwy przy siodle, będę miał bodaj jakąś pamiątkę po wsi rodzinnej! — uśmiechnął się Mikesz.

Ale o Młodce już przy tym nie pomyślał. Miał w głowie tę czarnobrewą ślicznotkę.

Nieszczęsny Mikesz! Gdyby wiedział, jaką krzywdę wyrządził tym swojej rusałce!

Czar ludzkiej miłości prysnął i Młodka została wydana na pastwę złych mocy leśnych.

Zaraz tego samego wieczoru zjawiły się w chacie jej dzikie siostry, wywlekły bezbronną Młodkę za próg, skrępowały jej ręce ciernistymi gałązkami jeżyny i zagnały na porębę, gdzie odprawiły swoje odświętne tany.

— Teraz widzisz, czym się kończy ludzka miłość! Zdradą! Ona cię zgubiła! — rzekła najstarsza z sióstr odwracając się od Młodki.

- Wydadz nam złotą paproć, a ocalejesz! — ozwała się inna.
— Nie mogę wam jej wydać. Nie mam jej, siostry moje... — załkała nieszczęsna Młódka.
— Nie kłam! Gdzie ją schowałaś?
— W koszuli swojego męża.
—• Więc ty naprawdę kochałaś bardziej człowieka niż swoje siostry?
— Bardziej... bardziej od wszystkiego na świecie.

I przemieniły za karę Młódkę w jabłonkę, a wyznaczyły jej miejsce pod oknami Mikeszowej chaty. Niech patrzy w te okna i rozmyśla, jak człowiek umie szybko zapominać, jak szybko umie znajdować nowe szczęście. Sama najlepiej przekona się o tym, jeśli tylko ten jej Mikesz z wojny wróci! I niech co roku rodzi jedno jedyne jabłko, dzikie i cierpkie jak jej dola. A jeśli zerwie i zje to jabłko jej mąż, kiedy z wojny wróci, i pomyśli przy tym z miłością o Młódce, wtedy z jabłoni będzie mogła się wyzwolić. Za jakiś czas przyjechał ze wsi gospodarz, szukał Młódki,
233

ale już jej nie znalazł. Tylko głodne owce beczwały w zagrodzie.

— A to dzikuska, no, pewnie uciekła do rusalek w lesie! — machnął ręką ze złością i wypuścił owce na trawę.

A że było mu szkoda zabierać owce z takich ładnych pastwisk, więc zaraz na drugi dzień wyszukał we wsi starego zgorzkniałego owczarza, który już chciał mieć spokój od całego świata, i posłał go na to leśne odludzie.

Stary owczarz zastał tu wszystko obrządzone. Widać było, że ta, co stąd odeszła, krzątała się do ostatniej chwili i opuściła chatę niespodziewanie dla samej siebie. Na stole leżał bochenek czerstwego chleba, szkopki były do czysta wymyte, łoże zasłane baranicą. Ucieszył się, że mu się dostało takie porządne miejsce i zaraz zaczął gospodarzyć w obejściu jak w domu. Nie widziało mu się jedynie, że ta jabłonka pod oknem zasłania widok i zabiera mu za dużo światła.

— No cóż, zobaczymy, jak owocuje — mruknął do siebie, choć brała go ochota ściąć jabłonkę od razu.

Przyszła wiosna, jabłonka stanęła cała w białym kwiecie. Tym sobie na jakiś czasik starego mruka zjednała. Ale przyszła jesień i z całego tego kwiatu urodziło się jedno jedyne jabłuszko, zielone jak liszka. Zerwał je owczarz i ugryzł. Usta mu się skrzywiły.

— Co robić z taką nędzną dziczką? Rodzi jedno jedyne jabłuszko, maciupkie, a do tego jeszcze kwaśne jak szczaw! Tylko zasłania mi okno!

Wziął siekierę i ciach po pieńku. W tym momencie usłyszał nad sobą przeciągłe, bolesne westchnienie, jakby jęknęły kobiece usta. Rozejrzał się, nigdzie żywej duszy. Po raz drugi ciachnął, ale znowu coś jęknęło, jeszcze mocniej i bolesniej. Nie odważył się już zamachnąć po raz trzeci, odeszła mu ochota na ścinanie jabłunki. Żywicą sosnową zamazał na pieńku szczerbę i dał jabłonce spokój, niech tam sobie rośnie, jak potrafi. To podwójne jęknięcie kobiece prześladowało go aż do późna w nocy, toteż od następnego dnia wolał się nawet do tej dziwnej jabłunki nie zbliżać.

Oczywiście nie mógł wiedzieć, że podczas księżycowych nocy, kiedy on twardo śpi, przykryty aż po czubek głowy owczą skórą, przychodzą pod tę jabłonkę osobliwe leśne istoty, nad podziw piękne, obleczone w liściaste szaty, z dzikimi irysami w rozpuszczonych włosach, w oplotach pstrych kwiatów wokół ramion. To dawne

towarzyszki Młódki, stale pełne gniewu, że przez jej zdradę nie udało im się zdobyć czarodziejskiego złotego nasionka. Przychodziły, żeby ranić i dręczyć swoją zaczarowaną siostrę. Rozsiadły się pod pnem jabłunki, kładły na trawie czarodziejskie lustereczko, które sobie zrobiły z tafli najczystszej krynicy leśnej. Ujrzeć w nim można było wszystko, co tylko zapragnęły widzieć.

— Pokaż nam, lustereczko najmiłsze, co robi w tej chwili człowiek, który nosi złote nasionko na ciele! Czy jeszcze wspomina tę, która dla niego zdradziła swoje siostry? I widziały w lusterku, że człowiek ten już nie jest owczarzem, ani biednym rekrutem, ale pięknym, wystrojonym kapitanem ze złotymi sznurami i że właśnie dosiada wronego konia w dalekim, obcym mieście.

— Pokaż nam, czy jeszcze ma to złote nasionko, które przynosi szczęście!

Okazało się, że już go nie ma w zgrzebnej owczarskiej koszuli na swoim ciele, że ma dziś na sobie inną koszulę, batystową, z koronkowym kołnierzykiem.

— Siostrzyczki miłe, szczęście go opuści! Nie ma już koszuli, która go chroni! — ucieszyła się jedna z leśnych panien, Kra-sawka, kiedyś najbliższa przyjaciółka Młódki.

— Przynajmniej ta nieszczęsna Młódka będzie pomszczona.

— Nie ma jej na sobie, ale ciągle jeszcze ma w sakwie przy siodle! — wykrzyknęła najstarsza z nich, Borówka. — Ale przyjdzie dzień, że w ogóle jej się pozbędzie, jak swoich wspomnień o Młódce! Wtedy z nim będzie źle, wtedy spotka go kara, która mu się należy!

— A dokąd to jedzie przez to dalekie miasto? Patrzcie, klęka przed czarną ślicznotką, całuje ją w rączkę, przymilne słówka prawi! Ta ślicznotka ma nie tylko czarne włosy, ale też

234

235

czarne krucze serce! Czyż nie okłamywał Młódki, że ją kocha? To samo teraz mówi tamtej!

I tak niemal noc w noc rozdzierały duszą zaczarowanej Młódce, a nigdy nie odeszły wcześniej, nim słońce nie wypuściło z horyzontu pierwszej strzały.

— Chodźmy, siostrzyczki, już opada ranna rosa! Wiedziały przy tym dobrze, że nie poranna rosa spływa na nie z gałązek jabłunki, ale łzy nieszczęsnej Młódki.

A czy było rzeczywiście prawdą to, co leśnym pannom pokazywało czarodziejskie lustereczko? Niestety, tak. Czarodziejskie lustereczko nawet nie umiałoby skłamać. Mikesz był jak zauroczony groźną urodą jeneralskiej córy, za jeden jej obłudny uśmiech do samego piekła by poszedł. A tej pyszałkowatej ka-pryśnicy nad wyraz pochlebiało, że trzyma w garści człowieka, który nawet Turka się nie boi, ba, samego diabła rogatego, ale przy niej robi się zaraz nieśmiały i nierozumny jak mały chłopiec.

— Kochałabym cię, mój drogi — mówiła, żeby go rozdrażnić — ale gdybym ci oddała rękę, to na który ze swych zamków byś mnie zabrał? Przecież nie moglibyśmy żyć razem między wojskiem przy obozowym ognisku, choć ty się tym zadowalasz?

Mikesz spurpurowiał, zawstydzony i zбитy z tropu:

— Toć pani wiesz, że nie mam zamków. Przyszedłem z lasów, a nie z zamków! Byłem owczarzem, a nie paniczem! Czemu, pani, żartujesz sobie ze mnie tak okrutnie?

— No już dobrze, dobrze, za to jesteś mądrzejszy i waleczniejszy od mendla paniczów zamkowych. Ale jak mi chcesz dowieść, że mnie kochasz? Jakim odważnym czynem chcesz się wstawić dla mnie? Co mi ofiarujesz, żebym ci uwierzyła?

Mikesz przysięgał, że zrobi wszystko, co tylko mu rozkaże, jest gotów pokonać każde niebezpieczeństwo. Ale jeneralska córka uśmiechnęła się, musnęła Mikesza po policzku różą i powiedziała z przekąsem:

— Obiecanki cacanki, mój drogi, znamy to! Gdybym na-
236

prawdę sobie czegoś życzyła, znajdziesz tysiąc wykrętów. Wszyscyście dla mnie marcowi rycerze!

— To nieprawda! Wystaw mnie, pani, na próbę! — nalegał dotknięty do żywego Mikesz. — Jeśli nie spełnię twojego życzenia, pani, każ mnie przepędzić ze swojego domu!

— No dobrze! Słuchaj! Wiem od zwiadowców mojego ojca, że turecki dowódca ma ognistego ogiera czarnej maści, którego mu podarował sam sułtan. Ten ogier podobno noc w noc się pasie na wielkiej łące nad Dunajem razem z dwunastoma karymi kobyłami. Jeśli mi go przywiesz, żebym mogła na nim przejechać się po naszym mieście, wówczas uwierzę, że mnie naprawdę kochasz!

Mikesz bez słowa obrócił się na pięcie i poszedł wypełnić jej zuchwałe życzenie. Dwa dni leżał w trzcinach na brzegu Dunaju i obserwował przez wodę, gdzie kary ogier razem ze swoimi kobyłami najchętniej się pasie, gdzie chodzi nad rzekę do wodopoju i dokąd udaje się na spoczynek. Trzeciej nocy umocował sobie nad głową siodło z sakwą, w której miał pistolety, i cichcem podpłynął przez zimny Dunaj do miejsca, gdzie Turkowie poili konie.

Kary ogier akurat pochylał łeb nad wodą. Kiedy poczuł Mikesza, trwożnie zaparskał. Ale Mikesz pogłaskał go po szyi i koń się uspokoił. Mikesz przytroczył siodło i hops na rumaka, ale wtedy kary ogier jak nie zarzy, aż rozległo się po całej okolicy. Nadbiegli zaalarmowani pachołkowie tureccy. Mikesz wbił koniowi w boki pięty i galopem odjechał w noc jak diabeł. Turcy za nim strzelali, rzucili się na kobyłach w pogoń, ale złodzieja nie doścignęli. Rano, ledwie słońce wzeszło, stał Mikesz z karym ogierem pod oknami jeneralskiej córki. To dopiero był widok! Ogier miał szyję wygiętą jak łabędź, nogi w pęcinach cienkie i niespokojne, sierść jak krucze skrzydła, a kiedy zaparskał, z nozdrzy mu niemal iskry leciały. Koło południa jeneralska córka łaskawie wyszła przed dom. Mikesz w milczeniu się skłonił i wskazał na karego ogiera.

— Ach, tyś mi przywiódł tego konia? Już prawie zapomnia-
237

łam, że pragnęłam go mieć... Zresztą, wcale nie jest aż tak piękny, jak niosła fama... — powiedziała kapryśnie i zaraz odwróciła się w drugą stronę.

Mikesz osłupiał ze zdumienia i sromoty. Po chwili jak niepyszny poszedł oddać ogiera koniuszemu. Zdjął swoje siodło, zarzucił je na plecy i powłókł się do domu z goryczą w sercu. Poprzysiął sobie w duchu, że już nigdy w życiu nie rzuci nawet okiem na tę pyszałkową kapryśnicę. Cały dzień pluł sobie w brodę, że się dał tak głupio upokorzyć, ale ledwo zapadł zmrok, znowu mu serce ogarnęła dziwna słabość. Zapomniał o wszystkich postanowieniach, znowu pojechał do jeneralskiej córki i niczego więcej nie pragnął, tylko żeby mu poruciła jakieś nowe zadanie, którym by swoją miłość mógł jej udowodnić.

— Cóż, jeśli tak bardzo tego chcesz, mój drogi, to ci rzeczywiście muszę to zadanie wyznaczyć — rzekła kapryśna ślicznotka, gdy Mikesz nalegał. — Słyszałam, że dowódca turecki ma pośrodku obozu jedwabny namiot, w którym przed całym światem kryje swoją najpiękniejszą kochankę. Przed tygodniem dał jej drogocenny prezent, naszyjnik z dwunastoma rzadkimi perłami. Gdybyś potrafił zdobyć dla mnie ten naszyjnik, gdybyś mi go tu do domu przyniósł, wtedy bym już naprawdę uwierzyła, że mnie kochasz!

Zaraz tej samej nocy ruszył Mikesz samotnie do tureckiego obozu. W pobliskim lesie czatował tak długo, póki nie udało mu się pochwycić tureckiego posłańca na koniu. Zabrał mu uniform i konia z czaprakiem, zmusił go do zdradzenia hasła, po czym dobrze związanego ukrył w leśnej gęstwinie. Twarz sobie umazał błotem, upaść również konia, że niby jedzie z dalekiej drogi, przytwierdził do tureckiego siodła swoją sakwę, w której miał spolegliwe pistolety, i co koń wyskoczy ruszył do tureckiego obozu. Strażnikom w bramie wykrzyknął hasło i zaraz zapytał, gdzie jest namiot dowódcy. Wskazali mu raśrodku głównej drogi żółty jedwabny namiot. Ale kiedy tam podjechał, zobaczył wokół namiotu całą hurmę strażników, którzy migiem złapali Mikeszowego konia za uzdę.

238

— Jadę w poselstwie od najjaśniejszego sułtana! — ofuknął ich srogo i pognał na koniu do wejścia.

— Wynoś się, wariacie! Nikt nie śmie budzić naszego wodza! — zagrozdili mu wejście jeżąc kopie i siekiery.

Ale Mikesz był zdecydowany. Ściągnął konia w bok, krzywą szablą rozciął jedwab namiotu z góry na dół i wtargnął konno do środka jak wiatr. W półmroku leżała na kanapce piękna dziewczyna o wielkich ciemnych oczach, na jej białej szyi lśnił perłowy naszyjnik. Nim zdążyła wydać okrzyk zdumienia, Mikesz jednym zamachem ręki zerwał klejnot z jej szyi i wypadł z namiotu tą samą drogą, którą przybył. Niestety! Strażnicy postawili na nogi już cały obóz, ze wszystkich stron nadciągali konni i piesi janczarzy. Z żółtego namiotu wybiegł sam wielki wezyr, dowódca wojska, i purpurowy ze złości krzyknął, żeby złodzieja na miejscu rozsiekać szablami, bo na nic innego nie zasługuje. Mikeszowi wydawało się, że już z nim koniec. Nie chciał jednak oddać swojej skóry za darmo, więc zdecydował się na ostateczność. Dźgnął konia, który już ledwo zipiął, zmuszając go do galopu w stronę skalnego urwiska nad rzeką, skąd rzucił się razem z koniem w nurty Dunaju. Nikt z Turków się nie spodziewał, że Mikesz zrobi taki desperacki krok, toteż od strony stromego brzegu drogi mu nie zastępowano. Wpadłszy do wody, Mikesz duchem odpiął od siodła swoją sakwę i zdał konia jego własnemu losowi.

Po chwili janczarzy z wysokiego urwiska zobaczyli końskie ciało, bezradnie szamoczące się z prądem, wciągane na dno przez olbrzymie wiry, które w tym miejscu tworzyły się na Dunaju.

— Utonął! — orzekli jak jeden mąż i poszli powiadomić wielkiego wezyra, że złodzieja spotkała zasłużona kara.

Ale Mikesz, gdy tylko odwiązał swoją sakwę od siodła, kilkoma potężnymi zamachami ramion przyplłynął do brzegu, gdzie złapał się za mocną gałąź wierzbową, która go całego zakryła. I w tym mokrym półgrobie-półwięzieniu doczekał głębokich ciemności, w których cały obóz ucichł i usnął. Dopiero

wówczas, skostniały i trzęsący się z zimna, odważył się wyjść na brzeg, chwycił jednego z tureckich koni i w pław przepłynął na nim na drugą stronę Dunaju.

Na drugi dzień w południe wszedł do domu jeneralskiej córki, pokłonił się jej i w milczeniu złożył przed nią tych dwanaście rzadkich pereł.

— Doprawdy to są one? — powiedziała kapryśnica i na okamgnienie błysnęła w jej oczach niepokonana ciekawość. — Podaj mi je, żebym przyjrzała się z bliska! Wzięła perełki, kilkakrotnie obróciła je w rękach, po czym obojętnie odłożyła.

— No cóż, wyobrażałam sobie, że są większe i jaśniejsze...

Mikesz znowu odszedł do domu klnąc na czym świat stoi siebie i swoje szaleństwo. W sakwie na ramieniu niósł dwa wykłpane pistolety i przemoczoną owczarską koszulę. Ani przez chwilę nie przyszło mu do głowy, że właśnie to nędzne płótno, w którym Młódka ukryła czar, uratowało mu dzisiaj życie. Przed drzwiami swego domu ujrzał starego półnagiego żebraka, który wyciągał do niego ręce:

— Podaruj mi, panie, jakąś szmacinę, żebym mógł czymś okryć swoje stare, wynędzniałe ciało!

Żał go się zrobiło Mikeszowi, przypomniał sobie o starej koszuli, którą w tej sakwie nosi nie wiadomo po co. Czy mu się na co przyda? Przecież jej już nigdy w życiu na siebie nie włoży! Otworzył sakwę i rzucił mokrą koszulę żebrakowi:

—! Masz, wysusz ją sobie! Może będzie na ciebie dobra!

Cały dzień w duchu złościł się na jeneralską córkę i przysięgał sobie, że tym razem koniec wszelkiemu szaleństwu. Ale kiedy się ściemniło, zjawiał mu się przed oczyma jej obraz coraz jaśniejszy i jaśniejszy. Jednak tego wieczora Mikesz zaparł się w sobie i został w domu. Na drugi dzień wszakże od samego rana nic tylko myślał o pięknej kapryśnicy i sam przed sobą usprawiedliwiał jej butne zachowanie.

— Naprawdę to ona nie jest taka. Po prostu wystawia mnie na próbę, to jasne. Dwa jej życzenia już spełniłem, ale do trzech razy sztuka, po trzecim uwierzy mi, że ją miłuję...

240

c

*/

i

7

!

M 4

I wieczorem ten naiwniak znowu poszedł w odwiedziny do jeneralskiej córki i po raz trzeci poprosił ją o nowe zadanie.

— Co mi się stale naprzykrzasz tymi zadaniami? Ciągłe coś dla ciebie muszę wymyślać, przestało mnie już to bawić. Gdybyś ruszył mózgownicą, sam byś wpadł na coś, co by mi sprawiło przyjemność. Z ciebie, mój drogi, jest dzikus z lasu(a nie dworny kawaler!

Mikesza piekła ta obraźliwa przymówka, jakby mu kto wsadził w pierś palące żelazo. Ale przy tym wyrzucał sam sobie, że jednak rację ma ta dumna ślicznotka, bo on naprawdę nie potrafi nic dorzecznego wymyślić, co by ucieszyło jej serce. Długo gryzł się i dumiał nad tym wszystkim, aż w końcu postanowił iść do baby wróżbiarki, która ślicznotce wróżyła z ręki, ta chyba potrafi mu poradzić, czym by najpewniej pozyskał sobie serce jeneralskiej córki.

— Ach, mój kochany — powiedziała mu baba — jakżeż ty byś mógł pozyskać jej serce? Ona przecież w ogóle serca nie ma. Zamiast niego ma w piersi kawał czarnego kamienia! Ale skoro chcesz zdobyć jej względy bodaj na krótki czasik, no to ci poradzę. Idź po raz trzeci, tam, gdzie już byłeś dwukrotnie, do tureckiego obozu, znaczy. Tam w tym żółtym jedwabnym namiocie wisi pod stropem złota klatka ze słowikiem, jakiego świat nie widział. Gdyby twoja ślicznotka posłyszała jego śpiew, nawet ten czarny kamień, co ma zamiast serca w piersi, rozgrzałby się chociaż na chwilkę. Ale miej się na baczności, bo na tej drodze pod starym dębem będzie czekała na ciebie śmierć! Mikesz podziękował wróżbiarce i bez zwłoki przygotował się do wyprawy. Przypomniało mu się, jak w szczenięcych latach łapał po lesie piegże, raszki i czyżyki i nosił w Mateczce z sitowia mokradlanego, która mieściła się za pazuchą. Zrobił sobie i teraz taką Mateczkę, naostrzył szablę, pieczołowicie obrządził pistolety i kiedy ciemność zapadła, po raz trzeci wyruszył do obozu tureckiego. I tym razem miał więcej szczęścia, niż mógł się spodziewać. W lesie pod obozem ukrył swego konia, pistolety zatknął za pas i z obnażoną sza-

16 Bajki czeskie

241

blą w rękę przeczołgał się na czworakach między tureckimi strażami. A były w dwójnasób wzmocnione, gdyż wezyr, wylękniony ostatnim Mikeszowym psikusem, dmuchał już na zimne. Tymczasem Mikesz prześlizgnął się przez ich ciasne obręcze jak wąż i podpełzł pod sam żółty namiot.

Lekko uchylił jego dolny brzeg, na płask wcisnął się do środka i ujrzał jak raz rad wezyrowym łóżem złotą klatkę, o której mu powiedziała stara wróżbiarka. Z zapartym tchem wyciągnął rękę, między złotymi prętami wymacał małe drzwiczki. Ale kiedy je otwierał, słowik, zupełnie jakby mu się coś śniło, cieniuseńko pisnął. Przypominało to złoty dzwoneczek. Mikesz zamienił się w kamień, ale wielki wezyr, zbudzony piśnięciem słowika, poruszył się na łożu i usiadł. Jego wzrok padł na Mikesza.

Mikesz wiedział, że jeśli wezyr zdąży wykrzyknąć jedno jedyne słowo, to nie ma ratunku. Bez namysłu rzucił się jak dziki ryś na wezyra i zacisnął mu na gardle obie dłonie. Wywiązała się cicha, ale zacięta walka. Na szczęście dla Mikesza całe łoże wezyra było usłane drogocennymi dywanami i miękkimi poduszkami, które tłumili chrzęst kołujących się ciał, na szczęście oddzielał ich też od strażników ciężki jedwab namiotu. Raz po raz wezyr już-już strącał z siebie Mikesza. Ale Mikesz natężył wszystkie siły i nie popuścił gardła wezyra z kleszczy palców, póki nie poczuł, że krzepkie ciało pod nim znieruchomiało całkowicie...

Martwego wezyra przykrył dywanem, przebrał się w jego najpiękniejsze szaty, do boku przypiął szablę damasceńską, na głowę wsadził zielony turban, a twarz sobie przysłonił rąbkiem płaszczka. Słowika ukrył w sitowej klateczce za pazuchą. Wtedy odchylił zasłonę namiotu i krzyknął ku straży jedyne tureckie słowo, jakie znał:

— Konia!

Strażnicy pokłonili się aż do ziemi i w okamgnieniu stała przed nim piękna kara klacz. Mikesz nie mieszkając skoczył na koń. Ale w tej sekundzie rąbek płaszczka odsłonił mu twarz i dowódca straży ujrzał Mikeszowe oblicze.

242

— Diabeł! — krzyknął przerażony. — Diabeł bezbrody!

W całym tureckim wojsku nie było męża bez kudłatej brody, a Mikesz jak przystało na szwoleżera miał twarz gładziutko wygoloną. Krewa. Straż uderzyła na alarm, bito w wielki bęben, wysypali się wojacy, zaczęli siodłać i dosiadać koni, gdyż sądzili, że nieprzyjaciel natarł z nienacka na obóz. Mikeszowi nie pozostawało nic innego, jak przedrzeć się przez to zamieszanie. Na szczęście przed szlachetną karą klaczą konie same uskakiwały, a jeźdźcy widząc kobyłę i szaty wezyra posłusznie ustępowali mu z drogi. Tylko kilku janczarów ze straży, którzy połapali się, że na koniu i w szatach wezyra uchodzi nieprzyjaciel, zaczęło wściekle Mikesza ścigać. Ale kobyła wodza była najlepszej rasy, a że Mikesz nie ciążył jej tak jak wezyr, więc mknęła jak wiatr. Już-już się zdawało, że Mikesz jest uratowany, gdyż udało mu się przebić przez ostatnie straże i wpaść do lasu.

Ale tu, kiedy przejeżdżał pod starym rozłożystym dębem, najniższa gałąź smagnęła go po oczach. Mikeszowi z bólu pociekły łzy i na parę sekund go oślepiło. Jeden z janczarów, który nadjechał ścieżką z boku, zaatakował go. Mikesz wprawdzie słyszał koński tupot i parskanie chrapów, ale daremnie wytężył zażawione oczy, żeby ujrzeć nieprzyjaciela. Ciął tedy szablą na oślep. Janczar się uchylił, a kiedy ręka Mikesza wznosiła się do następnego ciosu, jednym śmignięciem swojej demascenki odrąbał ją w łokciu.

Mikeszowi się zdawało, że mu ktoś rękę upalił rozżarzonym żelazem. Przez całe ciało przebiegł mu prąd zamroczenia, ledwo zdążył lewą dłonią chwycić się szyi karej kobyły. Z twarzą w grzywie, brocząc obficie krwią, bardziej martwy niż żywy, dał się unosić karej klaczy nie wiedząc gdzie w ciemną noc...

Kiedy o pierwszym brzasku zarannym odzyskał przytomność, ujrzał, że leży samotnie na pustym brzegu dunajskim. Jedynie wilgne chrapy karej klaczy, która uniosła go z rąk nieprzyjaciół, muskały jego policzek. Popatrzył na kikut swojej prawej ręki, pełen zaschłej krwi, ostatkiem sił uciął

243

kawałek rzemienia z cugli i pomagając sobie zębami zacisnął go wokół prawicy powyżej łokcia. Lewą dłonią sięgnął do zanadru: sitowa Mateczka ze słowikiem była nienaruszona... I wdrapał się Mikesz z powrotem na klacz i, bardziej widmo niż wczorajszy gracki kapitan, jechał w gorączce do miasta, przed dom swojej dumnej ślicznotki.

Kapryśnica właśnie wstawała, gdy pod jej oknami rozległo się rżenie konia. Wyjrzała z okna i zamarł w niej oddech z trwogi. Na karym koniu siedział Mikesz w jakimś tureckim przebraniu, cały ubroczony krwią, prawica ucięta w łokciu, a lewa ręka wzniesiona ku jej oknu z małą sitową Mateczką.

— Co ty wyprawiasz? — wydarła się na niego z niepohamowanym gniewem.

— Zdobyłem dla ciebie, pani... najpiękniejszego na świecie słowika... — wyrzekł

Mikesz chrapliwym szeptem, gdyż gardło miał spieczone od gorączki.

Kapryśnica wyciągnęła rękę i wzięła od Mikesza sitową Mateczkę. Ledwo jednak rzuciła okiem do środka, ze wstrętem i wściekłością wyrzuciła ją na ulicę.

—! Wynoś się stąd, wariacie! Ten twój słowik jest martwy!

Mikesz już nie był zdolny wypowiedzieć słowa. Nawrócił konia kolanami i osunąwszy się w grzywę, półprzytomny jechał do domu. Na rogu ulicy zemdłał i bezwładnie stoczył się z siodła w proch przydrożny. Pierwszy się natknął na niego ów żebrak, któremu w tym właśnie miejscu Mikesz podarował przed paroma dniami swoją starą koszulę. Z jękiem

przyklęknął nad ciałem Mikesza i ujrzał, że jeszcze żyje, bo ze zranionej ręki, z której omsknął się rzemień, przez warstwę czarnych skrzepów płynie nowy strumień czerwonej, świeżej krwi. Zrozumiał, że bez niezwłocznej pomocy ten człowiek długo nie pociągnie. I choć nie rozpoznał pana kapitana w tym tureckim stroju, który Mikesz przywdział w namiocie wezyra, dobre serce nie pozwoliło żebrakowi zostawić tak umierającego.

Tylko skąd na ulicy wytrzasnąć bodaj kawałek bandaża, żeby obwiązać przecięte żyły i zatamować krew? Żebrak du-

244

mał przez chwilę, po czym oderwał kołnierz od swojej koszuli, tej samej, którą przed trzema dniami dostał od Mikesza. Tym kawałkiem płótna obwinął krwawiący kikut i mocno okręcił bandaż wygrzebanym z żebraczej torby sznurkiem. Nawet nie wiedział, że jak raz w tym kawałku płótna ukryte jest złote nasionko...

Ale co teraz? Niewiele się namyślając przerzucił nieprzytomnego Mikesza przez grzbiet karej kobyły i zabrał go do swojej nędznej chaty. Na żebraczym wyrku Mikesz przez kilka dni miotał się między życiem a śmiercią. I tylko dzięki cudownej mocy nasionka życie w nim w końcu zwyciężyło. Kiedy już Mikesz odzyskał przytomność i mógł przyjmować pokarmy, starzec z wyżebranych skórek od chleba gotował mu posilne polewki troszcząc się o rannego, jak gdyby to był jego własny brat.

Gdy Mikesz zaczął dochodzić do siebie, myślał, jakby się tu żebrakowi za jego opiekę odwdziaczyć. Przypomniało mu się, że turban wezyra, który miał do ostatniej utraty przytomności na głowie, był ozdobiony wielkim drogocennym kamieniem. Można byłoby go dobrze sprzedać. Więc zapytał żebraka:

— Gdzie się podział mój turban, który miałem na głowie?

— Spaliłem go, szlachetny panie — przyznał się żebrak ze strachem — lękałem się, żeby z powodu niego nie uznali pana za nieprzyjaciela. Obu by nam się dostało, pana by wtrącono do lochu, a mnie wychłostano za przetrzymywanie zdrajcy. Toż po mieście poszedł hyr, że jeden kapitan szwoleżerów, co przedtem odwiedzał dom generała, przeszedł na stronę Turków i w tureckim stroju przemykał się po ulicach...

— To haniebne kłamstwo! — wykrzyknął Mikesz w gniewnej rozpacz. — A ten kary koń, na którym przyjechałem do miasta, gdzieś tutaj jest?

— Konia na szczęście ukryłem w lasku za miastem i co noc chodzę go poić!

— Zaprowadź go na targowisko i sprzedaj pierwszemu, który da ci dobrą cenę!

245

Wieczorem żebrak przyniósł Mikeszowi pełny mieszek dukatów. Ale Mikesz nie wziął sobie ani jednej sztuki.

— Idź i kup mi mundur oficerski — poprosił żebraka — a resztę zachowaj sobie za to wszystko, coś dla mnie zrobił!

Na drugi dzień, kiedy żebrak przyniósł mundur, Mikesz zdjął z prawej ręki bandaż. Rana cudownie się zasklepiła, ale bandaż był czarny od zaschniętej krwi. Jakżeby można było poznać, że to kołnierz starej owczarskiej koszuli! Mikesz skrzywił się tylko boleściwie widząc, co zostało z jego prawicy, a przesiąknięte szerniąłą krwią płóciem wyrzucił do ognia. I tak w popiele żebraczego paleniska zniknęło ze świata złote nasionko, pozostał ra nim tylko Mikesz z wielką szramą na duszy i ciele, oraz dzika jabłonka rodząca rok w rok w dalekich leśnych pustkowiach jedno jedyne cierpkie jabłuszko...

Mikesz przywdział oficerski mundur i poszedł zameldować się u jenerała. Ale nim doszedł do jego domu, zastąpił mu drogę wojskowy ront.

— Mamy rozkaz zatrzymać was, kapitanie, ze dezercją — rzekł dowódca rontu — tydzień temu dobosz rozbębnił, że kapitan jest zbiegiem!

— Zaprowadźcie mnie do najwyższego jenerała — powiedział Mikesz wcale nie opierając się patrolowi.

I przywiedli go, jak sobie życzył, do jeneralskiego domu. Ale jenerał nie chciał z nim nawet gadać.

— Co mi po wojaku bez prawej ręki? Może paść świnie, ale nie wojować!

— Toż ja tej ręki sobie nie odgryzłem! Ucięła mi ją turecka szabla! — bronił się rozgniewany Mikesz.

— Ale nie w boju! Straciłeś ją w swawoli, w dodatku bez pozwolenia opuściłeś wojsko. Jesteś zbieg i zasłużyłeś sobie, żebym zgodnie z prawem wojennym kazał cię zastrzelić. Ale za ten porzecz, coś mi raz przyniósł z tureckiej twierdzy, wszystko ci wybaczam. Pozbawiam cię tylko godności kapitańskiej, a na pamiątkę dostaniesz pięćdziesiąt kijów.

246

— To już mnie raczej każcie rozstrzelać! — wybuchnął Mikesz. — Co mam teraz na świecie począć?

— Wtedy, jak zdobyłeś porzecz, chciałeś, żeby cię puścić do domu, do młodej żonki. Wypłacimy ci karę i możesz się wynosić. Zwalniam cię z wojska i wydalam z miasta. Podszedł do Mikesza i zerwał mu z bluzy oficerskie epolety. Mikesz tylko zacisnął zęby, obrócił się na pięcie i wyszedł. Już nawet nie widział, jak z okna jeneralskiego domu przygląda mu się ze złośliwym uśmiechem dumna ślicznotka bez serca. Lepiej, że nie widział. Na drugi dzień o wschodzie słońca zatarabaniły wojskowe bębny, a jednoręki wojak, obnażony do pasa, szedł przy ich warkocie szpalerem pięćdziesięciu szwoleżerów, z których każdy dzierżył w łapie kij. Jenerał osobiście doglądał, żeby nikt z nich nie oszczędzał byłego kompana.

Mijał już siódmy rok od tamtej nocy, gdy Młódka w blasku czerwcowej pełni przekroczyła próg owczarskiej chaty. Stary owczarz, który nastąpił po Mikeszu, zmarł, a gospodarz już nie mógł znaleźć nikogo, kto by się zgodził pasać owce w tych leśnych pustkowiach. Więc zagoniono kierdel dokąd inąd, a chałupę zostawiono jej losowi. Wiatr szarpał i szarpał drzwiami, aż je wyrwał z zawiasów. Dach przegnił i zapadł się. Podczas burz wyjce wyskakiwały z lasu i targały ze strzechy snopek za snopkiem, tak że w końcu pozostały tylko nagie krokwie. Deszcz lał się do izby i rozmoczył polepę i gliniane palenisko...

Kiedyś tak pod jesień, gdy już wiatr zaczyna skompleć w kominach, a przez pola niosą się zimne opary, zjawił się w tej okolicy jednoręki, srodze wychudły i wynędzniały tułacz. Zaszedł do wsi, w której kiedyś dziewczęta droczyły się z młodym owczarzem żartując, że będzie musiał wziąć sobie za żonę leśną rusałkę z kopytkami. Ale nikt tu go nie poznawał. Ani kromki chleba mu z litości nie wynieśli, ani noclegu na słomie w obórce nie kwapili się użyczyć. Tylko psy roz-szczekały się za nim na pożegnanie, gdy ze wsi odchodził.

I ruszył jednoręki w głąb lasów, w te strony za Trzemosz-

247

nicą, gdzie przed laty młody owczarz Mikesz stado pasał. Poznał już z daleka po wybijającej, poźółkłej trawie leśnych łąk, że ich teraz nikt nie wypasa, ba, że ludzka noga tutaj nawet przypadkiem nie postanie. Posiedział nad brzegiem Wilczy na wypróchniałym odziomku, napił się wody z jej nurtów, a potem powłókł się noga za nogą ku starej owczarskiej chałupie. Może myślał, że tu znajdzie schronienie przed niepogodą, może ciągnęła go tu dawna wspominka...

Ale chatę zastał rozwaloną i pustą. Nawet przez próg jej nie przeszedł. Widział, że już w niej nie ma życia. Rozejrzał się dokołuśka, aż naraz ze zdumienia szeroko rozwarł oczy. Skąd tu się wzięła ta jabłonka, której gałęzie pochylają się ku rozbitym oknom owczarni? Toż przez tych siedem lat nie mogła aż tak wyśmignąć! I zdawało się tułaczowi, że go zmysły mają. Zrobiło mu się nagle słabo, postąpił jeszcze ku jabłonce i osunął się pod jej pień. Pół siedząc, pół leżąc w zszarzałej trawie wzniosł oczy ku ogołoconej koronie. Wśród ostatnich żółknących liści na końcu jednej gałęzi zwiślało małe zielone jabłuszko, wyraźnie cierpkie i nie przyciągające oka. Ale tułacz pomyślał sobie jednak:

— Gdybym tak mógł je urwać, pewnie by mi zwilżyło gardło...

Lecz był tak osłabiony, że nie miał siły wstać. Więc leżąc, patrzył się na jabłuszko, a oczodoły powolutku napełniały mu się niemymi łzami. Płakał po swoim utraconym szczęściu, po utraconym domostwie, a duszę miał tak pełną goryczy, że byłby się nią zatchnął. Ale wówczas gałąź jabłonki sama się pochyliła i zatrzęsała. Jabłuszko drgnęło, jakby kurczowo się trzymało gałązki, drgnęło jeszcze raz, i wreszcie spadło w szarą trawę tuż przy zdrowej ręce tułacza. Wziął je, a że miał gardło ściśnięte od tej piekającej goryczy, uniósł je ku ustom i ugryzł.

Ach, jakie było cierpkie! W tym momencie tułaczowi przypomniało się to krótkie szczęście, które przeżył w tych stronach. A wspomnienie było jeszcze cierpsze.

248

— Młódko! — powiedział cicho — Młódko moja najdroż-ar jak mogłem cię tak skrzywdzić?

I oto jabłonka zatrzęsała się nad jego głową, jakby ją jakiś olbrzym chciał wyrwać z korzeniami. Jej szczupły pień zaczął na oczach tułacza przemieniać się w dziewczęce ciało, jej dwie rozpostarte gałęzie stały się ramionami, nad którymi zajaśniała głowa ze złotą koroną włosów, ciężkich jak dojrzała pszenica. Zapomniał nagle tułacz o wszystkim, co przeszedł, objął ją jedyną ręką, która mu pozostała i przycisnął do piersi. Czuł, jak w jej ciele bije żywe ludzkie serce.

— Młódko, życie moje! — wyszeptał i wtulił twarz w jej łono.

I choć to może dziwne, tu bajka się kończy.

Jak Kuba księżniczkę rogałą leczył

Był raz w pewnym miasteczku chłopak, wołano na niego Kuba. Duszę miał złotą, ale leniuch był nad leniuchy, nawet mąka go w ręce uwierała. Nie żeby nie umiał pracować. Nie chciał. Rasie mu się chowały za plecy. Najbardziej ze wszystkiego lubił myśleć o przeróżnych hultajstwach. Najpierw się uczył na kowala, ale nim zdążył ubrudzić skórzany fartuch, zmiarkował, że wyginać żelazo to ciężka harówka. Po co mu to? Wybrał więc kołodziejstwo, no bo drewno łatwiej przecież poddaje się rękom człowieka. Ale gdy go raz majster za nieróbstwo wygrzmocił ośką, stwierdził, że nawet buk to nazbyt twarde drzewo. Dał sobie spokój z kołodziejstwem i stale szukając czegoś miększego za trzecim razem umyślił zostać szewcem.

Pewnie by to rzemiosło i polubił, choć starsi czeladnicy wmawiali mu, że jeśli chce nabrać szewskiej natury, musi pić wodę z szaflika, w którym się moczy skóry. Ale raz, gdy pan majster miał urodziny, napuścili Kubę, żeby mu z samego rana zaśpiewał pod oknem jego najulubieńszą piosneczkę. I zaraz jej też kochanego Kubę nauczyli. Rano, gdy jeszcze pan majster przeciągał się na leżance, Kuba huknął:

Bardzo szewc był zły,
bo go gryzły pchły,
więc im grzędę zmajstrował
250

i dzień w dzień je musztrował, by spać na nią szły!

Pan majster cisnął w Kubę przez okno zydel, ale zwinny Kuba zdążył jednak uskoczyć. Wtedy pan majster śmignął w niego knypem do krajania skóry. Knyp na szczęście wbił się w zydel, ale Kubie i tak już na całe życie odechciało się zawodu, w którym ma się do czynienia z tak niebezpiecznymi narzędziami. Postanowił wyruszyć w świat, że niby tam wypatrzy coś lepszego.

Wędrował z miasta do miasta, z kraju do kraju, a że miał aż trzy fuchy w rękę, kowalstwo, kołodziejstwo i szewstwo, musiał się sporo natrudzić, żeby wymigać się od roboty. Za to w porze posiłków z ochotą uszczęśliwiał sobą każde z tych trzech rzemiosł z osobna i pod rząd, toteż rzadko kiedy kiszki grały mu marsza, najczęściej było mu na duszy ucha-cha.

Pewnego razu trafił w górach do ustronnego, zabitego dechami miasteczka. Wkroczył na rynek w porze, gdy służki chodzą do studni po wodę, a kiedy zebrała się ich tam ładna gromadka, śmiało do nich podszedł. Wyglądał na świszczypałę, co to ma jeszcze mleko pod nosem, ale dziewczętom już z daleka się spodobał.

— No jak, panienki, co u kowala dziś będzie na obiad?

Dziewczyny parsknęły śmiechem, ale jedna, akurat ta koślawa i krzywa na gębie, migiem przychwyciła Kubę za łokieć jak cęgami:

— Niech pan czeladnik do nas idzie, ja służę u kowalos-twa, panu majstrowi bardzo przydałby się jeszcze jeden pomocnik, ma obstalunek na sześćdziesiąt kop podków dla huzarów! A na obiad będziemy dziś mieć prażuchę z mlekiem, paluszki lizać, jak mamę Kocham!

Kuba wyrwał się jej czym prędzej, bo to i dziewczucha koślawa, i tej prażuchy nie cierpiał jak choróbska, ale nade wszystko nie uśmiechało mu się podkowy giąć.

— Coś ty, ślicznotko, ja nie jestem kowalczyk, żartowałem tylko! A która z was, moje drogie, służy u kołodzieja?

251

— Ja jestem od kołodzieja, my gotujemy kapuśniak i leniwe pierogi! — duchem przyskoczyła do Kuby inna, ta znowu miała zęby jak kołki od grabi, a figurę, że litość brała — niech kawaler idzie do nas!

— Broń Boże, panienko — odżegnywał się Kuba obiema rękami — pytam się tylko dlatego, że tu w jednej wsi spotkałem ciotkę waszą, pytała, czy nie idę do miasteczka, i prosiła o przekazanie pozdrowień!

— Trochę kulawa? — zapytała się zębiasta, — Czy może raczej lekko zezowata na prawe oko? Ja mam tam we wsi dwie ciotki, która to mogła być?

— Kulawa jak diabli — przyświadczył Kuba skwapliwie. Czym prędzej jednak, żeby mu dziewczyny się nie rozeszły, szukał szczęścia po raz trzeci:

—! A która z was idzie w stronę szewca?

— Ja tam idę, proszę ze mną, zaprowadzę!

No, no, trafiło się Kubie jak ślepej kurze ziarno! Dziewczę jak malowanie, włosy elegancko przewiązane wstążką, a kiedy się do Kuby uśmiechnęła, spąsowiła jak kwiatusek maku!

— No to chodźmy, panienko, ja jestem szewc! — wziął od niej wiaderko z wodą i nawet już się nie wypytywał, co będzie u majstrostwa na obiad.

Kiedy służka go wprowadziła do chałupy, czeladnicy szewcowali jak diabli, tylko im szydła w rękach furczały! Było ich pięciu, ledwo się w warsztacie mieścili, ale co to znowu? Wszyscy jak jeden mąż uszaci, a te uszy, słowo daję, takie ogromniaste, że muchy można by nimi pacać na ścianie!

Kubę strach obleciał, cóż to za dziwne szewczyki, i jak oparzony wybiegł do kuchni za służką. Dziewczyna zbladła, pewnie bała się, żeby majstrowa nie przyłapała jej z Kubą, ale ten ją tak zatrajlował, że po chwili wzięła na odwagę i szepnęła mu:

— Będą kluski, a do nich mus na słodko, ale niech kawaler nie bierze do ust tego musu! Jakoś się wymówi, że od słodkiego bolą go zęby albo coś w tym guście. Ja też tak robię!

252

Na wszelki wypadek Kuba rzucił okiem na dziewczynę, fakt, ona ma uszka malutkie i przytulne jak myszka! No proszę, skusi się człowiek na słodki mus i potem chodzi z wielkimi uszami!

Służka wypchnęła go z kuchni szepcząc, żeby po zapadnięciu zmroku przyszedł do ogródka, to mu wyjawi całą tajemnicę.

Kuba nie mógł się doczekać zmroku, ledwo na niebie zamigotała pierwsza gwiazdeczka, on już sterczał przy parkanie pod tą starą gruszą. I dla zabicia czasu co i rusz z drzewa capnął gruszkę i pogryzał.

— Sęk w tym — zaczęła mu szeptać służka, leciutko do Kuby się przytuliwszy — że nasz pan majster chce przywiązać do siebie czeladników, którzy mają trochę gliku. Ta grusza, co pod nią stoimy, rodzi gruszki uszatki, kto sobie ich podje, temu zaraz wyrastają straszne uchle. Kiedy majstrowi się widzi, że z jakiegoś czeladnika będzie miał pociechę, zaraz mu pani majstrowa przyrządza kluski z musem, ucieranym z tych gruszek uszatek! Później taki uchacz się wstydzi choćby na krok wyjść z obejścia, żeby sobie ludzie z niego nie pokpiwali, toteż gotów jest wiekować u naszego pana majstra.

Kiedy to Kuba usłyszał, zbladł jak ściana i czym prędzej pomacał swoje uszy. O rany, miał już istne łopaty, całe szczęście, że w ciemności nie rzuciło to się w oczy tej ładniutkiej służce!

— A jest na tę uszatość jaka rada? — szybko spytał drżącym głosem.

— Ano jest! Wystarczy dostać szczerego buziaka od jakiejś zakochanej po uszy dziewczyny, a te uchle zaraz się ściągają! Ale która panna zadurzy się w takim uchaczu!

Kuba duchem złapał ją w objęcia myśląc przy tym, że jest to najpiękniejsza i najszczęśliwsza służka pod słońcem i jak świat światem a Kuba na nim, żadna inna mu tak nie przypadła do serca! No i proszę, pomogło! Po chwili, kiedy znowu się pomacał, miał już uszy normalne, jak trza.

253

Tej nocy, gdy już się rozstał z tą milusią służką, ani rusz nie mógł zasnąć. Nie żeby tyle myślał o dziewczynie, te gruszki uszatki spać mu nie dawały! Ledwo zaczęło ciut, ciut świtać, wstał cichcem i w te pędy do ogródka. Natrząsł sporą torbę tych gruszek, torbę schował do podróznego tobołka i adiu! rażno pomaszerował dalej przez góry.

Na drugi dzień wieczorem stanął w gospodzie, gdzie już się zeszło mnóstwo wędrownych czeladników różnych rzemiosł. Zaraz przywołali Kubę, żeby się do nich dosiadł. Każdy wyciągał z tobołka, co tam miał, jeden chleb, drugi pieczone ziemniaki, trzeci gomółkę sera, czwarty polec słoniny i tak nawzajem się częstowali, niech każdy bierze, na co ma chrapkę. Ujrzał to Kuba i zaraz wzięła go chęć, żeby wypróbować na przygodnych kompanach, jak naprawdę działają te gruszki uszatki. Z dziesięć ich wyłożył na stół między inne smakołyki, że kto ma na nie ochotę, niech bierze bez krępacji, bo no już zjadł ich całą masę, a że od gruszek boli brzusek, więc jego już zemgliło od tego słodkiego obżarstwa.

Kompani nie dali się długo namawiać, po dobrym posiłku przychodzi chęć na soczysty owoc, toteż gruszki po chwili zniknęły ze stołu, jakby ich na świecie wcale nie było. Kuba nie spuszczał oka z tych, co je wcinali. Jak bonie dydy, z każdym kęsem zwiększały im się małżowiny uszne! W duchu już się z nich śmiał, toż nie tak łatwo będzie im teraz znaleźć jakąś kochliwą dziewczuszkę, która by takiemu jednemu z drugim uchaczowi dała buziaka od serca! Naraz uczuł na sobie czyjeś ostre spojrzenie. Zląkł się, że ktoś może przejrzał jego szelmostwo.

Aha, tam w kącie stołu siedzi stary wędrownik, co nie tknął nawet gruszek! To on wpatruje się w Kubę takimi przenikliwymi oczyma! Obleciał go strach, że ten stary mógłby wędrownikom wyjawić jego podstęp i dostałby od nich solidnie po pysku! Wolał się więc zawczasu wynieść, złapał swój tobołek i cichcem wymknął się z gospody. Ale ten stary wędrownik wyszedł za nim na próg:

254

— Słuchaj, przyjacielu, daj mi kilka tych gruszcerek! — przytrzymał Kubę za rękaw i przyciągnął ku sobie.

— A po co ci one? — zabełkotał Kuba zbity z tropu. — Tylko by cię brzucho po nich rozbolało!

— Niech cię o to głowa nie boli, przydadzą się! A za to dam ci parę jabłek, warto je mieć przy sobie!

— A cóż mi po nich? — wykręcał się Kuba. — Polec słoniny, to by było coś!

— Spokojnie, sam zobaczysz! Jedno tylko pamiętaj: jeleniowi koniczyna!

— Jeleniowi koniczyna? A cóż to za bzdura? — pokręcił głową Kuba.

Mimo to dał temu wędrownikowi garść gruszek uszatek. W zamian dostał od niego trzy jabłuszka, czerwone jak ma-linka. Wsadził je do tobołka i czym prędzej ruszył w dalszą drogę, żeby zejść z oczu tym nowym uchaczom.

Nie uszedł jeszcze dwu mil, gdy minął go garncarz powracający z jarmarku. Miał dobry dzień, sprzedał wszystkie garnki i brytfanki z wyjątkiem paru skorup, toteż patrzył na świat wesoło i każdemu by nieba przychylił.

— Siadaj, przyjacielu, podwiozę cię kawałek, po co masz niepotrzebnie podeszwy sobie zdzierać! — krzyknął do Kuby zatrzymując się na środku gościńca.

Na wozie siedział już jakiś przygarnięty przez garncarza podróznik. Był to złodziej kieszonkowy, kręcący się po jarmarkach. Na widok Kuby skrzywił się szkaradnie, dzielić

się wygodnym legowiskiem na grochowinie z takim biedakiem! Po chwili jednak spostrzegł wypakowany tobołek Kuby i uspokoił się.

Kuba wyciągnął się na grochowinie, tobołek złożywszy przy boku, od strony tego hultaja. Ledwo lekko się zdrzemnął, zmorzony turkotem wozu, zaraz to złodziejaszek wykorzystał i wsunął rękę w jego toboł. Przebierając palcami wymacał jedno jabłuszko i wyciągnął je z tobołka. Cóż, spodziewał się czegoś wartościowszego, ale dobre i to, zwilżył sobie gardło, bo akurat mu w nim zaschło. I raz dwa schrupał ja-
255

bluszko. Po czym ułożył się obok Kuby, żeby trochę odpocząć. Ale zaraz coś go zaczęło cisnąć w ciemieniu, że nie mógł spokojnie uleżeć.

Złapał się za głowę i naraz z okropnym wrzaskiem zerwał się z grochowiny. Obejrzał się garncarz, zbudził się Kuba i zobaczyli przerażonego kieszonkowca, zmienionego do nie-poznania, który trzymając się za ciemną krzychał jak opętany:

— Moja głowa! Moja nieszczęsna głowa!

Uu, nie dziwota, że labidził! Głowa mu pod palcami puchła, a z ciemienia strzelały w górę dwa jelenie rogi, a na każdym było po sześć gałęzi. I naraz z kieszonkowca stał się istny dwunastak. W desperacji zaczął bóść łbem na wszystkie strony, o mało co nie wykiął oczu Kubie, chciał widać strącić to poroże z głowy.

— A pójdziesz mi z wozu, ty potworze! — rozsierdził się na nieszczęsnego rzeźmieszka garncarz, który najwyraźniej sądził, że na wóz mu wlaź sam czart rogaty.

Zaczął złodzieja siec batem, a w końcu go pchnął biczyskiem, kieszonkowiec stracił równowagę i runął w kurzawę gościńca prosto na ten łeb rogaty. Jak tylko stanął na równe nogi, rzucił się pędem w leśną gęstwinę jak prawdziwy jeleń. Garncarz trzasnął z bata nad łbem kobyłce i pomknął z Kubą do miasteczka, co koń wyskoczy.

Kuba przez całą drogę zachodził w głowę, czemu tak nagle ten nieznamy wędrownik rogów dostał. Dopiero gdy cichaczem rozwiązał swój podróżny tobołek i stwierdził, że brak jednego jabłuszka, rozjaśniło mu się w mózgowicy. Tedy owinął pozostałe dwa jabłuszka w różne szmatki i pieczołowicie ułożył je z powrotem. Taka niebywała rzadkość z pewnością do czegoś się jeszcze przyda!

Gdy dojechali do miasteczka, garncarz zaprosił Kubę do siebie na kolację i na nocleg, widać chciał mieć naocznego świadka, kiedy będzie opowiadał sąsiadom, jak sam diabeł wlaź mu do półkoszków i jak go z nich musiał batem przeświecić. Kuba był rad, że zaoszczędził na gospodzie, a na wi-
256

ytic
^

r\:
!Mffc

dok młodej, ładnej i wesołej majstrowej dobry humor poprawił mu się w dwójnasób. A że była jak raz sobota i majster na jarmarku miał utarg jak się patrzy, kazał żonie wyciągnąć z komory poleć domowej wędzonki i parę pęt kielbasy, a także kilka dzbanów starego leżakowanego piwa, że niby musi tę swoją przygodę solidnie z sąsiadami obgadać i uczcić. Duchem posłał po druciarza, czapnika, mydlarza i po sukiennika, co mieszkali przy ich ulicy, i ledwo na wieży kościelnej ucichły wieczorne dzwony, zasiedli wszyscy za stołem i zabrali się do pałaszowania. Garncarz

dowcipkował i śmiał się co niemiara, nie mogąc się doczekać stosownej chwili, by wyjść ze swoją historią o czarcim rogowcu, tymczasem pozostali byli cisi i przygaszeni jakby przyszli na pogrzeb, a nie na biesiadę.

— Czym to się frasujecie, przyjaciele? Toż siedzicie jakby wam mowę odjęło! — trąkotał garncarz rozglądając się po swoich gościach.

Ale ci zwieszali głowy jak zmokłe kury. Wreszcie odezwał się druciarz:

— Jakże się mamy weselić, skoro nas jutro czeka taki dopust boży, a przy tym wstyd i ujma dla kabzy?! Czyżby ci jeszcze nikt nie mówił, co nam zgotowała ta nasza strzyga z zamku?

Okazało się, że na skraju miasteczka jest zamek, a w tym zamku potwornie zarozumiała i pyszałkowata córka księżęca. Wymyślała ci ona dla własnej krotochwili przeróżne hece i niezwykłości dręcząc nimi ludzi w miasteczku. Choćby dzisiaj! Kała pachółkom obwieścić na rynku, że każdy miejscowy majster rzemieślniczy musi jej jutro w południe przynieść przed zamek coś takiego, czego nie można nabyć za pieniądze. Że niby niech sobie ludziska łamią głowę, czym by można sprawić uciechę księżniczce! A kto żądaniu nie uczyni zadość, zapłaci sto dukatów grzywny do kasy księżęcej za lekceważenie sobie zwierzchności,

Mydlarzowi to nawet w to graj, dostarczy księżniczce bezcenny olejek różany, jaki jego pradziadek nieboszczyk zdo-

17 Bajki czeskie

257

był za tureckich wojen od pewnego Mahometa i za jakim na kraj świata darmo by się wyprawiać. A i sukiennik pewnie też gdzieś spod korca wyciągnie jakąś sztukę brokatu złotem przetykanego, której już dziś nigdzie nie uświadczą. Ale co mają zrobić ci pozostali nieboracy? Jeśli księżniczce czyjś dar nie przypadnie do gustu, migiem nieszczęsnego ofiarodawcę tym darem trzaśnie w łeb, a grzywnę i tak od niego wyciągną siepacze, jak gdyby od powinności się wyłgał.

— A ja już wiem, co jej jutro zaofiaruję! — krzyknął rozpromieniony garncarz. — Jednego buziaka od mojej najmilej-szej żonusi, takiego buziaka, daję słowo, nikt za żadne pieniądze nie dostanie, bo go kupić w ogóle nie można! A jeśli nie zechce, no, to przynajmniej nie będzie miała czym łba mi rozbić!

— Fúj! — zgorszyła się garncarka. —! Jak ci nie wstyd, Wendelinie! A za nic w świecie! Wolałabym iść na żeby niż z tą strzygą jeden jedyny raz się pocałować! Kuba w milczeniu słuchał, ale skoro garncarka tak ładnie zarumieniła się od gniewu, to pomyślał, że nie ma co dłużej zasypiać gruszek w popiele.

— Ale gdybym tego buziaka dostał ja, pani majstrowa, to bym wyciął taką sztuczkę, że ta wasza strzyga z zamku jadłaby mi z ręki na oczach całego miasteczka!

— Jak to... jadłaby z ręki?

— A tak, tak jak mówię! Podetknąłbym jej pod głowę garść koniczyny i zobaczylibyście, jakby się zajadała na oczach was wszystkich!

Sąsiedzi myśleli, że podochocony Kuba przechwala się jako fanfaron, ale on upierał się, że nie rzuca słów na wiatr.

— A niech tam, dam nawet mendel buziaków! — zapaliła się śliczna pani majstrowa. — Za takie widowisko mój mąż zapłaciłby i więcej!

Umowa stanęła, przybili na zgodę, wszyscy przyrzekli Kubie, że nikomu ani dudu, boby wszystko popsuli, i Kuba poszedł spać, żeby mieć nazajutrz jasny umysł. Chwilę się przewracał z boku na bok, ale rychło usnął jak suseł.

258

Oj, było się na co popatrzeć w niedzielę przed południem! Księżniczka, odstrychnięta jak istna pawica, rozparta w zamkowym oknisku, złymi ślepiami miarkowała, czym ją kto z tych rzemieślników waży się uhonorować. Przyszedł nieborak druciarz z blaszanym kogucikiem, którego kunsztownie był odrobił na swój egzamin majstrowski i za nic na świecie nie sprzedałby go nikomu, księżniczce nisko się pokłonił, że niemal ziemię gębą zamiatął, ale guzik z pętelką! Rozdarła się na niego ze wściekłości:

— Ty gamoni, wynoś mi się z tym blaszanym brzydactwem, bo mu łeb ukręcę!

Krawiec przyniósł kasaczek z mieniacego się zamszu, który przed laty odkupił od francuskiego wojaka za gąsiorek gorzałki, ale dostał po grzbiecie psim kańczugiem. Szewc nie ośmielił się ofiarowywać niczego, co wyszło spod pocięgła, niósł tedy w klatce słowiczą samkę, która mu była o niebo milsza niż jeco własna połowica, ale butna księżniczka wytrąciła mu z ręki klatkę. Czapnik zjawił się z czymś niebwywałym, trzymał w ręku żółty kamyk, przeźroczysty jak szkło, w którym tkwiła jak żywa wielgachna pchła, i jego dar odtrącono. Ba, nawet ten olejek różany, na który mydlarz tak liczył, został przez księżniczkę przyjęty z krzywą miną.

Ale, ale, patrzcie państwo, któż to się pcha pod zamkowe okno? To przecież nikt z miasteczka! Jakiś okropny uchacz z gębą obsypaną mąką, kuśtykający raz na prawą, raz na lewą nogę. W jednej ręce ma talerzyk z czerwonym jabłuszkiem, w drugiej okrągłe lustro niewieście z długim uchwytem do trzymania.

— Skąd się tu wzięłeś, ty potworny brzydalu? Przynosisz mi swoje uzyska? Takich kłapouchli doprawdy nigdzie na świecie by nie kupił! — śmiała się do rozpuku księżniczka, zanim jeszcze ten dziwny człowiek do niej podszedł.

Ale uchacz nic sobie nie robił z tych kpinek. Stał przed oknem zamkowym i palnął mówkę:

— Najjaśniejsza księżniczko, jestem wprawdzie nietutejszy, ale gdy w karczmie usłyszałem, że jaśnie panienkę interesują

17-

259

11

J

rzeczy najniezwyklejsze z niezwykłych, jakich za żadne skarby nie można kupić, wzięłem ci ja na odwagę i przynoszę to jabłuszko...

Przy czym wyciągnął rękę z talerzykiem ku oknu. Księżniczka skrzywiła się pogardliwie:

—! A cóż to za szczególna spadlina, że mnie chcesz nią uhonorować, uchaczu?

Uszaty brzydala cofnął rękę z jabłuszkiem, natomiast nadstawił księżniczce przed oblicze to lustro, które miał w drugiej ręce:

— Niech jaśnie panienka się przyjrzy tym lekuchnym zmarszczkom pod oczyma! Moje jabłuszko ma osobliwą moc. Kiedy się je zje, nawet najdrobniejsze zmarszczki znikają z twarzy, a cera robi się gładka i różowiuchna!

Księżniczka rzuciła okiem do lusterka. Ten uchacz ma rację! Skóra pod jej oczyma już nie taka gładka jak przed dziesięciu laty! Nie namyślała się wiele, wyciągnęła rękę, wzięła z talerzyka czerwone jabłuszko i tak ochoczo zaczęła chrupać, że zjadła je prędzej niżby policzył do pięciu.

Uchacz nie czekał na wynagrodzenie, zmieszał się zaraz z tłumem gapiów, co zbiegli się pod zamek. A w ciżbie naraz zahuczało, jakby się ni stąd ni zowąd zerwała szalona burza. Zrazu wybałuszano gały jak na widok straszdyła, a usta same rozwierały się każdemu na oścież w niepowstrzymanym śmiechu.

— O rany Julek! Spójrzcie tylko, ludziska! Dziw nad dziwy!

Księżniczka spostrzegła, że się wszyscy na nią gapią jak cielę na malowane wrota, ba, ta hołota paluchami ją nawet wytyka! Chciała się w oknie obrócić i zawołać z komnat kasztelana, ale biada! Na głowie poczuła jakieś straszne brzemie, a ledwo nią poruszyła zahaczyła czymś wystającym o framugę okienną i ani rusz dalej, tkwiła w oknie jak uwięziona,

— Lusterko! Lusterko! — zaczęła drzeć się wniebogłoso. Ale zanim zobaczyła w lustrze, co z nią się stało, dowiedziała się już wszystkiego z okrzyków zbiegowiska:

— Księżniczce rogi wyrosły! Patrzcie, jaki z niej jeleń-dwu-nastak! Baba-rogacz!

/

260

Nowina rozniosła się zaraz po całym miasteczku. A tymczasem księżniczka odchodziła od zmysłów waląc na wszystkie strony łbem. Brzęczało tłuczone szkło, drzazgi leciały z ram okiennych, ale wszystko na nic, bo poroże było wspaniale rosochate, w żaden sposób nie mogła księżniczka uwolnić głowy z okna.

Wieść o wybujających rogach księżęcej córki biegła szybciej od wiatru. Ludzie wracający z kościoła rozpowiedzieli ją po wioskach, toteż ze wszystkich stron waliły pod zamek chmary gapiów, jakby się paliło. Każdy chciał ujrzeć tę ukaraną okrutnicę i nie pomogły zastępy uzbrojonych pachołków rozgarniające ludzi przed zamkiem. Siepacze okazali się kroplą w morzu ludzkim, które coraz bardziej zbierało, a gdy chciano je rozproszyć sikającymi szlauchami, rozdrażniony tłum porwał na strzępy węże gumowe i sam sprawił łaźnię siepaczom ich własnymi pałkami. W niespełna godzinkę księżniczka miała nie tylko rogi na głowie, ale i pianę na ustach, taka ją wścieklizna zmogła.

W końcu zawezwano doktorar żeby jej to poroże na głowie upiłował. Doktor ostrą piłką rzezał z całej siły, aż dostał za-dyszki; uciął najpierw lewy róg, po czym zabrał się za prawy, ale nim był z robotą gotów, lewy z powrotem odrósł. I, o zgrozo, było już na nim nie sześć, jak przedtem, ale siedem kolców, tak że zamiast dwunastaka był naraz z księżniczki jeleń-czter-nastak z porożem o wiele potężniejszym.

Uszaty brzydał, co księżniczce to czarodziejskie jabłuszko podetknął, wbiegł już tymczasem do domu garncarza. Na gospodarstwie była tylko pani majstrowa, która musiała gotować niedzielny obiad. Reszta domowników gapiła się przed zamkiem. Uchacz zapukał i wszedł do kuchni, a pani majstrowa, kiedy go ujrzała, tak się złękła, że o mały figiel nie wyzionęła ducha.

— Przecież to jestem ja, Kuba, co dziś u was nocował! No, dajcie mi szczerego buziaka!

— Fuj, brzydału, wołałabym pocałować kozę między rogi niż ciebie!

261

— Toż przyobiecała mi pani wczoraj cały mendel buziaków! Jednego chcę na zadatek, powiem pani wielką nowinę!

Majstrowa zgodziła się, bo chciała usłyszeć nowinę, ale buziak był taki jakby od niechcenia, musnęła mu tylko policzek wargami. Kuba pomacał uszy, którymi dziś rano

sam się zeszpecił, żeby zmienić wygląd. Niestety, nawet nie drgnęły, nie mógł to być szczyry buziak, tylko udawany!

— No to ja pani coś powiem, obłudnico! Księżniczka dostała rogów! Uwięzła porożem w oknie zamkowym na pośmiewisko całego miasteczka i nie może się ruszyć ani w tę, ani we w tę!

Rozpromieniona majstrowa przyskoczyła do Kuby i obsypała go buziakami, i to tak szczyrymi, że potworne uchle migiem zmały. Nikomu by teraz ani do głowy nie przyszło że to on był tym uszatym brzydalem. Zaraz poprosił majstrową, żeby mu pożyczyla jakąś czarną szatę do samej ziemi, w której jak w habicie będzie mógł iść kurować księżniczkę. Garncarka wygrzebała w komodzie wdowią suknię po świekrze nieboszczce, Kuba się przebrał, wziął jeszcze do wiklinowego koszyka z klapką parę garści świeżo nasieczonej koniczyny i ruszył na zamek.

Tam zdążyło się już zgromadzić całe konsylium medyku-sów, zewsząd nazwożonych książeńcymi powozami. Uczeni mężowie ze wspartymi na rękach brodami szwargotali po łacinie, ale w żaden sposób nie mogli dojść do zgody co do kuracji, jaką trzeba niezwłocznie zastosować. Chirurgus radził, żeby ciąć, ciąć i ciąć, bo to jeszcze nigdy nikomu nie zaszkodziło. Inny lekarz ani słyszeć nie chciał o takim postępowaniu przeciw naturze, radził poczekać do czasu, kiedy jelenie zwykle tracą rogi, wtedy niechybnie i księżniczce one same odpadną. Przyplątał, się tam też przez pomyłkę również jeden wiejski znachor, len gorąco polecał tartą cebulę z miodem, zmieszaną jeszcze z kurzym tym, no ...ównem, bo to, jak powiadał, pomaga na wszystko. A że sądy były aż tak rozbieżne, nie zrobili na razie z biedną księżniczką nic, jedynie przesłoniли jej poroże, białym prześcieradłem, żeby w oczy się tak bardzo nie rzucało.

262

Kuba precisnął się w tłumie przed zamkiem pod to okno, w którym utkwiała księżniczka, jakby się blekotu najadła, a że miał na sobie tak osobliwe czarne obleczenie, zbił z tropu siepaczy, którzy przy księżniczce stali na straży. Jednym ruchem zerwał jej prześcieradło z poroża i powiada:

— Jeśli mnie jaśnie panienka co do słowa usłucha po tym, co teraz powiem, jeszcze dziś zakończymy kurację. Jeśli będzie się opierać, zostanie na zawsze z tymi rogami! Księżniczka, do reszty już otępiła i z tego brzemienia na głowie, i z tego wstydu, że na nią całe miasteczko się gapi, skinęła tylko w milczeniu ręką, że się zgadza.

— Zjemy koniczyny? — zapytał Kuba na cały głos, żeby go wszyscy zgromadzeni słyszeli.

Księżniczka chciała potrząsnąć głową, ale poroże jej to uniemożliwiło. Kuba sięgnął do koszyka, nabrał porządną garść koniczyny, pełnej czerwonych kwiatuszków i podetknął księżniczkę pod same usta.

— A gdzie tam, ona by zjadła koniczyny! — zaczęli wykrzykiwać ludzie.

— Zje, zje, tylko patrzeć, jak będzie ze smakiem wcinać!

I rzeczywiście, zrozpaczona księżniczka postanowiła popróbować tego lekarstwa. Chapnęła zębami parę czerwonych kwiatuszków i pokornie zaczęła je przeżuwać. W jednej chwili poczuła ulgę, brzemień na głowie jak gdyby naprawdę trochę zmałało. Więc przypadła ustami do tej koniczyny i dalejże paść się z takim smakiem, jak gdyby to były najwspanialsze smakołyki, zębami rwała Kubie z ręki jak żarłoczna koza. I patrzcie, pomogło! Jeszcze parę minut koziej wyzerki, a rogi na głowie księżniczki kurczyły się i kurczyły, aż w końcu zupełnie zanikły. Jedynie pod włosami zostały jej na pamiątkę dwa

małe guzy. Kiedy ludzie zobaczyli, że już po cudzie, zaczęli się rozchodzić do domów i tylko kiwali głowami:

— Jeśli po tym ta nasza strzyga nie złagodnieje, to już nic na świecie nam nie pomoże!

Kuba za uzdrowienie księżęcej córki kazał sobie wypłacić dwieście dukatów i zaraz tego wieczora całą rzecz jak należy

263

opili razem z majstrem garncarzem, z panią majstrową, no i ma się rozumieć z druciarzem, mydlarzem, czapnikiem i sukiennikiem, a ile się przy tym garncarzowa służka nabiegała do karczmy i z powrotem z pełnymi dzbanami piwa, to wiedzą tylko jej trzewiki, w których podeszwy poszły w strzępy. No a buziaków od pani majstrowej dostał Kuba nie jeden, ale przynajmniej ze trzy mendle, a mistrz garncarz patrzył na to przez palce.

Ale ten czapnik, co tam z nimi biesiadował i miał się wybornie, to była bestia zawistna i nieżyczliwa. Straszna zazdrość go brała, że Kubie tak lekko przyszło te dwieście dukatów, a jeszcze bardziej go mierziło, że garncarka takie względy okazuje temu przybłędzie. Sam miał na nią chrapkę i rad by ją mistrzowi garncarzowi jakimś sposobem uwiódł. Toteż do rana nie zasnął, przewracał się tylko na łóżku, a o świcie, ledwo przetaił oczy, popędził na zamek ze skargą, że te rogi księżniczce przyczarował, a potem znowu odczarował jeden i ten sam obcy wędrownik, za każdym razem inaczej przebrany, a namówił go do tego garncarz, u którego ten przybysz jest w gościnie.

Liczył na to, że księżniczka każe Kubę i garncarza wtrącić do ciemnicy, a wtedy przed nim stanie otworem droga do domu garncarza i do ślicznej pani garncarzowej. I zaiste nie przeliczył się. Księżniczka po wczorajszym potwornym dniu była jeszcze do cna wyczerpana, ale jak to usłyszała, wpadła we wściekłość i posłała cały zastęp siepaczy, żeby garncarza i wędrownika przychwycili i zamknęli w najgłębszym lochu zamkowym. Darmo garncarz z Kubą bronili się jak lwy, darmo pan majster wszystkie swoje garnce, dzbany i donice siepaczom o łeb roztrzaskał, darmo całymi garściami ciskali im mokrą gliną w oczy, by ich oślepić — zbrojni pachotkowie mieli wielką przewagę, było ich równo dziesięciu na jednego, toteż w końcu i Kubę i garncarza obezwładnili i powlekli na zamek.

Oj rety, rety, strasznie było w tej ciemnicy. Po glinianej wilgotnej podłodze skakały ropuchy, po ścianach ścigały się

264

pająki ze stonogami, ze szpar wylaziły obrzydliwe ziemne jaszczurki, a w kącie pod pościelą ze słomy chrobotowały myszy, które tam sobie wydrążyły norki. Ale ani garncarz, ani Kuba nie trzęśli portkami ze strachu.

—! Zamknęli nas to zamknęli, ale muszą i wypuścić! — mędrkował garncarz rozcierając nadgarstki, obolałe od kajdan, w których ich wleczono przez miasteczko.

— W tym właśnie sęk, że nie muszą! A kto ich do tego zmusi? Lepiej myślimy, jak się z tej kabały samemu wykaraskać! — doradzał Kuba. — W każdym razie nie wolno nam nawet pisać, że te rogi to moja sprawka!

I dali sobie wzajem słowo, że niczego nie wypapla, choćby ich nie wiem jak przypierano do muru. Ledwo jednak wywiedli ich po raz pierwszy na przesłuchanie, obydwaj zmiarkowali, że jest niewesoło. Pan zarządca na nich wydarł się gorzej od profosa:

— Niczego się nie zapierajcie, my i tak wszystko wiemy! To tyś, potworze, przyczarował księżniczce rogi, a tyś go do tego namówił, łotrze!

— Nieprawda! — wykrzyknęli obydwa na raz i już podnosili rękę, że mogą się przysiąc. Ale zarządca nie dał im dokończyć:

— To prawda! Był przy tym czapnik, jak żeście to wieczór opijali! On nam o wszystkim doniósł i opowiedział!

Biada, oj biada-biada, jeśli to był czapnik, to faktycznie z nimi marnie bo przy nim gadali ze sobą otwarcie. Więc już nie pisnęli ani słówkiem i dali się odwieść do tego smrodliwego więzienia, gdzie kręciły się myszy i gady.

— No, poczekaj, ty bestio czapnicka, gnaty ci poprzetrącam, jak tylko wydostanę się z tej dziury! — zaklinał się garncarz wygrażając pięścią, aż robiło się straszno.

Ale w oka mgnieniu coś mu tam w głowie jakoś inaczej zaskoczyło i zaczął na głos przemysłić:

— Ale to przecież niemożliwe, żeby nas czapnik naprawdę wsypał! Toż to jest mój sąsiad i stary kompan, morze piwa u mnie wypił, a ile krwawych kiszek i wątrobianek zjadł, a ile

265

wieczorów przesiedział! Nie, nie, nie wierzę, czapnik w żadnym razie, on by nie doniósł!

I po co by mu to było? Po co? Po co?

Raz, gdy znowu tak głośno myślał, powątpiewając o zdradzie czapnika, posłyszał to jego labidzenie profos, co im od czasu do czasu przynosił do ciemnicy wodę i czerstwy chleb.

— Po co? — krzywo uśmiechnął się do garncarza. — A więc ty, bałwanie garncarski, tego nie wiesz? Żeby móc bez problemów zachodzić do twojej żony, całe miasteczko już o tym gada!

— Co takiego? Do mojej żony? A co ona na to?

— Jej to nie w smak, ponoć już dwa razy złała go od stóp do głów pomyjami. Ale ten czapnik jest z każdym dniem coraz zuchwalszy, lata za twoją żoną jak opętany!

Garncarzowi jakby kto wbił nóż pod serce! Opuścił go naraz humor, nie jadł, nie pił, pięści tylko zaciskał i łzy jak groch płynęły mu z oczu, aż na Kubę padł strach, że garncarz z tej boleści może w więzieniu wywinąć orła. Pocieszał go jak umiał:

— Nie wygłupiaj się, chłopie, trzymaj fason! Twoja żona to rezolutna kobieta, ona nie da sobie w kaszę dmuchać! A tego czapnika bestię to my weźmiemy w obroty, niech no tylko się stąd wydostaniemy!

Ale wyglądało na to, że o tych dwóch więźniach w zamku do imentu zapomniano. I nie dziwota, na pokojach były ważniejsze frasunki! Minęła słoneczna jesień i nastały listopadowe szarugi, księżniczce od dawna ślad na ciele po rogach zaginął, ale stało się z nią coś o wiele gorszego. Kiedyś miała w głowie tylko tańce, hulanki, swawole, przejażdżki, polowania, teraz cały czas siedziała w domu jak piecuch. Zmarkotniała tak, że już nawet nie potrafiła uśmiechnąć się bodaj krzywą, wpatrywała się tylko przed siebie nieruchomymi oczyma i stawała się coraz bardziej blada, ba, nie miała już nawet, jak kiedyś, nagłych ataków wściekłości.

Co się z nią stało, myślał z lękiem książę, już nawet naczyń nie tłucze, ani sługom szklanic o łby nie rozbija, dalej więc zwoływać doktorów wszelkiej maści, a także spraszać kugla-

266

rzy wędrownych i najdziwniejszych błaznów, żeby w końcu księżniczkę rozweselili. Ale wszystko po próżnicy.

— Zobaczycie, za jakiś czasik będzie z niej wypisz wymaluj upiór, ona jeszcze za życia będzie ludziom napędzać stracha! — poszeptywali ludzie, którym udało się jakoś tam zapaść żurawia przez zasłonki, gdy przejeżdżała przez miasteczko w powozie — i przyczyni nam jeszcze radości, że w pięty człowiekowi pójdzie!

Nasi przyjaciele w ciemnicy rzecz jasna nic nie wiedzieli o tej przemianie księżniczki. Siedzieli i siedzieli, i tylko w głowę zachodzili, czemu ich ani przed sąd nie stawiają, ani do domu nie puszczają, aż pewnego razu, już tak przed Gwiazdką, usłyszeli na górze, przed bramami zamku, głośnie tarabanie w bęben, a potem jakieś bełkotanie, jakby ktoś urzędowym głosem coś wszem i wobec ogłaszał. Ale okienko w celi było maluchne i strasznie wysoko, wspiąć się do niego nie było podobna, toteż tylko snuli domysły co by to mogło być.

— Niewesoło, przyjacielu — zląkł się garncarz — wybiła nasza ostatnia godzinka! Skoro tak tarabanią, to najpewniej będą robić egzekucję, a kogóż innego poza nami mają tutaj pod ręką?

Via się rozumieć, nasi przyjaciele mieli duszyczkę na ramieniu, a na szyi czuli już ostre drapanie konopi. Ale bębnienie ucichło, a na nich nikt nie zwracał uwagi, tedy wzięli na odwagę i zaczęli walić w drzwi mając nadzieję, że uda im się w końcu przywołać jakiego pachołka czy profosa. Po dobrej chwili ktoś rzeczywiście przycłapał.

— Co tak bębnią? — zapytał się garncarz. — Czyżby kogoś mieli wieszać?

! — Ee, diabła tam! — ze zniechęceniem machnął ręką profos. — Książę pan podaje do wiadomości publicznej, że kto pobudzi do śmiechu naszą księżniczkę, dostanie w nagrodę, co żywnie mu się będzie podobało!

— A ona sama nie potrafi się śmiać? — zapytał się Kuba.

— Co by nie potrafiła — skrzywił się garncarz ! — ileż to razy nam, szarym ludziom, w nos się śmiała, wstyd mówić!

267

— Ano bywało, przyjacielu — wzruszył ramionami profos — ale to dawniej, teraz ma cięgiem ponurą minę, aż strach na nią patrzeć! Do imentu nam ninie zmarkotniała!

— A to każdy może spróbować księżniczkę napędzić śmiechu? — dopytywał się Kuba.

— Każdusieńki, tak samo pan jak i cham, toż wam powiadam, że to przed chwilą rozbębnił na cały powiat! Sam książę pańskim honorem to poręcza!

— No to im na górze powiedz, że ja spróbuję!

Profos i garncarz dobrą chwilę gapili się na Kubę w zdumieniu.

— Ty? Zwariowałaś, czy co? Toż ty byś już dawno dyndał na sznurze, gdyby w tym mętliku nie wyszło im to ciut z głowy? Tyś przecie ta najgłówniejsza przyczyna zmarkotnienia księżniczki! — zaperzył się profos, aż mu koniuszki wąsów zadygotały.

— Mimo to zapytaj się pan, panie profos, czy i ja bym mógł spróbować! Ja ją rozchichotam, aż będzie beczeć ze śmiechu ta wasza markotna księżniczka! — sypnął przechwałkami Kuba.

— Cóż, zapytam się w kancelarii — bąknął zbity co nieco z tropu profos i czym prędzej zatrzasnął za sobą okute dźwie-rze.

Ledwo zostali sami, garncarz chwycił Kubę za bary:

— Jakubie, przyjacielu, po co sam pchasz łeb w pętlę! Opamiętaj się, mało to nieszczęść już na nas ściągnąłeś? Co ty znowu knujesz?

— A knuję, knuję, przyjacielu. Zobaczymy, co z tego wyjdzie — drapał się Kuba po makówce, a po chwili rąbnął garncarza w plecy — ale jeśli puszcza mnie na wolność na jeden dzionek, wygotuję księżniczce takie szelmostwo, że pęknie ze śmiechu! No, a gdyby się nie rozeźmiała, to przynajmniej pomszczę się na tym czapniku, że ruski miesiąc popamięta!

Kiedy garncarz usłyszał o zemście na czapniku, bez oporów przystał na wszystko. Ale Kuba nie zdradził mu swojego planu, trzymał go w tajemnicy. Na drugi dzień, gdy profos przy-

268

oiósł im na obiad dzban zimnej wody, Kuba z niecierpliwością go zagadnął:

— No jak, panie profos, pytał się pan w kancelarii?

— A co bym sobie język strzępił! Jeszcze by jaśnie państwo pomyślało, że jestem z tobą w zмовie! — wykręcał się profos.

— W porządku, ale pamiętaj pan, panie profos, że jeśli księżniczce się pogorszy, będzie to pańska wina!

Zastrachał się profos i przyrzekł pod gromem zaraz dziś zameldować o Kubie jaśnie państwu. Na drugi dzień wezwano Kubę do kancelarii. Tym razem zarządca nie darł się, ani nie wygrażał, bo księżę pan mu surowo przykazał, żeby dla dobra jego córki obchodził się z Kubą jak z jajkiem, siedział jedynie z miną sępa i chętnie by Kubę dziobnął swoim wielgachnym nosem, ale tylko oschle zapytał:

— Więc ty zuchwale twierdzisz, że rozśmieszysz najmiłoś-ciwszą księżniczkę?

— Tak jest — odparł Kuba bez wahania — jeśli mnie wypuścicie na jeden dzionek na wolność, dokażę tego!

— My cię puścimy, a ty weźmiesz nogi za pas! Nie ma głupich!

— No to mnie nie puszczajcier skoro siedząc w tej dziurze będę przydatniejszy. Może pan sam rozśmieszysz księżniczkę krzywiąc wesoło gębę! — rezolutnie wypalił Kuba i już na pięcie się odwracał, żeby iść z powrotem do ciemnicy.

Pan zarządca się wystraszył, że Kuba zacznie mieć muchy w nosie, toteż szybko zawołał:

— Puszczę cię do jutra do wieczora! Ale nie próbuj mi uciekać, złapiemy cię, a wtedy własnoręcznie ci uszy oberwę!

— Gdzie bym tam uciekał, kiedy mi księżę pan obiecał nagrodę? Przecież jej nie zostawię, żeby się zmarnowała, taki cymbał to ja nie jestem!

W ten sposób Kuba wyszedł na świeże powietrze i w te pędy pobiegł do garncarki. W paru słowach jej wyjaśnił, o co chodzi, i zaraz zaczął szukać swojego tobołka, który zostawił fu na ławie, kiedy go na jesieni siepacze aresztowali.

— Nie martw się, jest tu, wrzuciłam go do szafy!

269

Migiem tobołek wyciągnęli, Kuba go rozpakował — dobra nasza! Jabłuszko rogatko leżało w nim nienadpsute, czerwo-niutkie, jak gdyby je dopiero wczoraj z drzewa zerwał. Za to z gruszek uszatek zrobiła się już brunatna pacia. Kuba poprosił garncarkę, żeby ze wszystkiego tego owocu usmażyła w garnku słodkie powidła, niech doda rumu, cynamonu, goździków, żeby to mile łechtalo powonienie, tylko niech na Boga nie waży się próbować, jeśli nie chce, żeby jej się coś paskudnego przytrafiło. Garncarka była szpakami karmiona, jej nie musiał dwa razy powtarzać, po co mu te powidła. Kiedy już ich nasmażyła, Kuba polecił:

— A teraz niech Majolenka szybko upiecze placuszków z tymi powidelkami, ale żeby pachniały na pół mili! Nie trzeba żałować jajek, masła i olejków, muszą mieć taki zapach, żeby z daleka każdego do siebie ciągnęły! Żeby każdemu zaraz na nie ślinka ciekła!

Garncarka duchem zabrała się do roboty, Kuba koło niej przysiadł i zagadnął:

— No, a co sąsiad czapnik? Ciągłe jeszcze zachodzi do Majolenki na zalecanki?

— A bodaj go święta ziemia pochłonęła! Gdzie się tylko ruszę, już koło mnie skacze, cap cholerny! Ach, co ja bym dała, żeby go się pozbyć!

— A wiesz pani co, pani majstrowa? Niechże pani go dziś przyhołubi i na wieczerzę zaprosi, kiedy placuszki już będą gotowe! Zobaczy pani, jak się on ucieszy!

— Oszałałeś, Kubo, czy co? — obruszyła się garncarka.

— Nie, nie oszałałem, miła Majolenko! Tylko muszę tę księżniczkę doprowadzić do śmiechu!

Cichcem wyłożył garncarce na ucho swój plan, szelmutka zgodziła się z Kubą co do joty. Kuba ukrył się w komorze, pani majstrowa otworzyła okno i wypuściła co nieco tej drażniącej woni placuszków na ulicę. Po małej chwili stał już pod oknem czapnik, wścibsko i obleśnie zerkając do środka.

Jak tylko ujrzał garncarkę, zaczął paplać:

— Niepospolita pani sąsiadko, pachnie u pani jak przy

odpuście! Jak bonie dydy, pewnie czekasz pani na jakichś gości?

Garncarka przybrała bezbłędnie smutną minę i powiada:

— Ach, najmilejszy panie majstrze, jakich gości mogłaby oczekiwać tak opuszczona od wszystkich niewiasta jak ja? Toż. pan wie, że jestem teraz jak ten kołek w płocie, nikt do ranienia zajdzie, nikt do człowieka gęby nie otworzy, nikt nawet słówkiem nie pocieszy... Czapnik się zdumiał, że w tej garncarce taka naraz przemiana nastąpiła, toż jeszcze przed tygodniem kubelek pomyj ma na łeb wylała, kiedy się do niej zalecał. Ale że miał rozumu tyle, co kot napłakał, pomyślał, że garncarce już ta samotność do cna obmierzła, a jemu w to graj.

— No, nie jest tak źle — zaczął puszyć się jak młody kogut, że tylko patrzeć, jak będzie bił skrzydłami o ziemię — znalazłby się ktoś, kto by sobie poczytywał za zaszczyt, że może się podjąć tak słodkiej misji...

— Ba, znalazłby się — westchnęła garncarka spuszczając oczy — ale czyż mnie wypada kogoś takiego szukać albo mu dawać znaki, skoro się sam nie domyśla? W dzisiejszych czasach, niech mi pan wierzy, mężczyźni są strasznie niedomyślni!

Na te słowa czapnik dostał aż zawrotu głowy:

— A gdybym tak... tego... no... na ten przykład... gdybym powiedzmy, ja...?

— Ba, pan sąsiad — przewróciła białkami garncarka — ja już dawno zmiarkowałam, jaki z pana miły i hecny człowiek. Ale czyż mogłabym od pana sąsiada wymagać, żeby zaszedł tu kiedy pocieszyć opuszczoną niewiastę?! Cóż, nie śmiałabym,więc siedzę tutaj całe wieczory samotnie... jak na ten przykład dziś...

Głupol czapnik poczuł się w siódmym niebie. Zabełkotał tylko: — Ja za momencik, za momencik!

I pognął do domu, gdzie nawsadzał na siebie całą zbieraninę najgalanciejszego przyodziewku, jaki tylko miał w szafach.

— A dokądże tak się wycudaczasz, stary wariacie? — zagabnęła go czapniczka.

270

271

— Aa, wiesz, pan zarządca z zamku mnie wzywa, sama rozumiesz, musowo się cokolwieczek odstrychnąć! — łgał czapnik jak najęty.

Tymczasem garncarka nakryła do stołu, opróżniła jedną szafę z przyodziewku, po czym wysypała do niej jak jej polecił Kuba całą wielką poszwę dartego pierza, a na górną półkę wstawiła półmisek z pachnącymi placuszkami i wreszcie pod ścianę w najciemniejszy kąt postawiła beczkę pełną plastrów rzadkiego miodu, które wyjęła z uli w ogródku! Po tych przygotowaniach dała znać Kubie, że wszystko gra i siadłszy pod oknem czekała na przyście czapnika.

Ledwo wybiła ósma na kościelnej wieży, czapnik przyleciał jak kot z pęcherzem.

Garncarka spuszczała oczy, płoniła się, a zarazem sadziła się wobec czapnika na drobne uprzejmości, tak że był do cna skołowany. W końcu posadziła go do pięknie nakrytego stołu, nałała mu solidny kielich młodego wina i zażyczyła sobie, żeby wypił do dna za ich przyjaźń. Otumaniony czapnik posłuchał się, a że miał pusty żołądek, w jednej chwili go rozebrało.

Już się do garncarki garnął dopraszając się o buziaka, gdy ;naraż w drzwi wejściowe buch! buch! dwa potężne uderzenia, jakby piorun walił. I zaraz rozległ się głos, niechybnie należący do garncarza:

— Majoleno! Żono! Jesteś w domu? Otwieraj! Garncarka zerwała się z krzesła i załamała ręce:

— O rety! To mój mąż! Pewnie go puścili z więzienia! A może uciekł! Jak nas razem zobaczy, oboje nas zakatrupi!

Czapnik zbladł jak płótno, śmiertelny pot mu wystąpił na >czoło.

— Co robić? Rany boskie, gdzie by tu się ukryć?

— Tutaj! — wyszeptwała garncarka ciągnąc czapnika w ciem-:ny kąt i pokazując mu przykrytą beczkę.

Czapnik nie zwlekając podniósł wieko i wskoczył do beczki jakby to było zbawienie niebieskie. Zaraz poczuł, że coś łamliwego rozgniała. Zaczął macać dokoła, palce lepily się jak dia-ibli. Ale już garncarka z całej siły przycisnęła wieko przydu-

1272

szając mu głowę i wtlaczając go w plastry z miodem, poczuł, że nurza się w kleistej cieczy.

— Ratunku! — jęknął wyważając ciemieniem wieko. — Utonę tu w miodzie!

— To wylaż pan! Tylko szybko! — wzniosła ręce do niego garncarka.

Z ulicy słychać był oznowu walenie i okrzyki:

— Majoleno! Co tak długo nie otwierasz? Czyżby ktoś był u ciebie?

Tak więc, ledwo czapnik wylazł z beczki, garncarka złapała go za rękę i migiem zaciągnęła do szafy.

— Tylko cicho-sza, jeśli życie panu miłe, choćby nie wiem co się działo!

— Będę cicho jak mysz pod miotłą, jak niemowlę, jak rybka! — przyrzekał czapnik.

Kiedy garncarka zamknęła szafę, skulił się w kącie i zamarł. Tylko zęby mu szczękały ze strachu, aż dziw, że nie ugryzł sobie języka.

Garncarka poszła otworzyć Kubie, który bezbłędnie naśladował głos garncarza.

— Mężusiu drogi, skąd. się tak niespodziewanie tu wzięłeś? Prędeż bym śmierci czekała niż ciebie! — wykrzykiwała garncarka piskliwie, jak ją przyuczył był Kuba.

— Uciekłem z więzienia! — zagrzemiał Kuba. — Siedmiu siepaczy rozharatałem i na śmierć zatłukłem, a wszystko po to. żeby straszną zemstę wymierzyć!

— Na pięć ran Pana z samego rana, mężu mój, komu chcesz tę zemstę wymierzyć?

•— A komużby innemu jak nie temu łotrowi czapnikowi! To on nas na zamku zdradził i zaprzedał! Niech no mi się tylko nawinie pod rękę, żywcem go ze skóry obedrę!

Czapnik w szafie wszystko świetnie słyszał i tak się cały zaczął trząść, że aż szafa dygotała. Garncarkę i Kubę taki śmiech ogarnął, że ledwo się powstrzymywali, Kuba jednak ciągnął dalej swoje pomstowanie.

— A dzisiaj czasem gdzieś go nie widziałaś, drapichrusta

18 Bajki czeskie

273

jednego? Ponoć często koło naszego domu się szwenda! A może go tu cichaczem wpuszczasz?

— Coś ty, mężu, taką łamagę, za żadne skarby! Ale był tu dziś wieczór pod oknem, zaczynał zagadywać!

— Chyba go nie zaprosiłaś do naszego domu, obłudnico przeklęta?

— Mężu kochany, o co ty mnie posądzasz!? Nawet kija by mi było szkoda na takiego cymbała!

— Twoje szczęście! Gdybym go tu we własnym domu przy-dybał, słowo daję, że żywcem bym go rozszarpał!

Na te słowa czapnik, półprzytomny z przerażenia, omdlał do reszty. Kuba zamknął szafę na dwa spusty i co sił w nogach popędził na zamek. Zastukał we wrota, a gdy klucznik wystawił głowę, krzyknął mu, że ma natychmiast oznajmić księciu panu, że oto przyszła ta godzina, w której zmarkotniała księżniczka niechybnie się roześmieje. Klucznik by go z pewnością posłał do wszystkich diabłów, gdyby nie chodziło o tak ważną rzecz. Zaraz powiadomił pana zarządcę, a ten, choć ze wściekłości go skręcało, szybko się udał do księcia pana. Zegar zamkowy już wybijał trzy na dziewiątą, toteż pan zarządca nie omieszkał księcia zapytać, czy na takie hokusy-fokusy nie za późno, ale ksiądz aż się zaperzył:

— Na szczęście mojego jedyne dziecko nigdy nie może być za późno, zapisz to sobie pan, dyrektorze, na wołowej skórze!

Księżniczka siedziała w swojej komnacie jak dziwadło, wyglądała coraz marniej, aż strach było patrzeć. Nawet głowy nie podniosła, kiedy ksiądz do niej zagadał, zgodziła się wszakże iść do gościnnego saloniku, gdzie Kuba miał uskutecznić swoje czary.

Kuba jedynie poprosił, żeby posłano dwóch krzepkich pachółków z wozem po starą szafę, co stoi w domu garnarczy i niech ją czym prędzej przywiozą. I cokolwiek by się działo, niech nie zwracają na to uwagi, a w żadnym razie szafy nie otwierają.

Tymczasem czapnik w szafie co nieco oprzytomniał. Było już cichusieńko, nic się nie działo, uradowała się w nim du-

274

fi

szyczka, że wszystko jeszcze być może skończy się szczęśliwie. Najważniejsze, że go garncarka nie sypnęła! Już z tego widać, że jest czapnikowi przychylna! Tak go ta myśl ucieszyła, że nowy duch w niego wstąpił, nawet spróbował uchylić drzwi szafy. Niestety, drzwi trzymały twardo jak przybite. Więc siadł znowu w pierze, że niby trzeba poczekać, aż garncarka sama przyjdzie go uwolnić.

Naraz, gdy tak siedział w kucki, zaleciała mu w nozdrza ta woń, co go przywabiała wieczorem pod okna garncarki. A że od obiadu nic nie jadł, a wypite wino podsyciło w nim głódr więc zaczęła mu cieknać ślinka. Zaraz, zaraz, te smakowitości są gdzieś tu na wyciągnięcie ręki, toż ta ich woń prosto w nos bije. Najpewniej są w przegródce szafy, bo coś jakby stamtąd! to pachniało. Zaczął macać rękoma nad głową, no i masz, diable, kropidło, domacał się na półce całego półmiska placków! Dla kogóż by je garncarka przygotowała, jeśli nie dla niego! Ściągnął parę w garść i zaczął jeść. Jejuniu drogi, toż one same mu się na języku rozpływają! Czapnik bestia był łakomczuchem, po jednej garści sięgnął po drugą, potem po trzecią, na koniec zgarnął resztę. Ale nim spałaszował ostatni placek, uderzyło go w uszy jakieś nowe tarabanienie na zewnątrz i ponowny łomot w drzwi szafy, jak gdyby powrócił ten dzikus garncarz! Czapnik przycupnął w kąciku jak trusia i zamarł czekając, co będzie dalej. Ale serduszko chciało mu aż wyskoczyć z radości, kiedy usłyszał, że są to pachółkowie z zamku i że domagają się od garncarki, by im natychmiast i bez zwłoki oddała tę starą szafę, bo mają ją dostarczyć na zamek. Dobra nasza! Zamek mu przychodzi z pomocą! Przydała się znajomość z panem zarządcą, on mu doniósł o garncarzu i tym podróżnym, a teraz przysługa za przysługę! Toż na zamku ten wściekły garncarz już mu nic nie zrobi! Toteż gdy pachółkowie szafę wynosili, milczał jak zakłęty.

— O kurdebele, ten stary grat, Józwo, jest cholerycznie ciężki! — rzekł do towarzysza jeden z pachółków dźwigających szafę.

18*

275

— No cóż, zamachniemy się, Honzo, ździebko, to chyba jakoś przeleci na furę przez te drabiny!

Szurnęli ją na drabiniak, że o mały włos nerki by się czapnikowi oberwały, przy tym, o rety, umieścili na wozie szafę do góry nogami. Czapnik jak wór zjechał z jednego końca w drugi, wyrznął nosem o półmisek po plackach i na dobitkę zaczął się dusić w kotłującym się obłoku pierza. Miał go pełne usta, drapało go w nos, rozkichał się, rozprychał i rozparskał, ale pachółkowie właśnie trzasnęli z bicza i pojechali co koń wyskoczy, tak że w turkocie kół na kocich łbach nie było słychać, co tam w szafie się wyczynia. Czapnik myślał, że to już jego ostatnia godzina, ale po chwilce pierze osiadło i zrobiło mu się ociupinkę lżej. Tylko co to się dzieje z jego nieszczęsną głową? Nie mógł nią ruszyć ani w lewo, ani w prawo, jakby mu ją wtłoczono w jakieś imadło. I ten potworny ucisk w ciemieniu, co to może być? Zaczął rękoma macać po czaszce i nagle omalże nie padł trupem. On też ma rogi! On, czapnik! Ratuunku! Ale wóz stukotał o bruk i czapnik mógłby sobie gardło zedrzeć od krzyku, nic by mu nie pomogło. Tymczasem Kuba czekał jak na rozżarzonych węglach, kiedy wreszcie tę cholerną szafę przyniosą. Siedział naprzeciwko księżniczki, która spozierała jak puszczyk, obok niej był książę pań i pan zarządca, co ze złości wpijał w Kubę świdrujące oczy, a w kąciku przycupnął również nieborak garncarz, przyprowadzony na żądanie Kuby, bo inaczej, zagroził, niczego się nie podejmie. Nawet jeśli ta próba się nie uda, mówił sobie Kuba, to przynajmniej ten nieborak garncarz będzie miał frajdę z widoku łotra czapnika. Kiedy wreszcie usłyszał, że pachółkowie wjechali wozem na dziedziniec, pokłonił się Kuba jaśnie państwu i powiada, że przedstawi im teraz pewną okrutnie wesołą, ale zarazem prawdziwą i pouczającą historyjkę, a mianowicie o pewnym don-szujanie, jak smaślił koperczaki do żony sąsiada, którego wcześniej wsadził do kozy. Ale w czasie

tych zalecanek wpadł do beczki z miodem, a potem ukrył się w szafie z pierzem, bo się zląkł, że ten zamknięty małżonek przyszedł do domu.

276

Księżniczka na to ani ślipiem nie mrugnęła, siedziała jak ta mumia z utkwionym wzrokiem gdzieś przed siebie, jakby dla niej Kuba ze swoją historyjką w ogóle nie istniał, książę pan milczał, zarządca popatrywał jak sęp.

— Chciałbyś rozśmieszyć księżniczkę takimi dubami smalonymi? — nasępił się na Kubę. — Byli tu już nie byle jacy artyści, na rękach chodzili, skrzypce sobie wzajem o łby rozbijali, koziołki fikali, śpiewali, tańcowali, gęby wykrzywiali, a jednak żaden nic nie wskórał!

— Ale donszujana w miodzie i pierzu to jej jeszcze nikt nie pokazał! — bronił się Kuba, ale sam czuł dziwne ssanie w brzuchu.

— A czy jest w tym w ogóle coś śmiesznego! — oburzył się pan zarządca myśląc, że Kubie już nic nie wyjdzie, bo miał chętkę oddać go w ręce siepaczy, żeby na sino wygarbował mu skórę.

— Ma się rozumieć, to jeszcze nic takiego, naprawdę do śmichu to dopiero będzie za chwilę — koloryzował Kuba, ale miał stracha, że z tym rozśmieszeniem księżniczki to już beznadziejna sprawa.

Również książę pan się nachmurzył — tylko że na zarządcę, bo zmiarkował, że zarządca pragnie, żeby się Kubie jego próba nie powiodła.

— Ciężkiem przeszkadzasz pan, dyrektorze — ofuknął go surowo — trzeba uczynić wszystko, co ten człowiek przykaże! Potem będziemy osądzać! Najważniejsza rzecz teraz to zdrowie księżniczki!

Pachołkowie postawili szafę, Kuba zastukał w nią kułakiem i znowu tym garncarzowym głosem, który czapnik tak wystraszył, wykrzyknął:

— Donszujanie, jesteś tam?

Czapnik nie wiedział co robić ze strachu. Zaczęły inu się na. raz trząść ręce i nogi, głowa i osierdzie, a razem z njm zupełnie jak żywa dygotała i szafa, do której ciasno przywierały jego rogi. Pachołkowie, stojący przy drzwiach, zaśmiej się, aie tylko półgębkiem. Jaśnie państwo pozostało ponure, więc nic

277

już Kubie nie pozostawało, jak otworzyć drzwi i ukazać czapnika w pełnej krasie.

To dopiero był widok! Czapnika tak dokumentnie oblepiło pierze, że wyglądał jak ogromniasty gąsior, stroszący pióra. Na dobitkę pierzasta jego gęba z wybałuszonymi gałami przypominała puchacza, uszy jak dwie płachty klapały mu o ramiona a nad tym wszystkim wspaniale rozgałęzione poroże wypełniało resztę szafy. Zamrugał przerażonymi ślipiami, ledwo stanął w pełnym świetle komnaty, i jak tylko ujrzał garncarza, chciał się wyrwać z szafy i wziąć nogi za pas. Ale jego rozwidlone rogi tkwiły kolcami w drewnie, tak że musiał sterczeć w szafie jak przykuty. Jedyne, co mógł, to wymachiwać rękoma i kwiczeć jak zarzynane prosię:

— Litości! Zmiłowania! Ten szalenciec mnie poćwiartuje! Pachołkowie, co tę szafę przynieśli, buchnęli śmiechem jak

opętani, garncarz dobrodusznie w nos się roześmiał ukaranemu rogaczowi, aż mu łzy z oczu pociekły. Również książę pan cicho chichotał na widok tego cudaka i przyszło mu do głowy, że tak wydarzonego dwunastaka już dawno nie miał na muszce. Tylko pan zarządca chmurzył się jak diabli, a księżniczka siedziała obojętnie, choć lewy kącik ust

jej lekko drgnął. Kubę zdjął strach, że wszystko psu na budę. Już myślał, że spasuje i odda się ręce strażników, żeby go z powrotem zamknęli, gdy nagle w ostatnim przebiegu struchlałych myśli przypomniało mu się, co książe pan przed chwilą powiedział zarządcy:

— Trzeba uczynić wszystko, co ten człowiek przykaże! Zarządca nie mógł się powstrzymać od zwycięskiego okrzyku:

— No proszę! Nie śmieje się! Z góry to wiedziałem! Byłem pewien, że tak będzie!

— To najśmieszniejsze dopiero przed nami! — wyskoczył Kuba na zarządcę, aż mu uszy spurpurowiały. — Teraz zrobimy zawody, a książe pan rozsądzi, kto wygra!

— Jakie zawody? — zapytał książe, którego jeszcze nie opuszczała nadzieja.

278

— A takie! Ja będę czapnika obierał z pierza, a pan zarządca z drugiej strony będzie zlizywał z niego miód! Kto będzie wcześniej ze swoją robotą gotowy, wygrywa, a ten, co przegra, będzie musiał na oczach wszystkich pocałować go w kapotę!

— Ja? Zlizywać miód z czapnika? Niech Książęca Mość pozwoli, że tego bezczelnego łotra każę zaraz obić! — rozsierdził się nie na żarty zarządca, sczerwienił jak indor i już sam się rwał z pięściami do Kuby.

— Spokojnie, dyrektorze! Więc pan nie zrobiłby tego dla szczęścia mojej córki? — zaperzył się książe. — Nuże, prędzej mi tu stawać do zawodów, jeśli nie chcesz pan poznać, co to mój gniew!

I kochany dyrektor musiał posłuchać, bo nie chciał stracić względów księcia i wysokiej posady. Wytrzeszczył oczy, wywalił język i jął wypatrywać na czapniku miejsca, skąd by najlepiej zacząć zlizywanie... Gdy tylko podszedł do czapnika z wywalonym językiem i liznął go po brodzie, księżniczka naraz pochyliła się do przodu, kąciki ust jej się rozedrgały i ledwo zarządca parę razy liznął i zaczął strasznie się krzywić, bo połknął pióreczko, ogarnął ją taki szczery chichot, że aż się cała trzęsła.

— Nasz dyrektor... nasz dyrektor liże czapnika! — wykrzykiwała krztusząc się od śmiechu i ciągnąc za łokieć księcia pana, żeby i on czym prędzej na to popatrzył.

— Śmieje się! Śmieje! Nareszcie! — nie posiadał się książe z radości.

Skoczył zaraz do Kuby, złapał go za szyję i jął go ze szczęścia całować.

— Widzi najjaśniejszy pan, ja to mówiłem, to co najśmieszniejsze miało być na końcu!

— wykrzyknął Kuba z ulgą, wyrывая się z objęć księcia pana, że niby nie może się poszkapać i koniec końców przegrać zawody z panem zarządcą.

Z poważną miną rzucił się do obierania czapnika z pierza.

— Co tam, dajcie już sobie spokój z tymi zawodami! — zawołał książe pan. — Niech czapnik sam się obierze z piór i obli-że, skoro sam wlaź do miodu i w pierze!

279

— Ale kto kogo pocałuje w kapotę? — spytał niby to zakłopotany Kuba.

— Dyrektor ciebie, toż przecież wygrałeś na całej linii!!

I nadstawił się Kuba z rozkoszą panu zarządcy, a ten musiał go cmoknąć w jego wędrownicką wyświechtaną kapotę. Księżniczka śmiała się z tego nie mniej serdecznie jak z oblizywania brody czapnika. Książe pan wdzięczny za uleczenie księżniczki kazał wypuścić zaraz Kubę i garniarza, a Kubie na odchodnym czapkę dukatów wręczył.

— Ale co będzie ze mną? — lamentował uszaty i rogaty czapnik, którego pacholkiwie przemocą musieli z szafy wyrzucić.

— Z tobą, ty donszujanie? To proste, nażryj się świeżej koniczyny, to ci znikną rogi. A uszy ci zmaleją, gdy jakaś kobita da ci szczerego buziaka! — roześmiał się Kuba już w progu, po czym razem ze swoim przyjacielem garncarzem smarowali z zamku do miasteczka.

Wszystkim odtąd było dobrze, tylko czapnikowi jeszcze długo nie. No bo taka najwyczejniejsza rzecz jak świeża koniczyna! Skąd tu ją wytrzasnąć pod koniec roku, kiedy wszystkie pola są śniegiem po kolana zasypane? Żona czapnika, której było wstyd za własnego męża-rogacza, chętnie by rozgrze-bywała śnieg choćby rękoma, gdyby tylko chłopci jej powiedzieli, w którym miejscu jest posiana koniczyna. Ale chłopci pary z gęby nie chcieli puścić, wzruszali tylko ramionami, że niby sobie nie przypominają; byli wściekli na czapnika, że tak sromotnie wydał panom garncarza i Kubę. Musiał czapnik nosić rogi aż do wiosny, żeby się wreszcie nażreć świeżej koniczyny. Ale te straszliwe uszy, które mu wtenczas w szafie wyrosły pospołu z rogami po placuszkach garncarzowej, pozostały mu już na zawsze, bo nawet jego własna żona nie była w stanie dać takiemu brzydalowi naprawdę szczerego buziaka!

Jak wędrował Honza do Leniraju

Była w Dalskabatach pewna wdowa, ta ci miała syna Hon-zę, leniucha nad leniuchy. Był już z niego chłop na schwał, że mógłby skały łamać, ale praca mu śmierdziała na dwieście staj. Wolał uwalić się za piecem w zimie, a na trawie za chałupą w lecie, i czekać, żeby matuś pod nos mu wetknęła coś do spałaszowania. Z tego nieróbstwa był tak połamany, toteż musiał ciągiem odpoczywać i tylko pojękiwał, że tu go kłuje a tam znów swędzi albo pije. Ale nawet podrapać się sam nie dał rady, choćby go nie wiem jak swędziało, rękę podnosić aż ku potylicy — to już niech lepiej swędzi. Gdyby nie matuś, ze szczeniem by go wszy zjadły.

— Honzo, leniu jeden, toż ty żywcem zginiesz! Rób coś! — wołali przez płot ludzie, którym obmierzło to jego wieczne leniuchowanie.

— Ee tam — Honza na to przewracając się na drugi bok — a po cóż miałbym coś robić, toż na świecie już wszystko zrobione! Ja tam pracy nie wymyśliłem, niech krzątają się ci, którym jej się zachciało na świecie!

Ale stało się, że matuś Honzy zaharowała się na śmierć i nikt się we wsi nie znalazł, kto by kochanego Honzę chciał używić, Honza leżał za piecem, kiszki mu marsza grały, ale on gapił się i gapił w powałę i tylko myślał sobie:

— No cóż, zobaczymy, czy by się nie dało nie jeść! Spróbuję

281

się oduczyć, przynajmniej bym nie musiał szczękami kłapać i jęzorem mleć!

Jednak nie dało się, z każdym dniem było gorzej. Gęba i żołądek były coraz niespokojniejsze i Honza zrozumiał, że jeść się musi, że od tego nie można odwyknąć, tak jak od pracy. A że matuś Honzy była komornicą i nie ostało się po niej ani tyle, co kot napłakał, rad nie rad musiał Honza poprosić gospodarza, żeby go przyjął do służby. Kmieciowi nie uśmiechało się mieć na garnuszku takiego pracusia od siedmiu boleści, ale że jak raz odszedł od niego parobek, tedy Honzę na koniec jednak przyjął i posłał go na pole siał groch.

Kiedy Honza przyjechał na pole, dobrą chwilę przedumał nad tym grochem, no bo nie wiedział, co z nim robić. Wreszcie jednak nabrał go pełną czapką i jął okrągłe ziarenka rozrzucać po polu jak popadło.

— Szkoda, że go przedtem nie ugotowałem — mruzczał pod nosem — byłby miękniejszy i o wiele szybciej by wzeszedł!

Pole było pod lasem, na piewszych z brzegu sosnach siedziały gołębie. Jak tylko zobaczyły, że Honza rozrzuca po polu groch, zaczęły jeden przez drugiego gruchać:

— Gru-oo-chu, gru-oo-chu, Honzuniu, daj nam groochuu! Honza słuchał tego gruchania przez chwilę, po czym nie

rzekłszy ani be, ani me, rozrzucił groch dalej. Aż tu gołębie całą chmarą spadły na pole i zaczęły groch wydziobywać, gdzie tylko go Honza posiał. Widząc to, po drugiej zaledwie czapce, którą jak raz kończył rozsypywać, zeżlił się:

— Ładne kwiatki, ja będę nogi ciągał po całym polu, a wy mi będziecie wszystko wyjadzać za piętami! Nie ma głupich! Na, macie tutaj na kupie, przynajmniej nóg oszczędzę i odpocznę sobie po tej mitrędze!

Wysypał groch z worka na jedną kupę, uwalił się opodał i pusty worek włożył sobie pod głowę. Gołębie rzuciły się na groch, do leśnego stadka siniaków hurmem zleciały się głodomory skalne i ich kumoterkowie z wiejskich gołębników i zanim oddzwoniono południe, wydziobały wszystko co do ziarnka. Po tej sowej ucztce przyfrunął najstarszy gołąb trzymając

282

w dziobie złotego dukata, którego leśne siniaki znalazły w gnieździe sroczym, i rzucił go Honzie:

— Na, masz, Honzuniu, za ten groszek!

Honza wsadził dukata do kieszeni i był zadowolony. Sianie grochu miał z głowy, teraz jedynie czekał, żeby mu przyniesiono obiad. Ale u kmiecia był zwyczaj, że każdy brał sobie sam w pole pajdę chleba z twarogiem. Tedy Honza czekał po próżnicy. Jakoż w końcu nie wytrzymał, bo mu żołądek kruczał już jak diabli, wsiadł na furę i ruszył na obiad do wsi. Po drodze natknął się na swojego gospodarza, orzącego zagon pod buraki. Kmieć, ujrawszy Honzę, z daleka do niego zawołał:

— No jak, posiałeś?

— Posiałem, wszystko co do ziarnka — przytaknął Honza z zadowoleniem. — A do wieczora co mam niby robić?

•— Ano przy grochu, co mu przynależy! — krzyknął gospodarz, mając na myśli zagrabowanie i bronowanie.

Honza przyjechał do zagrody, w obejściu nie zastał żywej duszy, gdyż wszyscy byli w polu. Ukroił porządny polec słoniny, co wisiała w komorze, napchał w kieszenie chleba i kiedy przegonił głód, zaczął myśleć, co niby ma teraz robić. Jak to gospodarz powiedział? Przy grochu, co mu przynależy? No, co w powszedni dzień przynależy do grochu, jak nie kasza! Toż to i w śpiewce jest:

A przy grochu kasza,

marna dola nasza,

to nas czeka dzień w dzień!

A w niedzielę przynależy do grochu elegancki kawał wędzonki z kiszoną kapustą, o tym wiedzą nawet małe brzdące zasmarkańce. Że wędzonka rośnie raczej w chlewku, a nie na polu, w tym Honza się orientował, nałożył tedy na wóz worek kaszy, którą miała gospodyni w spichlerzyku, i ostatnią beczkę kiszzonej kapusty, co pozostała w obejściu po zimie, po czym jazda z powrotem w pole, żeby zadość uczynić gospodarzowi.

Gołębie już miały pełne wola grochu, do kaszy się nie gar-

nęły, tak że Honza był zmuszony nabierać ją w czapkę i roz-* rzucać po polu. Jakiś czas go nawet to bawiło, ale wreszcie przyszło mu do głowy, że od tego ustawicznego rozrzucania może go rozboleć ręka i będzie dla niego lepiej, jak wysieje ją prosto z wozu.

Narobił w worku z kaszą dziur, żeby się sama sypała, worek rzucił na tył gnojaka i jeździł po polu wszerek, w poprzek i na skos, tak jak akuracik mu się zachciało. Rychło worek się spłaszczył, a na brunatnej powierzchni gleby widać było białe pręgi zygzakami znaczące drogę, którą Honza kaszę wytrząsał. Następnie przewrócił do góry dnem beczkę kiszanej kapusty i całą tę kupkę, która wypadła na ziemię, rozrzucił widłami po uwrociu.

Wieczorem zapytał gospodarz Honzę:

— No jak, zrobiłeś wszystko, co przynależało?

— A jakże, panie ociec, nasamprzód posiałem groch, potem zaraz przy nim kaszę, żeby gospodyni miała wszystko po gromadzie, kiedy zabierze się do gotowania. A uwrocie obsiałem kiszoną kapustą, co przynależy do grochu w niedzielę!

Kmieć złapał za kij i pogonił Honzę przez całą wieś, póki mu z oczu całkiem nie zniknął w ciemności za wsią.

Oj, biedny Honza! Dokąd teraz miał się udać? We wsi bał się pozostawać, żeby go gospodarz nie przyszedł sprać w biały dzień, toteż postanowił, że pójdzie w świat. Gościńcem akuracik z turkotem toczył się powóz, Honza uczeplił się go z tyłu i dojechał do pierwszej karczmy. Tam jak raz smażono dla furmanów znakomite wątrobianki, ich zapach tak uderzył Honzę w nos, że natychmiast zeskoczył na ziemię i wcisnął się do karczmy.

Po kieszeniach miał jeszcze parę kawałków chleba, co go sobie ukrajał na zapas, a w małej kieszonce serdaka uwierał go złoty dukat, którego dostał od gołębia za groch. Rozsiadł się tedy jak basza pośrodku szynku, a gdy karczmarz przechodził do sąsiedniego stołu z brytfanką, pełną elegancko przypieczonych, pachnących wątrobianek, na które czekali głodni furmani

284

i kupcy, stuknął dukatem w dębowy blat, aż brzęknęło, i w głos zażyczył sobie:

— Taką samą brytfankę i dla mnie!

Opoдал w rogu szynkowni siedzieli trzej wygłodniali wędrownicy, którym nadaremno ciekła ślinka od tej rozkosznej woni i aż do tej chwili myśleli, że dzisiaj sążone im iść spać

O pustym żołądku. Ale kiedy im tak kusząco zadzwonił w uszach złoty dukat Honzy, spojrzeli po sobie, że niby od tego bęcwa-ła można by co nieco uszczknąć, i duchem poskoczyli do Honzy z zapytaniem, czy mogliby się przysiąść. A czemu nie, Honza lubił towarzystwo i godzi się powiedzieć, że nie był skąpi-radło. Kiedy mu przyniesiono brytfankę wątrobianek i zmiarkował, jaką ci trzej wędrownicy mają na nie ślinkę, zachęcił ich szczerze, żeby sobie po wątrobianeczce wzięli z brytfanki, i poczęstował ich też chlebem. A i ten tłuszczyk, co w naczyniu zostanie, mogą sobie na koniec pospołu wymazać skórkami od chleba.

Wędrownicy rozpływali się nad Honzą w dziękczynieniach a że ich brzuch błoogo grzało, jęli przechwalać się, w jakich to przedziwnych krainach bywali i co który widział w życiu

1 czego uświadczyl. Czeladnik piekarski rozwodził się nad Ma-hometanią, do której mu dane było dotrzeć i gdzie wszystko jest na odwrotną, choćby to, że chłopcy tam chodzą w kieckach, a baby w portkach. Na to krawczyk zaczął go przekrzykiwać z fanfaronadą, że to jeszcze nic, bo on na wędrach zaszedł aż do Sakraboniji, gdzie go jeden majster krawiecki zaprosił na weselisko swojej córki. Już ta muzyka, co tam grała, ludkowie moi, gały by wam na wierzch wyszły! Trzy skórzane trąby, dwoje skrzypiec z tataraku, z ciasta drożdżowego upieczona ba-setla(a bębny słomiane! A stół od jadła aż się uginał, a były tam udka szczupaczki z wędzonymi ogórkami, rogi kapłonie obsypane piernikiem, sumie pazury, mleczki wiewiórcze w lukrze, wafelki z motyli, całuski z sadzy i pierniczki z lodowych sopli!

— Ee tam, to są wszystko trele-morele — piorunem kraw-czyka przyszpilił szewc — takie duby smalone plotą stare bab-

285

ki, kiedy po wsiach drą pierze w zapusty! Ale ja temu panu, co nas tak wybornie ugościł, powiem, gdzie to ja byłem, a będzie to sama prawda najprawdziwsza, jakem Bożydar Brechta!

— A gdzie to panoczek byli, jeśli wolno zapytać? — zaciekał się Honza.

— W Leniraju! Miły mój, to jest kraj! Nic na świecie mu nie dorówna! I mógłbym tam być do dziś, gdybym przez własną głupotę sam wszystkiego nie popsuł.

— W Leniraju? Do diaska, to by coś było w sam raz dla mnie! Toż ja od maleńkości nic tylko baki zbijam, zapytajcie się kogo chcecie, każdy w Dalskabatach wam powie, że w całej okolicy uchodzę za największego leniucha! — nadał się jak paw Honza.

— Doprawdy? To byś pan w Leniraju dochrapał się wszystkiego, wysoko byś tam pan mógł zajść, nawet palcem w bucie nie kiwnąwszy. Sęk w tym, żeby się tam dostać! Ja sam już nie mogę się połapać, jak tam się idzie!

— No, a jak panoczek tam trafili?

— Wtenczas to mi drogę pokazał jeden kamrat, wystarczyło tylko przeskoczyć potok i było się na miejscu. Ale szliśmy po nocy, w ciemnicy choć oko wykol! A przedtem długo błakaliśmy się po czarnym borze, wyły wilki i hukały sowy, że dostawałem gęsiej skórki! Za to raniusko, po wzejściu słonka, jeju, to była frajda! Już ten potok, który po ciemku przesadziłem — wyobraźcie sobie, że był maślanym, ciepłutki aż miło, a mienił się barwą złocistą! Toczył się ot tak, od niechcienia. Na jednym brzegu rosła zwyczajna trawa, ale ten drugi, co już należał do Leniraju, był z miękkuchnego piaseczku. Tylko że figa z makiem, zamiast piasku był tu tłuczony cynamon z cukrem! A zamiast olch wznosiły się na tym brzegu przeróżne drzewa, bułkowce, pączkowce, racuchowce, powidłaki struclistne, sękacze lukropienne, lipy naleśne!

Ja byłem od takiego szkraba pies na racuchy, piorunem ci wdrapałem się na ten racuchowiec i natargałem racuchów pełną torbę! Ach, jeju smargaryna, to ci były frykasy, ciepłuchne, chrupkie, pachnące! Jednego ci po drugim elegancko macza-

286

łem w tym maślanym potoku, żeby się tego masła dobrze na-sysały, po czym nurzałem je w tym piasku z cynamonu i cukru! Trzeba wam było widzieć, jaką grubą warstewką tych słodkości się pokrywały! Ale ledwom na język wziął pierwszego z brzegu, skądś pędem do mnie przydrałował jakiś profos albo co i I zaraz na mnie z pyskiem urzędowo, że tutaj obrywanie racuchów jest surowo wzbronione i że bym mu nie wmawiał, że mi

same spadły, bo on wszystko widział i przyłapał mnie na gorącym uczynku. Ja na to, że też ma o co taki krzyk podnosić, o tych parę placków, toż macie ich tu pełne drzewa, nie ubędzie wam, jak się pożywi co nieco ubogi wędrowniczek! A on ciągiem swoje:

— A wiesz ty, człowieku, gdzie w ogóle jesteś? Tu mamy Leniraj, nijakiej pracy tu się nie wolno imać? A tyś naruszył nasze prawa, fatygowałeś się na drzewo, trudziłeś się rwaniem, to jest surowo zakazane!

— A co na Boga ojca miałem robić, kiedy byłem głodny, a te racuchy mi tak pięknie zapachniały?

— Wedle naszych przepisów trza się uwalić pod racuchowiec, rozdziawić gębę i czekać, aż racuchy na słoneczku dojrzeją. Wtedy same do gęby zlatują!

Cóż robić, prosiłem go o odpuszczenie, że niby to się już więcej nie powtórzy, pracować ani myślę, jeśli mi tylko w tym Leniraju pozwoli zostać. Profos podkreślił węża i powiada:

— Jak na pierwszy raz, to ujdzie ci to na sucho, ale smaruj teraz do miasta na urząd wyfasować papier, że masz tu prawo pobytu. Już oni tam cię wezmą w obroty i szydło z worka wy-lezie, czyś ty czasem nie jaki filut lub krętacz, albo nie daj panie nadgorliwiec, który tylko udaje leniucha. Kto to wie, co człowiek ma za skórą, toż pcha się tu do nas mnóstwo wszelakiego luda!

Ludkowie moi, ależ tam była droga! Błota ci tam było wszędzie po kolana i to jakiego błota! Raz ci białego, lepilo się do butów, a była to kasza ze śmietaną, to znów żółciutkiego, znaczy się twaróg z jajkami, a to siwoczarne to był tarty mak

287

z cukrem, lekutko tylko podlany miodkiem dla większej spo-istości. Co chwila nogi w tej mazi grzęzły, człowiek padał na pysk, babrał sobie ręce, w nosie go wierciło, język mi wprost skołowaciał z ciągłego oblizywania się, zanim doczłapałem do miasta.

Ale przedtem jeszcze w tym makowym błocie rozboleły mnie nogi. Ja ci chcę przysiąc sobie na przydrożnym kamieniu, a tu patrzcie państwo, jest to gomuła sera, z jednej strony już ciut nadpleśniała, ale, wierzcie mi, nie mniejsza niż koński łeb! Oglądam go ze wszystkich stron, zanim siądę, a tu masz, pod serowym głazem jest dziura, że pięść by wetknął. Ho-ho, powiadam sobie, miej ty się na baczości, w takich dziurach gnieźdzą się żmije, kto wie jaka gadzina może się tu skrywać! Na wszelki wypadek szturcham w nią kosturkiem i wiecie, co się stało? Nie mieszkając z dziury zaczyna leżeć coś ciemnego. Grube toto jak męska ręka, już mnie brał strach, że się nie pomyliłem z tą żmiją. Duchem wyciągnąłem kozik i ciach! Przeciąłem tego czarnego płaza na dwie połowy. Ha, niepotrzebnie się przestraszyłem! Toż to kielbasa, a jak elegancko poprzerastana słoninką, co wyraźnie rzucało się w oczy w miejscu, gdzie przeciąłem. Urzezałem jej sobie porządny kawał, żeby mieć na zapas. I wtedy te dwa rozkrojone końce przyskoczyły do siebie, a właściwie ten tylny podpełzł do tego przedniego i raz dwa zs sobą się zrosły, jak gdyby nic nie zaszło.

Szewc na chwilę przerwał, żeby się napić ze dzbana, gdyż podczas opowiadania zaschło mu w gardle. Honza oczu od niego nie mógł oderwać. Holender, takie coś jak ten Leniraj czeka na człowieka gdzieś tam w świecie, a u nich w Dalskaba-tach nikt o tym nawet zielonego pojęcia nie ma! Całe szczęście, że ten okrutnik gospodarz kijem przegnał Honzę z wieczora, w przeciwnym razie leżałby w domu za piecem i przespał swoje szczęście!

— No, a co było dalej w tym Leniraju? — gorączkował się Honza, ledwo szewc pianę z ust otarł.

— No, co dalej? Dalej szło się polem, a gleba była czarna, tłusta i nie dziwota, bo to było nadzienie, którym się przy

288

świniobiciu kiszki napycha. Tylko nie mogłem pojąć, że się tu, na takich tłustych gruntach, nikt nie osiedla. Ja, gdybym nie musiał iść po ten papier pobytowy do miasta, zaraz bym sobie tutaj postawił chałupinę, najchętniej przy tej miedzy gdzie była krynica pienistego piwka, co smak miało jak mał-mazja.

— Oo-to-to! — wykrzyknął olśniony Honza. — Ja bym tam też chętnie zamieszkał!

— Od razu widać, że się pan nie wyznajesz na Leniraju! Tamtejsi ludzie tę okolicę poczytywali niemal za pustynię, dlatego nikt się tam nie osiedlał. Już w dąbrowie, co była zaraz za polem, ludzisków trochę się spotykało. Mieszkali tam wszelacy odludkowie, można by rzec pustelnicy, ze zdrojów tam tryskało winko, słodziuchne a także cierpkawe, jakie dusza zapagnie! Tylko że musiał się człowiek mieć na baczności, bo co i rusz mogło go coś zdzielić w gębę, a tak, tam zamiast żywego ptactwa latały pieczone gołąbki, słoninką naszpikowane przepiórki, nadziewane bażanty, chwycić tylko za udko i pałaszować! Ale nie miały łebków, więc nie widziały drogi, ho, ileż to razy człowiekowi prosto w gębę wpadły!

— Tee, dla mnie to betka! — wtrącił się Honza. — Ptasię mięsko to mi nie pierwszyna. A już najbardziej to lubię kwiczoła, co to przyleci do dom na karmnik i wyśpiewuje!

— No pewnie — szewc na to — toż ja w tej dąbrowie też nie zasypiałem gruszek w popiele! Ci pustelnicy jednakowoż nie mają tam wielkiego poważania, każdy ich podejrzewa, że nie są to prawdziwi lenie, skoro sobie zadają tyle trudu, żeby mięsko obierać z kostek, a jeszcze je obgryzać i wysysać. Ale już za tą dąbrową, tak trochę w prawo, to dopiero jest wyżerka! Ja się patrzę i sam nie wiem, czy to jakie domy, czy raczej skały... ludkowie moi, to było stado świń, co na tej równinie przystały, a każda ogromniasta jak u nas porządna chałupa. A wiecie czemu od razu nie mogłem poznać? No to wam powiem, czemu! Bo one były bez łbów, za to miały po dwa zady, z każdego końca jeden, a to oznacza nie dwie, ale od razu cztery szynki! A ledwo którejś odkroiło się szynkę, zaraz jej

19 Bajki czeskie

289

odrasła nowa! Przyjaciele, tam było tej wieprzowiny, że wszyscy wędrownicy z całego świata by się najedli! Tam już ludzi było o wiele więcej niż tych pustelników w dąbrowie. Starczyło przynieść trochę chrustu z lasu, potarło się draską siarkową i w parę chwil było pieczystego na dziesięć furmańskich wozów!

Zapytałem tych nygusów, co się tam wylegiwali, czy daleko jeszcze do miasta.

— Dziś by panoczek już i tak nie doszli, nie ma co się mordować! Uwal się, braciszku, z nairi i podjedz sobie kapkę!

Dałem się na to skusić, upatrzyłem sobie na skraju lasu jedną świnkę, była wprawdzie trochę mniejsza, coś jak taka do-żywotnicza chatka, ale za to mięsista jak ta lala. O kroczek od niej rosły jałowce a i młody buczek i jakaś tam brzoźka. Miarkuję, że akuracik dmucha pomyślny wiatr, od strony jałowców ku świni, jakby go na tę okazyję zamówił! Migiem łapię draskę, podpalam jałowce i kochana świnka zaczyna się na miejscu wędzić. Ach, ludkowie, to dopiero był zapach, niósł się z wiatrem na cztery mile

daleko i kto tylko w tej okolicy miał nogi, biegł ku mojej śwince, żeby nacieszyć, jeśli nie gębę, to przynajmniej nozdrza!

Wędzonki od strony krzaków, solidnie przykopcone i dymne, zupełnie jak z domowego komina, nadawały się raczej dla natur na schwał. Ale od tej drugiej strony, dalej od ognia, szy-neczka była delikatniusia, różowa, taką to "nawet najkruchsze panienczki mogłyby z samego rana, jeszcze na czczo przekąszać. Wszyscy, co się tam zbiegli, nie posiadali się z radości, gdyż nawet w Leniraju takich smakowitości nikt nigdy nie jadł, a ja byłem wprost szczęśliwy, że po raz pierwszy w swoim nędznym szewskim żywocie mogę wreszcie nawcinać się do syta!

I wtenczas akuracik, gdy już byłem o kroczek od szczęścia, zrobiłem ci ja, głuptak, ten najcholerniejszy błąd w swoim życiu! Patrząc ja, że ci na tej szynce skóra jest przetłuszczona i elegancko wytrawiona przez dym, psia noga, mówię sobie, z niej będą, Bożydarku, fałdziste cholewy, jakich świat jeszcze nie widział! Łapię za knyp. ściągam ostrożnie skórę, kroję i da-

290

leję na tej równinie szewcować, tylko mi w rękę narzędzia furczały.

Uszyłem ci ja cholewy, piękne, że buzi dać! Złocisto-brązo-we, miękutkie jak z puchu, woda się ich nie miała, bo były elegancko przetłuszczone, na nogę wchodziły gładziutko jak w pysk strzelił! Toż ludzie japy wokół rozdziawiali, gdy mnie w nich zobaczyli!

Gracko sobie przytupnałem, żeby noga w nich lepiej siedziała, i jak ten junak rażno zacząłem kroczyć.

Ale ni stąd, ni zowąd niektórzy z tych nygusów, co już z dobrą godzinkę napychali się moją szyneczką, jak nie złączą paluchami mnie wytykać i, być może z zawiści, mordę drzeć, że słyhać było na pięć mil dokoła:

— Toż to nicpoń! Co on tu robi?! Ludkowie, on w Leniraju śmie pracować jak gdyby nigdy nic!

Zrobiło się niewesoło! Cały ten tłum, co zewsząd ściągnał za niuchem, rzucił się na mnie jak w furii:

— Zdrajca! Szpieg! Lać go!

Łoili mnie, czym popadło, aż dziw, że mi gnatów nie poprze-trącali! Ma się rozumieć, że ja się nie dawałem, złapałem moją grubą kielbasę, jak gdyby to była dębowa laga, i machałem po nich jak cepem po życie! Ale kielbasa, chociaż tęga, miała ciekawą kieszkę i za chwilę popękała mi w rękę. Więc zostałem bez broni i bądź tu teraz mądry, święty Jacku z pierogami! No cóż, zacząłem zwiewać, co sił w nogach, a oni dalej podnosić jakieś jasne grudy i kamienować mnie nimi; aż mi nad uszami huczało! Całe szczęście, że to nie były prawdziwe kamienie, ale wszelakie knedle, małe krągłe ze śliwkami, ciut większe bułczane, wielkie drożdżowe z powidłami, z serem, z borówkami, a także te kosmate z surowych ziemniaków! Ludkowie mili, te kosmate, polaną przysmażaną na skwareczkach cebulką, z kapustką dobrze okraszoną — to moje najulubieńsze jadlo! Ale ma się rozumieć, że w gębie, a nie na plecach czy za uchem! Gdybyż to człowiek mógł je przebrać i schować na gorsze czasy! Ale gdzie tam, mowy nie było, byłem rad, że przebieram nogami, żeby ująć cało przed tą szaleńczą zgrają — a zwiewałem, aż się za mną kurzyło!

291

Aż tu oni zaczęli do siebie wołać:

— Zabiegnijcie mu drogę, zabiegnijcie mu drogę, zagonimy go na maślany pagór!

Od razu się połapałem, że tam na tym pagórze czeka mnie jakaś pułapka. Ale co miałem począć? Z prawej strony waliła na mnie cała gromada, druga gromada zabiegała mi drogę z lewa, nad głową świszczą mi knedle, zaiste nic mi nie pozostało jak ta ścieżka na maślany pagór! Ha, to się dopiero wybrałem. Ledwo ruszyłem w górę, nogi w tych nowych butach zaczęły mi się na maśle ślizgać i obsuwać. Póki nie znalazłem się na samym wierzchołku, jakoś to tam szło, choć człowiek się potykał przy każdym kroku. Ale kiedy doszedłem na grzbiet pagóra, ścieżka zaczęła spadać stromo w dół!

Już po paru krokach noga mi się powinęła, bęcnałem jak długi na tę maślaną ślizgawicę, no i zaczęła się karkołomna jazda! Smarowałem w dół jak stara maglownica, raz na brzuchu, raz na wznak, to znów dla odmiany prulem masło nochalem, ale zatrzymać się nijak nie mogłem. I choć wpijałem w masło pazury, choć worywałem się w nie piętami, wszystko jedno, leciałem w dół na złamanie karku i to coraz szybciej. Naraz ci ta maślana ściana skończyła się jak uciął, wykopyrt-nałem się w powietrze, fiknąłem parę koziołków i już byłem w maślanej czeluści tkwiąc aż po szyję w najprzedniejszej maślance. Ale od tych furiatów na górze jeszcze nie miałem spokoju. Widząc, że wpadłem w pułapkę, jęli znosić na kupę największe knedle z powidłami, a kiedy się ich uzbierało z tysiadczykami, strącili na mnie całą tę gromadę jak jaką lawinę. Gdybym wtenczas nie wpadł na szczęśliwy pomysł, żeby wznieść ręce nad głowę, chyba bym był w tej maślanej czeluści ducha wyzionął pod górą knedli. A tak przynajmniej osłoniłem ciemię przed gradem kluchów. Wierście mi albo nie, czternaście dni musiałem przegryzać się przez te knedle, zanim wyłabudałem się co nieco z tej kleistej kabały. Tylko że, jak to się mówi, kto ma wisieć, nie utonie, choćby woda zalała szubienicę. Przez następne czternaście dni udało mi się w tej czeluści maślanej ubić resztę knedli, które tymczasem

292

stwardniały, w spoisty chodnik. A że akurat zrobiło się chłodniej i masło zastygło, mogłem w nim swoim szewskim kny-pem ciąć schodki. Już byłem pod samym wierzchołkiem, do grzbietu pagóra brakowało mi parę metrów. Nigdzie ani żywej duszy, już się cieszyłem, że cichcem powrócę do Leniraju i wtedy nie ma głupich, nikt mnie już po raz drugi nie przyła-pie na najłżejszej choćby pracy, będę się pilnował jak diabli. A tu masz, babo, placek! Ni stąd, ni zowąd zrobiło się upalnie, masło zaczęło mi pod nogami tając szybciej niż marcowy śnieg, omsknąłem się znowu, a w końcu, gdy już słońce srodze przypiekało, urwała się ze mną cała ta czeluść i jazda na łeb na szyję w jakąś piekielną otchłań! Wierście mi, wolałem już omdleć, bobym przecież tego okrucieństwa nie przetrzymał... Szewc Brechta znowu się napił z kufła Honzy, a westchnął przy tym tak frasobliwie, aż Honzie ścisnęło się serce.

— A gdzie się panoczek zbudzili, gdy już oprzytomnieli?

— Ano właśnie! Już w tym nędznym świecie, w pewnym starym zajeździe, z przeproszeniem na gnojowisku. Całe szczęście, że spadł w coś miękkiego...

— Więc to był tylko sen!

— Jaki znowu sen! Toż te cholewy z tych szynek miałem jeszcze na nogach, tylko obcas mi ociupinkę obgryzły myszy. Pewien rzeźnik z miejsca mi chciał za nie wybulić dwa dziesiątka, chciał je kupić, ale ja, głuptak, uparłem się, że nie sprzedam. Że to niby pamiątka, że się ich nie pozbędę!

— I komu je panoczek dali?

— Psy bestie mi je zeżarły, kiedy szedłem nocą przez wieś. Rzuciły się na mnie jak diabli! Ledwo udało mi się nagie stopy unieść cało!

Kamraci, którzy już po raz któryś słyszeli tę opowieść szewca, nie przejęli się nazbyt tym całym jego nieszczęściem. Woleli raczej przypiąć się do kufelków, toteż stuknęli się z Honzą i wypiwszy na jego cześć i rachunek, jęli śpiewać:

Gdyby cięgiem się nie piło, człek by się z pragnienia wściekł,

293

słysząc gul-gul-gul, aż miło, lejesz w siebie niby w ściek!

Ale Honza bez reszty był pochłonięty tym Lenirajem. Myśli mu się w głowie roily, jak gdyby w niej brzęczała cała pasieka.

A był tam w karczmie przy sąsiednim stole jeden kupiec szelma, który uwielbiał psie figle, toteż dobrze nastawiał ucha, kiedy szewc rozprawiał o Leniraju. Ujrzawszy tedy, że Honza dał sobie zawrócić w głowie, rzucił jakby od niechcienia w jego stronę:

— Patrzcie no, jak to się złożyło, jutro jak raz tam jadę solić masło pod maślanym pagórem i ładować je do beczek, w naszej krainie taki towar to świetny interes...

— Ha, szkoda! — szewc na to, nie mrugnawszy nawet okiem — my trzej musimy jutro wyruszyć w zupełnie odwrotnym kierunku, nie mamy do stracenia ani chwili czasu!

Gdyby nie to, niechybnie zabrałibyśmy się z panoczkami!

Honza cały zamienił się w słuch — jejuniu, toż to gratka dla niego! Migiem wypytał podwórzowych parobków — w takich sprawach kochany Honza nie był leniwy — który wóz należy do tego wesołego kupca, co siedzi w szynkowni, po czym ten wóz obejrzał dokładnie ze wszystkich stron. No, proszę, na wozie doprawdy były same puste beczki, czyste, nowiutkie; obok na kupie leżały przygotowane do nich denka. Kupiec wiózł je do domu na zapas, żeby mieć w czym pod jesień kisić kapustę. Honza zaczął dumać, czy by tak nie poprosić kupca, żeby go zabrał ze sobą na maślany pagór.

— Lepiej nie! — zdecydował jednak w końcu — gdyby mnie zabrał, chciałby pewnie, żeby mu pomagać w nakładaniu masła, z Leniraju zobaczyliby, że pracuję i od razu bym sobie wszystko popsuł!

Umyślił tedy, że cichcem wlezie kupcowi na wóz. Wyczekał chwili, kiedy na podwórzu nie było psa z kulawą nogą, wtenczas wlaź pod płócienną budę, wybrał na furze największą beczkę i zwinął się w niej w kłębek jak jeż.

A że nie był zwyczajny piwa, bo matuś w domu mu nigdy

294

nie dawała, więc po tych trzech kuflach, które wypił w karczmie, zmorzył go okrutny sen. Kiedy o brzasku kupiec przyszedł do wozu, usłyszał ze środka takie chrapanie, że aż płócienna buda się chybotwała. Był to człek szpakami karmiony, tak że zaraz zmiarkował, co w trawie piszczy. Wziął jedno wieko i zdjawszy górną obręcz z beczki, w której Honza spał, zabił otwór tym denkiem. Po czym nasadził obręcz na dawne miejsce i wieko już ani drgnęło, trzymało się mocno jak wiara turecka. Zaciął konie i już z góry śmiał się w duchu na myśl, jakiego to strachu Honza się naje, kiedy się w turkocącym wozie przebudzi i stwierdzi, że jest w czarnej dziurze.

Ale kupiec nie znał jeszcze Honzy. Toż on jak gdyby nigdy nic przesypiał całe lata za piecem, a także w trawie przed chałupą! Kiedy się ułożył do spania, to już to spanie musiało być coś warte! Spał tedy i spał, a kiedy wieczorem kupiec stanął w zajeździe i przyłożył ucho do dziurki w wieku, usłyszał, że Honza przez sen coś tam zabelkotał i chrapał dalej. Po pierwszym dniu przespał i drugi dzień, i trzeci, kupiec dojeżdżał już do

domu. Przestała go w końcu bawić ta cała heca z Honzą, myślał tedy, jak się tego śpiocha pozbyć.

Wreszcie wpadł na pomysł. Kupił we wsi kwaterkę maślanki, na pagórku nad rzeką zatrzymał konie, wytoczył z wozu beczkę ze śpiącym Honzą i dziurką w wieku jął lać mu na głowę tę maślankę. Był pewien, że Honzę w ten sposób ocuci i wy-siuda z beczki. Poczuvszy ciurkającą ciecz, śpioch przetarł oczy i zaraz nastawił rękę, co niby się tu na niego leje. Gdy już miał pełną dłoń, oblizał ją.

— Maślanka! — wrzasnął na całe gardło. •— Maślany pagór! Jestem w Leniraju! Naprężył się i zaczął w ściany beczki tłuc głową, ramionami, kolanami i piętami, żeby się z niej wydostać. Robił przy tym tyle jazgotu, że kupca strach obleciał, żeby mu ten bęcwał w końcu nie spuścił manta za to, że mu splatał tak paskudnego figla. Więc kiedy już się wydawało, że obręcze lada moment puszcza, pomyślał, że lepiej poświęcić beczkę niż ściągnąć na

295

siebie gniew durnego osiłka. Przewrócił beczkę na bok i kopnął, rozturlała się w dół ku rzece.

Beczka toczyła się coraz szybciej, aż Honza dostał zawrotu głowy. Podskakiwała na kamieniach i korzeniach, odbijała się o drzewa i dopiero na samym dole rąbnęła o głaz nad brzegiem rzeki i rozpadła się. Honza, wytrzęsiony i obtłuczony, cały wymazany maślanką, stracił na jakiś czasik przytomność, zupełnie jak ten szewc na maślanym pagórze. Kiedy wreszcie otworzył oczy i spostrzegł, że jest mokry od maślanki, a w dodatku ma we włosach grudki masła, zaczął z rozpacz rwać sobie te włosy:

— Jezusmargaryna, ale ze mnie durny leń! Toż ja już na tym maślanym pagórze byłem, no i masz, przespałem go, osioł wałkoniowaty, w beczce! Beczka się widać omsknęła i zjechałem na łeb, na szyję jak ten szewc Brechta!

Wstał i ruszył pod górę, by szukać tego Leniraju, który przecież musi być gdzieś to zupełnie, ale to zupełnie nieda-leczko. I być może szuka go do dziś!

Postówie

W twórczości Jana Drdy — czołowego pisarza czeskiego lat powojennych — alegoria oraz wątki baśniowe odgrywają rolę bardzo ważką, co więcej, określają bodajże najważniejszy nurt jego pisarstwa, najbardziej oryginalny i ciekawy. Te fascynacje patronowały powstaniu między innymi tak znanych powieści, jak Miasteczko na dłoni, Wędrówki Piotra Arcyłgarza. czy też jego najbardziej wziętych komedii wywodzących się z baśniowych tropów Vaclava Klimenta Klicpery oraz Josefa Kajetana Tyla — twórców czeskiego teatru narodowego — jak Igraszki z diabłem i Dalskabaty — grzeszna wieś albo Zapomniany diabeł.

Ponieważ Jan Drda wszedł do literatury w trudnych latach hitlerowskiej okupacji, sądzono początkowo, że ta świadoma ucieczka od dosłowności, od realistycznych wizji w świat alegorii i przypowieści wynika z konieczności historycznej. Okupacyjna rzeczywistość miała niewątpliwie duży wpływ na postawę twórczą autora Bajek czeskich — myślę jednak, że równocześnie ten typ literatury był zawsze bardzo bliski jego bujnej wyobraźni.

Jan Drda urodził się 4 kwietnia 1915 roku w Pfibramiu — miejscowości położonej w środkowych Czechach. Podczas studiów, które odbywał w Pradze, zajmował się głównie filologią klasyczną oraz naukami slawistycznymi. W tamtych latach pisze swoje pierwsze utwory, które ukazały celną wrażliwość

oraz duży zmysł obserwacyjny autora. Od 1937 roku związał się z pismem „Lidove noviny” którego redaktorem naczelnym będzie później w latach 1948—1952.

Zdzisław Hierowski, charakteryzując ówczesne dokonania literackie Drdy, powiedział: „Linia jego twórczości przebiega wśród zjawisk typowych dla rozwoju pisarzy czeskich, stojących na pograniczu dwóch okresów niepodległości, przedzielonych latami niewoli. W pierwszych latach pracy pisarskiej obarcza go jeszcze mocno balast świeżej tradycji literackiej okresu międzywojennego z wpływami literatury mieszczańskiej, reprezentowanej w Czechosłowacji przez tak wielki talent, jakim był zmarły w r. 1938 Karol Czapek”.

Zajęcie kraju przez wojska hitlerowskie, stworzenie Protektoratu, zdławienie pozorów wolności, narastający terror — wszystkie te wydarzenia wstrząsnęły do głębi pisarzem, który też od razu stanął w szeregach walczącego podziemia. Nic więc dziwnego, że Drda — późniejszy żołnierz praskiego powstania w 1945 r. — zrekapitułuje postawę walczącego narodu czeskiego, w ogóle tego kręgu ludzi przeciwstawiających się uciskowi okupacyjnemu, w swojej Milczącej barykadzie, ambitnym tomie opowiadań, który wyrósł z osobistych doświadczeń pisarza.

Ta lektura przywołuje mimowolne porównanie z głośną okupacyjną książką Yercorsa Milczenie morza, która, mówiąc o programowym milczeniu w stosunku do okupanta patriotycznych Francuzów, stała się symbolem kraju naprawdę nieugiętego i niepodległego. Dla pisarza czeskiego dramaty wojenne jego współziomków — prostych, szarych ludzi, których początkowy opór materializował się w milczącym lekceważeniu najeźdźców, urosły natomiast do wymiaru barykady.

Debiut książkowy Jana Drdy przypada na rok 1940, kiedy jeszcze pętla niemieckiego ucisku nie była tak w sposób bezwzględny zadziergnięta i nie zdołała całkowicie sparaliżować — jak to później miało miejsce — życia kulturalnego i artystycznego narodu. Wystąpił prawie równocześnie jako bele-

trysta i jako dramaturg, zdobywając powszechne uznanie a nawet sławę.

Tą pierwszą książką była jego najgłośniejsza powieść Miasteczko na dłoni, w którym toczy się normalne, prowincjonalne życie, a jednak nie tak całkiem normalne, w którym ludzie tworzą swoje dzieje według ustalonego od pokoleń rytmu — a jednak ten proces nie przylega tak całkowicie do utartych pojęć. Ta miejscowość jest bowiem jak gdyby wyizolowana, odcięta od wielkiego świata i rządzi się swoimi prawami — nic więc dziwnego, że elementy realistyczne splatają się z baśniowymi wizjami.

Wielowątkowa akcja obejmuje bogatą panoramę zdarzeń, penetruje różne warstwy społeczne. Nasycona optymizmem oraz pełnym naturalności i prostoty humorem — uczy przywiązania do tradycji, do odwiecznego rytmu natury. A przecież podczas lektury odносimy często wrażenie, jakby przyszło nam odczytywać pewną wielką alegorię: tak bardzo skurczyła się prawdziwa ojczyzna, że pozostała jedynie w sercach i umysłach ludu?

Wraz z pierwszą powieścią weszła w obieg społeczny jego pierwsza sztuka zatytułowana Jako i my odpuszczamy, której akcja rozgrywa się w środowisku górników. Wystawił ją nowatorski i postępowy teatr Emila Františka Buriana (późniejszy Artystyczny Teatr Armii).

Zainteresowanie sceną i sztuką dramatyczną potęgowało się u Drdy, a przecież następnym opublikowanym utworem była znowu powieść {Woda życia, 1941) — tym razem psychologiczna; rzecz o chłopaku z ludu, który marzy o wielkiej sztuce, o doskonaleniu swojego rzeźbiarskiego talentu, lecz musi długo mocować się ze swoją wielką miłością, walcząc równocześnie z przeciwnościami losowymi i własnymi słabościami.

Tę opowieść o swoistym „Janku muzykancie” autor umiejscowił w realiach i na tle wydarzeń okresu międzywojennego, lecz nie warunki społeczne odgrywają najważniejszą rolę w tej zwartej i świetnie napisanej powieści, ale uparte dążenie do przezwyciężenia własnej twórczej niemocy.

299

Dwa lata później do rąk czytelników trafia jego kolejna powieść Wędrowniki Piotra Arcygarza, w której surowa rzeczywistość miesza się z niezwyklejmi wizjami chorej wyobraźni głównego bohatera. Autor prezentuje nam jak gdyby swoją a zarazem swoistą wersję Don Kichota, zrodzoną w epoce odartej z romantyzmu a nawet z atmosfery łagodnej ironii i pogody — chociaż pobieżna lektura mogła sugerować zupełnie co innego. Przecież ten niezwyklej Piotr, arcygarz, wyruszając w świat na poszukiwanie swego nieznanego ojca, wyobraża go sobie jako rycerza gromiącego bisurmanów.

W okres wyzwolenia spod hitlerowskiej okupacji wszedł Jan Drda swoją najwybitniejszą komedią — wspomnianymi już Igraszkami z diabłem. Przeszła ona triumfalnie przez wiele scen w Czechosłowacji — podobnie jak i w Polsce — z tym że u nas jej walory artystyczne podniosła jeszcze doskonała inscenizacja niezapomnianego Leona Schillera.

Edward Madany powiedział, że: „Wszystkie cechy pisarstwa Jana Drdy, które wystąpiły w Miasteczku na dłoni, Wodzie życia i w Wędrownikach Piotra Arcygarza, w skondensowanej formie znalazły swój wyraz w (tej) komedii.” Możemy zatem przyjąć, że utwór ten podsumowuje pewien bardzo ważny (a może najważniejszy?) rozdział w twórczości tego oryginalnego pisarza.

Po wojnie następują lata wzmożonej działalności obywatelskiej i państwowej. Prezesuje literatom, zasiada jako poseł w parlamencie i w Radzie Miejskiej Pragi, jest członkiem Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Czechosłowacji i Komitetu Obrońców Pokoju. Użycza swego pióra licznym czasopismom i gazetom.

Jako pisarz określił się głównie wymienioną już Milczącą barykadą, drugim — wcale interesującym tomem opowiadań Piękna Tortiza (1952), kilkoma dobrymi utworami scenicznymi (m.in. Dalskabaty..., Romanca o Oldrzychu i Bożenie), książkami publicystycznymi, felietonowymi i reportażowymi (Listy z Norymbergi, Gorąca ziemia), mniej udaną powieścią Gospodarze oraz właśnie Bajkami czeskimi (1958), które

przypomnia-

300

ły nam najbardziej ulubione fascynacje tematyczne i intelektualne Drdy.

Pisarz zanurzył się znowu w legendach, przypowieściach, po-gwarkach i baśniach swego narodu, jakby chciał z tej studni ludowych mądrości zaczerpnąć źródlanego, odżywczego oddechu dla swej lutni, dla swej ruchliwej wyobraźni. Czuł się zresztą zawsze bardzo dobrze wśród tej czeredy bohaterów — jakże barwnych i niezwyklej, jakże fantazyjnych. Przypatruje im się dobrotliwie, bo ich kocha — powiedziałbym, że

nawet na swój sposób szanuje wszystkie te wiedźmy i złe wróżki, które powołuje do życia, ażeby dobro mogło zwyciężyć i przechadzać się w pełnej glorii. Chciałby czasami wręcz powiedzieć do nich: wybaczcie, ale takie są reguły gry nie tylko w bajce, od was w dużym stopniu zależy, czy ludzie z tego poważnego świata będą lepsi.

Nawet dla śmierci, której przecież nikt nie kocha, pisarz ma głęboki szacunek, bo bez Kościeja („Darzbujan i Panderhola”) nie byłoby życia. Brzmi to na pozór paradoksalnie, ale pisarz tę głęboką mądrość potrafił doskonale zinterpretować.

Oczywiście muszą być u Drdy diabły — tym razem przede wszystkim rozczuli nas wyliniały, zgnuśniały i chyba już leciwy („Zapomniany diabeł”) przedstawiciel czarnego rodu, Kuny Gund-Matusz, o którym moce piekielne zapomniały i dlatego wegetował w jakiejś opuszczonej chacie na wydmuchowisku i byłby tam tkwił do końca dni swoich, gdyby go przypadkowo nie znalazła rezolutna wdówka i wykierowała „na ludzi”; oczywiście musi być u Drdy wodnik — i to taki jeszcze od Jiraska — tym razem spotykamy jakże romantycznego i niczym Romeo zakochanego Matalę, który warzył najlepsze piwo w środkowych Czechach; oczywiście muszą być u Drdy dzielni żołnierze, co się nie boją nawet nadprzyrodzonych mocy, co okpiwają diabłów, wiedźmy i cwaniaków i którzy noszą w tornistrach rozliczne buławy i królewskie korony z najpiękniejszych królestw; oczywiście muszą być u Drdy złe i dobre księżniczki, źli i dobrzy władcy, zmyślni i wytrwali rzemieślnicy a także ludowi Sowizdrzałowie („O głupiej górnicy”, „Jak

301

Kuba księżniczkę rogałą leczył”), muszą być leniwcy i melan-cholicy.

Czasami bohaterowie tej książki są nosicielami rozlicznych symboli tak charakterystycznych dla prawideł świata baśni zrodzonego przez wyobraźnię Drdy, A wszystkie te niezwykle zdarzenia rozgrywają się w bujnej przyrodzie — pełnej uroczysk i romantycznych dziwów — nad którą szumią najłagodniejsze i najgroźniejsze wichry, nad którą nie ma pospolitych deszczy, siklawie, nad którą wreszcie swoją mądrą, gospodarską rolę spełnia słońce.

Jan Drda kocha się głównie w baśni pogodnej, przesyconej humorem i lekkim, satyrycznym powiewem; zaprezentował nam jednak również i baśnie sentymentalne — w najlepszym tego słowa znaczeniu — o dobrej i złej miłości, o trwałości i monumentalności wielkiego i prawdziwego uczucia (rrO królownie Jaśnience i latającym szewcu”, „Złota paproć”).

W Bajkach czeskich powrócił Jan Drda z podróży po obszarach prześwietnej, poważnej literatury do swojego pisarskiego świata, który go wydał, ukształtował i natchnieniem okraślił. Uważny czytelnik dzieł tego autora może dlatego w pewnym momencie powiedzieć: przecież podchodzą do nas dobrzy znajomi, których pamiętamy z Miasteczka na dłoni, z Dalskaba-tów, z Igraszek z diabłem, a także z Wody życia i Wędrówek Piotra A.rcyłgarza.

Dodajmy jeszcze, że Bajki czeskie — książka mądrości wszelakiej, przewodnik po drogach dobra i piękna, przewodnik dla dorosłych jak i dla młodzieży — ukazuje się po raz pierwszy w języku polskim.

Bolesław Lubosz

r

Spis treści

O Macieju i Magdusi..... 5

Darzbujan i Panderhola.....	30
Zapomniany diabeł.....	56
Czeski Honza.....	79
Koniec Skąpej Woli.....	113
O królowie Jaśnience i latającym szewcu.....	123
Jak królowa grała w zgadywanki aż przegrała rękę.....	161
Wodnik w browarze.....	186
O głupiej górniczce.....	200
Złota paproć.....	221
Jak Kuba księżniczkę rogałą leczył.....	250
Jak wędrował Honza do Leniraju.....	281

Posłowie..... 297

Redaktor Krystyna Moćko Redaktor techniczny Karol Ryrko Korektor Barbara Boryczko

© Copyright by

Wydawnictwo „Śląsk” Katowice 1978

Wydanie 1. Nakład 25 281 egz. Ark. wyd. 17,5. Ark. druk. 20,0

Format A5. Papier druk. sat., Id. III, 70 g, 61X86 cm

Oddano do składania w czerwcu 1977 r.

Do druku podpisano w kwietniu 1978 r.

Druk ukończono we wrześniu 1978 r.

Symbol 31908/L. Cena zł 58,—

Cieszyńska Drukarnia Wydawnicza, Cieszyn, ul. Pokoju 1

Zam. nr 465-K-77. W-9

Redaktor Krystyna Moćko Redaktor techniczny Karol Ryrko Korektor Barbara Boryczko

© Copyright by

Wydawnictwo „Śląsk” Katowice 1978

Wydanie 1. Nakład 25 281 egz. Ark. wyd. 17,5. Ark. druk. 20,0

Format A5. Papier druk. sat., U. III, 70 g, 61X86 cm

Oddano do składania w czerwcu 1977 r.

Do druku podpisano w kwietniu 1978 r.

Druk ukończono we wrześniu 1978 r.

Symbol 31908/L. Cena zł 58,—

Cieszyńska Drukarnia Wydawnicza, Cieszyn, ul. Pokoju 1

Zam. nr 465-K-77. W-9